Biedni w bogatym kraju

Przebudzenie z amerykańskiego snu

NICHOLAS D. KRISTOF

SHERYL WuDUNN

My, Amerykanie, jesteśmy plemieniem patriotów i mamy skłonność do egzaltacji, gdy mowa o naszej krainie dostatku i możliwości. „Nigdy nie byliśmy narodem tych, którzy mają, i tych, którzy nie mają – oznajmił kiedyś senator Marco Rubio. – Jesteśmy narodem tych, którzy mają, i tych, którzy wkrótce będą mieli; narodem ludzi, którym się udało, i ludzi, którym się uda". Stwierdzamy z dumą: „Jesteśmy na pierwszym miejscu!" i w kategoriach ogólnej siły gospodarczej oraz militarnej jest to prawda. Pod innymi względami nasza pewność siebie okazuje się jednak złudna.

Oto brutalna prawda.



SERIA AMERYKAŃSKA

Charlie LeDuff *Detroit. Sekcja zwłok Ameryki* (wyd. 3)

Tom Clavin Bob Drury *Serce wszystkiego, co istnieje. Nieznana historia Czerwonej Chmury, wodza Siuksów* (wyd. 2)

Andrew Smith *Księżycowy pył. W poszukiwaniu ludzi, którzy spadli na Ziemię*

Nikki Meredith *Ludzkie potwory. Kobiety Mansona i banalność zła*

Patti Smith *Rok Małpy*

Magda Działoszyńska-Kossow *San Francisco. Dziki brzeg wolności*

David Treuer *Witajcie w rezerwacie. Indianin w podróży przez ziemie amerykańskich plemion*

Sam Quinones *Dreamland. Opiatowa epidemia w USA* (wyd. 2)

Ronan Farrow *Złap i ukręć łeb. Szpiedzy, kłamstwa i zmowa milczenia wokół gwałcicieli*

S. C. Gwynne *Imperium księżyca w pełni. Wzlot i upadek Komanczów* (wyd. 2)

Matt Taibbi *Nienawiść sp. z o.o. Jak dzisiejsze media każą nam gardzić sobą nawzajem*

Holly George-Warren *Janis. Życie i muzyka*

Jessica Bruder *Nomadland. W drodze za pracą*

Laura Jane Grace Dan Ozzi *Trans. Wyznania anarchistki, która zdradziła punk rocka*

Legs McNeil Gillian McCain *Please kill me. Punkowa historia punka* (wyd. 2)

Magdalena Rittenhouse *Nowy Jork. Od Mannahatty do Ground Zero* (wyd. 2 zmienione)

Rachel Louise Snyder *Śladów pobicia brak. W pułapce przemocy domowej*

Jon Krakauer *Wszystko za życie*

Ewa Winnicka *Greenpoint. Kroniki Małej Polski*

Paul Theroux *Głębokie Południe. Cztery pory roku na głuchej prowincji* (wyd. 2)

Lawrence Wright *Szatan w naszym domu. Kulisy śledztwa w sprawie przemocy rytualnej*

Geert Mak *Śladami Steinbecka. W poszukiwaniu Ameryki* (wyd. 2)

Timothy Egan *Brudne lata trzydzieste. Opowieść o wielkich burzach pyłowych*

Charlie LeDuff *Shitshow! Ameryka się sypie, a oglądalność szybuje* (wyd. 2)

Robert Kolker *W ciemnej dolinie. Rodzinna tragedia i tajemnica schizofrenii*

Alex Kotlowitz *Amerykańskie lato. Depesze z ulic Chicago* (wyd. 2)

Charlie LeDuff *Praca i inne grzechy. Prawdziwe życie nowojorczyków*

Piotr Jagielski *Święta tradycja, własny głos. Opowieści o amerykańskim jazzie*

Jan Błaszczak *The Dom. Nowojorska bohema na polskim Lower East Side* (wyd. 2)

Woody Guthrie *To jest wasz kraj, to jest mój kraj*

Lawrence Wright *Wyniosłe wieże. Al-Kaida i atak na Amerykę* (wyd. 2 zmienione)

Sara Marcus *Do przodu, dziewczyny! Prawdziwa historia rewolucji Riot Grrrl*

Nick Bilton *Król darknetu. Polowanie na genialnego cyberprzestępcę* (wyd. 2)

Nicholas Griffin *Miami 1980. Rok niebezpiecznych dni*

NICHOLAS D. KRISTOF I SHERYL WuDUNN

BIEDNI W BOGATYM KRAJU

Przebudzenie z amerykańskiego snu

Przełożyła Anna Gralak



Wołowiec 2022



Tytuł oryginału angielskiego *Tightrope. Americans Reaching for Hope*

Projekt okładki Agnieszka Pasierska

Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś

Fotografia na okładce © by Lynsey Addario

This translation published by arrangement with Alfred A. Knopf, an imprint of The Knopf Doubleday Group, a division of Penguin Random House LLC

Opieka redakcyjna Tomasz Zając

Redakcja Anna Mirkowska

Korekta Anna Bogacz / d2d.pl, Gabriela Niemiec / d2d.pl

Skład Robert Oleś

Konwersja i produkcja e-booka: d2d.pl

ISBN 978-83-8191-516-8

Spis treści

Ladisowi i Jane oraz Davidowi i Alice, którzy nas wychowali.

Darrellowi, Sirenie i Sondrze, którzy nas ukształtowali.

Gregory'emu, Geoffreyowi i Caroline, którzy nas wyczerpali i wzbogacili.

A także wszystkim tym, którzy przechodzą piekło i szczerze z nami rozmawiali o swoich zmaganiach, by społeczeństwo mogło zrozumieć i wesprzeć mądrzejszą politykę

Zawsze idź pewnym krokiem,
Stąpaj ostrożnie i z taktem,
Życie jest bowiem wielkim
Ekwilibrystycznym aktem.

Dr. Seuss, *Oh, the Places You’ll Go!*

1

Dzieci ze szkolnego autobusu numer sześć

Czy ten kraj stworzono dla ciebie i dla mnie?

Woody Guthrie

Dee Knapp już spała, gdy jej mąż Gary wtoczył się pijany do ich białego drewnianego domu. Przeczuwając kłopoty, zerwała się z łóżka i pobiegła do kuchni. Gary, muskularny i krępy, o krótkich czarnych włosach i pociągłej twarzy, był na trzeźwo porządnym człowiekiem, lecz pod wpływem alkoholu zamieniał się w brutala.

– Dawaj kolację! – krzyknął, wchodząc chwiejnym krokiem do kuchni.

Dee pobiegła włączyć kuchenkę elektryczną i wrzucić resztki jedzenia na patelnię. Była jednak niewystarczająco szybka, więc wymierzył jej pierwszy cios pięścią. Gibka trzydziestokilkuletnia kobieta z włosami do ramion i odciskami na dłoniach uświadomiła sobie, że to jedna z tych chwil, w których czeka ją los worka treningowego. Była oddana pięciorgu swoim dzieciom i nie znosiła, gdy Gary bił ją w ich obecności, ponieważ zaczynały go przez to nienawidzić.

– Chcę kolację! – ryknął Gary. – Dawaj kolację! – Złapał naładowaną strzelbę kaliber dwadzieścia dwa i wymierzył do żony. Minęła go, dopadła do drzwi i wybiegła z domu.

Krzyki Gary’ego obudziły dzieci na piętrze.

– Mamo – syknął przez okno Farlan, najstarszy z rodzeństwa, gdy Dee okrążała biegiem budynek. Podniosła głowę, a on rzucił jej śpiwór.

Złapała go i uciekła w głąb spowitego mrokiem, niespełna półtorahektarowego gospodarstwa, szukając miejsca, w którym mogłaby przeczekać schowana w wysokiej trawie, dopóki Gary nie zaśnie i nie minie mu złość.

– Cholerna baba – zaklął.

Ściskając strzelbę, wyszedł chwiejnie na zewnątrz i wzrokiem szaleńca spojrzał w ciemność. Nieopodal stał biały drewniany kościół zielonoświątkowców, jeden z dwóch kościołów w maleńkiej wiosce Cove Orchard w stanie Oregon. Za nim biegła autostrada numer czterdzieści siedem, prowadząca do miasteczka Yamhill, oddalonego o pięć kilometrów na południe. Dee schroniła się w ciemności gdzieś między tym kościołem a ogrodzeniem sąsiadów. Gary uniósł strzelbę na wysokość ramienia i oddał serię strzałów w kierunku pola, na którym jego żona kuliła się ze strachu. Dee zesztywniała, przywierając do ziemi.

Dzieci słuchały przerażone. Bezradny i wściekły Farlan zacisnął pięści i przysiągł sobie, że pewnego dnia zabije ojca. Na oddalonym o dwadzieścia pięć metrów pustym polu Dee wstrzymywała oddech, gdy kule pruły ziemię obok niej. Przydarzało jej się to nie po raz pierwszy i wiedziała, że mąż wkrótce znudzi się strzelaniem w ciemność.

W końcu Gary wtoczył się z powrotem do domu, po czym kazał nadąsanemu Farlanowi zejść na dół i przygotować kolację. Dee słyszała to wszystko ze swojej kryjówki, ponieważ Gary nie umiał mówić cicho. Czuła, jak bicie jej serca powoli się uspokaja. Rozłożyła śpiwór i wślizgnęła się do niego, słysząc przekleństwa męża. Miała nadzieję, że Gary nie zbije Farlana, oraz modliła się, by pozostałe dzieci siedziały cicho na górze.

Nie była to pierwsza w jej życiu burzliwa noc pełna agresji, lecz o dziwo Dee mówi, że tego dnia w 1973 roku wciąż pokrzepiała ją nadzieja. Mimo strachu i przemocy wierzyła, że pod pewnymi względami życie naprawdę zmienia się na lepsze – zwłaszcza dla jej dzieci. Podobnie jak jej mąż, Dee

wychowała się w ciasnym domu bez prądu i kanalizacji. Jako najmłodsza z dziesięciorga rodzeństwa dorastała w biedzie po śmierci ojca, budowlańca, który zmarł, gdy miała dziewięć lat. Przestała chodzić do szkoły w piątej klasie, Gary zaś nie zdobył właściwie żadnego wykształcenia i nawet napisanie własnego nazwiska sprawiało mu kłopot. Zaczęli życie małżeńskie jako migrujący robotnicy rolni zwani owocowymi tułaczami: pracowali przy zbiorach, jeżdżąc po Kalifornii i Oregonie, gdzie płacono im w zależności od tego, ile zebrali truskawek albo fasoli. Mieszkali w szopach bez prądu i bieżącej wody. W 1960 roku tylko jedno na pięćset dzieci migrujących robotników kończyło szkołę podstawową[1]. Dee chciała lepszego losu dla swoich synów i córki, więc oznajmiła mężowi, że gdy ich maluchy osiągną wiek szkolny, osiedlą się gdzieś na stałe.



Rodzina Knappów na tle choinki w Cove Orchard w stanie Oregon około 1968 roku. Dee Knapp stoi z tyłu, od lewej: Nathan, Rogena, Farlan, Keylan i Zealan. Przyszłość rodziny rysowała się w jasnych barwach

Fot. dzięki uprzejmości Dee Knapp

Tak znaleźli się w liczącym pięćdziesięcioro mieszkańców Cove Orchard w północno-zachodnim Oregonie, gdzie łąki doliny Willamette spotykają się z lasami Gór Nadbrzeżnych, a pola trawy uprawianej na nasiona, złotej pszenicy i choinek,

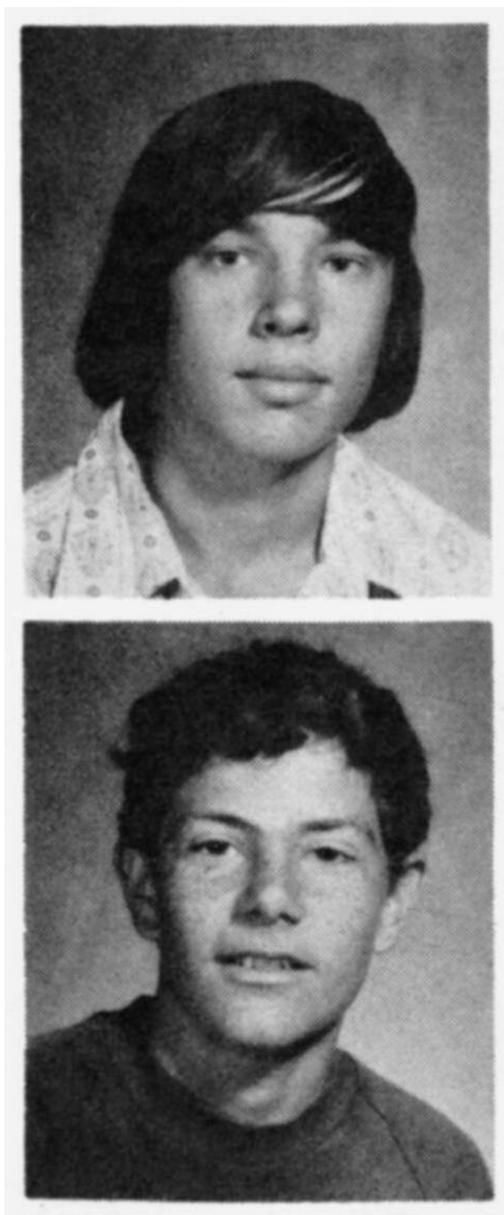
sady obfitujące w jabłka, wiśnie i orzechy ciągną się aż po horyzont. Gary zdobył stałą pracę. W pewnym momencie trafiła mu się dobra posada połączona z członkostwem w związku zawodowym, polegająca na kładzeniu rur, przeważnie linii kanalizacyjnych. Zapewniała porządny dochód, nawet jeśli znaczną jego część przepuszczał w barach w Yamhill i pobliskim Gaston. Dee także znalazła stałe zatrudnienie – jeździła traktorami na plantacji leszczyny niedaleko Yamhill. Nie było jej stać na opiekunkę do dzieci, więc najmłodsze z nich, małego Keylana, zabierała ze sobą i w czasie pracy trzymała na kolanach.

W 1963 roku Knappom udało się kupić gospodarstwo za dwa i pół tysiąca dolarów. Pierwszy raz w życiu mieszkali we własnym domu i mogli korzystać z energii elektrycznej. Początkowo nie było bieżącej wody, lecz Dee umiała się obchodzić z narzędziami, więc kupiła przecinak do rur i pociągnęła instalację do łazienki oraz do zlewu w kuchni. Razem z mężem dorywczo naprawiali samochody: Gary zajmował się silnikami, a Dee tapicerką.

Mieli własny dom! Z wędrownych robotników rolnych, jednego z najniższych szczebli amerykańskiej drabiny gospodarczej, wspięli się ku solidnej, wspieranej przez związki zawodowe klasie robotniczej, po czym zaczęli się przedzierać ku klasie średniej. Farlan już na początku okresu dojrzewania przerósł ojca, być może dzięki lepszemu odżywianiu – w domu Knappów nie brakowało bowiem jedzenia. Dee robiła przetwory z fasoli, pomidorów, brzoskwiń, śliwek i innych owoców; przygotowywała własnoręcznie galaretki owocowe, a szafki w kuchni były pełne. Wszystkie dzieci – Farlan, Zealan, Nathan, Rogena i Keylan – daleko prześcignęły rodziców pod względem wykształcenia. Zanosiło się na to, że cała piątka skończy liceum, a niektórzy pójdą nawet do college'u.

Farlan miał zręczne dłonie i bystry umysł, był urodzonym inżynierem. Być może zamiast kłaść rury, projektowałby rurociągi. Dee pokładała w dzieciach wszystkie swoje

nadzieje. Owszem, od czasu do czasu biła je kijem, ale wiedziały, jak bardzo je kocha. Pilnowała, by chodziły do szkoły, oraz przyjmowała ciosy Gary'ego, żeby chronić dzieci przed jego pijackimi napadami furii. Była pewna, że będą miały możliwości, o jakich ona i mąż mogli tylko pomarzyć.



Farlan Knapp i Nicholas Kristof (poniżej) jako pierwszoklasiści w szkolnej kronice Liceum Yamhill i Carlton. Farlan pierwszy w rodzinie poszedł do szkoły średniej

Fot. dzięki uprzejmości Liceum Yamhill i Carlton

Gdy leżała w ciemności na polu i na jej policzku wykwitał siniak po uderzeniu Gary'ego, uparcie pocieszała się wiarą w przyszłość, przekonaniem, że Ameryka to kraina możliwości, a także pewnością, że nawet pijaństwo Gary'ego

nie zdoła sprawić, by szkolny autobus numer sześć przestał zawozić co rano jej dzieci do Liceum Yamhill i Carlton, gdzie uczyły się algebry, biologii i prawidłowego użycia przyimków oraz innych rzeczy, z którymi nikt w jej rodzinie nie miał dotąd styczności. Jej przodkowie od dziesięciu pokoleń trudnili się uprawą ziemi, a teraz wreszcie, w jej pokoleniu, nastąpił oszałamiający postęp. Dzieci żyły swoją wersją amerykańskiego snu i dziedziczyły róg obfitości. Elektryczność. Traktory i samochody. Wykształcenie. Telewizję. Opiekę medyczną. Opiekę społeczną. Tampony. Johna Denvera[2] i Johnny’ego Carsona[3]. Szczepionki. Gorące prysznice. Ciasteczka Twinkies. Boomboxy. Gdy Dee leżała w śpiworze, ta pewność ją pokrzepiała: mimo pijaństwa Gary’ego żyło im się lepiej, a jej dzieci miały dostać w spadku ziemię. Życie w Yamhill w latach siedemdziesiątych zdawało się powtarzać jak echo wesoły refren z musicalu *Oklahoma!*, gdzie Curly śpiewał radośnie: „Wszystko idzie po mojej myśli”.

Niestety, nadzieje Dee się nie spełniły. Rodzina Knappów, podobnie jak bardzo wiele rodzin z klasy robotniczej, pogrążyła się w niewyobrażalnej nędzy.

Gary i Dee byli sąsiadami Nicka, dorastającego niedaleko Yamhill, a pięcioro młodych Knappów jeździło z nim codziennie szkolnym autobusem numer sześć: najpierw do podstawówki w miasteczku, a potem do tamtejszego liceum. Gdy Gary strzelał w stronę pola, gdzie jego żona kuliła się ze strachu, na oddalonej o kilometr farmie Nicka słychać było echo wystrzałów. Farlan, najstarszy z rodzeństwa, chodził z nim do klasy.

Optymizm Knappów w tym okresie podzielały miliony ludzi w kraju. My wspominamy tamte dni bez ckliwego sentymentalizmu: piszemy o przemocy stosowanej przez Gary’ego, by wyleczyć innych z fałszywie pojętej tęsknoty za przeszłością. Życie jednak rzeczywiście uległo wtedy zasadniczej poprawie, a większość oczekiwała, że lepsze

wykształcenie i wyższy poziom opieki społecznej zapewnią młodym ludziom takim jak dzieci Knappów, i zresztą niemal wszystkim innym, znacznie lepsze życie. Pasażerowie szkolnego autobusu pędzącego codziennie rano w stronę Yamhill byli przekonani, że ich świat okaże się lepszy niż ten, w którym żyli ich rodzice.

Zmierzali jednak ku katastrofie, ponieważ w całej Ameryce postępował społeczny rozkład klasy robotniczej wywołany bezrobociem, rozpadem rodzin i rozpaczą. Mniej więcej jedna czwarta dzieci ze szkolnego autobusu Nicka zmarła później wskutek zażywania narkotyków, samobójstw, alkoholizmu, otyłości czy lekkomyślności. Mike przegrał walkę z narkotykami i odebrał sobie życie. Steve'a zgubiła brawura – zginął w wypadku motocyklowym. Do śmierci Cindy doprowadziły depresja, otyłość i wreszcie zawał. Dla Jeffa szaleńcza jazda samochodem skończyła się tragicznie. Tim uległ śmiertelnemu wypadkowi na budowie. Billy'ego wykończyły powikłania cukrzycowe, gdy odsiadywał wyrok. Kevin zmarł na skutek otyłości. Co do śmierci Sue, istnieją różne wersje zdarzeń. Chris odszedł po dziesięcioleciach spędzonych w alkoholizmie i bezdomności. Inni żyją, lecz zmagają się z pracą bez perspektyw albo walczą z narkotykami i alkoholem. Z dwóch chłopaków, z którymi Nick codziennie chodził na przystanek autobusowy, Mike jest bezdomnym alkoholikiem mieszkającym w parku, a Bobby odsiaduje wyrok dożywocia za przestępstwa tak wstrząsające, że odcięła się od niego nawet rodzina.

Amerykańska gospodarka olśniła świat, a na jej giełdach zrodziły się wielkie fortuny, lecz mediana dochodów netto w amerykańskich gospodarstwach domowych jest dziś niższa niż w 2000 roku[1]. Według Biura Statystyki Pracy (BLS) mediana zarobków większości populacji bez dyplomu college'u jest dzisiaj znacząco niższa niż w 1979 roku[2]. Instytut Gallupa od dziesięcioleci pyta Amerykanów raz w miesiącu, czy są zadowoleni z sytuacji w Stanach Zjednoczonych, i przez ostatnich piętnaście lat większość

z nich niezmiennie odpowiadała przecząco. W 2019 roku Gallup doniósł, że mimo stałego wzrostu gospodarczego „wyższy poziom stresu, złości i niepokoju doprowadził do wzrostu ogólnego wskaźnika negatywnych doświadczeń Amerykanów do trzydziestu pięciu procent – a to o trzy punkty procentowe więcej niż kiedykolwiek wcześniej”. Instytut skonkludował: „Poziom negatywnych emocji w ostatnich kilku latach jest nawet wyższy niż w czasach recesji”[3]. Stwierdził też, że Amerykanie należą do najbardziej zestresowanych populacji na świecie, plasując się na równi z Irańczykami i prześcigając pod tym względem na przykład Wenezuelczyków.

Długość życia w większości krajów wysoko rozwiniętych wciąż rośnie, lecz w Stanach Zjednoczonych spada od trzech lat z rzędu – pierwszy raz od wieku. Jak się niebawem przekonamy, amerykańskim dzieciom grozi dziś o pięćdziesiąt pięć procent wyższe prawdopodobieństwo zgonu przed dziewiętnastym rokiem życia niż dzieciom w innych zamożnych krajach należących do OECD, organizacji państw wysoko rozwiniętych. Ameryka pozostaje dziś w tyle za zrzeszonymi tam krajami pod względem opieki medycznej i liczby osób kończących szkołę średnią, zmaga się ponadto z większą przemocą, ubóstwem i uzależnieniami. Ta dysfunkcjonalność niszczy wszystkich Amerykanów: osłabia ich konkurencyjność – zwłaszcza że rozwijające się gospodarki takich krajów jak Chiny dysponują znacznie większymi populacjami i coraz wyższym poziomem wykształcenia – oraz może negatywnie wpłynąć na dobrobyt amerykańskiego społeczeństwa na następne dziesięciolecia. Przegranymi nie są jedynie ci, którzy znajdują się najniżej w hierarchii społecznej, lecz wszyscy. Aby Ameryka była silna, musimy zatem wzmocnić wszystkich Amerykanów.

W tej książce zamierzamy przeanalizować ten rozpad. Chcieliśmy lepiej zrozumieć, co się stało z kolegami i koleżankami Nicka ze szkolnego autobusu. Stawiamy pytanie, dlaczego dziesiątki milionów osób cierpią z powodu

trudnej do zniesienia utraty pracy, godności, życia, nadziei i dzieci – oraz zastanawiamy się, jak możemy przezwyciężyć te problemy. Knappowie oraz wielu uczniów ze szkolnego autobusu numer sześć – a także miliony Amerykanów w całym kraju – dokonali fatalnych, autodestrukcyjnych wyborów, wynikających z zażywania narkotyków albo porzucenia szkoły. Miały one jednak ścisły związek z fatalnymi wyborami rządzących. Pasażerowie tego autobusu, którzy borykali się z problemami, nie byli w niczym gorsi ani słabiej przygotowani od swoich rodziców – przeciwnie, większość z nich zdobyła lepsze wykształcenie – nie mieli też słabszego charakteru niż ich rówieśnicy za granicą. Amerykańscy uczniowie porzucają szkołę średnią częściej niż młodzież w innych krajach nie dlatego, że są mniej inteligentni. Choć nie umniejszamy roli osobistej odpowiedzialności za porażki, chcemy równie wnikliwie przeanalizować porażki rządu, instytucji i społeczeństwa oraz poszukać rozwiązań.

Prowadząc badania i spisując relacje do tej książki, przekonaliśmy się, że w przypadku zamożnych, wykształconych amerykańskich rodzin podróż przez życie przypomina spacer szeroką, równą ścieżką, która wybacza błędy. Życie ludzi z niższych warstw społecznych coraz bardziej kojarzy się jednak z chodzeniem po linie. Niektórym udaje się dotrzeć do końca, lecz bardzo wielu innych traci równowagę i spada. Co więcej, upadek z liny często niszczy nie tylko jednostkę, lecz także całą jej rodzinę, w tym dzieci, a za ich pośrednictwem wnuki. Ameryka jest pełna ofiar, które może zauważyć każdy, kto zechce się temu przyjrzeć.

Około sześćdziesięciu ośmiu tysięcy Amerykanów umiera dziś rocznie wskutek przedawkowania narkotyków[4], kolejne osiemdziesiąt osiem tysięcy z powodu nadużywania alkoholu[5], a czterdzieści siedem tysięcy popełnia samobójstwo[6]. Co dwa tygodnie umiera w ten sposób więcej Amerykanów niż w ciągu osiemnastu lat wojen w Afganistanie i Iraku. Mimo to duża część zamożnej Ameryki zbywa to wzruszeniem ramion,

a elity nie zwracają większej uwagi na rozpad społeczny w całym kraju – lub co gorsza, winią za niego ofiary. W rzeczywistości znaczną częścią winy można obarczyć kogoś innego: politycy, dziennikarze, przywódcy religijni i osoby na stanowiskach kierowniczych zbyt często dopuszczali się zaniedbań, gdy społeczności ulegały rozpadowi, a dziesiątki milionów ludzi cierpiały. Stany Zjednoczone wciąż nie mają spójnego planu, by zmierzyć się z tymi wyzwaniami.

Podróż w poszukiwaniu przyczyn tych zmian zaprowadziła nas do wszystkich pięćdziesięciu stanów, toteż opowiadamy tu historie z Alabamy, Arkansas, Kalifornii, Florydy, Marylandu, Nowego Jorku, Oklahomy, Tennessee, Teksasu, Wirginii, Waszyngtonu i innych miejsc. Wiele z tych opowieści pochodzi jednak z Yamhill, ponieważ to miasteczko jest bliskie naszym sercom i odzwierciedla wyzwania stojące przed amerykańską klasą robotniczą. Piszemy o nim także dlatego, że jego mieszkańcy całkowicie się przed nami otworzyli. Nick od dziecka ma tam przyjaciół, a Sheryl odwiedza Yamhill, odkąd się zaręczyli, i początkowo wywoływała rozbawienie, zamykając samochód na klucz. Nasze dzieci wychowywały się między innymi na rodzinnej farmie Kristofów, a więzi łączące nas z hrabstwem Yamhill sprawiają, że z wielką empatią podchodzimy do trudności, z jakimi się ono boryka. Konsekwencje znikania miejsc pracy w tartakach Oregonu i kopalniach Kentucky nie różnią się zbytnio od konsekwencji likwidowania etatów w fabrykach Karoliny Północnej, Maine czy Michigan. Podczas rozmowy z naszym przyjacielem Wesem Moore’em, Afroamerykaninem, który dorastał w ubóstwie w Baltimore i Nowym Jorku, uderzyło nas to, jak wiele jest podobieństw między rolniczym miasteczkiem zamieszkanym przez białych w Oregonie a dzielnicą czarnych w Baltimore: tym, co łączy te środowiska, jest głęboki ból.

Pisanie tej książki odcisnęło na nas piętno. Byliśmy świadomi, że stare przyjaźnie uniemożliwią nam zachowanie

dystansu zawodowego, a tym samym – pozbawią nas warstwy ochronnej. We wcześniejszych publikacjach próbowaliśmy rzucać światło na naglące i zaniedbywane tematy, takie jak ucisk kobiet na całym świecie. Teraz staramy się naświetlić równie naglące i zaniedbywane kryzysy na własnym podwórku. Część z tych historii pochodzi z życia serdecznych przyjaciół, w których Nick się kiedyś podkochiwał, którym przesyłał liściki na lekcjach, z którymi tańczył albo rywalizował na bieżni w liceum. Relacjonowaliśmy razem masakry, ludobójstwo, handel ludźmi związany ze stręczycielstwem oraz inne tragedie na całym świecie, lecz zmagania opisywane w tym miejscu leżą nam szczególnie na sercu, ponieważ sercem jesteśmy z Yamhill i z Ameryką.

Rodzeństwo Knappów wyruszyło w dantejską podróż przez narkotyki, alkohol, przestępczość i dysfunkcje rodzinne. Farlan, utalentowany snycerz i wytwórca mebli, zmarł wskutek niewydolności wątroby będącej konsekwencją picia alkoholu i zażywania narkotyków. Zealan spłonął w pożarze domu, pijany do nieprzytomności. Rogena cierpiała na chorobę psychiczną i zmarła na zapalenie wątroby spowodowane narkotykami. Nathan spłonął, gdy wybuchła produkowana przez niego metamfetamina. Czworo rodzeństwa, niegdyś szczęśliwych dzieci podskakujących na siedzeniach szkolnego autobusu numer sześć – wszyscy martwi.

Keylan, wyjątkowo bystry i utalentowany, uznawany w podstawówce w Yamhill za geniusza matematycznego, ocalał jako jedyny, po części dlatego, że trzynaście lat w więzieniu stanowym uchroniło go przed nałogiem. Dzielnie zmaga się z wirusem HIV, zapaleniem wątroby i taką liczbą przebytych złamań, że nie potrafi ich wszystkich spamiętać. Mówi, że znacznie rzadziej zażywa teraz narkotyki.

Dziś Keylan mieszka w Oklahomie razem z matką. Dee przeżyła Gary’ego i mimo siedemdziesięciu dziewięciu lat zachowała bystry umysł oraz sprawność fizyczną. Żyje

z zasiłku, nie tyka alkoholu ani narkotyków i codziennie odwiedza na cmentarzu czworo swoich dzieci. Na zdjęciach rodzinnych pokazywała je nam w lepszych czasach. Z zawieszonej nad drzwiami drewnianej tabliczki dosłownie wyskakiwało słowo RODZINA.

– Nasza rodzina jest przeklęta – powiedział nam Keylan. – Coś poszło nie tak z naszym pokoleniem i dlatego zaczęło się nadużywanie alkoholu. Nadużywanie narkotyków. Więzienie. – Rozpłakał się.

Bardzo wielu Amerykanów zboczyło z kursu i weszło „w las ciemny”[7], jak to ujął Dante, opisując swoją podróż po piekle, gdzie zgłębiał zepsucie i hipokryzję średniowiecznej Florencji, wówczas jednego z najwspanialszych miast na świecie. Dee doskonale wie, że Ameryka nie była kalejdoskopem szczęśliwych rodzin jak z serialu *Leave It to Beaver*, podających sobie sos pieczeniowy podczas kolacji. Jeszcze trudniej mieli Afroamerykanie, Latynosi, rdzenni Amerykanie i inni, dla których zabrakło nawet miejsca przy stole. A jednak w tamtych czasach marzenie o postępie było szczere i w trudnych chwilach pokrzepiało takich ludzi jak Dee. Dla większości klasy robotniczej Ameryki, bez względu na kolor skóry, to marzenie już umarło. Umarło razem z tymi wszystkimi dziećmi ze szkolnego autobusu numer sześć. Umarło razem z Farlanem, Zealanem, Rogeną i Nathanem Knappami. Ich osobista nieodpowiedzialność z pewnością ma pewien udział w tej drastycznej zmianie, lecz równie ważna powinna być odpowiedzialność zbiorowa, zwłaszcza za dzieci, które zmagają się teraz z podobnymi problemami. Jako obywatele ponieśliśmy w tej dziedzinie klęskę, podobnie jak nasi rządzący, i musimy to naprawić. Pół wieku temu Stany Zjednoczone zboczyły w ślepą uliczkę. Ta historyczna zmiana spowodowała, że życie zarówno Knappów, jak i bardzo wielu innych ludzi zmieniło się w piekło. Przeprowadzimy was przez nie, lecz także pokażemy, co można zrobić, by żyło się lepiej.

2

Jesteśmy na trzydziestym miejscu!

Cywilizacje umierają wskutek samobójstwa, nie morderstwa.

Arnold Toynbee, brytyjski historyk

My, Amerykanie, jesteśmy plemieniem patriotów i mamy skłonność do egzaltacji, gdy mowa o naszej krainie dostatku i możliwości. „Nigdy nie byliśmy narodem tych, którzy mają, i tych, którzy nie mają – oznajmił kiedyś senator Marco Rubio. – Jesteśmy narodem tych, którzy mają, i tych, którzy wkrótce będą mieli; narodem ludzi, którym się udało, i ludzi, którym się uda”. Stwierdzamy z dumą: „Jesteśmy na pierwszym miejscu!”, i w kategoriach ogólnej siły gospodarczej oraz militarnej jest to prawda. Pod innymi względami nasza pewność siebie okazuje się jednak złudna.

Oto brutalna prawda.

Według wskaźnika postępu społecznego opartego na badaniu przeprowadzonym przez trzech laureatów Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii i obejmującego sto czterdzieści sześć krajów, dla których istnieją rzetelne dane, Stany Zjednoczone plasują się na czterdziestym pierwszym miejscu pod względem śmiertelności dzieci[1]. Jesteśmy na czterdziestym szóstym miejscu pod względem dostępu do internetu, na czterdziestym czwartym pod względem dostępu do czystej wody pitnej, na pięćdziesiątym siódmym pod względem bezpieczeństwa osobistego i na trzydziestym pod względem zapisów do szkół średnich. Stwierdzenie „Jesteśmy na trzydziestym miejscu!” nie brzmi już tak dumnie. Ogólnie rzecz biorąc, zgodnie ze wskaźnikiem postępu społecznego Stany Zjednoczone znajdują się na dwudziestym szóstym miejscu pod względem dobrostanu obywateli, w tyle za wszystkimi pozostałymi członkami G7, a także za znacznie

uboższymi krajami, takimi jak Portugalia i Słowenia. Co więcej, Ameryka należy do zaledwie garstki krajów, których wynik się pogorszył. „Choć wydajemy na opiekę zdrowotną więcej niż jakikolwiek inny kraj na świecie, wyniki Stanów Zjednoczonych w dziedzinie ochrony zdrowia są porównywalne z wynikami Ekwadoru, a amerykański system szkolnictwa daje wyniki zbliżone do tego w Uzbekistanie”[2] – podsumowano we wskaźniku postępu społecznego w 2018 roku.

„Nasz kraj zawodzi w wielu sprawach, które uważamy za najbliższe swojemu sercu – zauważył Michael E. Porter, profesor Harwardzkiej Szkoły Biznesu oraz ekspert w dziedzinie konkurencyjności międzynarodowej, który zaprojektował wskaźnik postępu społecznego. – I sytuacja się pogarsza”. Demokraci obwiniają prezydenta Trumpa, a republikanie prezydenta Obamę, lecz regres w naszym kraju trwa niezależnie od tego, kto akurat sprawuje władzę. Profesor Porter zauważa, że „rozłam w naszym społeczeństwie nie jest uwarunkowany słabością konkretnego przywódcy, lecz niezdolnością instytucji do zapewnienia przeciętnemu obywatelowi znaczącego awansu społecznego”[3].

W kategoriach ludzkich „rozłam w społeczeństwie” oznacza dysfunkcjonalność, jakiej statystyki zwyczajnie nie potrafią w pełni ukazać. To rozpad, który rozbija rodziny i rozdziera tkankę społeczną. Kościoły, kluby towarzyskie i inne organizacje obywatelskie nie zapewniają takiej spójności społecznej ani pomocy jak dawniej. Rząd nie przejawia woli, by wkroczyć i wypełnić tę lukę, więc wiele dzieci cierpi niepotrzebnie, a dysfunkcje przekazuje się następnemu pokoleniu.

Molly jest naszą przyjaciółką i mieszka przy trasie autobusu numer sześć. Skończyła edukację w ósmej klasie i urodziła córkę, mając zaledwie piętnaście lat. Wtedy nie wyjawiła nikomu, kto jest ojcem dziecka, więc mówiono, że jest „puszczalska” i „bezmyślna”. Wiele lat później wyznała,

że jej córka, nazwijmy ją Laurie, urodziła się w wyniku gwałtu dokonanego przez ojca Molly. Jedną z pierwszych osób, którym Molly wyjawiła swój sekret, była jej matka.

„Twój tata zgwałcił też mnie. Tak pojawiłaś się na tym świecie” – usłyszała od niej. Coś takiego byłoby olbrzymim brzemieniem dla każdej rodziny. Laurie, która dorastała, wiedząc, że urodziła się w wyniku kazirodczego gwałtu, uczyła się w domu przez całą podstawówkę, a potem przez kilka miesięcy chodziła do dziewiątej klasy, lecz nie dawała sobie rady i ostatecznie zrezygnowała. Dorosła Laurie jest bystra, gra na pianinie i święci triumfy na polu golfowym, ale ma pięcioro małych dzieci z czterema różnymi mężczyznami. Łączyła nas bliska przyjaźń z dziadkiem ze strony ojca dwóch jej córek, więc spytaliśmy Molly o dziewczynki.



Molly z synem mieszka tutaj, obok trasy szkolnego autobusu numer sześć niedaleko Yamhill

Fot. Lynsey Addario

„To po prostu za dużo dzieci jak na jedną osobę” – odpowiedziała zmartwiona. Najstarszy syn Laurie został dwukrotnie wydalony z przedszkola: raz za zakłócanie spokoju, a drugi raz za to, że ukradł iPada należącego do przedszkolanki. To przygnębia Laurie, która obecnie uczy

w domu pięcioro dzieci, mimo że sama ma za sobą zaledwie kilka miesięcy formalnego kształcenia. Laurie nie chciała z nami o tym rozmawiać, ale Eric Pleger, nasz wspólny przyjaciel, regularnie widuje jej dzieci, więc spytaliśmy go o tamte dwie córeczki. Pokręcił głową. „To zabrzmi okropnie, bo przecież chodzi o małe dziewczynki – odrzekł posępnie – ale suną prostą drogą do pudła".

Część historii, które opowiadamy w tej książce, wywołuje dyskomfort. Dzielimy się nimi jednak, ponieważ Amerykanie muszą sobie uświadomić nowe realia, a ponury obraz sytuacji mogą złagodzić nasze propozycje dotyczące zarówno mądrzejszej polityki, jak i indywidualnych działań filantropijnych. Serce się kraje, gdy człowiek próbuje pisać kronikę cierpienia w miejscu, które kocha. Szczególnie trudno było nam patrzeć, jak dysfunkcje w życiu starych przyjaciół powielają się w życiu ich dzieci i wnuków. Tak jednak wygląda historia znacznej części amerykańskiej klasy robotniczej. Owszem, wzrost gospodarczy pociąga za sobą zmiany, a „twórcza destrukcja" jest równie potrzebna, jak nieunikniona. Nie musi ona jednak oznaczać niszczenia rodzin na wiele pokoleń.

Przede wszystkim Ameryka niewystarczająco inwestuje w dzieci, wskutek czego ich potencjał bardzo często pozostaje niewykorzystany. Siedemdziesiąt sześć procent dorosłych przewiduje, że ich dzieciom będzie się żyło gorzej niż im samym[4]. The World Bank Human Capital Project szacuje, że z powodu nierówności społecznych lub mankamentów naszego systemu edukacji i ochrony zdrowia amerykańskie dziecko realizuje swoje możliwości w zaledwie siedemdziesięciu sześciu procentach. Daje to Stanom Zjednoczonym dwudzieste czwarte miejsce wśród stu pięćdziesięciu siedmiu krajów, zgodne z ich wskaźnikiem postępu społecznego. Wiele innych krajów, nawet znacznie uboższych, radzi sobie lepiej.

Wyniki osiągane w standaryzowanych testach z matematyki są dobrym prognostykiem przyszłych zarobków. Wydaje się niepokojące, że amerykańscy piętnastolatkowie w międzynarodowym teście z matematyki PISA koordynowanym przez OECD wypadają poniżej średniej dla państw wysoko rozwiniętych. Prawie jedna trzecia testowanych nie przekracza poziomu uważanego za niezbędny warunek poradzenia sobie we współczesnym świecie. Testy PISA pokazały, że jedyną dziedziną, w której amerykańscy uczniowie naprawdę górują nad innymi, jest pewność siebie. Częściej niż młodzież z innych krajów są przekonani, że doskonale opanowali materiał, nawet jeśli w rzeczywistości radzą sobie z nim gorzej.

Niewykształcone dzieci wyrastają na dorosłych z problemami i częściej umierają w młodym wieku, między innymi z powodu rozpaczy i lęku. Wiele z nich boi się przyszłości albo wątpi, że odnajdzie się w dzisiejszym społeczeństwie i gospodarce. Liczba samobójstw jest na najwyższym poziomie od II wojny światowej, a miesięcznie w Stanach Zjednoczonych więcej osób umiera z powodu opioidów i innych narkotyków niż od broni palnej czy w wypadkach samochodowych[5]. Co siedem minut kolejny Amerykanin umiera z powodu przedawkowania, a jedno na ośmioro amerykańskich dzieci mieszka z rodzicem cierpiącym na zaburzenia spowodowane używaniem substancji psychoaktywnych[6]. Doktor Daniel Ciccarone z Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Francisco, specjalizujący się w medycynie rodzinnej i lokalnej służbie zdrowia, zauważa, że nadużywanie narkotyków na taką skalę, jaką obecnie obserwujemy, jest objawem głębszej choroby. „Jeśli nie zajmiemy się źródłem cierpienia Amerykanów, to nawet gdybyśmy skonfiskowali wszystkie pigułki opioidowe, cierpienie to będzie się przejawiało pod postacią innego problemu dotyczącego społeczeństwa i zdrowia publicznego – powiedział nam. – Jeśli chcemy naprawdę zakończyć kryzys

opioidowy, musimy zrozumieć podstawowe przyczyny cierpienia i bólu w Ameryce”.

Anne Case i Angus Deaton, ekonomiści z Uniwersytetu w Princeton, nazywają te przypadki zgonów spowodowanych narkotykami, alkoholem i samobójstwami „śmiercią z rozpaczy”. To w zasadzie dobre określenie tego, co spotkało wielu pasażerów autobusu numer sześć. Rozpacz bierze się między innymi z frustracji wywołanej utratą statusu społecznego, dobrej pracy i nadziei na przyszłość dzieci. Uważa się, że nierówności są obecnie większe niż w złotej epoce XIX wieku, a zaledwie trzech Amerykanów – Jeff Bezos, Bill Gates i Warren Buffett – posiada majątek równy majątkowi całej uboższej połowy populacji[7]. Senator Mark Warner, umiarkowany demokrata z Wirginii, który przed zaangażowaniem się w politykę odnosił sukcesy, inwestując na rynku telekomunikacyjnym, i pracował na kierowniczym stanowisku, ujął to bez ogródek: „Moim zdaniem współczesny amerykański kapitalizm nie działa”[4]. Ray Dalio, miliarder i założyciel Bridgewater, największego na świecie funduszu hedgingowego, zgadza się z tą opinią, mówiąc: „Jestem kapitalistą, a nawet ja uważam, że kapitalizm się zepsuł”[8]. Dodaje: „Problem polega na tym, że kapitaliści zazwyczaj nie wiedzą, jak dobrze podzielić ciasto, a socjaliści zazwyczaj nie wiedzą, jak sprawić, żeby to ciasto wyrosło”[9].

To sceptyczne podejście do kapitalizmu podzielają zwłaszcza młodzi Amerykanie. Niedawno, bo w 2010 roku, ponad dwie trzecie osób w wieku od osiemnastu do dwudziestu dziewięciu lat miało o nim pochlebne zdanie; dziś według Instytutu Gallupa Amerykanie w tej grupie wiekowej mają lepsze zdanie o socjalizmie (pięćdziesiąt jeden procent) niż o kapitalizmie (czterdzieści pięć procent)[10]. Problemy są najbardziej rażące w Stanach Zjednoczonych, lecz widać je także w Wielkiej Brytanii i w mniejszym stopniu w niektórych innych krajach rozwiniętych. Martin Wolf z „Financial Times”

twierdzi, że doświadczamy „kryzysu kapitalizmu demokratycznego”.

Pierwszym wnioskiem płynącym z naszej podróży i z tematyki tej książki jest to, że społeczności robotnicze – w stopniu nienotowanym w bardziej uprzywilejowanych częściach Stanów Zjednoczonych – giną w oparach bezrobocia, rozpadu rodzin, narkomanii, otyłości i przedwczesnej śmierci. Ameryka stworzyła pierwsze na świecie prawdziwe społeczeństwo klasy średniej, lecz obecnie olbrzymia część Amerykanów czuje, że grozi jej wypadnięcie z tej strefy bezpieczeństwa i komfortu. Codzienne życie około stu pięćdziesięciu milionów Amerykanów jest naznaczone nieustanną obawą o to, że choroba, zwolnienie z pracy albo wypadek samochodowy obrócą ich świat w ruinę.

Jeden na siedmioro Amerykanów żyje poniżej progu ubóstwa – to znacznie większy odsetek niż w Kanadzie czy innych krajach OECD, a naukowcy szacują, że w pewnym momencie w tej sytuacji znajdzie się połowa wszystkich Amerykanów. W przeprowadzonym niedawno sondażu Rezerwy Federalnej odkryto, że prawie czterdzieści procent obywateli nie dysponuje czterystoma dolarami na nieprzewidziane wydatki, związane na przykład z awarią samochodu albo przeciekającym dachem[11]. Nawet nie myślą o emeryturze. Gdy wszystko inne zawodzi, sprzedają osocze – nawet dwa razy w tygodniu – za trzydzieści albo czterdzieści dolarów.

Drugim wątkiem tej książki jest to, że cierpienia amerykańskiej klasy robotniczej można było uniknąć. Odzwierciedla ono jednak dziesięciolecia błędów w polityce społecznej, a często także niepotrzebne okrucieństwo: wojnę z narkotykami, która doprowadziła do masowego zamykania ludzi w więzieniach, obojętność na utratę robotniczych miejsc pracy, niewystarczającą opiekę medyczną, przyjęcie wysoce niesprawiedliwego systemu kształcenia, ulgi podatkowe dla potentatów przemysłowych, przychylne miliarderom

orzeczenia sądowe, zgodę na rosnące nierówności oraz systematyczne niedoinwestowanie dzieci i takich form pomocy społecznej jak leczenie uzależnienia od narkotyków.

Władze państwowe zbyt często stawały po stronie kapitału przeciwko pracownikom, osłabiając związki zawodowe i obniżając płace, zwłaszcza robotników niewykwalifikowanych. Gdyby federalna stawka minimalna z 1968 roku nadążała za inflacją i zdolnością produkcyjną, wynosiłaby dziś dwadzieścia dwa dolary za godzinę, a nie siedem dolarów dwadzieścia pięć centów (w wielu stanach i miejscowościach obowiązuje wyższa stawka). Prowadzi się błyskotliwe debaty na temat tego, ile powinna wynosić optymalna płaca minimalna, w jaki sposób powinna być zróżnicowana w poszczególnych częściach kraju zależnie od kosztów życia oraz w którym momencie zaczyna ona znacząco osłabiać zatrudnienie, lecz prawie każdy ekonomista specjalizujący się w rynku pracy uważa, że powinna być znacznie wyższa, niż jest obecnie na poziomie federalnym. Ponadto wiele przedsiębiorstw stosuje wobec pracowników ze stawką godzinową nieprzewidywalne grafiki pracy: niekiedy pracują oni do późna, a następnego dnia zaczynają wcześnie, co sprawia, że są niewyspani, nie mają jak zaplanować opieki nad dziećmi i wizyt lekarskich czy udziału w wywiadówkach szkolnych. W badaniu przeprowadzonym w 2019 roku stwierdzono, że przez tego rodzaju grafiki pracownicy byli jeszcze bardziej niezadowoleni i zestresowani niż przez niskie zarobki, a często jest to przecież niepotrzebne i nieludzkie[12].

Bezwzględność i niekiedy wręcz podłość zakradły się do amerykańskiej polityki, zakorzenionej w błędnym przekonaniu, że ci, którzy borykają się z bezrobociem, brakiem pieniędzy, narkotykami i bałaganem w życiu, są w gruncie rzeczy słabi, zagrożeni niesamodzielnością i potrzebują surowego traktowania. W czasie wielkiej recesji w latach 2008–2009 i jej następstw rząd ratował banki z Wall Street, lecz zatwierdził nieskuteczne formy pomocy, przez które miliony osób straciły pracę. Bańka spekulacyjna na

rynku nieruchomości odzwierciedlała niebywałą chciwość i poziom korupcji wśród pracowników umysłowych, a cenę za nie zapłaciło dziesięć milionów rodzin, które straciły domy.

Trzeci wątek, którym zajmujemy się w tej książce, daje więcej nadziei: wyzwaniom można sprostać, ponieważ możemy przyjąć postawę cechującą się zarówno współczuciem, jak i skutecznością. Choć magiczne różdżki nie istnieją, przedstawimy zarys programu mogącego złagodzić negatywne skutki ubóstwa i zapewnić wsparcie rodzinom borykającym się z problemami. Według Jamesa Heckmana, laureata Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, strategie przeciwdziałające wykluczeniu społecznemu, jeśli obejmą zagrożone nim osoby już w najmłodszych latach, zwracają się siedmiokrotnie pod postacią zmniejszonych wydatków na zakłady poprawcze dla młodzieży, edukację specjalną i pilnowanie porządku publicznego. Programy mające pomagać nastolatkom z niezamożnych domów w planowaniu rodziny także zwracają się po wielokroć, ponieważ wkładka wewnątrzmaciczna stanowi jedną piętnastą kosztu porodu pokrywanego przez Medicaid[5]. Takie inicjatywy jak odliczenie od podatku dochodowego (EITC)[6] pokrywają większość generowanych przez siebie kosztów, a przy tym mobilizują ludzi do wejścia na rynek pracy, gdzie stają się podatnikami.

Jako obywatele powinniśmy także wywierać nacisk na wszystkich polityków, zarówno demokratów, jak i republikanów – chodzi bowiem o Amerykanów, a zbyt wielu naszych przedstawicieli wyłanianych w wyborach nie podeszło poważnie do pogłębiającego się kryzysu humanitarnego w naszym kraju. Zdarzają się przypadki zaniedbywania obowiązków przez polityków obu partii. To apel o bardziej odpowiedzialne, empatyczne i oparte na dowodach podejście do rządzenia.

Aby wypracować mądrzejszą politykę, musimy się wznieść ponad zwyczajowy dyskurs skupiony wyłącznie na osobistej

odpowiedzialności i na gadaniu o tym, że trzeba się wyciągać z kłopotów za własne cholewki. Mądrzejsza polityka wymaga od naszego kraju zrozumienia systemowych przyczyn, dla których ludzie zostają w tyle, dogłębnego pojmowania tego, jak wiele dzieci dorasta bez szans na dobrą przyszłość. Owszem, popełniają błędy, ale niekiedy zawodzimy je, zanim one zawiodą nas. Zachowania autodestrukcyjne są równie realne jak choroby autoimmunologiczne, lecz i jedne, i drugie można leczyć. Dążmy do zrozumienia, empatii i gotowości do pomocy, zamiast wytykać palcem.

Moc empatii bywa ogromna. Weźmy Mary Daly, dziewczynę, która dorastała w miasteczku niedaleko Saint Louis i była dość dobrą uczennicą. Potem jednak jej ojciec stracił pracę na poczcie, rodzice zaczęli się kłócić i w końcu się rozwiedli, a Mary nie potrafiła się skupić na lekcjach. W wieku piętnastu lat rzuciła szkołę, wprowadziła się do przyjaciół i zatrudniła w sklepie z pączkami należącym do jej babci i dziadka. Chciała zostać kierowcą autobusu. Szkolny doradca zawodowy wspomniał o niej Betsy Bane, nauczycielce w miejscowym college'u, a ta namówiła Mary do ukończenia szkoły średniej. W wieku siedemnastu lat dziewczyna uzyskała średnie wykształcenie, osiągając najlepszy wynik, mimo że nie poświęcała nauce wiele czasu. Bane zaczęła ją namawiać, żeby poszła do college'u. Mary nigdy nie myślała o studiach i powiedziała, że nie stać jej na czesne, lecz Bane zaproponowała, że sama zapłaci za pierwszy semestr.

Na Uniwersytecie Missouri Mary Daly natychmiast zaczęła odnosić sukcesy i w 1985 roku zdobyła dyplom z ekonomii, a następnie obroniła magisterium i doktorat. Po habilitacji w 1996 roku została badaczką w Systemie Rezerwy Federalnej, gdzie jej mentorką była Janet Yellen, także ekonomistka. Daly pięła się w górę, często skupiając się na nierównościach społecznych, i w 2018 roku objęła stanowisko prezeski Banku Rezerwy Federalnej w San Francisco. Jak to ujęła Heather Long z „The Washington Post", jest w tej roli

„jedną z najbardziej wpływowych osób kształtujących politykę gospodarczą Stanów Zjednoczonych”[13]. Daly ufundowała stypendium na Uniwersytecie Missouri, by oddać cześć Bane, która z kolei twierdzi, że wiele takich perełek pozostaje niezauważonych.

Gdy przez Stany Zjednoczone przesączał się ból, w Yamhill jak w soczewce skupiły się problemy amerykańskiej klasy robotniczej. W ciągu roku w małym miejscowym liceum dwoje uczniów popełniło samobójstwo: chłopak powiesił się w domu, a dziewczyna zastrzeliła się w samochodzie na szkolnym parkingu. Syn następcy Nicka na stanowisku przewodniczącego samorządu, podziwiany i uwielbiany przez wszystkich, zmarł wskutek przedawkowania narkotyków.

Stacy Mitchell, jedna z koleżanek z klasy Nicka, energiczna cheerleaderka i zawodniczka licealnej drużyny siatkarskiej, zmagała się z alkoholizmem i w końcu straciła dach nad głową. Zamieszkała w namiocie i pewnej mroźnej zimowej nocy zamarzła. Miała czterdzieści osiem lat. Myśl, że lubiana dziewczyna z rodziny, która zapuściła w tym miasteczku głębokie korzenie, mogła zamarznąć jako osoba bezdomna, była druzgocąca. Tej nocy umarła nie tylko Stacy; coś zginęło także w nas wszystkich.

Mnóstwo dzieci z Yamhill uniknęło tragicznego losu i poradziło sobie doskonale – później zgłębimy historie niektórych z nich. Z problemami borykali się jednak nie tylko ci, którzy rzucili szkołę. W wyścigu o miano najlepszego ucznia w liceum rywalizowała z Nickiem Donna King, wyjątkowo bystra dziewczyna, której ojciec był kierowcą ciężarówki zatrudnionym przez hrabstwo. Donna i Nick szli łeb w łeb, a potem Donna zaszła w ciążę. Wyjaśniła nam, że wiedziała o istnieniu okręgowej placówki na rzecz planowania rodziny, lecz słyszała, że jej pracownicy nie potrafią dochować tajemnicy zawodowej i że gdyby poprosiła o środki antykoncepcyjne, mogłoby to dotrzeć do jej ojca i wywołać skandal w rodzinie. Ciąża też wywołała skandal. Donna

wyszła za swojego chłopaka Marvina i zdołała ukończyć szkołę dzięki samodyscyplinie i intelektowi. Ani ona, ani Marvin nie poszli do college'u, po części ze względu na dziecko, a po części z powodu związanych z tym kosztów, lecz są inteligentni, ciężko pracują, przestrzegają prawa i nigdy nie nadużywali narkotyków. Mimo to nie było im łatwo. Marvin pracował w fabryce przyczep, dopóki jej nie zamknięto. Potem zatrudnił się jako drwal, lecz doznał urazu kręgosłupa. Niedawno się przebranżowił i został zawodowym informatykiem. Pracuje dla Nike. Donna również pracowała w wielu miejscach: w biurze podatkowym, hotelu i dla Amwaya. Przeważnie zarabia na życie, sprzątając w cudzych domach.

Donnie udało się stworzyć wspaniałą, silną rodzinę, z której jest dumna – i ma ku temu powody. Gdyby jednak dorastała w zamożnym nowojorskim domu albo będąc nastolatką, otrzymała pomoc w zakresie planowania rodziny, mogłaby zostać lekarką. To nie zdolności Donny stanowiły problem, lecz ograniczone możliwości klasowe.

Czasami ma się chęć przeciwstawiać cierpienie białej klasy robotniczej cierpieniu Afroamerykanów albo członków innych grup mniejszościowych. To błąd. Polityka rządu nie przysłużyła się klasie robotniczej w ogóle, bez względu na kolor skóry jej przedstawicieli, i potrzebujemy solidarności, a nie konfliktu wśród tych, których tak bardzo się pomija. Wyzwania, przed jakimi stała Donna w białej społeczności wiejskiej, nie różnią się aż tak bardzo od tych, z jakimi mierzą się bystre czarnoskóre dzieci robotników w miastach całego kraju. „The Boston Globe” odnalazł dziewięćdziesiąt trzy osoby, które ukończyły szkoły z najlepszym wynikiem i pojawiły się na łamach tej gazety w latach 2005–2007 w serii zatytułowanej „Faces of Excellence”[14]. Były to pracowite, inteligentne dzieciaki prześcigające rówieśników, przeważnie kolorowe, i prawie jedna czwarta z nich chciała zostać lekarzami. Nikt z tego grona nie spełnił jednak swojego marzenia, a jednej czwartej nie udało się zdobyć tytułu

licencjata w ciągu sześciu lat. Czworo straciło dach nad głową, jedna osoba trafiła do więzienia, jedna zmarła. „Globe” nazwał to „epidemią niewykorzystanego potencjału”, co wydaje się słusznym określeniem bez względu na to, czy mowa o czarnych dzielnicach Bostonu czy o oregońskich wsiach, w których dominują biali – nie wspominając o latynoskich częściach Teksasu czy o obszarach na zachodzie zamieszkanych przez rdzennych Amerykanów.

Niektórzy zakładają, że poważne trudności napotykają wyłącznie ludzie z najniższego szczebla drabiny społecznej, ale to nieprawda. Tkanka gospodarcza i społeczna w niemal całym kraju uległa zniszczeniu i wszyscy płacą za to wysoką cenę. Biały Dom szacuje, że epidemia opioidowa kosztuje Stany Zjednoczone pół biliona dolarów rocznie – to więcej niż cztery tysiące dolarów na gospodarstwo domowe.

Jednym z mechanizmów, za których pośrednictwem ból przenika z dolnych warstw społecznych do całego narodu, jest system polityczny. Około sześćdziesięciu milionów Amerykanów mieszka na wsiach, które zmagają się z trudnościami. Nic więc dziwnego, że ci ludzie cierpią i czują frustrację. System polityczny Stanów Zjednoczonych daje im jednak nieproporcjonalnie wielki wpływ na politykę. Ich głos ma szczególną wagę w senacie, gdzie każdy stan reprezentuje dwoje senatorów, przez co wyborca z Wyoming ma sześćdziesiąt osiem razy większy wpływ na wybór senatora niż wyborca z Kalifornii[7]. To wpisane w funkcjonowanie senatu i Kolegium Elektorów uprzywilejowanie małych rolniczych stanów nadal będzie dawało tamtejszym wyborcom ogromny wpływ na najbliższą przyszłość, a wiejskie obszary Ameryki od dziesięcioleci doświadczają kryzysu gospodarczego i niepokojów społecznych wywołujących wśród wyborców złość i rozczarowanie. Łatwo zobaczyć konsekwencje polityczne takiej sytuacji: Amerykanie z klasy robotniczej przyczynili się do zwycięstwa Donalda Trumpa. Powody, dla których go poparli, były skomplikowane i obejmowały niekiedy ksenofobię, rasizm oraz seksizm, lecz

około ośmiu milionów tych wyborców poparło Baracka Obamę w 2012 roku[15]. Ich głosy oddane na Trumpa były krzykiem rozpaczy, ponieważ czuli się zapomniani, zaniedbani i pogardzani przez klasę polityczną.

Po objęciu urzędu Trump potraktował jednak chłodno swoich wyborców z klasy robotniczej. Składał obietnice bez pokrycia dotyczące miejsc pracy w kopalniach i przemyśle produkcyjnym, lecz nie podjął żadnych znaczących działań, by pomóc robotnikom, przeciwnie – ograniczył zakres ustawy o przystępnej opiece zdrowotnej. Była to kolejna scena długiego dramatu o tym, jak politycy zdradzili amerykańską klasę robotniczą.

Wielu krytyków ubolewa nad indolencją, brakiem odpowiedzialności i autodestrukcyjnymi zachowaniami klasy robotniczej. „National Review” w 2016 roku wzywało do „uczciwego spojrzenia na życie z zasiłku, uzależnienie od narkotyków i alkoholu oraz na anarchię rodzinną – czyli na płodzenie potomstwa z całą przezornością i mądrością bezpańskiego psa”[16], a na koniec stwierdziło, że „biały amerykański margines społeczny jest niewolnikiem zepsutej, samolubnej kultury wytwarzającej przede wszystkim nieszczęście i zużyte igły do wstrzykiwania heroiny”. To prawda, że zbyt wielu uczniów z klasy robotniczej przestaje chodzić do liceów, a potem ma dzieci z przygodnych związków, i że jest to prosta droga do ubóstwa. Ron Haskins i Isabel Sawhill z Instytutu Brookingsa zaobserwowali, że wśród ludzi przestrzegających trzech tradycyjnych zasad – skończenie szkoły średniej, zdobycie pracy na pełny etat i ślub przed urodzeniem dzieci – jedynie dwa procent żyje w ubóstwie. Przestrzegając tych reguł gry, zwanych przepisem na sukces, można zatem w zasadzie uniknąć biedy. Dla porównania w ubóstwie żyje siedemdziesiąt dziewięć procent osób nieprzestrzegających żadnej z tych zasad. Jedna czwarta dziewczyn wciąż zachodzi w ciążę przed ukończeniem dziewiętnastego roku życia, więc najwyraźniej nastolatki obu

płci rzeczywiście mają skłonność do nieodpowiedzialnych zachowań.

Brak odpowiedzialności nie jest jednak wyłącznie ich domeną. Amerykańska młodzież uprawia seks równie często jak młodzież europejska, lecz Europejki zachodzą w ciążę trzykrotnie rzadziej – ponieważ ich kraje oferują znacznie lepszą kompleksową edukację seksualną i łatwiejszy dostęp do skutecznych form antykoncepcji. Zatem owszem, rodzenie dzieci przez nastolatki odzwierciedla ich indywidualny brak odpowiedzialności, lecz także brak odpowiedzialności ze strony całego społeczeństwa. Jeśli zamierzamy obwiniać młodzież, powinniśmy też przyznać, że marnie się spisaliśmy, zaniedbując tworzenie systemów wsparcia, aby nastolatki przechodzące burzę hormonów nie niszczyły sobie przyszłości – nie wspominając o przyszłości ich dzieci.

Ta dzisiejsza erozja społeczna i związane z nią obniżanie się średniej długości życia w Stanach Zjednoczonych przypomina nam sytuację w innym państwie: w Związku Radzieckim. W latach osiemdziesiątych ZSRR wciąż był supermocarstwem mającym program kosmiczny, wspaniałe orkiestry i opery oraz imponujące osiągnięcia naukowe, szczególnie matematyczne. Mógł wysadzić w powietrze całą planetę. Z łatwością olśniewał turystów zwiedzających Ermitaż w Leningradzie albo plac Czerwony w Moskwie. To wszystko wznosiło się jednak na gospodarczym i społecznym fundamencie, który coraz bardziej pękał z powodu katastrofalnych w skutkach decyzji politycznych.

W kraju szerzyły się alkoholizm i niezadowolenie. Mężczyźni sięgali po wódkę przed południem i znikali w oparach alkoholu, nim nastało popołudnie. W fabrykach mawiało się: oni udają, że nam płacą, a my udajemy, że pracujemy. Sowieccy urzędnicy wiedzieli o głębokich i złożonych problemach społecznych i gospodarczych, ale woleli ignorować pijaństwo, narkotyki i nieobecność w pracy, przekonani, że to nie wpłynie na politykę centralną.

Zaprzestali za to publikowania danych dotyczących śmiertelności.

Gdy już nie dało się uciec od problemu nadużywania środków odurzających, sekretarz generalny Michaił Gorbaczow wypowiedział wojnę pijaństwu i zamknął sklepy monopolowe, uznając alkoholizm za problem moralny związany ze słabością charakteru i brakiem odpowiedzialności. Tak naprawdę alkoholizm i narkotyki były jednak objawami znacznie głębszych problemów strukturalnych oraz takich błędów politycznych jak kolektywizacja rolnictwa, dysfunkcyjna gospodarka nakazowa i inwazja na Afganistan. Błędy te sięgały wiele dziesięcioleci wstecz i nie można było ich dłużej tuszować. Nadzieje się rozwiały. Gdy w Związku Radzieckim spadła średnia długość życia, tak jak obecnie dzieje się w Stanach Zjednoczonych, była to oznaka problemów systemowych, jakich nie mogła dłużej zasłaniać patriotyczna retoryka. Powinno to było zadziałać jak dzwonek alarmowy, tak samo jak spadająca średnia długość życia w Stanach Zjednoczonych powinna być sygnałem alarmowym dla nas.

3

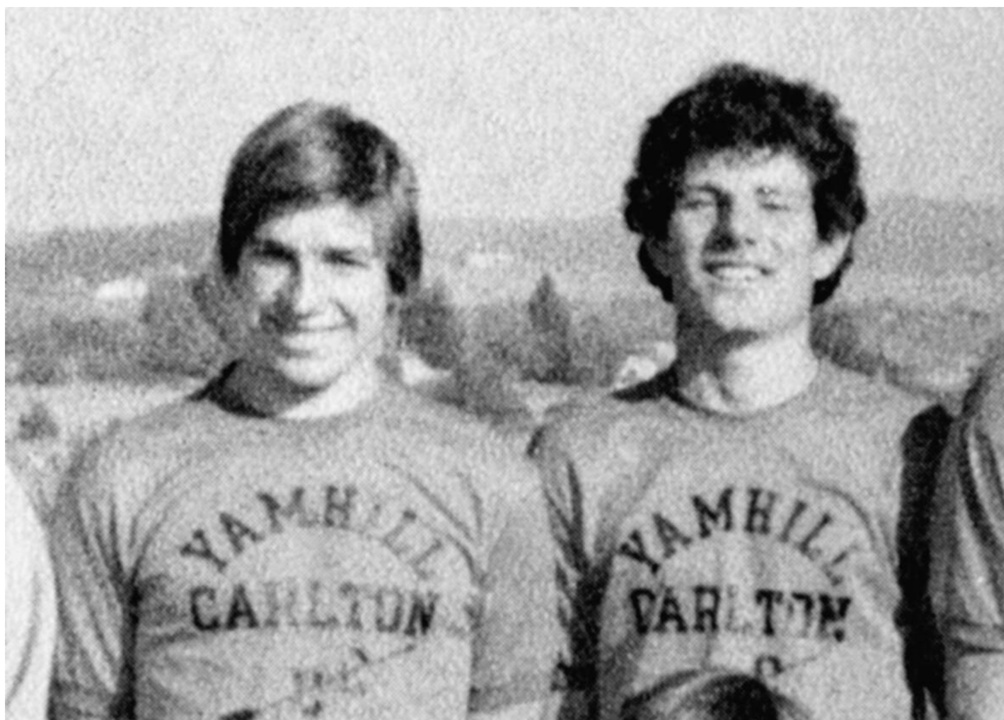
Gdy znikają miejsca pracy

> Sprawdzianem naszego postępu nie jest to, czy dokładamy coś do dostatku tych, którzy mają dużo, lecz czy zapewniamy wystarczająco dużo tym, którzy mają za mało.
>
> Franklin Delano Roosevelt, drugie przemówienie inauguracyjne, 20 stycznia 1937

Jednym z kolegów Nicka i młodych Knappów ze szkolnego autobusu numer sześć był Kevin Green. Podobnie jak Nick miał brązowe oczy i włosy oraz tak jak on w liceum startował w biegach przełajowych, toteż czasami mylono ich na licealnej bieżni. „Dawaj, Kevin, dawaj!” – wołali kibice podczas zawodów, gdy mijał ich Nick. Obaj mieszkali na farmach na północ od Yamhill, niedaleko Cove Orchard, latem pracowali przy zbiorach truskawek, a potem awansowali do lepiej płatnej pracy przy układaniu bel siana. Razem z Farlanem i resztą Knappów w siódmej i ósmej klasie mieli lekcje przyrody z nauczycielem, który wpajał im, że ewolucja to pomyłka, i puszczał religijne filmy wychwalające kreacjonizm. W liceum Kevin i Nick poszli na kursy spawania i rolnictwa, po czym dołączyli do organizacji młodzieżowej Future Farmers of America (FFA). Po treningach, w których ścigali się w biegach przełajowych albo na bieżni, Nick często odwoził Kevina na jego rodzinną farmę, na której hodowano świnie, gęsi, kurczęta i dwie krowy mleczne.

Oczywiście były też między nimi różnice. W domu Kevina znajdowało się niewiele książek, podczas gdy dom Nicka był nimi wypełniony. Rodzice Nicka, para profesorów głęboko wierzących w edukację, czytali mu w dzieciństwie, zabierali go na turnieje szachowe, dyskutowali przy kolacji o wydarzeniach na świecie oraz zaszczepili mu przekonanie, że będzie zbierał piątki i pójdzie na studia. Dom Nicka nie był

o wiele ładniejszy ani wygodniejszy niż dom Kevina, lecz pod względem etosu pracy i oczekiwań wobec dzieci istniała między nimi przepaść. Tom, ojciec Kevina, skończył jedynie pięć klas, mówił przeważnie o silnikach samochodowych, był porywczy i rządził w domu twardą ręką.



Kevin Green i Nick trenowali biegi przełajowe w Liceum Yamhill i Carlton

Fot. dzięki uprzejmości Liceum Yamhill i Carlton

„Kiedyś mój tata odrąbał swojemu bratu palec” – powiedział nam pewnego razu Kevin z większym podziwem, niż to było stosowne. On sam miał w dzieciństwie pociąg do katastrofalnych w skutkach zabaw z ogniem. „W drugiej klasie częściowo spalił dwa domy” – wspominał Clayton, jego młodszy brat, z którym także od dawna się przyjaźniliśmy.

W liceum Kevin uczył się słabo, za to doskonale radził sobie na zajęciach praktyczno-technicznych. Potrafili z Claytonem rozłożyć na części każdy samochód, a potem idealnie złożyć go z powrotem. Gdy Clayton miał trzynaście lat, kupił za dwadzieścia dolarów zdezelowanego chevroleta z 1955 roku z zepsutym silnikiem i przez kilka lat pieczołowicie remontował go razem z Kevinem. Gdy skończyli, pojazd lśnił i jeździł jak marzenie. W 1985 roku

sprzedali go za półtora tysiąca dolarów komuś, kto używa go do dziś.



Kevin Green w 1983 roku ze złowionym przez siebie dwukilogramowym pstrągiem. Kiedyś ten zapalony wędkarz wskoczył do rzeki i złapał rybę gołymi rękami

Fot. dzięki uprzejmości Irene Green

Serdeczny i wyluzowany, obdarzony pogodnym usposobieniem i chęcią pomagania innym, Kevin dogadywał się w zasadzie ze wszystkimi. Słynął z tego, że pomaga przyjaciołom w obowiązkach, i z zamiłowania do łowienia ryb. Pewnego razu, stojąc na moście, zauważył rybę w rzece. Nie miał wędki, więc wskoczył do wody, żeby złapać tę rybę rękami – a potem przyrządził ją na kolację. W naukę nie był jednak aż tak zaangażowany. Wspominał, że chce zostać architektem, lecz nie miał pojęcia, jak zdoła opłacić studia, więc traktował prace domowe jak coś nieobowiązkowego i na początku ostatniej klasy oznajmiono mu, że ma za mało punktów, by skończyć szkołę. Natychmiast zapisał się na zajęcia przygotowujące do egzaminu GED[8] i zdobył odpowiednik dyplomu ukończenia szkoły średniej, zanim jego koledzy i koleżanki z klasy skończyli liceum. Zdobył średnie wykształcenie jako pierwszy mężczyzna w rodzinie

i wydawało się, że droga do sukcesu stoi przed nim otworem. Podobnie jak większość mieszkańców Yamhill w tamtych czasach wierzył w złudną maksymę, którą lubił powtarzać Paul Ryan, były spiker Izby Reprezentantów: „W naszym kraju okoliczności urodzenia nie determinują dalszego losu”.



Centrum Yamhill ze sklepem wielobranżowym zachowało pewien urok do dziś,
lecz maskuje on problemy, z jakimi zmagają się okoliczni mieszkańcy

Fot. Lynsey Addario

Lata siedemdziesiąte były optymistycznym okresem w Yamhill, miasteczku położonym na południowy zachód od Portland, mającym jedno migające czerwone światło, cztery kościoły i wówczas pięciuset siedemnastu mieszkańców, prawie wyłącznie białych. Wzniesione jako nocny przystanek dla dyliżansu jeżdżącego z Portland na wybrzeże, Yamhill szczyciło się tym, że jako pierwsze miasto w Oregonie wprowadziło elektryczne oświetlenie ulic. Jednym z jego największych powodów do dumy było to, że około 1900 roku przez krótki czas mieszkała tam, nad sklepem z kapeluszami przy Main Street, Mary Pickford, gwiazda niemego kina. Miała wtedy osiem lat, a jej matka uczyła w miejscowej szkole podstawowej. Niestety, Pickford chyba nigdy nie była tak dumna z Yamhill jak ono z niej. Bardziej doceniła je Beverly

Cleary, autorka książek dla dzieci oraz twórczyni Henry'ego Hugginsa i Ramony the Pest. Pisarka powiedziała nam, że Yamhill jest pierwowzorem miasteczka Pitchfork z jej książki *Emily's Runaway Imagination* [Emily ucieka w wyobraźnię].

W latach siedemdziesiątych w Yamhill były sklep wielobranżowy, sklep z narzędziami, sklep z artykułami rolniczymi, budka telefoniczna, zakład fryzjerski i bar. Lokalna gospodarka opierała się na rolnictwie, wyrębie drzew i przemyśle lekkim, a największym pracodawcą w okolicy była fabryka rękawiczek w pobliskim miasteczku Carlton. Na studniówce Nicka leciało *Stairway to Heaven* i wydawało się to całkiem adekwatne. Wielu starszych mieszkańców Yamhill wychowało się na farmach bez prądu, bieżącej wody i telefonów, ale potem, w latach czterdziestych, pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, rodziny szybko pomnażały swój majątek.

Tom, ojciec Kevina, uosabiał ten awans społeczny. Wychował się bez prądu i bieżącej wody w chacie nad rzeką, która regularnie wylewała. Był dumnym weteranem wojny w Korei, został dobrym kamieniarzem i tynkarzem. Ożenił się ze swoją dziewczyną Irene, która dorastała w ubóstwie bez toalety i bieżącej wody. Tom ciężko pracował, w latach siedemdziesiątych miał porządną pracę i należał do związku zawodowego. W przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze zarabiał czterdzieści trzy dolary za godzinę.

– Praca dużo dla niego znaczyła i był dumny, że ma tak dobrą posadę – wspominała Irene.

Tom pomagał przy budowie mostu Fremont nad rzeką Willamette w Portland i udało mu się uzyskać dostęp do środków przewidzianych w ustawie GI z 1944 roku o darmowej edukacji dla zdemobilizowanych żołnierzy, by kupić pierwszy dom, wpłacając z góry zaledwie dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów. Ustawa GI była olbrzymim przedsięwzięciem mającym wynieść ludzi ku klasie średniej – pomogła Greenom oraz milionom innych osób. W 1972 roku

Tom i Irene kupili dwuhektarową farmę niedaleko Yamhill za cenę, która w przeliczeniu na dzisiejszą wartość wynosiła pięćdziesiąt jeden tysięcy dolarów. Irene znalazła pracę na cały etat w fabryce konserw, gdzie zarabiała (z uwzględnieniem inflacji) około dwunastu dolarów za godzinę. Wydawało się, że rodzina jest na prostej drodze wzwyż.

– Tom miał wszystko pod kontrolą – wspominała wielebna Rhonda Kroeker, przyjaciółka rodziny. – W domu było czysto. Chłopcom przydzielono określone obowiązki. Wszystko było sprecyzowane. To się po prostu czuło. Ludzie szanowali Toma. Był dobrym człowiekiem, a na jego podjeździe nie rzucało się niedopałków. Takich rzeczy się po prostu nie robiło.

Podobnie jak zaprzyjaźnieni z nimi Knappowie, Greenowie nie mogli się doczekać dalszej poprawy losu. Wszyscy odznaczali się imponującym etosem pracy. Thomas junior, ich pierwsze dziecko, zmarł na zapalenie opon mózgowych w wieku dwóch miesięcy, lecz Cindy, druga latorośl, urocza dziewczyna chodząca niegdyś z Nickiem do klasy, jako licealistka pracowała na pełny etat w fabryce konserw i spała tylko po kilka godzin na dobę. Kevin i Clayton dorabiali przez dwie albo trzy noce w tygodniu na kurzych fermach, skąd wracali do domu bladym świtem, by przespać się trochę przed szkołą. Po ukończeniu liceum Cindy zapisała się na korespondencyjny kurs zarządzania motelem, kurs pielęgniarstwa w dwuletnim college'u oraz na zajęcia zawodowe w dziedzinie naprawy komputerów. Chodziła też do dwuletniego college'u na zajęcia z opieki zdrowotnej i ostatecznie została technikiem nadzorującym sprzęt na szpitalnym oddziale intensywnej opieki medycznej. To odpowiedzialne stanowisko napawało ją dumą.

Wszyscy troje podziwiali Toma, który emanował godnością i pewnością siebie, cieszył się też szacunkiem sąsiadów i kolegów z pracy. Jego dzieci nawet nie wiedziały, że ojciec jest analfabetą, dopóki nie wybrali się razem na wycieczkę, na

której nie umiał odszyfrować najprostszych znaków przy autostradzie.

– Tato, ty nie umiesz czytać? – spytał go zdumiony Clayton.

– Mniejsza o to. Co jest napisane na tym znaku?

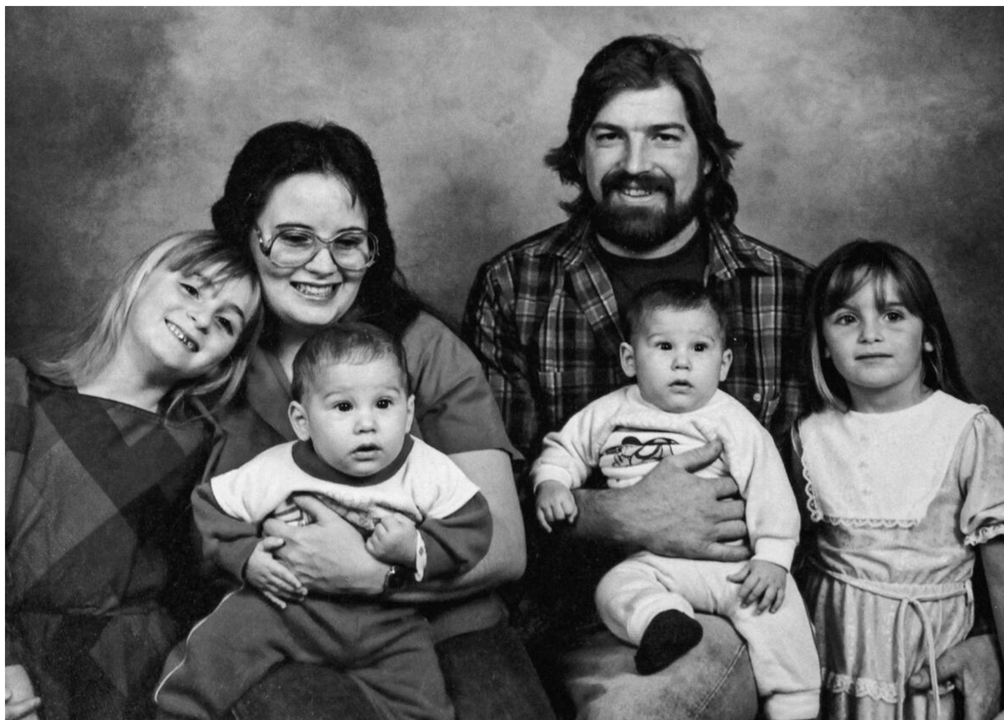
To, że niepiśmienny mężczyzna urodzony w ubogiej rodzinie potrafił zdobyć fach, kupić farmę, dobrze zarabiać i zapewnić rodzinie godziwe życie, było odzwierciedleniem awansu społecznego w tamtych latach. Z perspektywy czasu marzenie o klasie średniej stawało się jednak coraz bardziej nieuchwytne – zarówno w Yamhill, jak i w tysiącach podobnych miasteczek w całych Stanach Zjednoczonych. Wkrótce po tym, jak Cindy i Kevin skończyli liceum, lukratywne posady połączone z członkostwem w związku zawodowym, takie jak ta, którą znalazł ich ojciec, zaczęły znikać, zwłaszcza dla młodych ludzi bez średniego wykształcenia. Zamknięto fabrykę rękawiczek. Zamykano tartaki i następowała konsolidacja gospodarstw, które inwestowały w nowe rozwiązania techniczne, co prowadziło do likwidacji miejsc pracy. Na farmie Kristofów też widać te zmiany: w wiśniowym sadzie, gdzie dawniej dziesiątki pracowników mozolnie zrywały owoce, teraz robią to maszyny. Zbieranie maszynowe jest szybsze, tańsze i wydajniejsze, więc przynosi korzyść zarówno farmerom, jak i konsumentom. Automatyzacja okazała się jednak katastrofą dla tych, którzy kiedyś wiązali koniec z końcem dzięki sezonowej pracy w sadzie.

Początkowo Kevin znalazł dobrą posadę w przedsiębiorstwie produkującym regały magazynowe, lecz firma zbankrutowała. Później zatrudnił się jako spawacz w fabryce przyczep, gdzie praca była kiepsko płatna i nie dawała mu satysfakcji. Poznał dziewczynę, która miała dwie córki. Po dziesięciu wspólnych latach wciąż żyli bez ślubu. Kevin nazywał ją swoją żoną, ona czasami posługiwała się

nazwiskiem Green i mieli razem bliźnięta, ale nigdy nie sformalizowali swojego związku.

– Chcę się ożenić – mówił Kevin – ale na razie mnie na to nie stać. Zaczekam, aż poprawi się moja sytuacja finansowa.

Fabrykę przyczep zamknięto, a Kevin stracił pracę.



Kevin Green, jego dziewczyna, bliźniaki oraz jej córki z poprzedniego związku na portrecie rodzinnym z 1988 roku, w szczęśliwszych czasach

Fot. dzięki uprzejmości Irene Green

– To w sumie zmieniło cały jego świat – wspominała Irene Green. – Zdaje się, że nie miał o sobie zbyt dobrego zdania. Chyba myślał, że jest niewiele wart.

W przeciwieństwie do ojca, który konsekwentnie piął się w górę, Kevin zostawał w tyle, mimo że się starał. Zaczął wytwarzać meble i je sprzedawać, lecz nie był to lukratywny interes i nie wydawał mu się rodzajem pracy, jaką powinien wykonywać mężczyzna, by utrzymać rodzinę. Najwidoczniej jego partnerka uważała podobnie: po dekadzie straciła cierpliwość, wyprowadziła się razem z dziećmi i znalazła innego partnera.

– Rzuciła go, bo nie był w stanie zarobić wystarczająco dużo, żeby zapewnić im jakieś miejsce do życia – powiedziała nam Irene.

– To go rozwaliło, zniszczyło jego poczucie własnej wartości – wspominał Clayton.

Dawna dziewczyna Kevina nie chciała z nami rozmawiać.

Kevin się rozpił i zaczął przybierać na wadze. Zapuścił długą brodę i coraz bardziej przypominał otyłego drwala w kiepskiej formie. Rzadko brał prysznic, czym zrażał do siebie ludzi. Nabawił się cukrzycy, a potem nadwyrężył kręgosłup. Ostatecznie system opieki społecznej przyznał mu rentę inwalidzką w wysokości pięciuset dwudziestu dolarów miesięcznie, która okazała się dla niego ostatnią deską ratunku[9]. Clayton twierdzi jednak, że przez to jego brat miał mniejszą motywację, by szukać pracy. Kevinowi zasądzono alimenty w wysokości trzystu pięćdziesięciu dolarów miesięcznie, których często nie był w stanie płacić.

Jego problemy nie wynikały z lenistwa. Godzinami jeździł rowerem wzdłuż autostrady numer czterdzieści siedem na północ od Yamhill, szukając butelek i puszek, które mógłby sprzedać. Był gotów maszerować wiele godzin, by znaleźć dobre miejsce do wędkowania, i tak jak my lubił wędrować szlakiem Pacific Crest Trail, by łowić ryby w górskich jeziorach.

– Kurczę, trudno było za nim nadążyć – wspominał Tony Kroeker, towarzysz jego pieszych wypraw. – Był pracoholikiem. Nie potrafił siedzieć bezczynnie. Przychodził do mnie i pomagał mi w robocie albo w stawianiu szopy. Ale za mało pracował dla siebie.

Kevin przypłacił zaległości alimentacyjne prawem jazdy, co utrudniło mu znalezienie pracy.

– Jak masz pracować, skoro nie wolno ci prowadzić samochodu? – spytał kiedyś nasz wspólny przyjaciel Rick

„Rykoszet” Goff. – Dlatego ludzie jeżdżą bez prawka, a wtedy robi się z nich przestępców.

Zabieranie prawa jazdy za niepłacenie alimentów albo mandatów jest krótkowzroczne, lecz szeroko rozpowszechnione: dotyka co najmniej siedmiu milionów Amerykanów[1]. Hawaje, Kansas, Vermont i Wirginia zawiesiły prawo jazdy ponad dziewięciu procentom swoich dorosłych mieszkańców.

W 1996 roku, w wieku sześćdziesięciu trzech lat, Tom Green zmarł wskutek problemów z sercem, a Kevin stał się głową rodziny. Nie był jednak takim człowiekiem, jakim pragnął być. Jego zadłużenie urosło do trzydziestu pięciu tysięcy dolarów, co zniechęcało go do szukania pracy, ponieważ jego ewentualne zarobki zostałyby zajęte przez komornika. Bez porządnej pracy nie był dla swoich bliźniaków kimś, kim był dla niego jego ojciec. Cierpiała jego samoocena.

– Obaj moi synowie próbowali być tacy jak ich tata – wspominała Irene Green. – I mieli poczucie, że nie stają na wysokości zadania.

Problemem nie jest sytuacja gospodarcza w ogólnym ujęciu, ponieważ ta wygląda znakomicie. W ciągu życia Kevina gospodarka Stanów Zjednoczonych odnotowała pięciokrotny wzrost zysków, a amerykańskie korporacje – dziesięciokrotny. Tylko od 2000 roku majątek prywatny w Stanach Zjednoczonych zwiększył się o czterdzieści sześć bilionów dolarów, czyli średnio o trzysta sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów na gospodarstwo domowe[2]. To jednak tak, jakby powiedzieć, że gdy do baru, w którym siedzi paru pijaczków, wchodzi Jeff Bezos, średnia zdolność nabywcza każdego z klientów podnosi się o kilka miliardów dolarów. To prawda, lecz wprowadza w błąd. Zyski z majątku i dochodu trafiały przede wszystkim do maleńkiej części populacji, o czym teraz już powszechnie wiadomo. Po 1980 roku ludzie należący do jednej dziesiątej procent

najbogatszych radzili sobie wyśmienicie, jednemu procentowi najbogatszych powodziło się bardzo dobrze, ci znajdujący się niżej, w górnych dziesięciu procentach, doświadczali wzrostu dochodów w takim samym tempie, w jakim rosła gospodarka, zaś pozostałe dziewięćdziesiąt procent w ostatnich czterech dekadach straciło grunt pod nogami – dochody tych osób rosły wolniej niż gospodarka w ogólnym ujęciu[3]. Pula premii na Wall Street pod koniec każdego roku przewyższa wartość zsumowanych rocznych zarobków wszystkich Amerykanów pracujących na pełny etat za federalną stawkę minimalną[4]. Według danych Biura Statystyki Pracy średnia stawka godzinowa w 2018 roku (22,65 dolara) była niższa niż czterdzieści pięć lat wcześniej, w 1973 roku (23,68 dolara po skorygowaniu o poziom inflacji)[5]. Mediana wartości netto majątku młodych Amerykanów i ich rodaków w średnim wieku, skorygowana o poziom inflacji, jest niższa niż w 1989 roku[6].

Raj Chetty, ekonomista z Harvardu, odkrył, że w grupie Amerykanów urodzonych w 1940 roku, czyli będących mniej więcej z pokolenia ojca Kevina, dziewięćdziesiąt dwa procent zarabiało w wieku trzydziestu lat (po uwzględnieniu inflacji) więcej niż ich rodzice w tym samym wieku[7]. Odsetek ten stopniowo spadał i wśród osób urodzonych w 1984 roku tylko połowa zarabiała więcej niż ich rodzice.

– Amerykańska klasa robotnicza nie stanie na nogi, jeśli nie sprawimy, że praca znowu zacznie być wynagradzana – mówi Gordon Berlin, kierownik grupy badawczej ekonomistów zwanej MDRC, która bada sposoby zmniejszenia ubóstwa. Twierdzi, że gdyby mógł zrobić tylko jedną rzecz, aby zlikwidować ubóstwo, byłoby to podniesienie najniższych zarobków. – Jestem głęboko przekonany, że właśnie to leży u podstaw problemu. Gdyby od lat siedemdziesiątych zarobki rosły proporcjonalnie do wzrostu gospodarczego, tak jak po II wojnie światowej, mężczyzna pracujący na pełny etat na stanowisku niekierowniczym nie zarabiałby dzisiaj

czterdziestu trzech tysięcy rocznie, lecz bliżej dziewięćdziesięciu tysięcy. Zastanówcie się nad tym. Wskaźnik ubóstwa prawdopodobnie wynosiłby niespełna połowę tego, co mamy dzisiaj, kwestie rasowe i klasowe nie wpływałyby tak drastycznie na politykę, a rozpacz, która przyczyniła się do kryzysu opioidowego, nie osiągnęłaby obecnego krytycznego poziomu.

Oficjalne wskaźniki bezrobocia są dziś imponująco niskie, lecz nie uwzględniają takich ludzi jak Kevin, którzy odpadli z rynku pracy: na każdego mężczyznę między dwudziestym piątym a pięćdziesiątym czwartym rokiem życia ujętego w statystykach bezrobocia przypada bowiem trzech kolejnych, którzy nie mają pracy, lecz nie są zarejestrowani jako osoby bezrobotne[8]. Ich odsetek wzrósł od lat pięćdziesiątych ponad pięciokrotnie, mimo że w ostatnich latach nastąpiła pod tym względem znacząca poprawa. Gdy znikają porządne miejsca pracy, strata nie ma wyłącznie charakteru gospodarczego, lecz przekłada się na samoocenę, strukturę rodzin, nadużywanie substancji psychoaktywnych, poczucie beznadziei, a nawet na znęcanie się nad dziećmi. W jednym z badań stwierdzono, że z każdym punktem procentowym wzrostu stopy bezrobocia w danym hrabstwie wskaźnik zaniedbywania dzieci wzrastał o dwadzieścia procent[9].

Znikające miejsca pracy to problem, który podlega olbrzymim różnicom w zależności od regionu. Ekonomiści debatują, czy w Stanach Zjednoczonych udało się ostatecznie wyeliminować bezrobocie, ale z całą pewnością nie udało się tego zrobić w miejscowości Flint w stanie Michigan, gdzie w 2018 roku trzydzieści pięć procent mężczyzn w wieku produkcyjnym nie miało pracy[10]. Stawiające na technikę i edukację ośrodki „gospodarki opartej na wiedzy” radzą sobie dobrze, podczas gdy obszary wiejskie i regiony przemysłowe wciąż zmagają się z problemami. Połowa miejscowości w kraju odnotowuje dziś mniejsze zatrudnienie niż w 2007 roku, podczas gdy San Francisco, Seattle, Boston i Nowy Jork prosperują wyśmienicie. W nadchodzących

latach, wskutek rozpowszechniania się sztucznej inteligencji i samouczenia się maszyn, może zniknąć jeszcze więcej miejsc pracy. Kierowcy ciężarówek i kasjerzy, których zadania nie wymagają dobrego wykształcenia, mogą zostać w dużej mierze zastąpieni automatami. OECD szacuje, że w krajach zamożnych zagrożonych jest trzydzieści osiem procent miejsc pracy, z czego dziesięć procent po prostu zniknie, a dwadzieścia osiem procent będzie wymagało nowych umiejętności i znacznego przekwalifikowania, aby utrzymać się na rynku pracy[11]. Co do tego ostatniego zgadza się wielu ekspertów, niezależnie od ich oceny tego zjawiska.

Nieżyjący już ekonomista Alan Krueger zaobserwował, że blisko połowa bezrobotnych mężczyzn w sile wieku zażywa codziennie leki przeciwbólowe, a większość deklaruje, że są niepełnosprawni lub niezdolni do wykonywania pracy z innego powodu. Wielu z nich przypomina Kevina: są słabo wykształceni, z kartoteką kryminalną, mają kłopoty ze zdrowiem, także psychicznym, a do tego są nieszczęśliwi i samotni. Lewica i prawica może się nie zgadzać co do tego, kogo należy za to winić, lecz tylko niespełna jedna trzecia Amerykanów twierdzi w sondażach, że ich ojczyzna zmierza we właściwym kierunku; znaczna większość uważa przeciwnie. Gdy w niedawnym sondażu poproszono respondentów, by opisali obecne czasy jednym słowem, wśród ośmiu najczęściej używanych określeń znalazły się: „niepokojące”, „chaotyczne”, „wyczerpujące”, „koszmarne” i „nerwowe”[12].

Cindy, siostra Kevina, też borykała się z problemami. Ta wspaniała gospodyni, uprawiająca ogród warzywny oraz piekąca przepyszne ciasta i ciasteczka, również przybrała na wadze; urodziła syna, lecz nie wyszła za mąż i wydawała się samotna. Brała leki i w końcu poddała się operacji w związku z otyłością, lecz przyjmowane środki farmakologiczne wywoływały u niej zmęczenie i któregoś razu Cindy zasnęła w pracy. Szpital ostrzegł, że na oddziale intensywnej opieki medycznej nie może tolerować pracownika, który przysypia,

gdy powinien nadzorować urządzenia. Za drugim razem została zwolniona. Później, w wieku pięćdziesięciu dwóch lat, idąc z samochodu do domu, dostała zawału i zmarła.

Od liceum Kevin popalał marihuanę, coraz więcej pił i zażywał metamfetaminę. Clayton powiedział, że gdy pojawiają się kłopoty z pracą i nie tylko, „człowiek zaczyna brać twarde narkotyki albo co tam jeszcze, próbując sobie poradzić z całym tym gównem”. Sytuację Kevina dodatkowo komplikowała jego porywczość. Była partnerka regularnie próbowała podrzucać mu dzieci na parę dni, czasami bez uprzedzenia. Raz chciała je u niego zostawić na weekend, gdy musiał iść do pracy.

– Nie da rady – powiedział jej Kevin, jak wspomina jego matka. – Musisz je zabrać z powrotem.

Gdy była partnerka odmówiła i próbowała wyjść, Kevin sięgnął po strzelbę.

– Wynoście się stąd – rozkazał.

Kobieta wezwała policję, która aresztowała Kevina. Skazano go za przestępstwa narkotykowe, co jeszcze bardziej utrudniło mu znalezienie pracy, mocno nadszarpnęło jego autorytet w oczach synów i poczucie własnej wartości.

W okolicy były miejsca pracy, lecz pracodawcy szukali ludzi z dyplomem ukończenia szkoły średniej i niekaranych. Z całą pewnością nie chcieli zatrudniać słabo wykształconych, otyłych mężczyzn z wyrokami za przestępstwa narkotykowe, a jeśli już Kevin spełniał ich warunki, proponowano mu zniechęcająco niskie wynagrodzenie. Nie mógł nawet marzyć o zdobyciu dobrze płatnej pracy fizycznej w rodzaju tej, dzięki której jego ojciec utrzymywał rodzinę.

Nabieramy coraz większego przekonania, że społeczeństwo powinno znacznie bardziej skupić się na miejscach pracy – z dwóch powodów. Po pierwsze, tworzenie etatów dla potrzebujących jest wyrazem bardziej zrównoważonej polityki niż wypłacanie im zasiłków. Po drugie, dla klasy robotniczej

praca często jest nie tylko źródłem dochodu. Opierają się na niej także poczucie własnej wartości i tożsamość. Socjolożka Michèle Lamont napisała w swojej książce *The Dignity of Working Men*, że w oczach białych mężczyzn z klasy robotniczej o ich wartości przesądza często uporządkowane życie, przez które rozumieją stałą pracę pozwalającą utrzymać rodzinę. Jest to źródłem ich dumy. Tak właśnie było w wypadku Toma Greena.

Ponieważ tożsamość i poczucie własnej wartości są ściśle związane z pracą, kiepsko płatna posada wciąż może być lepsza dla dobrostanu niż jej brak. W sondażach deklarowane poczucie szczęścia spada dziesięć razy bardziej wskutek utraty pracy niż utraty znacznej części dochodu. Długotrwale bezrobotni mężczyźni trzykrotnie częściej niż pozostali leczą się na depresję. Brak zatrudnienia wiąże się z problemami ze zdrowiem fizycznym i psychicznym, z rozwodami, zażywaniem opioidów i z samobójstwem. W kontekście tych wskaźników najważniejsza granica przebiega nie między zamożnymi a ubogimi pracownikami, lecz między ubogimi ludźmi mającymi pracę a ubogimi ludźmi, którzy jej nie mają[10].

Być może Kevin, otyły alimenciarz, który mierzył ze strzelby do byłej partnerki, nie wzbudza współczucia. Jak jednak napisał Oscar Wilde, „święty ma zwykle ciekawą przeszłość – grzesznik zaś przyszłość”[13]. Pod wieloma względami Kevin uosabia kryzys klasy robotniczej i utratę ducha wśród tych, którzy nie mogą zdobyć pracy nawet po latach rozkwitu gospodarczego i kończą pokonani przez rynek. To nie bohaterowie powieści Horatia Algera, lecz skomplikowani ludzie z krwi i kości, popełniający poważne błędy oraz patrzący na utratę swojej godności, nadziei i perspektyw.

Jak na ironię, skłonności autodestrukcyjne Kevina szły w parze z jego niezwykłą hojnością. Pewnego razu, przejeżdżając przez miasteczko Sheridan, zauważył

bezdomnego bez koszuli. Mężczyzna miał ramiona spalone przez słońce.

– Może włożyłbyś koszulę, żeby nie porobiły ci się bąble? – podsunął Kevin.

– Nie mam koszuli – odpowiedział mężczyzna.

– Trzymaj – powiedział Kevin, zdejmując własną. – Weź moją.

Gdyby nie pewne niefortunne zdarzenia, dominującym wątkiem w jego życiu mogłaby być właśnie ta hojność, a nie bezrobocie, aresztowania i ubóstwo.

Choć Kevin rzadko o tym wspominał, był też sfrustrowany z powodu drogi, jaką obrały jego dzieci. Poczynając od czwartej klasy, bliźniacy zaczęli pakować się w kłopoty, najpierw związane z drobnymi wykroczeniami, takimi jak kradzieże w szkole, a później z przestępstwami narkotykowymi, nadużyciami seksualnymi i łamaniem zasad zwolnienia warunkowego. Żaden z chłopaków nie skończył liceum. Rodzina Greenów, tak obiecująca w połowie lat siedemdziesiątych, gdy chodziliśmy do liceum, podupadła. Przyjaciele próbowali pomagać, oferując podwózki albo pracę (czasami Kevin rąbał drewno na opał mamie Nicka na rodzinnej farmie Kristofów), lecz problemy ze zdrowiem coraz bardziej utrudniały mu utrzymanie posady z prawdziwego zdarzenia. Takich udręczonych Kevinów są miliony w całych Stanach. Jak to ujął Langston Hughes, „w tym kraju marzenie znalazło się pod ścianą”.

Niektóre z tych opowieści kończą się tragicznie, lecz ta książka zrodziła się z nadziei. Dziadkowie Sheryl byli imigrantami, którzy uciekli z miasta Taishan na południu Chin i zaczęli nowe życie w Stanach Zjednoczonych. Otworzyli chińską restaurację. Mimo wrogości i dyskryminacji, w tym ustawy zakazującej osiedlania się Chińczyków w USA (Chinese Exclusion Act), rodzina inwestowała w edukację i posłała wnuczkę do trzech placówek z Ligi Bluszczowej,

dzięki czemu Sheryl zdobyła pracę w „The Wall Street Journal”, gdzie poznała młodego reportera „New York Timesa”, który wychował się na skromnej farmie niedaleko Yamhill w Oregonie.

Obydwoje jesteśmy dziećmi prosperity Stanów Zjednoczonych i skorzystaliśmy z możliwości, jakie stworzył nam ten kraj. Dzięki zamiłowaniu naszych rodziców do książek i nauki mogliśmy piąć się po szczeblach edukacji, będąc świadkami postępu, który zapiera dech w piersiach. Dziś osiemdziesiąt procent amerykańskich rodzin żyjących w ubóstwie ma przynajmniej jeden klimatyzator, podczas gdy w czasach naszego dzieciństwa nie miał go prawie nikt[14]. Dziś w dwóch trzecich ubogich domów jest kablówka albo telewizja satelitarna, a prawie trzy czwarte rodzin ma samochód. Służba zdrowia wciąż cechuje się głębokimi nierównościami, lecz postęp w medycynie oznacza, że nawet ubodzy otrzymują dziś lepszą opiekę niż, powiedzmy, rodzina prezydenta sto lat temu. W 1924 roku szesnastoletni syn Calvina Coolidge’a nabawił się odcisku, grając w tenisa na trawniku obok Białego Domu, i zmarł wskutek zakażenia.

Wreszcie trzeba wziąć pod uwagę, że gdy byliśmy mali, na południu kraju istniały osobne toalety i krany z wodą pitną dla czarnych i białych, związki jednopłciowe traktowano jako przestępstwo, w niektórych stanach antykoncepcja wciąż pozostawała nielegalna, a środowisko naturalne było tak zanieczyszczone, że w 1969 roku oleista rzeka Cuyahoga w Cleveland stanęła w płomieniach.

Dokonał się niezaprzeczalny postęp, który ośmiela nas do tego, byśmy zadali pytanie: dlaczego nie można dzielić zysków bardziej równomiernie? Dlaczego tak wielu ludzi zostaje w tyle i umiera w młodym wieku? Dlaczego niektóre trendy statystyczne, na przykład dotyczące oczekiwanej długości życia, są tak niepokojące? Dlaczego przedstawiciel ONZ do spraw skrajnego ubóstwa oprócz Mozambiku i Mauretanii nie odwiedzi także Alabamy? I dlaczego ostrzegł,

że obecnie Stany Zjednoczone mają najniższy wskaźnik mobilności społecznej wśród krajów zamożnych oraz że „amerykański sen gwałtownie zmienia się w amerykański miraż”?

Jesteśmy pewni, że Stany Zjednoczone stać na lepszy los, po części dlatego, że widzimy, jakie są możliwości. Pewne organizacje już teraz wykonują niezwykle cenną pracę, podejmując wyzwania i kształtując modele postępowania, które rząd powinien stosować na większą skalę. Nasze kraje partnerskie przetestowały skuteczne – nawet jeśli niedoskonałe – systemowe działania na rzecz wzmocnienia pozycji jednostek, a za ich pośrednictwem całych społeczności.

W 1962 roku młody pisarz Michael Harrington napisał książkę *Druga Ameryka*, odsłaniającą ubóstwo w Stanach Zjednoczonych. Tytuł ten odbił się głośnym echem w świecie. Harrington obnażył amerykańską nędzę, pisząc o niej jednak nie jak ktoś, kto krytykuje, lecz jak ktoś wierzący w możliwość zmiany. Choć nie zgadzamy się z częścią poglądów politycznych Harringtona, jego publikacja otworzyła ludziom oczy i wywołała ogólnokrajową debatę o niesprawiedliwości i biedzie. Kilka lat po wydaniu pomogła wypowiedzieć wojnę ubóstwu. My także, pisząc tę książkę, mamy nadzieję, że przypomnimy współobywatelom o istnieniu drugiej Ameryki, gdzie ludzie zmagają się z problemami i niepotrzebnie umierają, często niewidzialni dla reszty. „To, że biedni są niewidzialni, jest jedną z ich najważniejszych cech” – stwierdził Harrington, i dopóki pozostaje to prawdą, ich problemami zwyczajnie nikt się nie zajmie. Kardynał Kościoła rzymskokatolickiego Joseph Tobin ujął to tak: „Zaczynamy cierpieć na ogólnonarodową zaćmę”[15].

Sam Kevin nigdy nie chciał zostać zapamiętany wyłącznie jako ofiara olbrzymich, bezosobowych sił i przyznawał, że czasami dawał ciała. Nigdy też nie chciał, by szufladkowano

go jako „ubogiego” czy „pokrzywdzonego”, tak jak nie chce tego większość osób osiągających niskie dochody. Kevin nie zabiegałby o wasze współczucie. On i inni ludzie w podobnym położeniu są dumni i skomplikowani, nie chcą się zmieniać w karykatury mające budzić litość reszty. Tym, czego szukał Kevin, nie były współczucie ani jałmużna, lecz szacunek i porządna praca.

Był samotny i pod tym względem ucieleśniał wielki kryzys społeczny. Z natury towarzyski, tęsknił za swoimi dziećmi. Gdy zabrano mu prawo jazdy, nie mógł już swobodnie odwiedzać starych przyjaciół. Żył odizolowany na farmie, pozbawiony wsparcia, nie mając szans na spełnienie, które jego ojciec znajdował kiedyś w pracy. Tak, w robotniczej Ameryce doświadczamy epidemii samotności. Starsze instytucje wspólnotowe – kościoły, ligi kręglarskie, kółka pokerowe, takie kluby jak Elks[11] czy choćby imprezy w gronie rodziny lub przyjaciół – podupadły razem z więzami społecznymi. Zamiast iść ze znajomymi do kina, ludzie siedzą na kanapie i oglądają telewizję.

– Najbardziej rozpowszechnionym problemem, jaki widziałem, opiekując się pacjentami, nie była żadna z chorób serca ani cukrzyca – zauważył Vivek Murthy, były naczelny lekarz Stanów Zjednoczonych – lecz samotność. – Nazwał ją narastającą epidemią, która może prowadzić do stresu, infekcji, otyłości, cukrzycy, chorób serca i przedwczesnej śmierci. Być może jest to jeden z powodów, dla których liczba samobójstw jest teraz rekordowo wysoka. Murthy szacuje, że samotność i izolacja społeczna są jeszcze bardziej związane z przedwczesną śmiercią niż otyłość. Wpływają na długość życia mniej więcej tak, jak palenie piętnastu papierosów dziennie[16]. To dlatego w 2018 roku Wielka Brytania powołała ministra do spraw samotności.

Nazwijmy to ubóstwem społecznym. Amerykanie rozumieją ubóstwo jako brak dochodu, lecz porażka edukacyjna, rozpad więzi i dysfunkcje społeczne skutecznie

niszczą godność jednostki i jej szacunek do samej siebie oraz wywołują stres i cykliczne zachowania autodestrukcyjne okaleczające całe rodziny. Jedną z konsekwencji jest osłabienie zaufania, któremu towarzyszy wzrost poczucia osamotnienia. Kevin usiłował znaleźć cel w życiu i szacunek do samego siebie, zwłaszcza gdy odeszła od niego kobieta. W wypadku jego ojca poczucie godności brało się z pracy i z roli głowy rodziny, lecz Kevin nie mógł czerpać satysfakcji z żadnego z tych źródeł. Bezrobotni mężczyźni często po prostu siedzą bezczynnie i popadają w przygnębienie: w jednym z badań zaobserwowano, że poświęcają zaledwie dziewięć dodatkowych minut dziennie na opiekę nad dziećmi albo osobami starszymi, za to średnio pięć godzin dziennie oglądają telewizję. Nic dziwnego, że utracie pracy towarzyszą rozwody.

Problemy Kevina się pogłębiły, ponieważ bez żony i rodziny miał większą skłonność do traktowania pączków i napojów gazowanych jako podstawy swojej diety. Przytył do stu sześćdziesięciu kilogramów. W Kanadzie albo Europie jego problemy z cukrzycą i układem moczowym dałoby się rozwiązać, lecz w Stanach Kevin raz po raz tracił ubezpieczenie zdrowotne. Oddziały ratunkowe nie mogą leczyć chronicznych dolegliwości. Jego stan coraz bardziej się pogarszał; do problemów z sercem doszło uszkodzenie wątroby będące skutkiem picia alkoholu.

W końcu Kevinowi udało się zdobyć oregońską wersję Medicaid, co ułatwiło mu dostęp do lekarzy, lecz nastąpiło to chyba zbyt późno. Choć przepisano mu rozliczne leki, miał trudności z wypełnianiem zaleceń medycznych. Wciąż czerpał przyjemność z wędkowania nad jeziorem Hagg albo nad rzeką Yamhill, ale z powodu problemów z sercem robił to coraz rzadziej.

– On chodził z tobą do klasy, tato? – zdziwiła się nasza córka, gdy zobaczyła Kevina. – Wygląda o wiele starzej niż ty.

Otyłość utrudniała Kevinowi chodzenie i wykonywanie nawet najbardziej podstawowych obowiązków domowych, nie mówiąc o znalezieniu pracy. Potem szczepionka przeciwko grypie pogłębiła jego problemy ze zdrowiem.

Zimą na przełomie lat 2014 i 2015 organy wewnętrzne Kevina zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia wypuszczono go ze szpitala z wiadomością, że jego życie dobiega końca.

– Dlaczego płaczesz? – spytał go Clayton.

– Zostało mi tylko dwa i pół tygodnia – odpowiedział Kevin przez łzy.

Clayton, który dawniej bił się ze starszym bratem na pięści, otoczył go opieką i miłością. Oglądali razem filmy, rozmawiali o życiu i o tym, czego w nim nie zrobili, a teraz żałują. Kevin znów mieszkał na farmie, na której się wychował, w domu, który kiedyś odzwierciedlał nadzieje Greenów na lepszą przyszłość. W testamencie zapisał narzędzia synom, wyrażając życzenie, by wyszli na prostą, a maleńką kwotę na koncie emerytalnym przeznaczył na zapłatę za swoją kremację.

4

Amerykańska arystokracja

> Każda sztuka wyprodukowanej broni palnej, każdy zwodowany okręt, każda wystrzelona rakieta to w ostatecznym rozrachunku okradanie tych, którzy są głodni i nikt ich nie karmi, którym jest zimno i nikt ich nie ubiera.
>
> Dwight Eisenhower

Największą chlubą Stanów Zjednoczonych w historii był brak systemu klasowego oraz to, że każdy ma tu szansę na sukces. Przystępując do analizy naszego narodu, należy jednak przyznać, że obecnie mamy hierarchię klasową, a Greenowie i Knappowie znajdują się na samym jej dole. Nową amerykańską arystokracją są miliarderzy pokroju Jeffa Bezosa, zaś tacy ludzie jak Kristofowie, WuDunnowie i prawdopodobnie wszyscy Amerykanie, którzy sięgnęli po tę książkę, tworzą nową klasę uprzywilejowaną. Ta dwudziestopierwszowieczna wersja feudalizmu opiera się nie tylko na pieniądzach, lecz także na dostępie do edukacji oraz na możliwości przekazania swoim dzieciom przywilejów i wartości. Dzieci jednego procenta najbogatszych rodzin mają siedemdziesięciosiedmiokrotnie większe szanse na naukę w college'u z Ligi Bluszczowej niż dzieci z dolnych dwudziestu procent[1].

Pisarz Matthew Stewart zauważył, że w dawnych arystokracjach bogaci byli lepiej odżywieni i dzięki temu odróżniali się fizycznie od niedojadających, skarłowaciałych mas. W dziewiętnastowiecznej Anglii szesnastolatki z klasy wyższej były o dwadzieścia centymetrów wyższe niż chłopcy z niższych warstw społecznych. W dzisiejszych czasach różnica w wyglądzie nie wiąże się ze wzrostem, lecz z otyłością, cukrzycą oraz chorobami serca i wątroby – wszystkie te przypadłości są bowiem co najmniej dwukrotnie

częstsze wśród Amerykanów osiągających niskie dochody niż wśród ich bogatych rodaków.

W epoce feudalnej panowie mieszkali we dworach, a wieśniacy pracowali w polu. Wciąż słychać echa takiego układu: dyrektor generalny przedsiębiorstwa rolnego ma do dyspozycji prywatny odrzutowiec, a zwykli pracownicy harujący przy taśmie montażowej noszą pieluchy dla dorosłych, ponieważ nie dostają odpowiedniej liczby przerw na skorzystanie z toalety. Tak ponoć zdarzało się w amerykańskich zakładach przetwórstwa drobiu. W 2019 roku Kenneth Griffin, menedżer funduszu hedgingowego, kupił najdroższy dom, jaki kiedykolwiek sprzedano w Stanach Zjednoczonych, penthouse o powierzchni dwóch tysięcy dwustu trzydziestu metrów kwadratowych przy Central Park South na Manhattanie. Zapłacił za niego dwieście trzydzieści osiem milionów dolarów – dzięki uldze podatkowej dla właścicieli mieszkań w najlepszych lokalizacjach będzie jednak płacił od niego taki podatek, jakby jego nieruchomość była warta zaledwie dziewięć milionów czterysta. Na Florydzie pewien deweloper kończy budowę domu wzorowanego na pałacu w Wersalu, wyposażonego w jedenaście kuchni, pięć basenów i garaż na trzydzieści samochodów. Są to pomniki dzisiejszego braku równości, tak samo jak Wersal w czasach ancien régime’u. Podobnie jak w okresie feudalizmu, potrzebą najwyższej wagi jest nie tylko redystrybucja dochodów generowanych w ramach niesprawiedliwego systemu, lecz także restrukturyzacja zasad, która pozwoli stworzyć sprawiedliwsze społeczeństwo i da większe szanse tym na dole hierarchii.

Ponad sto lat temu Theodore Roosevelt opisał podobny kryzys: „Dokładnie tak jak grupy nacisku związane z uprawą bawełny i niewolnictwem zagrażały naszej integralności politycznej przed wojną secesyjną, tak teraz grupy nacisku związane z wielkim biznesem zbyt często kontrolują i psują ludzi oraz metody działania rządu dla własnych korzyści […]. Nieskuteczność państwa oraz nieograniczone możliwości

nieuczciwego zarabiania pieniędzy, zwłaszcza na poziomie krajowym, doprowadziły do powstania małej klasy ludzi ogromnie zamożnych i wpływowych gospodarczo, których najważniejszym celem jest posiadanie i rozszerzanie władzy. Najważniejszą potrzebą jest zatem zmiana warunków umożliwiających tym ludziom akumulację władzy”.

Jak to ujął Horace Mann, edukacja powinna być „wielkim zrównywaczem szans”. Obydwoje skorzystaliśmy z systemu kształcenia, który w latach sześćdziesiątych stał się bardziej merytokratyczny. Później jednak nasze pokolenie stworzyło nową elitarną kastę opierającą się po części na olbrzymich rodzicielskich inwestycjach w dzieci. Dzisiejsi młodzi ludzie idą do college’ów z Ligi Bluszczowej dzięki doskonałym wynikom w teście kompetencji dla uczniów szkół średnich (SAT), lecz osiągają takie wyniki, ponieważ rodzice od niemowlęctwa czytają im książki, od najmłodszych lat posyłają ich na zajęcia dodatkowe oraz wydają tysiące dolarów na przygotowanie do SAT. Ivy Coach, przedsiębiorstwo z siedzibą w Nowym Jorku, inkasuje półtora miliona dolarów za pięcioletni pakiet: dobór odpowiedniej dla dziecka szkoły z internatem i gwarancję doskonałego wyniku egzaminu oraz dostania się do renomowanego college’u – i najwyraźniej to działa[12]. Brakuje miejsca dla niesfornych, bystrych dzieciaków, których rodzice nie mają w domu ani jednej książki i podchodzą obojętnie do kształcenia. Być może dostanie się do college’u zależy od kryteriów, które wydają się obiektywne, na przykład od ocen i liczby punktów, lecz weźmy pod uwagę, że college kończy siedemdziesiąt siedem procent dzieci z górnego kwartyla dochodów i tylko dziesięć procent dzieci z dolnego kwartyla[2]. Ma to olbrzymie znaczenie w kontekście osiągnięć życiowych i mobilności społecznej: dyplom college’u jest wart średnio dodatkowe osiemset tysięcy dolarów zarabianych w ciągu całego życia[3]. W Kanadzie, gdzie nie występują tak ogromne nierówności w zakresie edukacji, dzieci z rodzin o niskich dochodach mają mniej więcej dwukrotnie większe szanse na osiągnięcie

wyższych dochodów niż ich rówieśnicy ze Stanów[4]. Jak stwierdzono w „The Chronicle od Higher Education”, amerykański system kształcenia jest obecnie „machiną nierówności”[5].

W większości krajów publiczny system edukacji przeznacza więcej zasobów na kształcenie dzieci nieuprzywilejowanych niż bogatych. W Stanach Zjednoczonych finansuje się szkoły publiczne z lokalnych podatków od nieruchomości, a zatem zamożne przedmieścia korzystają ze znakomitych placówek otwierających drogę na najlepsze uniwersytety, zaś dzieci z ubogich środowisk męczą się w trzeciorzędnych szkołach, w których często pracują najgorsi nauczyciele. Przeszło sześćdziesiąt pięć lat po sprawie Brown przeciwko kuratorium oświaty w Topece[13] wciąż utrzymują się kolosalne dysproporcje na tle rasowym w zakresie kształcenia publicznego, i jest to problem dotyczący praw obywatelskich, którym powinniśmy się zająć w tym stuleciu. Od 1988 roku amerykańskie szkoły się uwsteczniają, popadając w coraz większą segregację rasową. Obecnie piętnaście procent czarnoskórych uczniów uczęszcza do „szkół apartheidowych”, w których najwyżej jeden procent uczniów ma białą skórę, i mają gorsze wyniki niż uczniowie placówek zintegrowanych[6]. Pod względem umiejętności czytania czarni uczniowie są średnio dwa poziomy niżej niż biali, a dzieci z ubogich dzielnic cztery poziomy niżej niż te z zamożnych. „Po cichu i subtelnie przeciwnicy integracji odnieśli zwycięstwo” – pisze Rucker C. Johnson w swojej książce *Children of the Dream* [Dzieci z marzenia], poświęconej integracji w szkołach[7].

W 1973 roku dotarliśmy do historycznego rozstaju dróg. Zabrakło wówczas tylko jednego głosu, by w sprawie Niezależny Okręg Szkolny San Antonio przeciwko Demetriowi Rodriguezowi zniesiono opisany wyżej system finansowania szkolnictwa. Gdyby uznano go za niezgodny z konstytucją, amerykańska edukacja bardziej przypominałaby systemy europejskie oraz kanadyjski i stalibyśmy się bardziej

egalitarnym krajem. Sąd Najwyższy oparł swoją decyzję o utrzymaniu dotychczasowego sposobu finansowania placówek edukacyjnych między innymi na przekonaniu, że uboższe szkoły nie muszą osiągać gorszych wyników. Liczne dowody pokazują jednak, że jest to przekonanie tak samo mylne jak doktryna „oddzielne, lecz równe” z 1896 roku[14].

Najlepsze publiczne szkoły podstawowe w Kalifornii znajdują się w Palo Alto i są dostępne dla każdego, kogo stać na dom w dzielnicy, gdzie mediana cen takich nieruchomości przekracza trzy miliony dolarów. W sąsiednim East Palo Alto, o wiele uboższym i zamieszkanym przez mniejszości, dzieci chodzą do gorszych szkół, które prowadzą je ku gorszej przyszłości. Andrew Cuomo, będąc jeszcze gubernatorem, powiedział nam, że w stanie Nowy Jork wydatki na szkoły publiczne w przeliczeniu na jednego ucznia wahają się od jedenastu do trzydziestu trzech tysięcy dolarów, a dzieci z zamożnych przedmieść dostają wyższe kwoty.

– Musimy skończyć z tą dysproporcją – powiedział. Przyznał jednak, że politycy wolą trzymać się z daleka od tak kontrowersyjnego problemu.

Hipokryzja liberałów także ma w tym pewien udział. Sami są zamożni i nie agitują na rzecz zajęcia się nierównym finansowaniem szkół, ponieważ ich dzieci uczęszczają do elitarnych placówek otrzymujących od państwa wysokie kwoty.

Pewne elementy współczesnego amerykańskiego feudalizmu są już tak zakorzenione w społeczeństwie, że nie zwracamy na nie uwagi. W Stanach Zjednoczonych dentystom płaci się znacznie więcej niż w Kanadzie czy w Europie, toteż wielu Amerykanów nie stać na leczenie zębów – między innymi dlatego, że lobby stomatologiczne zaciekle walczyło o zablokowanie specjalistom do spraw techniki dentystycznej (funkcjonującym w pięćdziesięciu innych krajach) możliwości świadczenia tanich, prostych usług, nawet na obszarach wiejskich, gdzie dentystów jest zbyt mało.

Amerykanie latający klasą ekonomiczną subwencjonują potentatów latających prywatnymi odrzutowcami, ponieważ system kontroli lotów jest finansowany z biletów komercyjnych. Przepisy dotyczące amortyzacji podatkowej sprawiają, że pasażerowie linii lotniczych subwencjonują też zakup prywatnych samolotów. Wszyscy wiedzą, ile kosztują bony żywnościowe dla ubogich, lecz niewiele osób ma świadomość, że przeciętny podatnik finansuje także dyrektorów korporacji, którzy mogą odliczyć sobie od podatku elegancką kolację we francuskiej restauracji.

Ludzie martwią się oszukiwaniem na bonach żywnościowych (wskaźnik występowania nadużyć jest na poziomie półtora procent)[8], ale nie mają świadomości, że miliarderzy ukrywają majątki za granicą, pozbawiając skarb państwa około trzydziestu sześciu miliardów dolarów rocznie z tytułu podatków – to wystarczająco dużo, by opłacić wysokiej jakości opiekę w żłobkach i przedszkolach dla wszystkich obywateli[9]. Joseph Stiglitz, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, powiedział, że „pomyliliśmy ciężką pracę nad gromadzeniem majątku z zagarnianiem majątku”[10].

Podczas gdy w niektórych dziedzinach nowa arystokracja otwiera się na kobiety, w innych, takich jak finanse, pozostaje bastionem białych mężczyzn. Kobiety stanowią zaledwie dwa procent wspólników w przedsiębiorstwach wysokiego ryzyka i – prawdopodobnie nieprzypadkowo – tylko około dwóch procent kapitału wysokiego ryzyka płynie do przedsiębiorstw zakładanych przez kobiety. Zaledwie 0,2 procent amerykańskiego kapitału wysokiego ryzyka trafia do przedsiębiorstw założonych przez Afroamerykanki. Facebook, Google i Amazon osiągnęły zawrotny sukces trochę dlatego, że stworzyli je ambitni, genialni wizjonerzy, a trochę dlatego, że ci wizjonerzy byli białymi mężczyznami z dostępem do kapitału.

Dawna arystokracja feudalna utrzymywała swoje bogactwo dzięki ustalonym zasadom oraz normom. Dzisiejsza nowa

arystokracja czyni podobnie. Istnieją ulgi dla zamożnych, takie jak luka podatkowa obejmująca opodatkowanie udziału w zyskach według stawki podatku od zysków kapitałowych zamiast podatku dochodowego albo dopłaty do kredytów na zakup jachtów. Według niektórych szacunków korporacyjne subwencje, kredyty i luki podatkowe są o pięćdziesiąt procent większe niż programy pomocowe dla ubogich (nie uwzględniając Medicare[15] i Medicaid)[11]. Część innych dopłat jest wręcz kuriozalna: przyprowadź na swoje pole golfowe kilka kóz, a będziesz mógł zaklasyfikować to pole jako grunty rolne, tak jak prezydent Trump, i oszczędzić olbrzymie kwoty na podatkach.

Kodeks podatkowy zaczął służyć interesom zamożnych ludzi na wiele innych sposobów. Z dokumentów zdobytych przez „New York Timesa" wynika, że Jared Kushner rok w rok nie płaci ani centa federalnego podatku dochodowego, mimo że wartość jego majątku netto wzrosła pięciokrotnie – do ponad trzystu milionów dolarów. W 2015 roku osiągnął dochód w wysokości miliona siedmiuset tysięcy dolarów. To wszystko jest najzupełniej legalne, ponieważ lobbyści wywalczyli luki podatkowe dla potentatów na rynku nieruchomości. Dozorcy w budynkach nie mają tak sprytnych furtek, by uniknąć płacenia podatków. Amazon także nie zapłacił ani centa federalnego podatku dochodowego w 2018 roku, mimo że osiągnął zysk w wysokości jedenastu miliardów dwustu milionów dolarów[12]. Zdołał za to uzyskać sto dwadzieścia dziewięć milionów „zwrotu" z tytułu podatków. Oznacza to faktyczną stawkę podatkową równą minus jeden procent. Coś jest nie tak z amerykańską strukturą podatkową, skoro pracujący niezamożni ludzie płacą podatki, by rząd federalny mógł przekazywać pieniądze gigantowi e-commerce należącemu do najbogatszego człowieka na świecie.

Do tego dochodzą wprowadzane na szczeblu stanowym i lokalnym programy wsparcia gospodarczego, często w ogóle nieupubliczniane. Oregon przyznał firmie Nike dwa miliardy

dolarów na stworzenie pięciuset miejsc pracy, czyli cztery miliony za jedno miejsce. Luizjana zapłaciła piętnaście milionów dolarów za każde z piętnastu miejsc pracy w Valero Energy. W 2013 roku stan Waszyngton przyznał Boeingowi dopłaty w wysokości ośmiu miliardów siedmiuset milionów dolarów rozłożone na szesnaście lat – to największa kwota, jaką kiedykolwiek przyznano przedsiębiorstwu. Tymczasem pod koniec kwietnia 2016 roku Boeing zwolnił pięć tysięcy sześciuset pracowników[13].

Amerykanie płacą miesięcznie około trzydziestu dolarów więcej za korzystanie ze smartfonów niż Europejczycy, choć otrzymują usługi tej samej jakości. Badacze uważają, że dzieje się tak, ponieważ regulatorzy rynków w Europie prowadzą bardziej stanowczą politykę antymonopolową, podczas gdy amerykańskie instytucje ochrony konkurencji i konsumentów od ćwierć wieku tkwią w bezczynności. „Stany Zjednoczone wynalazły politykę antymonopolową i przez dziesięciolecia były pionierami w jej egzekwowaniu – napisał Luigi Zingales, wykładający finanse na Uniwersytecie Chicagowskim. – To już przeszłość”[14].

Bogacze walczyli też o obcięcie środków dla Amerykańskiego Urzędu Skarbowego, a tym samym – unieszkodliwienie go, by nie miał zasobów pozwalających kontrolować wątpliwe odliczenia od podatku ani z nimi walczyć. Kontroluje się zaledwie około sześciu procent zwrotów podatku osób osiągających dochody wyższe niż milion dolarów oraz 0,7 procent zwrotów podatku dla przedsiębiorstw. Istnieje natomiast pewna grupa, którą urząd skarbowy nadzoruje bardzo rygorystycznie: są to osoby pracujące z dochodami poniżej dwudziestu tysięcy dolarów rocznie, które korzystają z odliczenia od podatku dochodowego. Z trudem wiążą one koniec z końcem, lecz to właśnie na nich skupia się ponad jedna trzecia kontroli podatkowych. Tymczasem za ponad połowę wszystkich niezgłoszonych dochodów odpowiada najbogatsze pięć procent podatników[15]. Ogólnie rzecz biorąc, postępowania

karne w sprawie oszustw podatkowych są teraz niezmiernie rzadkie: to zaledwie jeden przypadek na trzysta osiemdziesiąt pięć tysięcy gospodarstw domowych. Każdy dolar zainwestowany w Urząd Skarbowy i przeznaczony na kontrole przynosi państwu dwieście dolarów przychodu – i właśnie dlatego tak wielu bogaczy chce ograniczyć te inwestycje, udając, że działają w interesie zwykłych ludzi.

Sądownictwo karne to doskonały przykład systemu o podwójnych standardach. Zapłać trefnym czekiem, a możesz skończyć z wyrokiem za poważne przestępstwo, trafić do więzienia i stracić dzieci. Ale popełnij przestępstwo w rodzaju uchylania się od płacenia podatków albo oszustwa finansowego, a w większości wypadków to ci się opłaci. Nawet jeśli zostaniesz postawiony w stan oskarżenia i skazany, jest bardzo mało prawdopodobne, że trafisz za kraty. Na przykład Joel Sanders, były dyrektor finansowy w kancelarii prawnej Dewey & LeBoeuf, został skazany w 2017 roku za przestępstwa związane z udziałem w oszustwie podczas pracy w tej kancelarii, która ostatecznie zbankrutowała. Na mocy bardzo osobliwej ugody Sandersa nie posłano do więzienia, lecz nakazano mu zapłacić milion dolarów grzywny w ciągu trzech lat. Sanders znalazł nową pracę na stanowisku dyrektora operacyjnego w innym przedsiębiorstwie, gdzie według biura prokuratora okręgowego Manhattanu zarabiał trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów rocznie, a także zachował dom na Long Island, apartament na najwyższym piętrze w Miami z widokiem na ocean i około miliona dolarów w płynnych aktywach. Ponadto wziął w leasing dwa luksusowe pojazdy, audi i mercedesa. Mimo to w 2018 roku jego adwokat złożył wniosek o anulowanie grzywny, podając w uzasadnieniu, że „byłaby ona nadmiernym obciążeniem” dla Sandersa i jego rodziny[16].

Jak zauważyła w swoim ostatnim wpisie na Facebooku Heather Heyer, młoda kobieta zabita przez białego rasistę

w Charlottesville w Wirginii w 2017 roku: „Jeśli was to nie oburza, nie zwracacie na to uwagi”.

Podróżując po współczesnych państwach feudalnych, na przykład po Pakistanie, byliśmy zawstydzeni przepaścią między światowym życiem toczącym się na odgrodzonych drutem kolczastym osiedlach a walką o przetrwanie trwającą w otaczających je slumsach. Wydawało się nam niedorzeczne, że potentaci jeżdżą mercedesami po drogach pożłobionych głębokimi koleinami. A jednak właśnie w takim kierunku zmierza nasz kraj, w którym ogranicza się środki finansowe na dobra publiczne, na przykład parki i biblioteki. Dlatego zamożni Amerykanie stworzyli sobie własne rozwiązania.

Poziom w szkołach publicznych spada? Poślij dziecko do szkoły prywatnej – arystokracja tak właśnie robi. Jeśli pogarsza się poziom bezpieczeństwa publicznego, zamieszkaj na strzeżonym, zamkniętym osiedlu albo zdaj się na prywatnego ochroniarza. Jeśli na publicznym basenie robi się zbyt tłoczno albo obowiązują coraz krótsze godziny otwarcia, zbuduj sobie basen za domem albo kup domek letniskowy. Gdy na lotniskach robi się nie do wytrzymania, lataj prywatnymi samolotami. Gdy sieć energetyczna staje się zawodna, kup sobie generator prądu. Gdy metro ciągle się spóźnia, przesiądź się do ubera.

Philip Alston, specjalny sprawozdawca ONZ do spraw skrajnego ubóstwa i praw człowieka, zjeździł część najbiedniejszych i pogrążonych w największej beznadziei krajów na świecie, by zwrócić uwagę na globalne ubóstwo. Badał jednak również Stany Zjednoczone i ze zdumieniem oraz zjadliwością pisał o zgodzie Amerykanów na biedę i brak równości. „Stany Zjednoczone już wiodą prym wśród krajów wysoko rozwiniętych pod względem nierówności dochodów i majątku, a teraz robią, co w ich mocy, aby tę przepaść pogłębić”[17] – oznajmił. Wezwał Stany Zjednoczone zwłaszcza do „dekryminalizacji ubóstwa”. Warto zacytować dłuższy fragment jego sprawozdania:

Karanie i więzienie ubogich to typowo amerykańska reakcja na ubóstwo w XXI wieku. Do więzień trafiają pracownicy, którzy nie mogą spłacić swoich długów, ludzie, których nie stać na prywatnego kuratora, członkowie mniejszości karani za naruszenie przepisów drogowych, bezdomni, osoby z zaburzeniami psychicznymi, ojcowie, którzy nie są w stanie płacić alimentów, oraz wielu innych ludzi. Masowe zamykanie w więzieniach stosuje się po to, by problemy społeczne stały się tymczasowo niewidzialne oraz by stworzyć złudzenie, że podejmuje się jakieś działania.

Trudno sobie wyobrazić bardziej nieskuteczną strategię. Rządy federalne, stanowe, okręgowe i miejskie ponoszą ogromne koszty działalności aresztów i więzień. Czasem te koszty „odzyskuje się” od osadzonych, a koło ubóstwa i rozpaczy się zamyka. Jako osobom karanym jeszcze trudniej jest im znaleźć pracę, mieszkanie, stabilizację i samowystarczalność. Niszczy się rodziny, dzieci pozbawia rodziców, a ciężar dźwigany przez rządy rośnie […]. W Stanach Zjednoczonych należy aresztować ubóstwo, a nie ubogich tylko dlatego, że są ubodzy[18].

Stany Zjednoczone są nastawione do związków zawodowych w sektorze prywatnym bardziej wrogo niż inne kraje. Niespełna siedem procent pracowników tego sektora należy obecnie do związku zawodowego – to jeden z powodów, dla których prawie połowa miejsc pracy w Stanach Zjednoczonych daje zarobki poniżej piętnastu dolarów za godzinę[19]. Zastanówmy się nad słowami: „Praca poprzedza kapitał i jest od niego niezależna. Kapitał to jedynie owoc pracy i nigdy nie mógłby istnieć, gdyby najpierw nie istniała praca. Praca jest nadrzędna względem kapitału i zasługuje na znacznie większą uwagę”[20]. Czy to słowa Karola Marksa, Eugene’a Debsa, Berniego Sandersa albo innego socjalisty? Otóż nie, wypowiedział je Abraham Lincoln w swoim pierwszym orędziu o stanie państwa. A jednak w ostatnich dekadach system polityczny bardziej nastawił się na biznes i stał się podejrzliwy wobec pracy.

– Ten kraj to kloaka stosunków pracy. W Europie jest znacznie lepiej – oznajmił nam Richard Trumka, przewodniczący Amerykańskiej Federacji Pracy i Kongresu Organizacji Przemysłowych (AFL-CIO). Twierdzi, że członkostwo w związku zawodowym pozwala białemu mężczyźnie zarobić o trzydzieści procent więcej, a w przypadku kobiet i osób o innym kolorze skóry ta korzyść jest nawet nieco wyższa.

Utrzymywanie nadmiaru pracowników pod naciskiem związków zawodowych było faktem, lecz teraz zastąpiono je utrzymywaniem nadmiaru korporacji i znaczną ingerencją w wolny rynek. Umowy, w których zapisuje się zakaz konkurencji, uniemożliwiające pracownikowi zdobycie pracy w konkurencyjnym przedsiębiorstwie (dotyczy to nawet szeregowych miejsc pracy w fast foodach), ograniczają około osiemnastu procent amerykańskich pracowników, czyli trzydzieści milionów osób. Dzięki tym zapisom olbrzymie korporacje zastraszają pracowników, zmniejszają ich mobilność i utrzymują koszty pracy na niskim poziomie[21]. Ekonomiści szacują, że wzrost nierówności wynagrodzeń aż w jednej trzeciej wynika z osłabienia związków zawodowych.

W Danii, po części dzięki silnym związkom zawodowym, pracownicy McDonalda zarabiają dwadzieścia dolarów za godzinę, korzystają z płatnego urlopu macierzyńskiego i ojcowskiego, z płatnych nadgodzin, z grafików pracy układanych z czterotygodniowym wyprzedzeniem, z planów emerytalnych i pięciu tygodni płatnego urlopu wypoczynkowego w roku. Zauważmy też, że choć podatki są tam wysokie, przeciętny Duńczyk pracuje o jedną piątą krócej w skali roku niż przeciętny Amerykanin.

Podzieliliśmy się kiedyś z Alanem Kruegerem, nieżyjącym już ekonomistą z Uniwersytetu w Princeton i byłym przewodniczącym Rady Doradców Ekonomicznych Białego Domu, spostrzeżeniem, że amerykańska gospodarka ma coraz bardziej niesprawiedliwą strukturę, przynoszącą korzyści korporacjom i krzywdzącą zwykłych obywateli. Myśleliśmy, że zaprzeczy, ale całkowicie się z nami zgodził.

– Gospodarka jest zmanipulowana – powiedział.

To z kolei odzwierciedla politykę pogłębiającą nierówności: orzeczenie Sądu Najwyższego w sprawie Citizens United i w innych powiązanych z nią sprawach w praktyce legalizuje łapówkarstwo. Na mocy tej decyzji korporacje i inne podmioty mogą bez żadnych ograniczeń

wydawać „niezależne” pieniądze na kampanie polityczne. Te zalegalizowane łapówki wzmacniają wzajemne powiązania między przedsiębiorstwami, Kongresem i urzędami federalnymi. Spośród wyższego personelu kongresowego, który pracował nad ustawą Dodda–Franka z 2010 roku o nadzorze nad branżą finansową, czterdzieści procent osób podjęło później pracę na rzecz przedsiębiorstw finansowych, których działalność miały rzekomo regulować[22].

– Amerykanie uważają, że system jest zupełnie zmanipulowany – powiedział nam Fred Wertheimer, wieloletni ekspert w dziedzinie etyki rządowej. – I mają rację.

Można by pomyśleć, że w demokracji nierówności ekonomiczne regulują się samoczynnie, ponieważ niepokoją albo oburzają opinię publiczną, a to skutkuje wprowadzeniem podatków albo zastosowaniem innych narzędzi politycznych mających zniwelować różnice w dochodach. Nieczęsto się tak jednak zdarza. Badania wskazują, że na całym świecie akumulacja majątku często prowadzi także do akumulacji władzy, którą następnie zaprzęga się do powiększania tego majątku. Właśnie taki proces obserwujemy w Stanach Zjednoczonych. Nasz system polityczny docenia ogromne datki, więc politycy tworzą korzyści dla bogatych, a ci z kolei nagradzają polityków. Czy to coś innego niż średniowieczna symbioza króla z arystokracją, podnosząca rangę tych, którzy uciskali chłopstwo, chlubiąc się jednocześnie swoją wielkodusznością i utyskując na wieśniaczą moralność?

5

Jak Ameryka zeszła na złą drogę

Głodni i bezrobotni to budulec dyktatur.

Franklin Delano Roosevelt, orędzie o stanie państwa, 1944

Kevin Green zmarł w domu w styczniu 2015 roku, trzy tygodnie po wyjściu ze szpitala. Miał pięćdziesiąt cztery lata. Bardzo wiele się zmieniło od czasów, gdy był wysportowanym biegaczem przełajowym ze świetlaną przyszłością.

Wkrótce po pożegnaniu Kevina umierać zaczął nasz wspólny przyjaciel Rick „Rykoszet" Goff. Całe życie pił, zażywał narkotyki i zaniedbywał zdrowie. Rykoszet był bystry, lecz wydalono go ze szkoły w ósmej klasie (kara za wagarowanie!) i już nigdy się po tym nie pozbierał.

Później Mary Mayor, w której Nick podkochiwał się w siódmej klasie – urocza dziewczyna o kruczoczarnych włosach, córka myśliwego pracującego dla hrabstwa – zeszła na złą drogę. Mary była mądra, pracowita i niesamowicie zaradna: gdy skończyła trzecią klasę liceum i jej rodzice się przeprowadzili, chciała kontynuować naukę razem z przyjaciółmi, więc zdobyła pracę w kawiarni w Yamhill, wynajęła pokój i uzyskała średnie wykształcenie o własnych siłach. Wkrótce jednak porwała ją fala bezrobocia, rozpaczy, alkoholu i narkotyków przetaczająca się przez te okolice. Mary nie otrzymała pomocy, której potrzebowała. Przez siedem lat była bezdomna, a raz włożyła lufę do ust, żeby ze sobą skończyć. Jej siostra i troje innych krewnych popełnili wcześniej samobójstwo. Już miała pociągnąć za spust, lecz pomyślała o swojej córce i zastygła. Postanowiła walczyć dalej. W końcu z pomocą lokalnego kościoła zdołała zacząć od nowa. Teraz jest trzeźwa i nie zażywa narkotyków, zarabia na życie, sprzedając własnoręcznie wykonane budki dla ptaków,

ale po latach picia cierpi na zapalenie trzustki. Z wielkim zawstydzeniem dzieliła się z nami szczegółami swojej przeszłości, lecz zgodziła się na to, ponieważ pragnie, by Amerykanie ujrzeli w osobach borykających się z problemami prawdziwych ludzi.



Mary Mayor po wspaniałym zwycięstwie nad alkoholem, narkotykami i bezdomnością. Trzyma jedną z budek dla ptaków, które robi, by się utrzymać

Fot. Nicholas Kristof

– Wolałabym, żeby moje życie osobiste pozostało sferą prywatną – przyznała – ale jednocześnie chcę, żeby inni wiedzieli, jak to jest nie mieć domu i zastanawiać się, kiedy znowu uda się coś zjeść.

Kevin, Rykoszet i Mary byli dobrymi, zdolnymi, troskliwymi ludźmi, którzy ugrzęźli w bagnie ogromnych zmian gospodarczych – a potem przekazali to brzemię następnemu pokoleniu. Ich dzieci zmagają się teraz z własnymi demonami uzależnienia, bezrobocia albo więzienia. Owszem, ludzie dokonują złych wyborów, niekiedy schodzą na drogę przestępstwa. Powiedzieć jednak, że indywidualne zachowania są tu sednem problemu, to trochę tak, jakby uznać, że umieranie alkoholików w upadającym Związku Radzieckim wynikało z ich jednostkowego zepsucia.

W obu wypadkach złe decyzje były przejawem niemocy gospodarczej. W białej Ameryce cały impet tego zjawiska skupił się na tych, którzy osiągnęli pełnoletniość pod koniec lat siedemdziesiątych albo później. Irene Green straciła Thomasa juniora, Cindy i Kevina, lecz sama jako osiemdziesięciolatka zachowała sprawne ciało i umysł. Jej matka zmarła niedawno, w wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat. Młodsze pokolenia Greenów borykały się ze znacznie większymi problemami niż one obie i ilekroć patrzyło się na osoby siedzące przy stole w ich domu rodzinnym, można było zobaczyć pogarszający się dobrostan amerykańskiej klasy robotniczej – oraz coraz krótszą średnią długość życia Amerykanów. Tym, co widzieliśmy, była tragedia nie tylko jednej rodziny, lecz całego kraju, który nie może zrealizować swojego potencjału, gdy nie ma dostępu do pełni możliwości.

Nie jest to problem wyłącznie liberalny czy konserwatywny. Konserwatywni autorzy, tacy jak Charles Murray i David Brooks, zgłębiają te przepaści: Brooks twierdzi, że „centralnym problemem naszych czasów są: zamrożenie zarobków klasy średniej, dezintegracja klasy robotniczej i wynikający stąd podział amerykańskiego społeczeństwa”. Senatorka Elizabeth Warren i wielu innych demokratów po lewej stronie sceny politycznej sięgali po podobne argumenty. Co niezwykłe, opresją białej amerykańskiej klasy robotniczej tłumaczono dojście na szczyty władzy zarówno Donalda Trumpa po prawej, jak i Berniego Sandersa po lewej stronie.

Co poszło nie tak?

Przez większość XIX i XX wieku Stany Zjednoczone wiodły prym w stwarzaniu obywatelom możliwości. Od 1862 roku za pomocą ustaw o gospodarstwach rolnych realizowano program samopomocowy dający sześćdziesiąt pięć hektarów ziemi każdej amerykańskiej rodzinie, która wydajnie ją uprawiała lub polepszyła jej stan w ciągu pięciu

lat. Ustawy te przeobraziły zachodnią część kraju i zmieniły zubożałych robotników we właścicieli ziemskich. Jedna czwarta Amerykanów może powiązać część majątku swojej rodziny z tą wizjonerską inicjatywą. Innym historycznym programem była elektryfikacja wsi rozpoczęta w 1936 roku. Dzięki niej rolnicy w całych Stanach Zjednoczonych zostali zaopatrzeni w prąd, a potem w usługi telefoniczne, co zmieniło życie na wsi, dało jej mieszkańcom nowe możliwości i podniosło ich produktywność.

Stany Zjednoczone były jednym z pierwszych regionów świata oferujących niemal powszechną edukację na poziomie podstawowym, a później jednym z pierwszych krajów, które wprowadziły szkoły średnie dla prawie wszystkich. „Na początku dwudziestego wieku Stany Zjednoczone kształciły młodzież w znacznie większym stopniu niż większość krajów Europy – albo nawet niż cały Stary Kontynent” – piszą Claudia Goldin i Lawrence F. Katz w książce *The Race Between Education and Technology* [Wyścig edukacji z techniką], gdzie analizują, w jaki sposób inwestycje w kapitał ludzki uczyniły ze Stanów Zjednoczonych światowego lidera. „Amerykańskie szkoły średnie były bezpłatne i ogólnodostępne, podczas gdy w większości państw Europy pozostawały drogie i często niedostępne. Jeszcze w latach trzydziestych Stany Zjednoczone były w gruncie rzeczy odosobnione pod względem powszechnego dostępu do bezpłatnych szkół średnich”[1]. System uniwersytetów stanowych i dwuletnich college’ów upowszechnił wyższą edukację. Znaczny wzrost odsetka wykształconych Amerykanów posiadających własne domy nastąpił także za sprawą wspomnianej ustawy GI. Dzięki niej trzy czwarte mężczyzn służących w wojsku skorzystało z możliwości nauki i w rezultacie pięć milionów z nich stało się właścicielami domów. Ustawa GI była ważną inwestycją w zwykłych ludzi i ogromnie się opłaciła – to dzięki niej wytworzyła się współczesna amerykańska klasa średnia.

Na początku XX wieku podjęto wiele innych historycznych inicjatyw, które skierowały Stany Zjednoczone na ścieżkę postępu. W latach trzydziestych Ameryka wprowadziła pionierskie ograniczenia dotyczące broni palnej, uchwalając krajową ustawę[16]. Podczas pracy nad tą ustawą parlamentarzyści poważnie rozważali zakaz posiadania broni krótkiej. W tym samym okresie Kongres zatwierdzał takie formy wsparcia socjalnego jak system opieki społecznej i ubezpieczenie od utraty pracy oraz takie inicjatywy jak Civilian Conservation Corps, rządowy program zatrudnienia młodych bezrobotnych mężczyzn z ubogich rodzin. Potem inne kraje przyjęły liczne elementy tych rozwiązań.

Później jednak, mniej więcej w latach siedemdziesiątych, z powodów, które postaramy się zgłębić, Stany Zjednoczone zboczyły z kursu. Zaczęło się prawie półwieczne dryfowanie w złym kierunku. Odsetek młodzieży kończącej szkoły średnie gwałtownie spadł od najwyższego do jednego z najniższych w krajach wysoko rozwiniętych. Do więzienia posyłano siedmiokrotnie więcej osób. Załamała się struktura rodziny. Gwałtownie wzrosła liczba rodziców samotnie wychowujących dzieci. Średnia długość życia spadła. Dochody klasy robotniczej rosły w ślimaczym tempie albo wcale. Jedna setna z procenta najbogatszych Amerykanów odnotowała po 1980 roku poczwórny wzrost swojego dochodu (z uwzględnieniem inflacji), a reszta tego jednego procenta prawie go podwoiła. Osoby mieszczące się między dziewięćdziesiątym a dziewięćdziesiątym dziewiątym procentem utrzymały dotychczasowy poziom, osiągając wzrost dochodu w tempie odzwierciedlającym wzrost PKB per capita. Pozostałe dziewięćdziesiąt procent straciło zaś stosunkowo dobrą pozycję, ponieważ ich dochody po 1980 roku rosły wolniej niż PKB w przeliczeniu na jednego mieszkańca. W rezultacie jeden procent najbogatszych posiada obecnie dwukrotnie większy udział w majątku narodowym niż całe dolne dziewięćdziesiąt procent[2]. W dziedzinie możliwości rozwoju zostaliśmy w tyle.

Utrata pozycji lidera w zakresie edukacji jest wyjątkowo istotna, ponieważ dobre posady coraz częściej wymagają solidnego wykształcenia. Globalizacja, automatyzacja i nieustanne skupienie na cięciu kosztów doprowadziły do znikania miejsc pracy w miastach dla robotników i pracowników biurowych, które w przeszłości często zajmowali ludzie gorzej wykształceni. David Autor, ekonomista z MIT, wykazał, że w rezultacie miejscy robotnicy mający tylko wykształcenie średnie wykonują prace wymagające mniejszych umiejętności niż w latach siedemdziesiątych.

Jedną z przyczyn niepowodzeń Kevina Greena było to, że nie ukończył liceum. Nie stanowiło to przeszkody dla wcześniejszych pokoleń pracowników fizycznych, także dla jego ojca, ponieważ na początku lat siedemdziesiątych około siedemdziesięciu dwóch procent miejsc pracy w Stanach Zjednoczonych wymagało wykształcenia jedynie na poziomie średnim lub niższym. W 2020 roku odsetek ten zmalał do trzydziestu sześciu procent. Jedną z konsekwencji tej zmiany jest drastyczny spadek dochodów osób z niższym wykształceniem. W latach siedemdziesiątych absolwent liceum zarabiał średnio prawie osiemdziesiąt procent tego co absolwent college'u, lecz potem wartość ta spadła do zaledwie nieco ponad pięćdziesięciu procent. A tacy ludzie jak Kevin, którzy nie skończyli liceum, radzą sobie jeszcze gorzej[3].

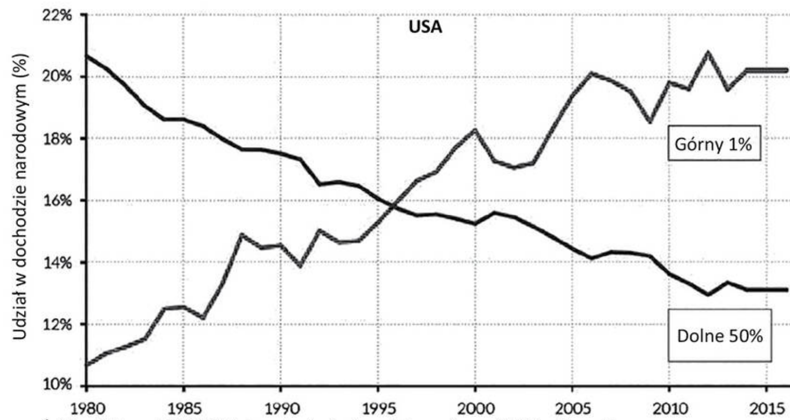
Ostatnie półwiecze to także okres, w którym amerykańska ścieżka zaczęła wyraźnie odbiegać od tych, jakimi podążają Kanada i Europa. W latach siedemdziesiątych najzamożniejszy procent obywateli w Stanach Zjednoczonych i w Europie osiągał analogiczny udział w dochodach ogółu – dziesięć procent. W Europie nastąpił w tym zakresie nieznaczny wzrost i obecnie ten udział wynosi dwanaście procent. W Stanach Zjednoczonych podwoił się i wynosi dwadzieścia[4]. Tak wynika z obliczeń ekonomistów: Thomasa Piketty'ego, Emmanuela Saeza i ich współpracowników. Inni

przedstawiają odmienne szacunkowe dane pokazujące mniejszy wzrost nierówności[17].

Larry Summers, były minister finansów, proponuje jeszcze inny sposób patrzenia na różnice ekonomiczne. Szacuje, że gdybyśmy obecnie mieli taką dystrybucję dochodów jak w 1979 roku, dolne osiemdziesiąt procent obywateli miałoby o bilion dolarów więcej, a górny jeden procent o bilion mniej. Oznacza to, że przeciętna rodzina z najbogatszej grupy zarabiałaby o siedemset tysięcy dolarów rocznie mniej, a przeciętna rodzina z dolnych osiemdziesięciu procent o jedenaście tysięcy dolarów więcej. Dla statystycznej rodziny ludzi pracujących oznaczałoby to wzrost dochodu o blisko dwadzieścia pięć procent.

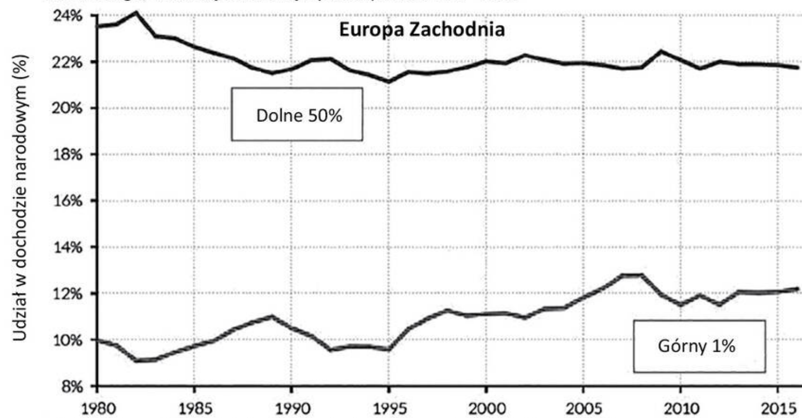
W 1970 roku przychody z podatków miały w Stanach Zjednoczonych udział w produkcie narodowym brutto zbliżony do średniej w krajach OECD, zrzeszającej państwa wysoko rozwinięte. Później ten udział powoli rósł we wszystkich pozostałych zamożnych krajach – jak zresztą można się spodziewać, gdy populacje się starzeją i potrzebują więcej usług publicznych – w Stanach Zjednoczonych pozostawał jednak na niezmienionym poziomie. Dziś ludzie w innych zamożnych krajach płacą zatem podatki wyższe mniej więcej o dziesięć procent, lecz w zamian mają ubezpieczenie zdrowotne, lepszą infrastrukturę, niższy poziom ubóstwa i bezdomności oraz, jak zamierzamy dowieść, zdrowsze społeczeństwo.

Udział górnego 1% versus dolnych 50% w dochodzie narodowym w USA i Europie Zachodniej w latach 1980–2016: oddalające się trajektorie nierówności pod względem dochodu



Źródło: WID.world (2017). Zob. zestawienia danych i uwagi na: wir2018.wid.world

W 1980 roku 1% najzamożniejszych obywateli w Europie Zachodniej osiągał 10% dochodu narodowego, a 1% najzamożniejszych obywateli w USA – 11%.
W 2016 roku 1% najzamożniejszych obywateli w Europie Zachodniej osiągał 12% dochodu narodowego, a 1% najzamożniejszych obywateli USA – 20%.



Źródło: WID.world (2017). Zob. zestawienia danych i uwagi na: wir2018.wid.world

W 2016 roku dolne 50% obywateli Europy Zachodniej osiągało 22% dochodu narodowego.

Powyższe wykresy z World Inequality Report 2018 pokazują, że po 1980 roku jeden procent najzamożniejszych obywateli zdobył olbrzymią przewagę nad mniej zamożną połową społeczeństwa, zaś w Europie Zachodniej umocnił swoją pozycję w znacznie mniejszym stopniu

World Inequality Report 2018

Deregulacja[18] i sprzyjająca biznesowi polityka w Stanach Zjednoczonych rzeczywiście służą wzrostowi gospodarczemu, lecz wiążą się z pewnymi kompromisami. Na przykład we Francji PKB w przeliczeniu na jednego mieszkańca jest znacznie niższy niż w Stanach Zjednoczonych. Spójrzmy jednak na typowych obywateli obu tych krajów, a okaże się, że różnice nie są aż tak wyraźne. W jednym z badań stwierdzono, że choć przeciętna osoba z obywatelstwem francuskim jest o osiem procent mniej zamożna od przeciętnej osoby z obywatelstwem amerykańskim, to jednak żyje dłużej, jest

mniejsze prawdopodobieństwo, że umrze jej dziecko i że ona sama umrze przy porodzie, a ponadto w ciągu roku pracuje o trzysta dziesięć godzin mniej (to ponad godzinę mniej w ciągu dnia). Istnieje też mniejsze ryzyko, że zostanie zamordowana albo że umrze wskutek przedawkowania narkotyków. Obydwoje wolimy mieszkać w Stanach Zjednoczonych niż we Francji, ale nie każdy, zwłaszcza spośród nieuprzywilejowanych, dokonałby takiego samego wyboru[5].

„Amerykańska wyjątkowość” często zmierza dziś w niewłaściwym kierunku: nierzadko jesteśmy wyjątkowi z uwagi na gospodarcze i społeczne patologie, które dotykają nas w znacznie większym stopniu niż inne kraje rozwinięte. Prawdopodobieństwo śmierci podczas porodu jest obecnie około dwukrotnie większe w Stanach Zjednoczonych niż w Wielkiej Brytanii. Czy coś takiego nie powinno zawstydzać każdego Amerykanina? W ostatnim półwieczu obraliśmy inną drogę niż reszta rozwiniętego świata i dla milionów Amerykanów okazała się ona ślepym zaułkiem.

Jednym z sygnałów, że Stany Zjednoczone skręcają w prawo i zmierzają w inną stronę niż reszta Zachodu, było zwycięstwo Ronalda Reagana w wyborach prezydenckich w 1980 roku. Reagan odzwierciedlał, a zarazem kształtował nastroje w kraju w latach siedemdziesiątych, gdy w swoich przemówieniach regularnie potępiał beneficjentkę zasiłków z Chicago: „Ma osiemdziesiąt nazwisk, trzydzieści adresów, dwanaście kart ubezpieczenia społecznego i pobiera świadczenia dla weteranów wojennych po czterech zmarłych mężach, którzy nigdy nie istnieli”[19][6]. Po wygranej w wyborach prezydenckich Reagan zasłynął deklaracją zawartą w przemówieniu inauguracyjnym z 1981 roku: „Rząd nie jest rozwiązaniem naszego problemu; rząd jest naszym problemem”. Zlikwidował związek zawodowy kontrolerów ruchu powietrznego, ochrona pracowników osłabła, a świat biznesu zyskał znacznie większą władzę.

Gdy w Stanach Zjednoczonych szerzyła się wrogość w stosunku do rządu, podejmowano zdecydowane starania o obniżenie podatków, zwłaszcza dla bogatych, a później przystąpiono do „obłaskawiania bestii” – wykorzystywano zmniejszenie przychodów, by uzasadnić cięcia w świadczeniach dla ubogich. To postępowanie nieuczciwe i zarazem okrutne; nie tego oczekiwalibyśmy po wysoko rozwiniętym państwie. Inne kraje przez dziesięciolecia rozszerzały finansowanie opieki zdrowotnej, rozwijały komunikację publiczną i wprowadzały urlopy rodzicielskie oraz zasiłki na dzieci, by obniżyć poziom ubóstwa. Stany Zjednoczone przeciwstawiały się temu trendowi, tnąc podatki, skracając godziny otwarcia bibliotek publicznych, podnosząc czesne na uniwersytetach stanowych i dopuszczając do niszczenia infrastruktury. Grover Norquist, wpływowy republikanin opowiadający się za niższymi podatkami, następująco ujął tę nieefektywną politykę rządu: „Moim celem jest przecięcie rządu na pół w ciągu dwudziestu pięciu lat, by zmniejszyć go do rozmiarów umożliwiających utopienie go w wannie”.

Dlaczego w przeciwieństwie do większości innych krajów Stany Zjednoczone podryfowały tak daleko w prawo? Zastanawiamy się, czy jednym z powodów nie był narodowy lęk związany z rasizmem, przemocą i niepokojami na początku i w połowie lat sześćdziesiątych. Był to czas zamachów na Johna F. Kennedy’ego, Roberta Kennedy’ego i Martina Luthera Kinga juniora, zamieszek politycznych w Chicago, rozruchów na tle rasowym w Los Angeles, Newark, Detroit i innych miastach, czas rodzimych terrorystów w rodzaju Weather Underground, czas hipisów i yuppies, mówienia o rewolucji i ożywionych dyskusji w domach w całych Stanach Zjednoczonych. Kolejne eksperymenty psychologiczne pokazują, że strach wzmacnia konserwatywne poglądy polityczne. Właśnie do strachu odwołał się Richard Nixon w 1968 roku, gdy startował w wyborach prezydenckich. Podczas kampanii

w zawoalowany sposób grał na obawach, jakie u białych budziły niepokoje wśród czarnych.

Ta „strategia południowa” zmieniła południe kraju w bastion Partii Republikańskiej, a sianie paniki często rozszerzało się także na politykę społeczną. Zasiłki przedstawiano jako jałmużnę dla leniwych czarnych, a imigrację jako zagrożenie dla amerykańskiej kultury i miejsc pracy. Brak pomysłu na funkcjonowanie pomocy społecznej doprowadził do rozpaczy i dezintegracji tradycyjnych społeczności, ponieważ nasiliły się obawy, że oto przepadają tradycyjne wartości. To zaś zdecydowanie pchnęło stany, w których kiedyś obserwowano postępowe dążenia, na przykład Iowa i Oklahomę, ku obozowi republikanów. Kent Hance, teksański polityk, który w 1978 roku pokonał George’a W. Busha w wyścigu do Kongresu, powiedział nam, jaką lekcję dało Bushowi jego zwycięstwo: „Nie zamierzał pozwolić, by znowu uznano, że nie jest dobrym chrześcijaninem ani równym chłopem”. Było tak w zasadzie w większości południowej i środkowej części kraju, gdzie „Bóg, broń i geje” stali się dominującymi tematami, które pomogły konserwatystom.

Następnym czynnikiem była inflacja w latach siedemdziesiątych i spostrzeżenie, że amerykański biznes stał się zbyt niefrasobliwy, zbyt zblazowany w kwestii wydajności i zysków udziałowców, wskutek czego gospodarka naprawdę potrzebowała kopniaka w tyłek. Europejskie i japońskie korporacje umacniały swoją pozycję, a pewne przepisy związkowe faktycznie hamowały innowacyjność i zwiększanie wydajności kosztem pracowników. Istniały słuszne podstawy do deregulacji oraz autentyczne zapotrzebowanie na nowe branże, takie jak inwestycje w fundusze *venture capital* i *private equity*[20], które wymusiły zwiększenie wydajności w nadmiernie rozrośniętym sektorze prywatnym. Posunęliśmy się jednak za daleko, spuszczając kapitalizm ze smyczy. W latach siedemdziesiątych osłabiliśmy swoją konkurencyjność na rynku międzynarodowym, ponieważ

nasze przedsiębiorstwa troszczyły się o wszystkich udziałowców, także o pracowników; dziś popadliśmy w drugą skrajność, gdyż bezwzględne korporacje są na każde skinienie akcjonariuszy. Nasza konkurencyjność na rynku międzynarodowym została zniszczona, ponieważ amerykańska gospodarka stworzyła hobbesowski świat, w którym życie jest „samotne, biedne, bez słońca, zwierzęce i krótkie”[21][7]. Jak to ujął specjalizujący się w biznesie felietonista Steven Pearlstein: „To, co zaczęło się jako przydatna korekta, dwadzieścia pięć lat później stało się demoralizującym i autodestrukcyjnym dogmatem gospodarczym zagrażającym przyszłości amerykańskiego kapitalizmu […]. Nasza obecna dobra koniunktura jest niemożliwa do utrzymania, ponieważ nie tworzy takiego społeczeństwa, jakiego pragnie większość z nas”[8].

W połowie XX wieku wielki biznes był trzymany w ryzach przez wielki rząd i wielki rynek pracy, lecz ta równowaga się zmniejszyła i obecnie biznes nie musi się przejmować tyloma ograniczeniami. Gdy doszło do rozłamu społeczeństwa, osłabło poczucie, że wszyscy jedziemy na jednym wózku, toteż epatowanie majątkiem stało się bardziej akceptowalne. Bogactwo jest teraz czymś, co się celebruje. W 1984 roku w telewizji zadebiutował show *Lifestyles of the Rich and Famous* [Życie sławnych i bogatych]. Dziennikarz Michael Tomasky tak podsumowuje ten trend: „Amerykanie stali się bardziej zachłannymi – mówiąc wprost, bardziej samolubnymi – ludźmi”[9].

W 1965 roku przeciętny dyrektor generalny zarabiał około dwudziestu razy więcej niż przeciętny pracownik; obecnie zarabia ponad trzysta razy więcej[10]. Pracownik Walmarta pobierający przeciętną płacę w tym przedsiębiorstwie (19 177 dolarów rocznie) musiałby pracować 1188 lat, by zarobić tyle, ile dyrektor generalny w samym tylko 2018 roku[11]. Przedsiębiorstwa zmieniły też sposób działania, zlecając ochronę firmom zewnętrznym i eliminując plany

emerytalne, co wprawdzie doprowadziło do wzrostu cen akcji, ale osłabiło pozycję wielu rodzin. Dawniej dobrze prosperujące firmy oddawały znaczne kwoty pracownikom, lecz inwestorzy coraz częściej przeciwko temu protestowali. Gdy w 2017 roku American Airlines ogłosiły, że reinwestują część swoich pokaźnych zarobków z pierwszego kwartału w podniesienie wynagrodzeń personelu, na Wall Street wybuchły okrzyki niezadowolenia. „Znowu w pierwszej kolejności płacą pracownikom – utyskiwał analityk Citigroup. – Udziałowcy dostają ochłapy”[12]. Bank inwestycyjny Morgan Stanley obniżył rekomendację dla akcji American Airlines, powołując się na „niepokojący precedens”, a ich cena spadła o osiem procent w ciągu dwóch dni.

Oren Cass, były konsultant do spraw zarządzania w Bain & Company, który był kierownikiem do spraw polityki wewnętrznej w kampanii prezydenckiej Mitta Romneya, rozumie argumenty przemawiające za zwiększaniem wydajności. Zauważa, że erozja dawnego rynku pracy doprowadziła do ogólnego znacznego wzrostu gospodarczego i do spadku cen produktów. Dodaje jednak, że nie było warto iść na taki kompromis. W swojej książce *The Once and Future Worker* [Pracownik wczoraj i jutro] przestrzega: „Społeczeństwo balansuje teraz na popękanych fundamentach, brakuje mu spójności strukturalnej i zmierza ku upadkowi”[13].

Rząd, który dawniej pomagał borykającym się z trudnościami Amerykanom za pomocą takich środków jak ustawa GI, wycofał się akurat wtedy, gdy znikające miejsca pracy, częstsze zażywanie narkotyków i rozpad rodzin zwiększyły zapotrzebowanie na pomoc społeczną. Kościoły, szkoły i organizacje pożytku publicznego nie były w stanie reagować adekwatnie w obliczu tych nowych mrocznych sił, więc przedstawiciele rządu instynktownie odpowiedzieli masowym wtrącaniem ludzi do więzień, co jedynie pogłębiło problemy. W średniowiecznej Europie mieszkańcy wsi zareagowali na niewyjaśniony nieurodzaj małej epoki lodowcowej[22], paląc czarownice; w XXI wieku na tej samej

zasadzie budowaliśmy więzienia. Żadna z tych strategii nie okazała się skuteczna.

Rząd coraz częściej nie tylko odmawiał pomocy, lecz zdawało się także, że przyjmuje małostkowe okrucieństwo za zasadę działania. Na przykład więcej stanów i miejscowości nałożyło całą gamę grzywien nawet za drobne wykroczenia, by dofinansować swoje biura – a potem zamykało w więzieniach ludzi, którzy nie mogli ich zapłacić. Cywilizowany świat zaczął zamykać więzienia dla dłużników w latach trzydziestych XIX wieku, uznając je za barbarzyństwo. Gdy jednak pewnego dnia zajrzeliśmy do więzienia w Tulsie, zastaliśmy tam dwadzieścia trzy osoby zamknięte właśnie za niezapłacenie rządowi grzywien i innych należności. Siwowłosa Rosalind Hill, mająca pięćdziesiąt trzy lata oraz długą historię choroby psychicznej i uzależnienia od narkotyków, spędziła w więzieniu półtora roku za nieuregulowanie rozlicznych płatności. Łącznie z grzywnami i odsetkami jej zadłużenie wynosiło 11 258 dolarów, lecz depresja i choroba afektywna dwubiegunowa uniemożliwiały jej utrzymanie się w pracy. Była zatem regularnie pozbawiana wolności za niewywiązywanie się z opłat, a potem do starych kar dokładano nowe.



Areszt w Tulsie, gdzie pewnego dnia zastaliśmy dwadzieścia trzy osoby zamknięte tylko za długi

Fot. Lynsey Addario

W Oklahomie na oskarżonych w procesach karnych można nałożyć sześćdziesiąt sześć różnych opłat, od kosztów ochrony w budynku sądu po należność dla szeryfa za ściganie osoby uciekającej przed wymiarem sprawiedliwości. Jest nawet opłata za wniosek osoby ubogiej o przydzielenie obrońcy z urzędu, mimo że osoba uboga z definicji nie jest w stanie jej uiścić. Gdy już potwierdzi swoje ubóstwo brakiem opłaty, zostaje aresztowana. Zaległości sumują się, sięgając zawrotnych kwot. Cynthia Odom, pracownica biurowa z Tulsy, powiedziała nam, że jej zadłużenie wynosi sto siedemdziesiąt tysięcy dolarów i nieustannie grozi jej więzienie, oznaczające rozłąkę z dwojgiem dzieci. Nawet Stephen Kunzweiler, prokurator okręgowy z Tulsy, powiedział nam, że to „chory system".

Dzieje się tak nie tylko w Oklahomie. W Nowym Jorku regularnie zamykano ludzi za niezapłacenie kaucji w wysokości jednego dolara. Zazwyczaj dochodziło do tego, gdy aresztowano kogoś na podstawie wielu zarzutów, wyznaczając pięćset dolarów kaucji za główny zarzut i jednodolarową kaucję za zarzut dodatkowy. Potem jednak

główny zarzut wycofywano, a człowiek zostawał w więzieniu, ponieważ komputer pokazywał jednodolarowe zadłużenie. Nawet jeśli osadzeni posiadali środki na koncie, nie mogli uzyskać do nich dostępu, by zapłacić jakąkolwiek kwotę, a czasami nie mieli nikogo, do kogo mogliby się zwrócić po pomoc. Przeszkodą nie były pieniądze, lecz niemożność znalezienia przyjaciela albo krewnego, który dysponowałby czasem i znajomością języka angielskiego umożliwiającą skonfrontowanie się z systemem i zapłacenie kaucji. Pewna kobieta nie mogła być na pogrzebie swojego dziecka, ponieważ nie zapłaciła jednego dolara kaucji i siedziała w więzieniu. Niektórych osadzonych przetrzymywano przez wiele dni, tygodni, a niekiedy miesięcy z powodu niezapłacenia tej kwoty. W końcu grupa studentów Uniwersytetu Nowojorskiego znalazła rozwiązanie problemu: utworzyli Jednodolarową Brygadę, grupę wolontariuszy, którzy regularnie zjawiali się w więzieniu i wpłacali jednodolarowe kaucje. Zdarzało się jednak, że biurokratyczne wyzwania przerastały nawet studentów tej elitarnej uczelni. Jeden z nich musiał poświęcić dwadzieścia cztery godziny i trzykrotnie składać wizytę w więzieniu, by wpłacić dolara kaucji za osadzonego.

To zadziwiające, że wielu polityków obawia się ubogich ludzi próbujących wykorzystywać system, a najwyraźniej nie boi się podobnych działań ze strony osób bogatych, w których wypadku na szali byłyby znacznie większe kwoty. Najnowsza moda mająca na celu pognębienie uciskanych stosowana przez pewnych ustawodawców: wymóg pracy w celu otrzymania takich świadczeń jak Medicaid. Teoretycznie mogłoby to zmotywować długotrwale bezrobotnych do powrotu na rynek pracy. W praktyce jednak tego rodzaju warunki często są jedynie pretekstem do odebrania świadczeń. Pierwszym stanem, który wprowadził wymóg pracy w celu uzyskania Medicaid, zostało Arkansas. Wymagano też od uczestników rejestrowania godzin pracy przez internet za pomocą adresu mailowego i kodu przesyłanego pocztą, co wiązało się

z koniecznością przejścia przez kilka kolejnych stron internetowych. Niestety, Arkansas plasuje się na czterdziestym ósmym miejscu w kraju pod względem dostępu do sieci i wielu beneficjentów Medicaid nie ma adresu e-mail ani internetu. Nawet kilka miesięcy później, na początku 2019 roku, na stronie Medicaid Arkansas brakowało wyraźnego objaśnienia nowych wymagań oraz instrukcji, jak ponownie złożyć wniosek albo jak zarejestrować godziny pracy. W pierwszej grupie, na jaką nałożono wspomniany wymóg, siedemdziesiąt dwa procent osób kwalifikujących się do Medicaid nie zdołało spełnić warunków. Rodziny straciły zatem ubezpieczenie zdrowotne, a potem część osób nie była w stanie zdobyć leków, więc ich choroby się zaostrzyły, przez co stracili pracę. Przypomina to, że wymogi dotyczące pracy często bywają zakamuflowanym, małodusznym posunięciem w celu pozbawienia ludzi wsparcia[14]. Tymczasem w latach 2007–2016 państwo przyznało dotacje w wysokości stu pięćdziesięciu sześciu milionów dolarów różnym korporacjom, między innymi HP i Caterpillar, w ramach programu „rozwoju gospodarczego”, który, jak dowiedli badacze, prawie w ogóle nie korelował ze wzrostem zatrudnienia[15].

Część lokalnych przywódców odmawia rozszerzenia programów społecznych, nawet gdy domagają się tego wyborcy. Po tym jak w listopadzie 2018 roku mieszkańcy Utah i Idaho zagłosowali za rozszerzeniem Medicaid, republikańskie legislatury stanowe próbowały unieważnić te głosy. Etos kraju zmienił się w tym półwieczu. Wielu Amerykanów zaczęło celebrować bogactwo jako najważniejszą miarę sukcesu i krytyczniej patrzeć na tych, którzy stracili pracę, zbankrutowali, zażywali narkotyki lub borykali się z innymi trudnościami. Szczytowym momentem zmiany tego etosu były wybory w 2016 roku, w których prezydentem został miliarder słynący z epatowania bogactwem oraz ze swojego hasła z reality show: „Zwalniam cię!”.

Przyczyny problemów gospodarczych obejmowały automatyzację i globalizację, przez co dotknęły pracowników w wielu krajach, a realne wynagrodzenia osób niewykwalifikowanych spadły nie tylko w Stanach Zjednoczonych, lecz także w Wielkiej Brytanii i Niemczech. Zmierzając ku zrozumieniu, co poszło nie tak, chcieliśmy zatem sprawdzić, czy pracownicy poturbowani przez te globalne siły cierpieli równie mocno w Kanadzie. Tak się składa, że socjolog Victor Tan Chen badał właśnie tę kwestię po wielkiej recesji w latach 2008–2009. Chen, profesor Uniwersytetu Wspólnoty Wirginii, tygodniami rozmawiał z robotnikami zwolnionymi przez General Motors i Forda w Detroit, a także w Windsorze w stanie Ontario, jego siostrzanym mieście po drugiej stronie granicy. Globalny kryzys gospodarczy odbił się na działalności zakładów samochodowych w obu krajach, lecz Chen odkrył, że robotnicy zwolnieni w Detroit ucierpieli bardziej. Po części było to zasługą lepszego kanadyjskiego systemu wsparcia, obejmującego państwowy system opieki zdrowotnej, a po części rezultatem energicznych starań Kanadyjczyków o to, by złagodzić cios. W ciągu dwudziestu czterech godzin od masowych zwolnień po stronie kanadyjskiej rząd utworzył centrum pomocy, by wesprzeć ludzi w poszukiwaniu pracy oraz uzyskaniu świadczeń i dostępu do odpowiednio ukierunkowanych programów przekwalifikowujących. Doradcy pomagali przygotować CV i znaleźć wyjście z sytuacji. Gdy Ford zwolnił robotników w Windsorze, część z nich miała nadzieję, że będzie mogła się uczyć pielęgniarstwa, lecz na kursie w lokalnym college’u zabrakło miejsc. Centrum pomocy przekonało zatem college, by niezwłocznie uruchomił dodatkowy kurs.

Kanada poradziła sobie relatywnie lepiej, ponieważ mniej ochoczo uwierzyła, że tylko od jednostki zależy, co osiągnie – taka narracja w Stanach Zjednoczonych sprawiła, że robotnicy często czuli się jak nieudacznicy i, jak to ujął Chen, „popadali w apatię, rozpacz i poczucie winy”. Badacz twierdzi, że

psychiczny cios w postaci utraty pracy (oraz, dodalibyśmy, domu) wyjątkowo obniżał morale. Przekonuje on, że należy wdrożyć więcej wspierających systemowych działań w rodzaju kanadyjskich centrów pomocy lub programów przekwalifikowujących i świadczeń na edukację. Wzywa do przywrócenia równowagi społecznej poprzez „moralność miłosierdzia”, opartą raczej na współczuciu i egalitaryzmie niż na wytykaniu osobistej nieodpowiedzialności[16]. Moralność miłosierdzia wywodzi się z koncepcji teologicznej, zgodnie z którą Boże miłosierdzie może uratować każdego – nawet tych, którzy w oczach innych na nie nie zasługują, są niewykształceni, bezrobotni, uzależnieni i bezdomni.

Kanada nie odbiega od innych krajów rozwiniętych pod względem troski o miejsca pracy. Za to Stany Zjednoczone owszem. Na kształcenie zawodowe i programy wsparcia wydajemy zaledwie jedną piątą tego, co przeciętnie w ramach PKB przeznaczają na te cele inne państwa wysoko rozwinięte. Ponadto Stany Zjednoczone znacząco obniżyły wydatki na takie programy w ostatnich dziesięcioleciach, zwiększyły natomiast fundusze na więzienia.

Wniosek jest taki, że tragedii, które dotknęły tak wielu Amerykanów z klasy robotniczej, można było uniknąć.

– Mnóstwo osób składa to na karb globalizacji, lecz cechą globalizacji jest to, że jest globalna – powiedział nam Angus Deaton, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii. – A nic podobnego nie dzieje się w Niemczech, Francji czy Hiszpanii. W Europie zwyczajnie nie zdarzają się przypadki śmierci z rozpaczy. Dzieje się tutaj zatem coś niedobrego i moim zdaniem chodzi o to, że w ostatnich czterdziestu latach znaczna część polityki była skierowana przeciwko klasie robotniczej.

W Kanadzie i Europie zawirowania w handlu i globalna recesja również dały o sobie znać, lecz zachowano tam pewną przestrzeń dla związków zawodowych i stosowano wyższe podatki, by chronić obywateli za pomocą bardziej

kompleksowych systemów wsparcia społecznego, kursów przekwalifikowujących, powszechnej opieki zdrowotnej i surowych przepisów ograniczających wprowadzanie na rynek środków przeciwbólowych na receptę. Dlatego bezrobotni w Kanadzie i Europie rzadziej tracili domy, rzadziej byli świadkami rozpadu swoich rodzin czy umierali z przedawkowania – mieli też lepsze warunki, by szukać pracy i zacząć życie od nowa, gdy gospodarka się ożywiła. Gdzie podziewał się wtedy amerykański rząd?

Stany Zjednoczone zmieniły na pół wieku kierunek, co zawiodło zwłaszcza w kontekście rozwoju integracyjnego. Przez większość XX wieku ubogie części kraju nadążały za zamożnymi. Missisipi przeszło od trzydziestoprocentowego dochodu per capita w porównaniu z Massachusetts w latach trzydziestych do blisko siedemdziesięcioprocentowego w 1975 roku; podobne zmiany obserwowano w innych stanach na południu kraju[17]. Ten trend jednak spowolnił i uległ odwróceniu, tak że obecnie Missisipi zeszło do pięćdziesięciu pięciu procent dochodu Massachusetts w przeliczeniu na jednego mieszkańca. Problemy, jak się zdaje, wynikają po części z winy samych poszkodowanych. Wynagrodzenia pracowników wykształconych rosły, lecz południowe stany, takie jak Missisipi, za mało inwestowały w edukację i inne formy budowy kapitału ludzkiego – zwłaszcza dla czarnych, ale także dla białych. Strategia Południa opierała się na cięciu podatków zgodnie z teorią, że przyciągnie to przedsiębiorców i przyspieszy tempo rozwoju gospodarczego. To jednak okazało się niezbyt skuteczne w epoce gospodarki opartej na wiedzy. Owszem, oferujący wysokie zarobki i zaawansowaną technologię pracodawcy chcą niskich podatków, lecz przede wszystkim potrzebują wykształconych pracowników, więc często woleli inwestować w stanach z wysokimi podatkami i wysoko wykształconymi ludźmi, takich jak Kalifornia, Massachusetts i Nowy Jork. Problem się pogłębia, gdy prawicowi politycy na Południu bronią pomników Konfederacji i demonizują gejów albo osoby transpłciowe,

gdyż prowadzi to do jeszcze większego uwstecznienia gospodarczego i frustracji[18]. Koło się zamyka.

Od czasów wielkiego kryzysu Ameryka nie doświadczała takiej stagnacji klasy robotniczej, jaką obserwujemy w ostatnich dziesięcioleciach. Pogłębia to polaryzację, rasizm i nietolerancję, stopniowo zżerając naszą tkankę społeczną. Narasta niechęć do Latynosów, muzułmanów i Afroamerykanów, a czasami także do kobiet pnących się po szczeblach drabiny społecznej. Zwolennicy supremacji białych umocnili swoją pozycję, a w internecie, także w mediach społecznościowych, Amerykanie ze swadą głoszą swój brak tolerancji. Jak doniosło FBI, liczba zbrodni z nienawiści popełnianych w Stanach Zjednoczonych rośnie od trzech lat z rzędu. Na ultraprawicowej stronie internetowej, którą odwiedziliśmy, ludzie zamieszczają jadowite wypowiedzi o muzułmanach i wzywają do ich masowej deportacji. Jedna z użytkowniczek oświadczyła: „Każdego muzułmanina chcącego przyjechać do naszego kraju powinno się najpierw wykastrować”.

Czy to jest Ameryka?

Biała klasa robotnicza ma słuszne pretensje. Ogromnie cierpi z powodu pogłębiających się nierówności, realnego spadku płacy minimalnej oraz braku zainteresowania ze strony Waszyngtonu. Być może efektem tego jest skrajna nieufność tej grupy społecznej do polityków i stosowanych przez nich rozwiązań – dziewięćdziesiąt trzy procent twierdzi, że ma złe zdanie o politykach.

„Stwarza to dylemat dla demokratów – zauważa ekonomistka Isabel Sawhill w swojej książce *The Forgotten Americans* [Zapomniani Amerykanie]. – Każdy program aktywistów oznacza ryzyko zwrócenia jeszcze większej części klasy robotniczej ku obozowi republikańskiemu, zwłaszcza jeśli ten program opiera się na polityce prowadzonej przez Waszyngton i na nowych podatkach”[19]. Jak do tej pory wyborcy z tej grupy coraz tłumniej stawiają na polityków

chcących jeszcze bardziej oddalić Stany Zjednoczone od zachodniego świata.

Wybór Donalda Trumpa na prezydenta w 2016 roku był przejawem tego trendu. Trump osiągnął doskonałe wyniki na obszarach z wysoką śmiertelnością białych w wieku od czterdziestu do sześćdziesięciu czterech lat. Wielu z tych białych wyborców z klasy robotniczej poparło wcześniej prezydenta Obamę i prezydenta Clintona, teraz jednak przeszło na drugą stronę.

– Ludzie poczuli się ignorowani – powiedział nam specjalista od sondaży Frank Luntz. – A Donald Trump mówił właśnie do nich.

Oczywiście po objęciu stanowiska Trump ograniczył ustawę o przystępnej opiece zdrowotnej, przez co liczba ubezpieczonych Amerykanów zmalała. To zaś oznacza, że więcej ludzi umiera na choroby serca, raka szyjki macicy i schorzenia wątroby, mniej zaś ma dostęp do leczenia uzależnień. Dla zwolenników Trumpa z klasy robotniczej jest to tragiczne w skutkach.

W Oklahomie poznaliśmy przedszkolankę Rhondę McCracken, która żarliwie wspiera lokalny ośrodek dla ofiar przemocy domowej. Pomógł jej on uciec od brutalnego byłego męża.

– Pamiętam, jak myślałam, że mnie zabije – wspominała. – Bił i kopał, ale najczęściej dusił.

Personel ośrodka pomógł jej uciec z tego związku i zacząć od nowa.

– Uratowali życie mnie i mojemu synowi – powiedziała nam ze łzami w oczach.

Jak zatem głosuje McCracken?

– Głosowałam na prezydenta Trumpa – powiedziała, zaznaczając, że jest republikanką i poparcie go wydawało jej

się naturalne. – Mam konserwatywne poglądy, a on był konserwatywnym kandydatem – wyjaśniła.

Wkrótce po objęciu stanowiska Trump próbował obciąć fundusze, z których finansowano ośrodek dla ofiar przemocy domowej, i McCracken się przeraziła.

– Modlę się, by Kongres zainterweniował i ochronił programy dla ofiar przemocy domowej – powiedziała. Nie żałuje jednak, że oddała głos na Trumpa, i ogólnie rzecz biorąc, rozumie jego dążenie do cięcia wydatków. Nie wyklucza, że poprze go w następnych wyborach.

Ponieważ wielu czytelnikom zapewne nie mieści się w głowach, że w miejscach tak bardzo naznaczonych problemami można spotkać osoby popierające republikanów, poprosiliśmy Dave'a Pepera, naszego przyjaciela i sąsiada z Yamhill, by wyjaśnił nam swoje poglądy polityczne. Jak się niebawem przekonamy, Dave miał za sobą ciężkie chwile – w tym siedem epizodów bezdomności – lecz zdecydowanie popiera Trumpa. Jednym z powodów tego poparcia jest głęboka wiara Dave'a w słuszność prawa do posiadania broni palnej (Dave zawsze nosi przy biodrze naładowany pistolet). Nasz przyjaciel mówi też, że ma dość płacenia podatków zasilających programy społeczne przeznaczone, jego zdaniem, dla wyłudzaczy, którym nie chce się pracować.

– Według mnie potrzebujemy takiej reformy zasiłków, jak nie wiem co – powiedział. – Kupa ludzi doi ten system do ostatniej kropli. Mam po dziurki w nosie płacenia za to. Naprawdę. Moje podatki zazwyczaj rosną, ale mojej drogi nikt nie naprawia.

Jako przykłady osób wykorzystujących system podaje okolicznych mieszkańców, którzy wydają się niezbyt zainteresowani ciężką pracą, ale dostają bony żywnościowe albo rentę. Pewnego razu Dave i April próbowali pomóc miejscowemu narkomanowi, bezdomnemu budowlańcowi uzależnionemu od metamfetaminy. Pozwolili mu zamieszkać na swoim terenie w ciężarówce. Potem ten człowiek nie chciał

się wynieść, dalej brał narkotyki i zaczął się stawiać. Po pięciu miesiącach Dave kazał mu się zabierać, mierząc do niego z broni.

– Naprawdę lubiłem tego gościa i było mi go żal, bo sam to przerabiałem – wspominał Dave. – Bardzo mi przypominał mnie samego. – Pokręcił głową. – Staraliśmy się mu pomóc, ale chyba uzależnienie było dla niego ważniejsze niż próba znalezienia miejsca do życia.

Nasz sposób rozumienia polityki i świata często różnił się od sposobu Dave'a, między innymi dlatego, że jego wersja rzeczywistości mocno opiera się na Fox News.

– Owszem, oglądam Fox News – powiedział nam – ale oglądam też CNN, bo naprawdę lubię czasem spojrzeć na sprawy z drugiej strony. Będę jednak szczery, trochę trudno jest mi już tego słuchać, bo mam wrażenie, że to same kłamstwa.

Takich ludzi jak Dave, żyjących w orbicie konserwatywnych serwisów informacyjnych, rozpalały sprawy, o których liberałowie nigdy nawet nie myśleli. Dave oburzył się, gdy asystent Google na pytania w rodzaju „Kto to jest Allah?" albo „Kto to jest Budda?" natychmiast udzielał odpowiedzi, lecz nie potrafił z równą łatwością wyjaśnić, kim jest Jezus. W świecie prawicowych mediów w 2018 roku ta kwestia rozpętała burzę. Pojawiły się oskarżenia, że Google jest antychrześcijańskie albo że próbuje promować islam. Google zareagowało taką zmianą algorytmu, by na wszystkie tego rodzaju pytania asystent odpowiadał tak samo: „Religia bywa skomplikowana i wciąż się uczę".

Mimo zdecydowanego poparcia dla Trumpa Dave przyznał, że niepokoją go polaryzacja i podłość w dzisiejszej polityce.

– Nie wiem, jak można by temu zaradzić – dodał – ale co wieczór modlę się tylko o swój kraj i swój dom.

Postawa Dave'a odzwierciedlała odczucia okolicznych mieszkańców. W Yamhill w 2016 roku Trump zdobył

pięćdziesiąt siedem procent głosów, a Hillary Clinton – trzydzieści dwa procent (większość pozostałych oddano na Gary’ego Johnsona, kandydata Partii Libertariańskiej). Rodzina Greenów też poparła Trumpa, tak jak wielu innych zmagających się z problemami i czujących, że ich życie wisi na włosku. Podobnie głosowała większość białej Ameryki z klasy robotniczej. Jednym z najsilniejszych predyktorów poparcia dla Trumpa w danym hrabstwie był odsetek białych z wykształceniem średnim lub niższym. Ludzie w Yamhill często traktowali Trumpa jak wybawiciela z zewnątrz, który osuszy bagno, przywróci miejsca pracy w produkcji i w przemyśle wydobywczym oraz sprawi, że życie klasy robotniczej będzie się stopniowo poprawiać.

Wyborcy z tej grupy społecznej nie są jednak zdeklarowanymi konserwatystami. Sondaże pokazują, że opowiadają się oni za wyższymi podatkami dla bogatych, płatnym urlopem rodzicielskim i wyższą płacą minimalną. Pracujący ubodzy mają jednak pogardliwy stosunek do świadczeń państwowych, nawet jeśli niekiedy sami je pobierają, po części dlatego, że często widzą na własne oczy, jak ich sąsiedzi nadużywają tej formy wsparcia. Wywołuje to w nich znacznie większą złość niż wysokie dopłaty do prywatnych odrzutowców. Rozżalenie bowiem naturalnie wzrasta, gdy to osoby z bliskiego otoczenia naginają zasady i nieuczciwie wykorzystują system.

Wielebna Rhonda Kroeker z Yamhill podziela część tych poglądów. Ona także sympatyzuje z Trumpem.

– Ludzie zwyczajnie chcą prostszego życia – powiedziała nam. – Chcą, żeby Ameryka znowu była wspaniała. Tak jak w czasach naszego dzieciństwa. Może po prostu uwierzyli, że ten człowiek zdoła tego dokonać. – Dopytywana, jak miałoby wyglądać to prostsze życie, odpowiedziała po chwili zastanowienia: – Tak jak Ameryka, w której dorastaliśmy. Byłam dumna, że jestem Amerykanką. Ważna była rodzina. Ważne było to, że chodzisz do szkoły. Ważne było, że masz

pracę. Że starasz się, by twojej rodzinie żyło się dobrze. Sama nie wiem. Może ludzie widzą to w Trumpie.

Widzimy, że w naszym kraju wzmaga się tęsknota za przeszłością, i całym sercem zgadzamy się z tym, że szkoły, praca i rodzina są niezwykle ważne. Dostrzegamy jednak także ciemne strony tamtych rzekomo złotych czasów: na początku lat sześćdziesiątych, przed falą zmian w Stanach Zjednoczonych, kobiety miały mniejsze możliwości, Afroamerykanów obowiązywały prawa Jima Crowa[23], a w większości stanów zakazywano niezamężnym kobietom korzystania z antykoncepcji. Całkiem niedawno, bo jeszcze w 1987 roku, zaledwie połowa Amerykanów zgadzała się z opinią, że mężczyzna nigdy nie powinien bić żony pasem ani kijem[20]. Sondaż z 1963 roku pokazał, że zdaniem pięćdziesięciu dziewięciu procent Amerykanów mieszane małżeństwa powinny być nielegalne, a jeszcze w 1967 roku, gdy Sąd Najwyższy uchylił takie przepisy w sprawie Loving przeciwko Wirginii, małżeństwa międzyrasowe były zakazane w szesnastu stanach[21]. Część z nich nie dopuszczała tylko małżeństw czarnych z białymi, lecz od 1950 roku piętnaście stanów wyraźnie zakazało wszelkich małżeństw międzyrasowych, w tym także takich jak nasze, czyli małżeństw osób białych z Amerykanami pochodzącymi z Azji[22].

Każdy, kto z rozrzewnieniem wspomina „złote czasy”, powinien sobie przypomnieć, jak Gary Knapp strzelał w stronę pola, na którym kuliła się ze strachu jego żona Dee. To jednak prawda, że pewne ważne zdobycze tej epoki potem przepadły. Nierówności społeczne były wówczas mniejsze, klasa robotnicza miała realne szanse na zdobycie wykształcenia, godne dochody i standard życia. Rodziny borykały się z problemami, lecz było znacznie bardziej prawdopodobne, że dzieci będą dorastać w zdrowiu, u boku obojga rodziców. Bezdomność należała do rzadkości. Oto jedna prosta miara dobrostanu ludzi: liczba samobójstw była o wiele niższa niż dzisiaj. Mało kto z naszych bliskich rozumie niedolę osób

zmagających się z problemami lepiej niż Mary Mayor, dawna przyjaciółka Nicka, która przez lata była bezdomna i raz włożyła sobie lufę do ust. Spytaliśmy ją zatem, czy popiera polityków gotowych obrać inny kurs, by naprawić Stany Zjednoczone. Odpowiedziała, że tak, przyznała jednak, że polityka nieszczególnie ją interesuje i że dopiero niedawno zaczęła brać udział w wyborach.

– To było po prostu zbyt skomplikowane – powiedziała nam. – I nie do końca rozumiałam, o co w tym chodzi. – Wreszcie jednak, dodała, w 2016 roku opowiedziała się za zmianą, ponieważ stawka była bardzo wysoka. W swoich pierwszych wyborach w życiu zagłosowała na Donalda Trumpa. – Trump to nasza jedyna nadzieja – powiedziała. – Bo wiecie, ten facet ma swoje za uszami, ale mimo to prze naprzód. – Wolałaby, żeby Trump nie udzielał się na Twitterze, lecz zaznaczyła, że gospodarka funkcjonuje lepiej i jest więcej miejsc pracy. Dorzuciła, że media są dla Trumpa niesprawiedliwe i dają fory demokratom.

Jesienią 2018 roku, gdy Taylor Swift poparła dwóch kandydatów Partii Demokratycznej, Mary napisała na Facebooku:

– Taylor Swift, wszystkie twoje płyty, które zebrałam przez lata, właśnie poszły na rozpałkę.

W środku serii skandali z udziałem Trumpa spytaliśmy Mary, jak jej zdaniem radzi sobie dotąd prezydent. Zamyśliła się, po czym odpowiedziała zdecydowanie, że dobrze się spisuje.

– Wierzy w Amerykanów – dodała. – Znowu czuję się wspaniale, nazywając siebie Amerykanką.

6

Dilerzy w białych fartuchach

OxyContin to nasz bilet na księżyc[1].

doktor Raymond Sackler, Purdue Pharma

Daniel McDowell to wielki jak szafa trzydziestodwulatek pochodzący z Gwatemali, mężczyzna o oliwkowej cerze i przedramionach jak u Popeye'a. Poza tym jest uzależniony od heroiny, a ponieważ mieszka w Baltimore, mieście od dziesięcioleci słynącym z handlu narkotykami, można by pomyśleć, że popadł w nałóg przez jakiegoś ulicznego dilera. W rzeczywistości jednak ludzie, którzy są za to odpowiedzialni, nosili trzyczęściowe garnitury i białe fartuchy, a ponadto nigdy nie widzieli celi więziennej od środka – w przeciwieństwie do Daniela. Pojechaliśmy do Baltimore, gdyż jako miasto z ogromną populacją czarnych stanowiło kontrapunkt dla Yamhill, lecz znaleźliśmy tam wiele analogii: cierpienie oraz typowo amerykańską historię zdrady.

Daniel zaciągnął się do wojska w 2004 roku, po skończeniu liceum, i natychmiast został gwiazdą w armii. W szkole podoficerskiej znalazł się w dziesięciu procentach najlepszych w klasie i szybko awansował, by wkrótce dowodzić żołnierzami, którzy wcześniej razem z nim odbywali służbę zasadniczą. Życie w wojsku podobało się Danielowi i przez pewien czas wydobywało z niego to, co najlepsze: był odważny, lubił atmosferę koleżeństwa i poczucie misji, a starsi oficerowie uważali go za osobę, na której można polegać, i człowieka z charakterem. Służył w Afganistanie i Iraku, a następnie, jeszcze w Bagdadzie, zgłosił się na kolejną misję. Doszedł do wniosku, że armia to jego życiowe powołanie, a żona go wspierała, mimo że się o niego martwiła.

Pewnego dnia latem 2006 roku na południu Afganistanu wielozadaniowy pojazd Daniela wjechał na minę przeciwpancerną podłożoną przez talibów. Dwanaście lat później, opowiadając nam tę historię w ciasnym, pozbawionym okna pokoju w taniej dzielnicy Baltimore, Daniel drżał na wspomnienie tej sceny. Pamiętał nagły huk, po którym pojazd wypełnił się dymem, a jego ciało przeszył ból. „Tak bardzo bolały mnie nogi, że nie wiedziałem, czy wciąż je mam. Sięgnąłem w dół, bo niczego nie było widać, a kiedy ich dotknąłem, pomyślałem: »Dzięki Bogu«”.



Daniel McDowell, weteran wojenny, toczy teraz w Baltimore inną walkę – o swoje życie – próbując przezwyciężyć uzależnienie od narkotyków

Fot. Lynsey Addario

Kolana Daniela uległy nieodwracalnemu uszkodzeniu, a po tym wydarzeniu pozostały mu Medal Serca Purpurowego[24] i tląca się złość na Afgańczyków. Niespełna miesiąc później utknął na dziewięć dni w brutalnej strzelaninie, w której jego przyjaciel, trzydziestoczteroletni sierżant sztabowy Robert J. Chiomento, oberwał w klatkę piersiową z granatnika przeciwpancernego. Gniew Daniela na Afgańczyków się wzmógł. Jego zadanie polegało na obsługiwaniu pięćdziesięciokalibrowego karabinu maszynowego, potwora

o sześcioipółkilometrowym zasięgu, zdolnego oddać dziesięć strzałów na sekundę. Podczas tamtej wymiany ognia Daniel gorączkowo strzelał do wszystkiego, co się poruszało, do wszystkich zabudowań z palonej cegły, do czegokolwiek, co wyglądało, jakby w pobliżu mogli być ludzie.

W tamtej chwili Daniel chciał dać ujście swojemu gniewowi na wroga i na Afgańczyków.

– Byliśmy bandą drani, rozpieprzaliśmy wszystko – powiedział nam. – Strzelałem do budynków, strzelałem do wszystkiego, co się ruszało. Rozumiecie, o czym mówię? Byłem wściekły. Zabili moich kumpli i zrobili mi krzywdę, więc zabijałem, jak leciało.

Po bitwie wściekłość ustąpiła i zaczął narastać wstyd. Daniel nie masakrował rozmyślnie kobiet i dzieci w zasięgu swojego karabinu, lecz strzelał w kierunku domów, więc umysł zaczął mu podsuwać obrazy, na których przerażone kilkulatki kuliły się ze strachu i umierały rozrywane jego kulami. Ludzie, których zabił, nawiedzali go w koszmarach jeszcze długo po zakończeniu walki.

– Myślę o tym syfie i ten syf nie daje mi spokoju – powiedział cicho. – Sprawiam wrażenie twardziela, ale wciąż mam uczucia.

Po powrocie do Stanów Zjednoczonych w 2009 roku w randze instruktora musztry Daniel odkrył, że dokuczają mu nie tylko kolana, lecz także sumienie. Ponadto zespół stresu pourazowego nękał go koszmarami, które przerażały jego żonę.

– Miałem okropne sny o tym, że znów tam jestem, że obrywam, i wtedy płakałem przez sen albo krzyczałem – wspominał. – Żona szarpała mnie, żebym się obudził.

Lekarze zajęli się kolanami Daniela – między innymi przeprowadzili operację łąkotki – i przepisali mu tramadol, silny syntetyczny opioid. Daniel chętnie zaczął zażywać lek, który przytępiał fizyczny i emocjonalny ból. Wkrótce lekarze

wojskowi skierowali go do cywilnej poradni leczenia bólu, gdzie przepisano mu olbrzymią ilość oksykodonu i innych opioidowych leków przeciwbólowych. Gdy Daniel zmienił lekarza, nowy spojrzał na jego historię choroby i się przeraził.

– Bierze pan więcej leków niż osoba w terminalnej fazie raka – powiedział, po czym zmniejszył dawkę.

Daniel, rozpaczliwie potrzebujący leków przeciwbólowych, które zaczęły mu się kończyć, usilnie szukał innego sposobu i wściekał się na nowego lekarza. „Sukinsyn – myślał. – Odciął mnie od leków. Nie ma pojęcia, przez co przechodzę”.

Daniel wiedział, że wymaga pomocy, lecz zwrócenie się do wojskowych lekarzy i wyznanie im, że jest uzależniony od tabletek, byłoby upokarzające, a poza tym mogłoby zaszkodzić jego karierze w armii. Zamiast tego skorzystał więc z rady kumpla z wojska, który doznał urazu karku i był trochę bardziej zaawansowany w uzależnieniu: rozgniataj tabletki na proszek, rozpuszczaj w wodzie i wstrzykuj w żyłę. To przez jakiś czas pomagało, lecz wkrótce Danielowi znowu skończyły się leki. Kupował je na czarnym rynku, lecz doprowadzało go to do ruiny finansowej. Dlatego ten sam kumpel z wojska zapoznał Daniela z tańszą wersją opioidów: z heroiną.

– Tak narodził się demon, z którym teraz walczę – powiedział nam Daniel. Nie zdawał sobie sprawy, że właśnie tak wygląda współcześnie najczęstsza droga Amerykanów do uzależnienia od heroiny: zażywasz leki przeciwbólowe na receptę, uzależniasz się, usiłujesz je kupować nielegalnie, a gdy już nie stać cię na nałóg, przerzucasz się na heroinę dostępną na ulicy.

W całym kraju ludzie popadali w ten sposób w nałóg na olbrzymią skalę, co prowadziło do osobistych tragedii i obniżyło ogólnokrajową średnią długość życia. W przypadku Daniela uzależnienie zrujnowało jego reputację w pracy: zaniedbał się, ucierpiały jego oceny okresowe i groziło mu wydalenie za niesubordynację.

– Masz problem z narkotykami – powiedziała mu żona. – Musisz z tym skończyć.

– Słuchaj, ciągnie się za mną cały ten syf, właśnie przeszedłem operację i bolą mnie plecy – odrzekł ze złością. – Pracuję całymi dniami.

Żona, którą Daniel nazywa najlepszą żoną na świecie, w końcu od niego odeszła.

– W gruncie rzeczy rozbiłem nasze małżeństwo – wyjaśnił. – Te prochy były dla mnie ważniejsze od niej.

Uzależnienie kosztowało go sto pięćdziesiąt dolarów dziennie. Daniel wkrótce popadł w długi, a potem armia wysłała go na wcześniejszą emeryturę. Aby zapłacić za kolejne dawki, zaczął handlować heroiną. Wkrótce go aresztowano i spędził osiem miesięcy w więzieniu za handel narkotykami. Wieczorem pierwszego dnia po wyjściu na wolność znowu się naćpał.

W końcu Daniel znalazł odwyk, na który go przyjęto. Leczenie trwało zaledwie dwadzieścia osiem dni – o wiele za krótko – lecz mimo to zdołał trzymać się z dala od narkotyków przez pół roku. Sytuacja się poprawiła: Danielowi i Megan, jego nowej dziewczynie, urodził się syn Braydon, który był oczkiem w głowie taty. Danielowi zależało na nim bardziej niż na czymkolwiek innym na świecie. Nie licząc jednego: narkotyków.

– Uwielbiałem być na haju – wyznał. – Szczerze, to było dla mnie najważniejsze. Po prostu kochałem to uczucie. Żadne inne nie może się z nim równać. Wolałem być na haju, niż uprawiać seks, niż jeść, niż spędzać czas z rodziną.

Drugi powód, by dalej brać heroinę, mimo związanego z tym niebezpieczeństwa, był banalniejszy: unikanie „zjazdu” po odstawieniu. Każdą osobę uzależnioną od opioidów przeraża fizyczny ból towarzyszący życiu bez nich.

– To grypa razy dziesięć plus poród – wyjaśniała Shawn Price, uzależniona od heroiny. – Nie kontrolujesz swoich jelit,

zwracasz wszystko, co zjesz. Raz zostałam postrzelona i już wolałabym zostać postrzelona po raz drugi.

Mimo że Daniel jest oddany Megan i Braydonowi, heroina wywraca jego priorytety do góry nogami.

– Kiedy biorę – powiedział – jestem gotów zrobić wszystko, żeby zdobyć działkę. Kłamać. Oszukiwać. Kraść.

Jak można się spodziewać, wkrótce Daniel znowu popadł w uzależnienie. Okradał Megan i okłamywał ją, więc go wyrzuciła i ostatecznie stał się bezdomny. Nie był pod tym względem odosobniony: amerykański rząd szacuje, że w całych Stanach Zjednoczonych jest około czterdziestu tysięcy bezdomnych weteranów.

Daniel, niegdyś skrupulatny instruktor musztry, spał teraz na ulicy, palił crack i wstrzykiwał sobie heroinę.

– Śmierdziałem i byłem głodny – wspominał. Dwa razy próbował popełnić samobójstwo przez przedawkowanie, ale nawet tego nie umiał. – Docierasz do takiego punktu, że po prostu nie chce ci się dalej żyć – wyznał przygnębiony. – Myślisz: „Mam dość cierpienia. Mam dość bólu. Mam dość całego tego syfu, który robiłem, żeby jakoś dalej ciągnąć. Tego jest po prostu za dużo”.

Nie udało mu się ukryć prawdy przed Braydonem.

– Dowiedział się, że siedziałem w więzieniu – powiedział Daniel, patrząc na swoje buty. – Byłem gównianym ojcem.

Próbował kupować synowi prezenty na urodziny i święta, lecz heroina była ważniejsza i jakimś cudem pieniądze znikały, zanim zdążył cokolwiek kupić dla osoby, na której mu najbardziej zależało.

– Nienawidziłem siebie – dodał. – Nienawidziłem tego, czym się stałem.

Ojciec Daniela jest policjantem. Zerwał z nim kontakt, nie rozmawiają ze sobą od 2013 roku. Jedyną osobą, która wciąż trwa przy Danielu, jest jego matka. Ponoć odbyła wiele

dalekich podróży samochodem, by ratować syna i zapisać go na odwyk. Daniel przyznaje, że nią manipulował i kłamał, by wyłudzić od niej pieniądze na narkotyki.

– Mama mnie kocha, jest moim aniołem. Nigdy się nie zdarzyło, żebym nie mógł na niej polegać, żeby mi nie pomogła. I wiem, że nadużywałem jej dobroci – podkreślił. Gdy rozpaczliwie potrzebował działki, błagał ją o gotówkę, wymyślając różne powody. – Dostałem mandat i jeśli go nie zapłacę, pójdę do więzienia – powiedział jej kiedyś. Innym razem mówił, że ktoś go okradł.

– Mogę ci dać bon podarunkowy – odpowiadała, starając się go trzymać z dala od narkotyków.

– Nie, potrzebuję gotówki.

Przez chwilę się kłócili, a w końcu matka ustępowała, ponieważ nie chciała patrzeć na jego cierpienie. To jednak właśnie ona ocaliła Daniela swoją bezwarunkową miłością, wielokrotnie ratując go z opresji i wynajdując dla niego nowe terapie odwykowe. W końcu wystarała się o skierowanie do Baltimore Station, ośrodka realizującego dwuletni stacjonarny program dla weteranów zmagających się z uzależnieniem, prowadzony przy wsparciu Departamentu do spraw Weteranów w ramach kampanii na rzecz zapobiegania ich bezdomności.



Daniel McDowell w Baltimore Station, ośrodku dla weteranów, podczas grupowej dyskusji na temat radzenia sobie z uzależnieniem

Fot. Lynsey Addario

Baltimore Station (nazwa wzięła się od dawnej remizy strażackiej, w której odbywa się terapia) ma doskonałe wyniki w pomaganiu ludziom chcącym przezwyciężyć nałogi i odzyskać dawne życie. To wzór programów, jakie są nam potrzebne w całym kraju, i to nie tylko dla weteranów. W Baltimore Station Daniel otrzymał opiekę psychologa i przepisano mu subokson, opioid stabilizujący stan osób uzależnionych. Zaczął naprawiać swoje życie. Odwiedziliśmy go w jego pokoju w ośrodku. Od trzech miesięcy nie brał narkotyków, lecz wciąż nie czuł się pewnie i przepełniał go wstyd. Mówienie o tym, jak bardzo upadł, było dla dumnego żołnierza upokarzające, lecz zdecydował się na to, ponieważ chciał, by ludzie zrozumieli trudną sytuację osób uzależnionych.

– Szczerze, to jest po prostu porażka – wyznał nam. – Z takim potencjałem, jaki miałem za młodu, mógłbym zostać starszym sierżantem. Teraz jestem byłym skazańcem. Nie mam domu. Gówno mam, tylko torbę z ubraniami na górze, więc toczę prawdziwą walkę. Każdy dzień jest walką.

Codziennie chcesz brać, ale wiesz, że jeśli będziesz to robił, do niczego nie dojdziesz.

Daniela motywuje determinacja, by odbudować związek z Megan i być ojcem dla Braydona.

– Ona kocha mnie nad życie – powiedział o Megan – ale nie potrafi mi zaufać. To moja wina. – Zamilkł, po czym dodał smutno: – Chcę znowu mieć rodzinę. Chcę wozić Braydona na treningi futbolowe.

Ma nadzieję, że w końcu wróci do college'u i zostanie terapeutą uzależnień, żeby pomagać innym weteranom w tarapatach.

Spytaliśmy Daniela, kogo wini za swoje uzależnienie. Talibów odpowiedzialnych za podłożenie miny przeciwpancernej, która uszkodziła mu kolano? Wojsko, które bezrefleksyjnie przepisywało mu tramadol, a potem skierowało go do zewnętrznej kliniki? Dyrektorów firm farmaceutycznych, którzy wypuścili opioidowe leki przeciwbólowe na rynek, twierdząc, że ryzyko uzależnienia nie jest duże? Lekarzy wypisujących mu leki, bez których nie potrafił żyć? Daniela nie przekonywało żadne z tych wyjaśnień.

– Winię tylko siebie – oświadczył. – W każdej chwili mogłem odmówić. Sam wybrałem taką drogę.

To podejście w pewnym stopniu może się Danielowi przydać. Podstawowe programy dla uzależnionych podkreślają, że uczestnicy muszą wziąć odpowiedzialność za swoje działania zamiast szukać wymówek, ponieważ osiągają wówczas lepsze wyniki. Już Plutarch powiedział: „To, co osiągamy wewnętrznie, zmieni zewnętrzną rzeczywistość”[25].

W ogólniejszym sensie Daniel był jednak dla siebie niesprawiedliwy. Zdradził go rząd, któremu służył z narażeniem życia. Oficjalnie szacuje się, że dwa miliony sto tysięcy Amerykanów cierpi z powodu uzależnienia od opioidów[2], a niektórzy naukowcy podają wielokrotnie wyższe

liczby[3]. Gdy tak liczna grupa dokonuje podobnego złego wyboru, powinien to być sygnał, że problem nie wynika wyłącznie z moralnego upadku jednostki. To upadek systemowy.

Oto jeden ze sposobów, w jaki można spojrzeć na to, co się stało: Daniel został ranny na służbie, a potem lekarze, zarówno wojskowi, jak i cywilni, przepisywali mu wysoce uzależniające opioidy, bez których wkrótce nie potrafił żyć. To dlatego, że przez niedbalstwo rządu doszło do przeoczenia umożliwiającego firmom farmaceutycznym czerpanie zysków z nieodpowiedzialnego marketingu. Gdy Daniel się uzależnił, armia nie próbowała mu pomóc w adekwatny sposób, lecz raczej się go pozbyła, a potem stał się obiektem zainteresowania nie publicznej opieki zdrowotnej, lecz systemu sądownictwa. Rząd go zawiódł, obwinił i uwięził. Parę pokoleń temu Stany Zjednoczone nagradzały weteranów, oferując im kształcenie i dodatki mieszkaniowe. Teraz pomagają uzależnić weteranów od narkotyków, a potem wtrącić ich do więzienia.

Historia trwającego w Ameryce koszmaru uzależnień zaczyna się w latach dziewięćdziesiątych, gdy przemysł farmaceutyczny szukał nowego leku, który mógłby podbić rynek. Opioidy uważano wówczas za uzależniające i przydatne tylko w leczeniu ekstremalnego bólu albo w łagodzeniu cierpienia w terminalnej fazie raka, lecz kadra kierownicza uznała, że ich zasięg można ogromnie rozszerzyć, tworząc dla nich chłonny rynek. Przemysł farmaceutyczny pod przewodnictwem Purdue Pharma i rodziny Sacklerów, do której należy ten koncern, przeprowadził zatem wyrafinowaną kampanię w celu intensywniejszego leczenia bólu – za pomocą produkowanych przez siebie opioidowych leków przeciwbólowych na receptę. Tabletki OxyContin, od których uzależnił się Daniel, były wytwarzane właśnie przez Purdue.

Firmy farmaceutyczne zleciły opracowanie raportów, w których twierdzono, że lekarze pozwalają, by pacjenci

niepotrzebnie cierpieli. W tej krytyce było ziarno prawdy i dostrzeżenie go pomogło farmaceutycznej kampanii marketingowej nabrać rozpędu.

Zawsze istniały cztery parametry życiowe – temperatura, tętno, oddech i ciśnienie krwi – ale w 1995 roku Amerykańskie Stowarzyszenie do spraw Bólu (APS, finansowane między innymi przez Purdue) zaleciło uznanie bólu za piąty parametr życiowy. Stało się to normą w szpitalach dla weteranów i standardem przyjętym przez Amerykańskie Towarzystwo Medyczne. W kwestionariuszach oceny szpitali pytano pacjentów: „Jak często twój ból był dobrze kontrolowany?” i „Jak często personel szpitala robił wszystko, co mógł, by pomóc ci w znoszeniu bólu?”. Późniejszy poziom zwrotu kosztów zależał między innymi od zadowolenia pacjenta, toteż nie było zaskoczeniem, że liczba recept na środki przeciwbólowe w Stanach Zjednoczonych gwałtownie wzrosła, mimo że za granicą odbywało się to na znacznie mniejszą skalę. APS przyznaje, że w praktyce w wielu instytucjach kontrola nad bólem sprowadzała się do zalecenia: „Pytajcie ludzi, czy czują ból. Jeśli tak, dawajcie im opioidy”.

Nie tylko Purdue postępowało bezwzględnie. McKinsey & Company, globalne przedsiębiorstwo konsultingowe, doradzało temu koncernowi, jak „turbodoładować” sprzedaż opioidów, jak stawiać opór agentom DEA[26] i jak „odpierać pretensje rozżalonych matek, których nastoletnie dzieci przedawkowały prochy”[4]. Firma farmaceutyczna Insys Therapeutics zapłaciła podobno sto siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów łapówek Gregory’emu Gerberowi, lekarzowi z Ohio, za promowanie fentanylu, silnego syntetycznego opioidu przepisywanego na receptę[5]. Insys odnotowało tysiącprocentowy wzrost zysków ze sprzedaży fentanylu w latach 2012–2013. Żeby osiągnąć taki wynik, płaciło lekarzom, by dołączali do programu prelekcji i promowali ten lek, oraz nagradzało przedstawicieli handlowych premiami za

bezpardonowy marketing[6]. Firma skutecznie manipulowała lekarzami, by pacjenci się uzależnili.

„Ilekroć lekarz ci mówi, że coś przepisał, twoje następne pytania powinny brzmieć: »Ile jednostek? I jaką dawkę?«”[7] – instruował swoich przedstawicieli handlowych Frank Serra, kierownik regionalny, w 2012 roku. Śledczy Kongresu zdobyli wewnętrzne dokumenty Insys, w których podkreślano wagę „pozyskania” lekarza albo pielęgniarki.

Personel medyczny nie dość, że sprzedawał swoje dusze, to jeszcze robił to za wyjątkowo niską cenę. W jednym z badań dowiedziono, że w latach 2013–2015 przemysł farmaceutyczny wydawał w związku z promocją opioidów średnio pięćset osiemdziesiąt osiem dolarów na jednego lekarza z grupy liczącej sześćdziesiąt osiem tysięcy osób, przeznaczając te pieniądze między innymi na posiłki i wycieczki. W trzyletniej perspektywie to skromna kwota, lecz skutecznie zwiększyła zarówno liczbę recept, jak i liczbę zgonów. Badacze odkryli, że liczba płatności na rzecz lekarzy w danym hrabstwie korelowała z odnotowaną w tym hrabstwie w następnym roku liczbą przypadków śmierci z powodu przedawkowania leków na receptę[8].

Heather Alfonso, pielęgniarka, przyznała w ugodzie obrończej, że otrzymywała łapówki i stała się osobą, która przepisywała w Connecticut najwięcej fentanylu firmy Insys. W ramach programu prelekcji tego przedsiębiorstwa inkasowała tysiąc dolarów za jedno wystąpienie, których zebrało się w sumie około siedemdziesięciu – tyle że w zasadzie wcale nie były wystąpieniami. Sprowadzały się do kolacji w ładnych restauracjach, gdzie jak napisano w senackim raporcie, nie wygłaszała żadnych przemówień, a zresztą często nie było tam z nią nikogo, kto mógłby wypisać receptę. Według tego raportu w samym 2015 roku Alfonso wypisała tysiąc sto sześćdziesiąt dwie recepty na fentanyl: osobom skarżącym się na ból karku, ból pleców, ból nogi i ból ramienia. Można się tylko domyślać, ile nieszczęść

to spowodowało. Fenantyl ma rozsądne zastosowania – na przykład u pacjentów w terminalnej fazie raka – lecz przepisywanie go z powodu chronicznego bólu pleców to recepta na uzależnienie[9].

McKesson Corporation, następne olbrzymie przedsiębiorstwo farmaceutyczne, dostarczyło w ciągu zaledwie dwóch lat prawie dziesięć milionów tabletek przeciwbólowych na receptę do jednej tylko apteki w Wirginii Zachodniej, w Kermit, gdzie mieszka czterysta osób. Jak można się domyślić, doprowadziło to do uzależnień, przedawkowań i pogrzebów – McKesson czerpało natomiast zyski ze swoich bezwzględnych działań[10]. W końcu rząd ukarał tę firmę grzywną w wysokości stu sześćdziesięciu trzech milionów dolarów, lecz rada nadzorcza specjalnie ją pominęła, obliczając zyski, aby ustalić wysokość premii dla dyrektora generalnego, który w ciągu dziesięciu lat zarobił ponad sześćset milionów dolarów[11].

Próbowaliśmy porozmawiać z lekarzem Daniela z poradni leczenia bólu, który przepisywał mu olbrzymie ilości opioidów. Chcieliśmy mu powiedzieć, że Daniel uzależnił się od heroiny, i spytać, czy żałuje swojego podejścia do wypisywania recept. Odmówił komentarza.

Purdue zostało skazane za nieuczciwy marketing swoich opioidów oparty na umniejszaniu ryzyka uzależnienia. Rudy Giuliani energicznie stanął w obronie przedsiębiorstwa i ostatecznie zasądzono grzywnę w wysokości sześciuset milionów dolarów, mało istotną w porównaniu z trzydziestoma pięcioma miliardami, które według szacunków firma zarobiła na sprzedaży oxycontinu. Skazano także poszczególnych kierowników Purdue i nałożono na nich wysokie grzywny, lecz żaden nie spędził choćby jednego dnia w więzieniu. Koncernowi zezwolono na kontynuowanie sprzedaży opioidów, a wartość majątku rodziny Sacklerów sięga obecnie trzynastu miliardów dolarów.

Około osiemdziesięciu procent Amerykanów uzależnionych od opioidów zaczęło nie od narkotyków kupowanych na ulicy, lecz od środków przeciwbólowych na receptę. W gruncie rzeczy prezesi firm farmaceutycznych działali jak kolumbijscy baronowie narkotykowi, czyli za przyzwoleniem władz. Wiele miast i stanów, w tym Baltimore, pozywa teraz Purdue i inne koncerny, aby odzyskać część kosztów leczenia ofiar epidemii opioidowej, lecz nikt nie zdoła oddać Danielowi tego, co stracił.

„Najwięksi dilerzy narkotykowi noszą białe fartuchy albo prążkowane garnitury, a nie bluzy z kapturem czy inne ciuchy, z którymi kojarzy się ulicznych dilerów”[12] – zauważyli Keith Humphreys z Uniwersytetu Stanforda i Jonathan Caulkins z Uniwersytetu Carnegiego i Mellonów.

To, że nikt z kierownictwa Purdue nie trafił do więzienia, nie powinno nas zaskakiwać. W Stanach Zjednoczonych rzadko sądzi się przestępców w białych kołnierzykach. Nawet po kryzysie finansowym w 2008 roku, mimo szeroko rozpowszechnionych nielegalnych działań, które zniszczyły życie mnóstwa ludzi w kraju, do więzienia trafił tylko jeden bankier. Dla porównania po skandalu z kasami oszczędnościowo-pożyczkowymi w latach osiemdziesiątych skazano na odsiadkę prawie dziewięciuset pracowników banków. Bezdyskusyjnie stworzyliśmy system sprawiedliwości o podwójnych standardach. Jeśli kradniesz w spożywczaku, możesz trafić za kratki. Jeśli jednak kradniesz dziesiątki milionów dolarów instytucjom podatkowym albo nieuczciwie rozprowadzasz niebezpieczne leki, siedząc w luksusowym biurowcu, będą cię wychwalać za smykałkę do interesów.

Władze nie przejawiały podobnej pobłażliwości w stosunku do zwykłych ludzi zażywających i rozprowadzających narkotyki, toteż chcieliśmy zobaczyć na własne oczy, co się dzieje z drobnymi handlarzami w rodzaju Genevy Cooley. Pojechaliśmy w tym celu do Alabamy.

Siedemdziesięciojednoletnia Geneva, czarna, kulturalna, siwawa kobieta mówiąca ochrypłym głosem, dorastała w Harlemie i jako nastolatka straciła rodziców. Była ofiarą brutalnej przemocy seksualnej i domowej. W jej dzielnicy można było z łatwością kupić i sprzedać narkotyki, więc pół wieku temu, po wszystkich tych przeżyciach, zaczęła brać heroinę. Wkrótce potrzebowała jej już codziennie i zaczęła nią także handlować. W Nowym Jorku dwa razy skazano Genevę za fałszerstwo, gdy wypisała trefne czeki, by mieć na kolejną działkę.

W 2002 roku pracowała jako sekretarka w biurze rachunkowym na Long Island. Pewnego dnia wybrała się do przyjaciela do Birmingham w stanie Alabama. Mówi, że wyszedł po nią na dworzec kolejowy, podał jej zieloną skarpetę, w której, jak się domyśliła, były narkotyki, i poprosił, by zaniosła ją do jego matki. Patrząc na to z perspektywy czasu, Geneva uważa, że została wrobiona, ponieważ zaraz potem zaczepili ją tajniacy.



Geneva Cooley w więzieniu dla kobiet w Alabamie, gdzie odsiaduje wyrok dożywocia bez możliwości zwolnienia warunkowego za handel narkotykami

Fot. Lynsey Addario

– Geneva Cooley?

– Tak.

– Możemy przeszukać pani torebkę?

– Jasne.

Jedna z kobiet zaczęła grzebać w jej torebce.

– Możemy przeszukać pani ubranie?

– Nie – odpowiedziała Geneva, a potem szybko poszła do toalety, gdzie wyrzuciła pękatą skarpetę do śmietnika. Było już jednak za późno.

– Policja! Jest pani aresztowana.

W skarpecie było pięć tysięcy sześćset tabletek opioidowych i dziewięćdziesiąt gramów heroiny. Prokuratura twierdziła, że Geneva była kurierem i przewoziła z Nowego Jorku narkotyki warte na ulicy ćwierć miliona dolarów. W 2006 roku, po procesie trwającym zaledwie około godziny, skazano Genevę za handel narkotykami, a ponieważ była recydywistką, wymierzono jej karę dożywocia bez możliwości warunkowego zwolnienia. Komputerowy system więziennictwa w Alabamie zarejestrował długość tego wyroku jako dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć lat dziewięćdziesiąt dziewięć miesięcy i dziewięćdziesiąt dziewięć dni.

„Czułam się, jakby moje życie się skończyło – powiedziała nam Geneva. – Miałam ochotę popełnić samobójstwo”.

Odwiedziliśmy Genevę w więzieniu dla kobiet imienia Julii Tutwiler w Alabamie, gdzie zajmuje dolną pryczę w spartańskich warunkach, w pomieszczeniu pełnym piętrowych łóżek dla pięćdziesięciu kobiet. To „honorowa sala sypialna” dla osadzonych, które wykazały się dobrym sprawowaniem. Geneva dba o czystość swojej pryczy i jej otoczenia. Osadzone mają do dyspozycji sprzęt do ćwiczeń, lecz Geneva rzadko z niego korzysta.

Jako jedna ze starszych osadzonych Geneva ma łagodzący wpływ na innych i często interweniuje, gdy emocje biorą górę

i spory wymykają się spod kontroli. Korzysta z więziennej biblioteki – czyta powieści, zwłaszcza kryminały Davida Baldacciego, i czasami chodzi na zajęcia z panowania nad złością, na terapię odwykową oraz lekcje historii. Uwielbia też odwiedzać więzienny ogród kwietny, ale poza tym więzienie jest dla niej ponure, nudne i na zawsze[27].

Geneva mówi, że ani jej syn, ani nikt inny w jej rodzinie nie zażywa narkotyków. Próbuje zachować optymizm w kontaktach z wnukiem i wnuczką.

– Piszę im, żeby robili w życiu dobre rzeczy – powiedziała. Choć regularnie rozmawia z najbliższymi przez telefon, nigdy nie pozwoliła żadnemu z nich przyjechać do więzienia. Nie zniosłaby pożegnania.

Geneva bezsprzecznie popełniła przestępstwo, lecz kontrast jest porażający: codzienność marginalizowanej czarnej kobiety skazanej na spędzenie reszty życia w więzieniu w Alabamie kręci się wokół starannie zasłanej pryczy, podczas gdy członkowie bogatej białej rodziny, która współodpowiada za opioidową epidemię w Stanach Zjednoczonych, są miliarderami. Spytaliśmy Sacklerów z Purdue, co sądzą o tym porównaniu. Odmówili komentarza.

7

Przegrywanie wojny o narkotyki

> W kampanii Nixona w 1968 roku i podczas jego późniejszej kadencji w Białym Domu byli dwaj wrogowie: antywojenna lewica i czarni. Rozumiecie, o czym mówię? Wiedzieliśmy, że nie można zdelegalizować postawy antywojennej ani czarnych, ale kiedy sprawiliśmy, że opinia publiczna zaczęła kojarzyć hipisów z marihuaną i czarnych z heroiną, a potem mocno podkreślaliśmy nielegalność obu substancji, mogliśmy siać zamęt w tych społecznościach. Mogliśmy aresztować ich przywódców, robić naloty na ich domy, przerywać ich zebrania i szkalować ich dzień w dzień w wieczornych wiadomościach. Czy wiedzieliśmy, że kłamiemy w sprawie narkotyków? Oczywiście, że tak[1].
>
> John Ehrlichman, doradca do spraw polityki wewnętrznej prezydenta Richarda Nixona

Amerykańska polityka antynarkotykowa jest od pięćdziesięciu lat tragedią wyrastającą z tragedii. Zrodziła się z frustracji wywołanej takimi sprawami jak przypadek Lena Biasa, prawdopodobnie najwspanialszego koszykarza, który nigdy nie dostał się do NBA. Ten czarny chłopak dorastał na przedmieściach Marylandu w Waszyngtonie, grał na pozycji niskiego skrzydłowego, został zaliczony do składu All-American i przez dwa lata grał w drużynie Uniwersytetu Marylandu, gdzie porównywano go czasami do Michaela Jordana. Umiał skakać jak akrobata, a w swoim ostatnim meczu na uczelni zdobył trzydzieści pięć punktów – gdy kończył karierę w college’u, kibice płakali w sali gimnastycznej.

Bias był miejscowym chłopakiem, który odniósł sukces, lokalnym bohaterem okolic Waszyngtonu. Odznaczał się schludnością, dobrze szło mu w szkole, co niedziela chodził do kościoła i nigdy nie palił, nie pił ani nie brał narkotyków.

– Kochał swoje ciało – powiedziała nam Lonise Bias, jego matka.

Dlatego nie chciał go niczym osłabiać. Poza tym był dumny ze swojej muskulatury, między innymi z kaloryfera na brzuchu, którym chwalił się mamie. „Mamo, zaciśnij rękę w pięść i uderz mnie w brzuch” – prowokował ją.

– Zaciskałam dłoń i waliłam go w brzuch – wspominała Lonise. – Czułam się, jakbym uderzała w ceglany mur. A on się śmiał.

W 1986 roku Bias został wybrany z drugim numerem draftu przez drużynę Boston Celtics, a Reebok chciał go pozyskać do olbrzymiej kampanii reklamowej. Dwa dni po drafcie Lonise Bias odebrała telefon, po którym jej życie legło w gruzach.

– Leżałam w łóżku o wpół do siódmej rano w jeden z najpiękniejszych poranków, jakie kiedykolwiek widziałam – wspominała. – Podniosłam słuchawkę i ktoś powiedział, że Len jest chory.

Lonise i jej mąż popędzili do szpitala. „Żyje?” – spytała Lonise pielęgniarkę, a ta odpowiedziała, że jej syn leży pod respiratorem. Wkrótce wyszedł lekarz i oznajmił, że Len umarł. W toku śledztwa ustalono, że imprezował z przyjaciółmi w swoim pokoju w internacie, gdzie prawdopodobnie pierwszy raz w życiu zażył kokainę i śmiertelnie przedawkował.

Śmierć Lena Biasa wstrząsnęła narodem, także kibicami w Kongresie. Doprowadziła między innymi do uchwalenia w 1986 roku ustawy przeciwko nadużywaniu narkotyków, nazywanej niekiedy ustawą Lena Biasa, oraz do jej zaostrzenia dwa lata później. Jeździliśmy po Marylandzie, by poznać korzenie tych wadliwych aktów prawnych. Przewidziano w nich obowiązkowe wyroki minimalne w wysokości pięciu lat za przestępstwa narkotykowe, nawet te dotyczące marihuany, lecz okazuje się, że były one raczej krzykiem rozpaczy niż częścią przemyślanego planu działań systemowych.

– W żaden sposób nie oceniono potencjalnych skutków tej ustawy – powiedział Eric E. Sterling, który jako młody prawnik pracował dla Kongresu nad projektem obu ustaw antynarkotykowych. – To były emocje. To był instynkt. Nie miało najmniejszego znaczenia, kogo te ustawy mogą dotknąć. – Sterling wspominał, że mówiło się po prostu o potrzebie uchwalenia surowych przepisów antynarkotykowych, by przesłać jasny komunikat.

W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych Portugalia także borykała się z potwornym problemem narkotykowym, jednym z największych w Europie, i tamtejsi ustawodawcy również debatowali nad tym, jak na niego zareagować. Ostatecznie obrała dokładnie przeciwny kurs niż Stany Zjednoczone, które zdwoiły siły w wojnie z narkotykami i postawiły na politykę „zero tolerancji” w sądownictwie karnym. Portugalia zaś powołała komisję i w końcu – za rządów ówczesnego premiera Antónia Guterresa, obecnego sekretarza generalnego ONZ – przyjęła podejście oparte na ochronie zdrowia publicznego. W Portugalii zaczęto traktować uzależnienie od narkotyków jak chorobę, a nie jak przestępstwo. Zdekryminalizowano tam posiadanie wszystkich narkotyków, nawet heroiny i kokainy, skupiając się na działalności edukacyjnej oraz na leczeniu uzależnionych.

Wiele osób na całym świecie było przerażonych tym, że tak duży naród jak Portugalczycy porzuca walkę z narkotykami i legalizuje ich używanie. Istniały uzasadnione obawy, że doprowadzi to do gwałtownego wzrostu zażywania twardych narkotyków. Obecnie, po prawie dwudziestu latach obserwowania obu tych diametralnie odmiennych podejść, wyraźnie widać, które z nich zadziałało lepiej.

W Stanach Zjednoczonych, częściowo za sprawą fentanylu dostępnego u dilerów, nastąpił gwałtowny wzrost zażywania narkotyków i przybyło ofiar śmiertelnych. W 1980 roku z tego powodu zmarło sześć tysięcy sto osób, zaś w 2018 roku było ich już sześćdziesiąt osiem tysięcy[2]. Co piętnaście minut rodzi

się w Stanach Zjednoczonych kolejne dziecko uzależnione od opioidów. Portugalski eksperyment okazał się natomiast olbrzymim sukcesem. Liczba narkomanów spadła o mniej więcej dwie trzecie, a liczba zgonów spowodowanych zażywaniem narkotyków jest obecnie najniższa w Europie Zachodniej. W Portugalii sześć na milion osób w wieku od piętnastu do sześćdziesięciu czterech lat umiera z przyczyn związanych z narkotykami. W Stanach Zjednoczonych jest ich trzysta czterdzieści osiem.

Bezwzględne karanie sprawców drobnych przestępstw narkotykowych w Stanach Zjednoczonych zrujnowało wiele rodzin osiągających niskie dochody, zwłaszcza w społecznościach afroamerykańskich, a związane z tym wyroki sprawiły, że zwłaszcza czarni mężczyźni mają mniejsze szanse na znalezienie pracy i na zawarcie małżeństwa. Państwo wydało ponad bilion dolarów na wojnę z narkotykami, ale zamiast edukować dzieci, skupiło się na zamykaniu w więzieniach drobnych konsumentów narkotyków. Wojna z narkotykami to prawdopodobnie najgorsza pomyłka polityczna w ostatnim półwieczu.

Oto jeden z jej skutków: według organizacji Brennan Center for Justice siedemdziesiąt milionów Amerykanów jest obecnie notowanych. To nieco więcej, niż wynosi liczba Amerykanów z dyplomem college’u – mamy zresztą więcej aresztów i więzień niż czteroletnich uczelni. Wojna z narkotykami dotarła nawet do szkół. W 1996 roku w publicznym gimnazjum w Ohio zawieszono na cztery miesiące czternastoletnią Kimberly Smartt, gdy dała trzynastoletniej koleżance tabletkę midolu na bóle menstruacyjne (midol to łagodny lek przeciwbólowy dostępny bez recepty).

Doświadczenie Portugalii przekonuje, że Stany Zjednoczone i inne kraje także powinny spróbować podejścia opartego na ochronie zdrowia publicznego. Nadzieję niesie to, że coraz więcej miejscowości w naszym kraju zmierza w tym kierunku. Dzieje się tak między innymi dlatego, że kryzys

opioidowy, choć wciąż dotyka przede wszystkim niezamożne rodziny, coraz częściej uderza też w klasę średnią. Wicegubernatorka Ohio odkryła, że obaj jej synowie zmagają się z uzależnieniem. Społeczeństwo okazuje białym dzieciom z klasy średniej zmagającym się z takimi problemami znacznie większe współczucie, niż kiedykolwiek okazywało czarnym w rodzaju Genevy Cooley. Mantra nie brzmi już „Zamknąć ich!”, ale „Leczyć uzależnienie!”. Nacisk na leczenie zamiast karania, obserwowany, odkąd wielu białych młodych ludzi pada ofiarą przedawkowania, jest mile widziany i powinien był nastąpić już dawno, lecz członkowie czarnej społeczności mają powody, by dopatrywać się w nim także hipokryzji.

Gdy Eric Sterling tworzył surowe przepisy antynarkotykowe, a Daniel McDowell je łamał, ich egzekwowanie przypadało w udziale takim funkcjonariuszom jak porucznik Steve Olson z policji w Baltimore. W latach dziewięćdziesiątych i w pierwszej dekadzie XXI wieku Baltimore i wiele innych miast prowadziło politykę zera tolerancji dla narkotyków i Olson uczestniczył w masowych aresztowaniach.



Steve Olson, porucznik policji w Baltimore, zapisuje informacje dla kobiety spotkanej na ulicy. Dawniej aresztował ludzi mających problemy z narkotykami, lecz teraz wie, że to nieskuteczne rozwiązanie

Fot. Lynsey Addario

– Aresztowaliśmy i zamykaliśmy mnóstwo ludzi, lecz w rezultacie wcale nie jest lepiej – powiedział, gdy jechaliśmy razem radiowozem przez niebezpieczne dzielnice. – Ogromna większość aresztowań niczego nie zmienia.

Ten atletycznie zbudowany żartowniś lubiący patrolować ulice na rowerze i biegać w maratonach pochodzi z rodziny o tradycjach wojskowych, silnym poczuciu porządku i przyzwoitości. Gardził chaosem i przemocą narkotykowego świata i wciąż nosi blizny po wypadku w 2013 roku, gdy przestępca przejechał go motocyklem. Ostatecznie jednak Steve doszedł do wniosku, że represje przynoszą więcej szkody niż pożytku. Uwielbia podróże zagraniczne i zauważył, że w innych krajach często traktuje się narkotyki łagodniej, a wygląda na to, że problemów jest mniej.

Gdy Steve’a nękały wątpliwości, w jego życiu prywatnym wydarzyło się coś, co także zmieniło jego podejście do sprawy. W 2016 roku organizował zbiórkę pieniędzy dla Habitat for Humanity, swojej ulubionej organizacji dobroczynnej, oferując ludziom pomoc w różnych obowiązkach domowych. Jego siostra oznajmiła, że wpłaci datek, jeśli Steve posprząta w furgonetce ich ojca, toteż zrobił to z typową dla siebie skrupulatnością – i przeżył wstrząs, gdy znalazł w samochodzie akcesoria do zażywania narkotyków. Uświadomił sobie, że nie należą do jego ojca, lecz do Marka, jego trzydziestoczteroletniego brata, który często korzystał z tego pojazdu.

Nagle wszystko, czego Steve nie rozumiał w zachowaniu Marka, nabrało sensu.

– To, dlaczego nie był w stanie zapłacić czynszu, dlaczego nie potrafił utrzymać pracy, dlaczego się zaniedbywał, dlaczego niektóre z jego działań były po prostu zupełnie nie w jego stylu, dlaczego miewał napady szału – wyjaśniał.

Jasne stało się także to, dlaczego Mark nie starał się o zatrudnienie w miejscach, które polecał mu brat: wiedział, że nie przeszedłby badania na obecność narkotyków. Raz Steve

natknął się na pojazd Marka w okolicy słynącej z narkomanii, lecz brat – pracujący wtedy na wieżach telefonii komórkowych – wyjaśnił, że sprawdzał tamtejszą infrastrukturę.

– Uzależnieni kłamią jak najęci – stwierdził z rezygnacją Steve.

Zadzwonił zatem do brata. „Mark – powiedział – właśnie sprzątam furgonetkę taty”. Mark natychmiast zrozumiał, co się stało, a potem próbował ze sobą skończyć przez przedawkowanie. Nie udało mu się i jakiś czas później odbyli ze Steve’em szczerą rozmowę. Mark wyznał, że nałóg kosztuje go trzysta dolarów dziennie. Rodzina próbowała go zapisać na długoterminową terapię odwykową, ale początkowo nie mogła znaleźć placówki, która byłaby gotowa przyjąć jego ubezpieczenie zdrowotne. To niestety bardzo częsty problem. W końcu się udało i przez trzy i pół miesiąca Mark trzymał się z dala od narkotyków. Zmagał się z głodem narkotycznym, dzwonił do brata kilka razy dziennie. Raz wyjaśnił, że minusem trzeźwości jest konieczność sprostania obezwładniającemu światu. Dodał, że angielskie *sober* (trzeźwy) to tak naprawdę akronim od *son of a bitch, everything’s real* („to wszystko dzieje się naprawdę, sukinsynu”).

Kilka miesięcy po tym, jak Mark poszedł na odwyk, Steve był w Malawi, gdzie pracował jako wolontariusz dla Habitat for Humanity, i dostał esemesa z prośbą o pilny telefon do żony.

– Wiedziałem, co oznacza ta wiadomość – powiedział. – Oznaczała, że mój brat nie żyje.

Spragniony działki Mark jechał autostradą z prędkością ponad stu czterdziestu kilometrów na godzinę, by kupić torebkę heroiny za dwadzieścia dolarów, i stracił panowanie nad pojazdem. Zginął w wypadku. Ta tragedia uwrażliwiła Steve’a na to, co przechodzą rodziny uzależnionych. Gdy koledzy z policji wypowiadali się pogardliwie o „ćpunach”,

Steve ripostował: „A, macie na myśli takich ludzi jak mój brat?”.

Po tej tragedii stał się również bardziej świadomy przeszkód, jakie stoją na drodze do leczenia. Przekonał się, jak trudno jest zdobyć pomoc, i zaczął lepiej rozumieć, że na uzależnienia trzeba patrzeć nie tylko od strony prawa karnego, ale też od strony ochrony zdrowia publicznego.

– Wchodząc na tę ścieżkę, mój brat zrobił coś złego – przyznał ponuro Steve. – Złamał prawo. Podjął decyzję, która miała charakter moralny. Ale gdzieś po drodze do uzależnienia, gdy żył tak, a nie inaczej, to przestało być sprawą moralności i zaczęło być sprawą zdrowia. Kiedy tak jak mój brat czujesz, że się pogubiłeś, nie masz siły, żeby samemu szukać pomocy. A system nie ułatwia ci zadania. Jest bardzo wiele różnych luk i przeszkód, bardzo wiele drzwi, do których trzeba pukać.

Rok po śmierci Marka Baltimore rozpoczęło pilotażowy program o nazwie LEAD – Law Enforcement Assisted Diversion [Zmiana przy Wsparciu Służb Porządkowych]. Jego celem jest usunięcie tych barier. LEAD zakłada nie aresztowanie osób zażywających narkotyki i zamykanie ich w więzieniach, lecz otoczenie ich opieką i pracę z nimi. Program narodził się w Seattle, gdzie doprowadził do sześćdziesięcioprocentowego spadku recydywy. Obecnie wprowadza się go w wielu miastach w całym kraju. To oznaka oddalenia się od tradycyjnego amerykańskiego podejścia w stronę modelu portugalskiego. Najwyższa pora. Towarzyszyliśmy Steve’owi, gdy patrolował ulice, wypatrując osób uzależnionych nie po to, żeby je aresztować, lecz by skierować je do terapeutów z LEAD.

– Joe! – zawołał wesoło do obszarpanego brodatego mężczyzny niosącego na ramieniu jakieś rury.

Joe powitał go serdecznie, ale jakby z poczuciem winy: tłumaczył, że znalazł te rury na śmietniku, co nie wydawało

się szczególnie wiarygodne. Dawniej, wyjaśnił nam później Steve, policja mogłaby aresztować Joego na takiej lub innej podstawie, ale teraz funkcjonariusze skupiają się na nakłonieniu go do leczenia.

Po krótkiej pogawędce Steve przeszedł do rzeczy.

– Joe, a gdybym ci powiedział, że ludzie, z którymi chcę, żebyś porozmawiał, pomogą ci wrócić do rodziny?

– Niech mi pan poda nazwiska i numery telefonu, zadzwonię do nich.

– Sam cię tam zawiozę.

– Cały czas mogę na pana liczyć – odpowiedział Joe, ale potem się zawahał i powiedział, że jest zbyt zajęty.

– Ci ludzie mogą zaraz do ciebie przyjść. Zaczekasz tu kilka minut?

Joe zaszurał butami i chyba zaczął się niecierpliwić, a potem próbował zbyć Steve'a.

– Sam do nich przyjdę – powiedział, podając jakiś nieokreślony moment w przyszłości. – Wie pan, jak trudno jest zrobić ten pierwszy krok. Przecież pan wie, panie Olson.

– Mam ci do powiedzenia coś ważnego. Znajdziesz teraz dla mnie piętnaście minut? Tylko piętnaście minut. Nie będę cię nigdzie zabierał. Nie będę cię prosił, żebyś gdziekolwiek szedł. Poproszę, żeby ktoś przyszedł do ciebie. Piętnaście minut. Wiem, że musisz już iść. Wiem, ile dla ciebie znaczy piętnaście minut. Ale z drugiej strony piętnaście minut może wiele zmienić. Czujesz, jak jest ci teraz źle? Chciałbyś się pozbyć tego uczucia?

– Chciałbym się pozbyć wszystkiego.

Gdy Steve sięgnął po komórkę i dzwonił po pracownika opieki społecznej, spytaliśmy Joego, dlaczego ma takie opory przed odwiedzeniem biura LEAD.

– Ten krok jest najtrudniejszy – odrzekł nerwowo. – Wchodzisz gdzieś, gdzie nikogo nie znasz. Nie wiesz, czy cię tam przyjmą jak człowieka czy potraktują jak gówno.

Steve wkrótce wrócił, był przybity. Wyjaśnił, że pracownicy opieki społecznej są akurat zajęci, bo zawieźli pewnego młodego mężczyznę do fryzjera, żeby mógł pójść na rozmowę w sprawie pracy. Prosił jednak Joego, żeby poszedł do biura LEAD.

– Pójdę – obiecał Joe. – Naprawdę.

Chyba przekonały go słowa Steve'a, który powiedział mu, że część pracowników opieki społecznej też była kiedyś uzależniona i dobrze zna ten świat. Joe dodał, że chciałby, aby Steve mu tam towarzyszył, ponieważ w obcym otoczeniu czuje się niepewnie.

– Zadzwoń, Joe, a natychmiast będę – obiecał Steve.

Joe się pocił, prawdopodobnie był na lekkim głodzie i potrzebował działki. Być może dlatego tak mu się spieszyło. Gdy oddalał się z rurami na ramieniu, Steve odprowadzał go wzrokiem.

– Najtrudniejsze w patrzeniu, jak odchodzą, jest to, że taki finał to normalka – powiedział nam Steve, gdy znowu siedzieliśmy w radiowozie. – Rozmawiam z Joem dość często od kilku tygodni. Za każdym razem jestem bliższy sukcesu. Jeszcze nigdy nie byłem tak blisko jak dzisiaj.

Spytaliśmy Steve'a, czy taka praca policyjna daje mu satysfakcję, a on pokiwał głową i odpowiedział, że bez wątpienia ratuje komuś życie. Potem jednak westchnął.

– Ale to wyczerpujące – powiedział. – Nie podnoszę głosu, ale krzyczę do nich. Osiem godzin dziennie. To wykańczające psychicznie i fizycznie. Podobnie jak świadomość, że kiedy ja wieczorem wracam do domu, ludzie, którzy wzbraniają się przed leczeniem, oraz ci, których nie udało mi się namówić, i tacy, którzy w ogóle nie chcieli ze mną rozmawiać, wciąż są

na ulicy. – Zamilkł, pokręcił głową i dodał: – Nie dam rady robić tego do emerytury. Nie dam rady. Fizycznie i psychicznie nie dam rady.

Baltimore stosuje pionierskie podejście do uzależnienia od narkotyków między innymi dzięki swojej byłej komisarz do spraw ochrony zdrowia, doktor Leanie Wen. Podobnie jak wielu innych ekspertów w tej dziedzinie, Wen twierdzi, że powinniśmy traktować uzależnienie jak przewlekły problem ze zdrowiem, tak samo jak traktujemy cukrzycę czy choroby serca. Nie wszyscy się z tym zgadzają i to oczywiście prawda, że uzależnienie jest częściowo uwarunkowane okolicznościami oraz zachowaniem, a uzależnionych należy zachęcać, by odmawiali narkotyków – tak jak cukrzycy powinni odmawiać drożdżówek. Wielu osobom udaje się przezwyciężyć uzależnienie bez wsparcia farmakologicznego, wyłącznie siłą woli. Uzależnienie, podobnie jak cukrzyca, jest jednak uwarunkowane zarówno zachowaniem, jak i biologią.



Steve Olson (tyłem do obiektywu) podczas interwencji w sprawie człowieka, który według zgłoszenia przedawkował narkotyki. W ramach programu LEAD Steve nie aresztuje ludzi uzależnionych, lecz próbuje ich skierować na leczenie

Fot. Lynsey Addario

– Nikt nie spytałby osoby chorej na cukrzycę, dlaczego nie może odstawić insuliny – zauważyła Wen. – Nikt nie spytałby osoby z nadciśnieniem, dlaczego potrzebuje leków, dlaczego nie wystarczą jej ćwiczenia i dieta.

W obu partiach widać oznaki odwrotu od podejścia opartego wyłącznie na karach ku skuteczniejszemu, obejmującemu także leczenie. Rozsądna i skuteczna polityka Portugalii wobec narkotyków, skupiona na ochronie zdrowia publicznego, stała się trendem w Kanadzie i Europie. W Stanach Zjednoczonych takie podejście musiałoby objąć trzy najważniejsze elementy.

Po pierwsze, leczenie powinno być dostępne dla wszystkich dwudziestu jeden milionów Amerykanów, którzy go potrzebują, oraz obejmować zarówno doradztwo psychospołeczne, jak i kurację wspieraną farmakologicznie. Według rządowych szacunków oszałamiająca liczba – jeden na siedmioro młodych dorosłych w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat – potrzebuje leczenia. W 1971 roku prezydent Nixon zarządził, by udostępniono je wszystkim osobom uzależnionym od narkotyków, aby nie musiały się obawiać sankcji, i uzyskał na ten cel znaczne środki od Kongresu[28]. Przez pewien czas dokonywał się prawdziwy postęp w walce z heroiną, lecz niestety w późniejszych dziesięcioleciach terapia stała się mniej dostępna. Obecnie zaledwie jedna na dziesięć osób z zaburzeniami spowodowanymi używaniem substancji psychoaktywnych otrzymuje jakąkolwiek pomoc medyczną[3]. To zdumiewająca porażka naszego rządu i systemu opieki społecznej, a administracja Trumpa prawdopodobnie jeszcze pogorszyła sytuację, ograniczając ustawę o przystępnej opiece zdrowotnej i Medicaid.

– Nie wyobrażam sobie, co by było, gdybyśmy mówili, że tylko jedna na dziesięć osób chorych na raka ma szansę na chemioterapię albo że jeden na dziesięcioro pacjentów

wymagających dializy może ją otrzymać – powiedziała nam Wen. – A właśnie tak się dzieje w wypadku uzależnienia.

Ustawa o przystępnej opiece zdrowotnej obejmowała pomoc psychologiczną i leczenie zaburzeń związanych z zażywaniem narkotyków jako podstawowe świadczenia zdrowotne, lecz zwrot ich kosztów jest bardzo niski, a wielu uzależnionych w ogóle nie ma ubezpieczenia zdrowotnego. Potrzebny nam bardziej kompleksowy i lepiej finansowany program krajowy. Rozmawialiśmy z ludźmi, którzy próbowali się dostać na leczenie odwykowe i usłyszeli, że ich uzależnienie nie jest jeszcze na tyle poważne, by się kwalifikowali. W gruncie rzeczy kazano im czekać, popaść w głębsze uzależnienie i spróbować ponownie. To oczywiście krótkowzroczne podejście. Badania pokazują, że większy dostęp do leczenia odwykowego się opłaca, ponieważ dzięki niemu maleje przestępczość. Według Krajowego Instytutu do spraw Nadużywania Narkotyków (NIDA) ambulatoryjne leczenie uzależnień kosztuje około czterech tysięcy siedmiuset dolarów rocznie, zaś trzymanie uzależnionych w więzieniach – pięć razy tyle. Oznacza to, że jeden dolar zainwestowany w programy leczenia uzależnień pozwala zaoszczędzić dwanaście dolarów dzięki zmniejszeniu przestępczości i kosztów sądowych oraz uszczupleniu wydatków na opiekę zdrowotną[4]. Program Baltimore Station, który pomógł Danielowi, jest przykładem skutecznej procedury, którą można powielać.

Drugim krokiem jest sprawienie, by zażywanie narkotyków przez tych, którzy nie chcą się leczyć, rzadziej kończyło się śmiercią. Stanom Zjednoczonym udało się znacznie zwiększyć dostępność naloksonu, antidotum na przedawkowanie opioidów, dzięki czemu tacy funkcjonariusze policji jak Steve Olson noszą go teraz przy sobie i mogą natychmiast podać. Nalokson to naprawdę cudowny lek: kiedy wstrzyknie się go komuś, kto zapadł w śpiączkę z powodu przedawkowania, osoba ta, o dziwo, zazwyczaj ożyje, a zaledwie dziesięć minut później będzie wyglądała prawie jak nowo narodzona. Wen

wypisała obowiązującą w całym mieście receptę na nalokson dla wszystkich sześciuset dwudziestu tysięcy mieszkańców Baltimore oraz starała się o zaopatrzenie w ten lek społeczności wysokiego ryzyka, takich jak dzielnica czerwonych latarni.

Promowanie wymiany igieł w celu ograniczenia transmisji wirusa HIV i wirusowego zapalenia wątroby także okazuje się pomocne i jest obecnie powszechnie akceptowane w Stanach Zjednoczonych. Więcej kontrowersji wywołują miejsca, w których można bezpiecznie zrobić zastrzyk – przychodzą tam uzależnieni, by pod okiem pielęgniarki albo pomocy pielęgniarskiej wstrzyknąć sobie własną heroinę albo inny narkotyk. Placówka zapewnia igły, lecz nie narkotyki. Jeśli uzależniony przedawkuje, może niezwłocznie otrzymać pomoc, zamiast umierać na ławce w parku. W innych krajach, między innymi w Kanadzie, istnieje około dziewięćdziesięciu takich miejsc i mimo milionów przyjętych tam dawek nie zgłoszono ani jednego przypadku zgonu po przedawkowaniu. Dziesiątki badań wskazują, że nie tylko ratuje się tam życie, lecz także umożliwia organom do spraw ochrony zdrowia nawiązanie kontaktu z uzależnionymi i stopniowe nakłonienie ich do leczenia[5]. W pierwszym tego typu miejscu w Ameryce Północnej, otwartym w Vancouver w Kolumbii Brytyjskiej, osiągnięto trzydziestopięcioprocentowy spadek liczby zgonów z powodu przedawkowania na tym obszarze. W jednym z badań oszacowano, że podobne miejsca w amerykańskich miastach nie tylko ocaliłyby ludzkie życie, lecz także pozwoliły zaoszczędzić około trzech i pół miliona dolarów[6]. Niestety, administracja Trumpa zagroziła prokuratorem tym lokalnym urzędnikom, którzy spróbują otwierać takie placówki.

Trzeci krok jest najbardziej skomplikowany – skupienie się na profilaktyce, edukacji oraz zmniejszeniu stygmatyzacji utrudniającej uzależnionym szukanie pomocy. „Społeczeństwo musi zmienić nastawienie do osób zażywających narkotyki – powiedziała Wen, powtarzając swoje wcześniejsze słowa. – Ci

ludzie są chorzy i wymagają leczenia". Jednym z elementów prewencji jest zmniejszenie ilości opioidów przepisywanych przez lekarzy i stomatologów, co poniewczasie właśnie się dokonuje, lecz liczba takich recept wciąż pozostaje znacznie wyższa niż w innych krajach. W 2016 roku lekarze w stanie Michigan wypisali więcej recept na opioidy, niż wynosi liczba mieszkańców tego stanu[7].

Gdy w 2017 roku Wen urodziła dziecko, przepisano jej oksykodon na trzydzieści dni.

– Po co mi on? – spytała.

– W razie gdyby go pani potrzebowała – wyjaśnił lekarz. – Nie chcemy, żeby panią bolało.

Prewencja oznacza także postępowania karne przeciwko dużym przemytnikom narkotyków, a w szczególności chińskim przedsiębiorstwom zarządzającym dostawami fentanylu. Największym wyzwaniem jest jednak uznanie uzależnienia za objaw poważnej choroby, w związku z czym obrana strategia powinna też obejmować miejsca pracy, kształcenie i nadzieję. Bez względu na to, czy mówimy o Baltimore, czy o Yamhill, narkotyki często zażywa się nie tylko dla haju, lecz także po to, by uciec z miejsca, które stało się nie do wytrzymania.

Ustawa pierwszego kroku (First Step Act) z 2018 roku była przykładem popartej przez obie partie reformy sądownictwa karnego i może przynieść korzyść tysiącom więźniów federalnych, gdyż pozwoli złagodzić ich wyroki, lecz powinna być dopiero początkiem większej zmiany w polityce więziennej. Eric Sterling, który pomagał tworzyć surowe przepisy antynarkotykowe w latach 1986 i 1988, zupełnie zmienił swoje podejście do problemu i obecnie działa na rzecz ich zniesienia.

– To, że Kongres tyle razy nie zdołał zmienić tych przepisów, jest prawdziwym dowodem jego braku woli naprawienia niesprawiedliwości – oznajmił. – Wojna

z narkotykami była tragicznie chybioną inicjatywą. To się musi zmienić.

8

Wyciąganie się z kłopotów za własne cholewki

> Mówienie człowiekowi bez butów, że powinien się wyciągnąć z kłopotów za własne cholewki, jest okrutnym żartem.
>
> Martin Luther King junior

Na pogrzebie Kevina Greena w Yamhill kościół był pełen ludzi. Wielebna Rhonda Kroeker, która znała zmarłego, odkąd miał trzynaście lat, zauważyła, że taki tłum dowodzi niezwykłej lojalności Kevina wobec przyjaciół. Nie owijała jednak w bawełnę, mówiąc o żniwie, jakie zbierają narkotyki:

– Niestety, zażywanie narkotyków staje się sposobem na życie. Odsuwają ból, emocjonalny oraz fizyczny, i trzymają go w ryzach. Przez jakiś czas.

Mówiła, że trudno jej było odprawiać ceremonię pogrzebową Kevina między innymi z powodu emocji, które nią wtedy targały.

– Byłam wściekła. Wściekła, że przez narkotyki, które postanowił brać latami, zawiodło go własne ciało. Wściekła, że przez swoje wybory życiowe skończył w pudełku ustawionym przed tłumem płaczących ludzi. Wściekła na ludzi w tym tłumie, z którymi się trzymał, którzy brali narkotyki razem z nim i dostarczali mu je za darmo.

Rhonda dobrze znała ten świat. W wieku trzynastu lat, będąc w ósmej klasie, przestała chodzić do szkoły podstawowej w Yamhill, ponieważ zaszła w ciążę. Potem sama nadużywała alkoholu i narkotyków. Była blisko związana z Knappami i Greenami. Clayton Green był drużbą na jej ślubie. Ostatecznie ona i jej mąż skończyli

z imprezowaniem i zostali nowo narodzonymi chrześcijanami. Wciąż jednak przyjaźnili się z Knappami i Greenami.

Choć nigdy nie chodziła do szkoły średniej, a tym bardziej do seminarium duchownego, Rhonda została bezwyznaniową kapłanką z predylekcją do uzdrawiania (mówi, że potrafi wyleczyć ludzi z raka, kładąc na nich ręce). Stanęła na czele kościoła My Father's House, który przenosił się z miejsca na miejsce, i zorganizowała inicjatywę o nazwie Blessing Room Free Store, by zbierać datki od ludzi i wspierać finansowo potrzebujących. Około tysiąca osób miesięcznie – olbrzymia liczba na takim rolniczym obszarze jak Yamhill – przychodziło do niej po żywność, ubrania, zabawki i inne rzeczy. Na co dzień Rhonda pracuje jako sprzedawczyni samochodów w pobliskim miasteczku Newberg, lecz jej pasją jest szukanie sposobów, by pomagać ludziom z Yamhill i okolic, którzy borykają się z problemami.

Na ceremonii pogrzebowej Irene Green opłakiwała śmierć swojego trzeciego dziecka, po Cindy i małym Thomasie. Rhonda łamiącym się głosem powiedziała zebranym, że nie chce widzieć kolejnej osoby w trumnie. Nie chciała znów prowadzić przedwczesnego pogrzebu.

– W tym tłumie było bardzo wielu załamanych ludzi – wspominała Rhonda. – Gdy skończyłam mówić, po prostu siedzieli i na mnie patrzyli. Nikt się nie poruszył. Uświadomiłam sobie, że potrzebują więcej wsparcia. Zaczęłam śpiewać i modlić się za nich. Przez następnych dwadzieścia minut sprawowałam dla tych ludzi posługę duszpasterską.

Gdy Nick opisał w mediach społecznościowych historię Kevina i wyraził swój ból po jego śmierci, reakcje bywały pogardliwe.

„Cóż, sam tak wybrał – drwiła Libby na Twitterze. – Miał wolną wolę. To otyłość zabija, nie brak równości". José napisał na Facebooku: „Obwinianie systemu to tylko usprawiedliwianie własnych pomyłek". Ayden miał równie

mało współczucia: „Ten człowiek POSTANOWIŁ żyć w taki sposób i podjął decyzje, które ostatecznie okazały się zgubne nie tylko dla niego, lecz także dla jego dzieci”.

„Był uzależniony od jedzenia i od narkotyków – wtrąciła Nancy. – Nie płacił alimentów. Podejmował złe decyzje”. Gdy ktoś inny na Facebooku zaprotestował, że to surowa ocena, Nancy odpisała: „Czyżbym przeoczyła fragment o tym, jak ten alimenciarz ruszył swój gruby tyłek, żeby wesprzeć własne dzieci?”. Nancy oświadczyła, że ciężko pracowała, nigdy nie brała jałmużny, uczyła się nocami, żeby zdobyć MBA, zainwestowała w fundusze na studia swoich dzieci i nigdy nie byłaby taka jak Kevin. „W ogóle mu nie współczuję – podsumowała. – Ani trochę”.



Clayton Green w swoim warsztacie w 2018 roku. Był znakomitym mechanikiem, umiał naprawić wszystko

Fot. Lynsey Addario

Nancy, chcielibyśmy, by było więcej ludzi tak zdeterminowanych i pracowitych jak ty. Nie jesteś zresztą odosobniona w swoich przekonaniach. Doktor Ben Carson, sekretarz do spraw mieszkalnictwa i rozwoju miejskiego, nadzorujący mieszkalnictwo komunalne, opisuje ubóstwo jako „raczej wybór niż cokolwiek innego”. To prawda, że pewnym

nieprzeciętnym jednostkom, takim jak on sam, udaje się wspiąć na szczyt mimo bardzo trudnego dzieciństwa, lecz to są wyjątki. Ekonomista Alan Krueger zauważył, że dochody dziedziczy się w naszym kraju mniej więcej tak samo jak wzrost. „Prawdopodobieństwo, że ktoś, kto urodził się w rodzinie należącej do dolnych dziesięciu procent dystrybucji dochodów, wespnie się w dorosłości do górnych dziesięciu procent, jest mniej więcej takie samo jak prawdopodobieństwo, że syn człowieka mającego metr sześćdziesiąt pięć wzrostu osiągnie ponad metr osiemdziesiąt – zaobserwował Krueger. – To się zdarza, ale niezbyt często”.

Surowe opinie na temat takich ludzi jak Kevin omijają sedno problemu. Odzwierciedlają coraz okrutniejszą narrację, zgodnie z którą problemy klasy robotniczej wynikają wyłącznie ze złych decyzji, lenistwa i niemoralnych zachowań. W ostatnich pięćdziesięciu latach zaczęto postrzegać ubóstwo jako porażkę nie tylko ekonomiczną, lecz także moralną, wywołując wszechobecne podejrzenie, że ubodzy ludzie potajemnie wiodą beztroskie życie dzięki zasiłkom. Sondaż Centrum Badawczego Pew pokazał, że zamożni Amerykanie przeważnie są zgodni co do tego, iż „w dzisiejszych czasach ubodzy ludzie mają łatwo, ponieważ mogą dostać zasiłek i nie muszą robić nic w zamian”[1]. Muzyk Ted Nugent twierdził, że osoby pobierające zasiłki to „biorcy”, „roszczeniowe matoły” i „żarłoczne, bezduszne świnie”[2]. Konserwatywny autor Neal Boortz porównał ubogich do grzyba na paznokciu u nogi. Narracja, zgodnie z którą wszystko, co człowiek musi zrobić, by wyjść z kłopotów, to wyciągnąć się z nich za własne cholewki, leży u podstaw naszych porażek we wdrażaniu programów wsparcia, które pomogłyby krajowi i stworzyły szanse dla dzieci. Jeśli wierzysz, że ubóstwo wynika z osobistego wyboru, próbujesz je stygmatyzować i karać, zamiast skupić się na jego zmniejszeniu. Patrząc z perspektywy czasu, dochodzimy do wniosku, że „cholewkowa narracja” zaczęła nabierać rozpędu

w latach siedemdziesiątych, mniej więcej w tym samym okresie, w którym Stany Zjednoczone przystąpiły do realizacji chybionej polityki, rozbieżnej z rozwiązaniami wybieranymi w Europie i Kanadzie. To wtedy dyskurs o ubogich stał się podlejszy, a radykalne zmiany doprowadziły do karania dożywociem za przestępstwa związane z narkotykami.

Takie podejście wciąż ma licznych zwolenników. Paul Ryan, były spiker Izby Reprezentantów, również znalazł się wśród osób twierdzących, że najlepszym rozwiązaniem problemu ubóstwa jest to, by ubodzy „wyciągnęli się z niego za własne cholewki". Wyrażenie to miało początkowo odwrotny wydźwięk niż dzisiaj: na początku XIX wieku oznaczało dokonanie czegoś niemożliwego, ponieważ wyciągnięcie się z czegokolwiek za własne cholewki jest oczywiście fizycznie niemożliwe. Dopiero w XX wieku Amerykanie zaczęli przypisywać temu sformułowaniu obecne znaczenie.

Gdy umocniła się „cholewkowa narracja" o osobistej odpowiedzialności, łatwiej było uniknąć inwestowania w programy dla małych dzieci albo w leczenie narkomanii. Narracja ta stała się wymówką dla bierności i surowej polityki społecznej. Stała się ideologią. To dlatego profesor David Ellwood z Harvardu mówi, że pierwszym krokiem do wyeliminowania ubóstwa musi być zakwestionowanie przekonania, iż największym problemem jest osobista porażka. „Wszystko zaczyna się od zmiany narracji" – stwierdza Ellwood.

Na pewnym poziomie wspomniane podejście opiera się na fałszywych przesłankach. Jasne, niektórzy ludzie są leniwi. Inni nie. Kevin Green harował całymi dniami, jeżdżąc rowerem z przyczepką i zbierając puszki przy drodze. Przynosiło mu to około dwudziestu dolarów dziennie. Robił też meble, czasami pracował jako drwal i dorabiał, uprawiając olbrzymi ogród warzywny, który stale wymagał pielenia i podlewania. Owszem, Kevin dostawał bony żywnościowe

i rentę, lecz jego przedwczesna śmierć oznacza, że choć płacił składki na Medicare i ubezpieczenie społeczne, nigdy nie pobierze emerytury ani nie skorzysta więcej z ubezpieczenia zdrowotnego.

– Jesteśmy najbogatszym krajem na tej planecie i mamy największe ubóstwo – powiedział nam profesor Matthew Desmond, socjolog z Uniwersytetu w Princeton. – Nie ma innego zaawansowanego przemysłowo społeczeństwa z taką specyfiką i takim poziomem ubóstwa jak u nas. Jeśli zatem zamierzamy przyjmować indywidualistyczną teorię ubóstwa: że w Stanach Zjednoczonych jest tak wielu biednych ludzi, ponieważ doprowadzili do tego własnym postępowaniem, to musimy też przyjąć pogląd, iż z całą masą Amerykanów dzieje się coś skrajnie niedobrego. Moim zdaniem to nieprawda. Uważam, że do ubóstwa doprowadziły pewne decyzje, lecz nie podejmowali ich wyłącznie ci, którzy wskutek nich cierpią.

Okrucieństwo wobec tych, którzy zostali w tyle, nie jest jednak problematyczne wyłącznie w kontekście faktów. Świadczy także o zepsutym kompasie moralnym oraz o pewnej dozie hipokryzji, ponieważ bogaci także otrzymują pokaźne dotacje. Dawniej Amerykanie sławili Robin Hooda o dobrym sercu, który odbierał bogatym i dawał biednym, teraz zaś zmieniliśmy się w szeryfa z Nottingham. Gdy jako społeczeństwo wzruszamy ramionami na trzydzieści milionów dzieci żyjących w amerykańskich rodzinach o niskich dochodach i obcinamy im świadczenia, wzywając do tego, by wyciągnęły się z kłopotów za własne cholewki, powinniśmy spojrzeć w lustro i szczerze ze sobą porozmawiać.

– To nie jest tak, że pewnego dnia się obudziłam i postanowiłam, że chcę być narkomanką – powiedziała Michelle Vavrick, młoda kobieta, która uzyskała pomoc w walce z narkotykami, alkoholem i przestępczością, a obecnie doskonale radzi sobie w nowej pracy w Tulsie. – Byłam ofiarą ogromnej przemocy seksualnej i jedynym

znanym mi mechanizmem radzenia sobie z tą sytuacją było branie narkotyków.

„Cholewkowa narracja" wywodzi się z narastającego braku empatii w Stanach Zjednoczonych. Jego konsekwencją jest między innymi pogarda dla ludzi zostających w tyle[29]. Stuart Varney, gospodarz Fox News, nasiąkł narracją o osobistej odpowiedzialności i ją rozpowszechnia. Ma upodobanie do atakowania tych, którzy korzystają z pomocy społecznej, i nazywa ich „tak zwanymi ubogimi". Zauważając, że wielu z nich ma samochody i telewizory, oznajmił: „Obraz ludzi ubogich, jaki mamy, głodujących i żyjących w nędzy, jest naprawdę nietrafny. Wielu z nich posiada różne rzeczy. Tym, czego im brakuje, jest bogactwo duchowe". Innym razem przyznał: „Jestem podły dla ubogich ludzi".

Choć Varney jest Brytyjczykiem, głęboko wierzy w amerykański etos – w to, że sukces jest nagrodą dla pracujących ludzi przestrzegających zasad. W 2011 roku zaprosił do swojego programu Roberta Franka, ekonomistę z Uniwersytetu Cornella, i oburzył się, gdy Frank powiedział, że ważnym czynnikiem w osiąganiu sukcesu jest fart. Nie pasowało to do opinii Varneya na temat jego własnych losów. Oto fragment tej rozmowy:

– Jestem farciarzem, skoro jestem tym, kim jestem, i jestem tu, gdzie jestem? – spytał Varney.

– Tak – potwierdził Frank.

– Jestem farciarzem? Farciarzem?

– Tak, jest pan farciarzem. Ja też nim jestem.

– Nie wierzę własnym uszom. Po prostu nie wierzę. A co z ryzykiem, które podjąłem? Czy pan wie, z jakim ryzykiem wiąże się przyjazd do Stanów Zjednoczonych bez grosza przy duszy? Czy pan wie, z jakim ryzykiem wiąże się próba zatrudnienia się w dużej amerykańskiej telewizji przez osobę z brytyjskim akcentem, totalnego cudzoziemca? Czy pan wie, jakie ryzyko wiąże się z sukcesem na takim poziomie?

– Wiem – przytaknął znów Frank.

– Czy jest pan farciarzem, skoro wykłada pan na uniwersytecie? – drążył Varney.

– Tak.

– Nonsens. Pańskie słowa mnie obrażają – uniósł się gospodarz. – Wypowiada się pan przeciwko amerykańskiemu etosowi. Niech pan posłucha, jeśli przyjeżdża pan do Stanów Zjednoczonych z niczym, przestrzega pan zasad, ciężko pracuje, ma dużą samodyscyplinę, żeni się pan i rodzą się panu dzieci, właśnie w tej kolejności, jeśli robi pan to wszystko i, powtórzę, przestrzega pan zasad, odniesie pan sukces w Stanach Zjednoczonych. Fart nie ma tu nic do rzeczy.

– Nieprawda – zaoponował Frank.

Varney rzeczywiście ciężko pracował, podejmował ryzyko i przestrzegał zasad (jeśli pominąć wydawanie setek tysięcy dolarów na kochankę, o czym wspomniano w pozwie rozwodowym wniesionym przez jego żonę) i nie mamy mu za złe sukcesu, jaki odniósł. Najwyraźniej nie docenia jednak tego, że jego fart zaczął się w chwili, gdy urodził się kochającemu małżeństwu z klasy średniej mieszkającemu w Anglii. Jego matka była nauczycielką. Później ukończył London School of Economics, jedną z najlepszych uczelni na świecie, oraz spędził pewien czas w Kenii i Hongkongu. Nie przybył do Stanów Zjednoczonych „z niczym”, lecz z olbrzymim kapitałem ludzkim – który, trzeba mu to przyznać, pomnożył za pomocą inteligencji i ciężkiej pracy. Historia sukcesu Varneya zaczęła się jednak w łonie troskliwej matki[30].

Nie oznacza to, że osobista odpowiedzialność jest bez znaczenia. Istnieje pewne ryzyko, że zamożni liberałowie rozmawiający o tych sprawach przyjmą kontrnarrację, w której każdy ubogi człowiek lub przestępca jest szlachetną ofiarą okoliczności, pozbawioną wszelkich szans i wessaną

przez wir, przed którym nie sposób się obronić. To protekcjonalne podejście okrada ludzi ze sprawczości, ponieważ ubodzy potrafią być w każdym calu równie podli, głupi i narcystyczni, jak bogacze.

Liberałowie często wyjaśniają złe zachowanie trudnymi okolicznościami i niedoskonałością społeczeństwa, konserwatyści zaś chętnie podkreślają złe wybory dokonywane przez jednostki. Dlatego liberałowie widzą wyzyskiwane ofiary, a konserwatyści pogardzają leniwymi pasożytami. W rzeczywistości wszyscy ludzie są skomplikowani, a zarówno przeciwności losu, jak i złe decyzje istnieją naprawdę – oba te aspekty się dopełniają. Kevin zdawał sobie sprawę, że podejmował kiepskie decyzje, i reszta z nas także powinna o tym wiedzieć. Każdy, kto pracował u podstaw, widział mnóstwo nieodpowiedzialności, lecz jednocześnie zauważył, że źródła problemu są znacznie bardziej złożone, niż pokazuje narracja o wyciąganiu się z tarapatów za własne cholewki.

Jednym z niebezpieczeństw naszego darwinizmu społecznego jest to, że chłoną go nawet ci, którzy znajdują się na dole drabiny społecznej i w konsekwencji stygmatyzują siebie samych. Na ulicy w Baltimore gawędziliśmy z Jacksonem Phillipsem juniorem, dwudziestoośmiolatkiem, który stał obok namiotu nieopodal autostrady służącego mu za dom. Jackson, szczupły mężczyzna o rzadkiej brodzie, powiedział, że jest bezdomny od ośmiu lat i uważa, że to po części jego wina.

– Miałem wiele szans – powiedział nam. – Dokonałem złych wyborów.

Odnieśliśmy jednak wrażenie, że obwiniając się, brał na siebie *zbyt wielką* odpowiedzialność. Gdy spytaliśmy go o przeszłość, okazało się, że mógł dokonywać „wyborów” w bardzo ograniczonym zakresie. Jego matka była narkomanką i prawdopodobnie naraziła go na działanie narkotyków, już gdy był w jej łonie. Rodzeństwo doznało

ostrego zatrucia ołowiem, więc on także mógł cierpieć z powodu problemów poznawczych i behawioralnych wywołanych kontaktem z tym pierwiastkiem. Jako trzylatek widział, jak zastrzelono jego brata. Dwa lata później diler narkotykowy postrzelił w głowę także jego.

– Tu mam bliznę – powiedział Jackson, pokazując nam ślad na głowie. Krótko chodził do szkoły i oficjalnie zakończył edukację w ósmej klasie.

Odpowiedzieliśmy mu, że z pewnością dokonał pewnych złych wyborów, ale podobnie jest z bardzo wieloma ludźmi, którzy przeszli tego rodzaju gehennę. Profesor Esther Duflo z MIT, znana ekonomistka, powiedziała nam, że zastanawia się, czy amerykańska ideologia mobilności, przekonanie, że każdy może osiągnąć wszystko, nie dodaje sił jednym ubogim ludziom, wywołując jednak w innych poczucie, że są beznadziejni, i nie sprawia, że stają się bardziej skłonni do podejmowania niewłaściwych decyzji.

Po śmierci Kevina Clayton Green próbował przejąć pałeczkę i prowadzić gospodarstwo, lecz doskwierało mu wiele takich samych problemów, z jakimi borykał się jego brat. Clayton zmagał się z nadwagą, nie mógł zdobyć dobrej pracy i od czasu do czasu lądował w więzieniu za przestępstwa narkotykowe – co jeszcze bardziej oddalało go od znalezienia zatrudnienia. Poza tym miał wadę wymowy i czasami trudno go było zrozumieć. W szkole nigdy nie zapewniono mu pomocy logopedycznej. Przez wadę wymowy ludzie często brali go za tępaka, mimo że tak naprawdę był bardzo bystry, a przy tym wyjątkowo utalentowany jako mechanik.

Clayton pracował czasami na farmie Kristofów, gdzie regularnie naprawiał traktory i buldożer Caterpillar. Gdy Nick po raz drugi wjechał traktorem w owczarnię, to właśnie Clayton pomógł ją odbudować. Innym razem zdołał zabić setki os i zniszczyć ich gniazdo, po tym jak Nick się poddał i uciekł.

Do problemów Claytona należały porywczość i skłonność do rozwiązywania konfliktów za pomocą pięści zamiast słów. Odzwierciedla to pewien autodestrukcyjny mechanizm obecny w niektórych społecznościach robotniczych – drażliwość na punkcie honoru połączoną z poleganiem na sile fizycznej oraz z poczuciem, że tylko mięczaki zwracają się do nauczycieli, policji albo sądów. Dzieci dorastające wśród przemocy i bite za złe zachowanie przyjmują to jako normę. Być może ta domniemana szlachetność walki na pięści to współczesne echo dziewiętnastowiecznych pojedynków – można je usłyszeć, gdy mężczyźni chwalą się bliznami, które zostały im po bójkach, oraz dostrzec w sposobie, w jaki wychowują swoich synów.

– Tata mi mówił: „Nigdy się nie wycofuj, nie przegrywaj w walce" – wspominał Clayton. Posłuchał tej rady. W szkolnym autobusie numer sześć większość dzieci siedziała tam, gdzie chciała (licealiści zazwyczaj z tyłu, uczniowie podstawówki z przodu), lecz Clayton był takim zadymiarzem, że przydzielono mu miejsce w przedniej części pojazdu. W samej tylko dziewiątej klasie uczestniczył w pięciu bójkach na pięści, po ostatniej wydalono go ze szkoły i jego kształcenie się skończyło.

Clayton znalazł dziewczynę i urodził im się syn Eathan. Wkrótce się pobrali – Eathan, będąc jeszcze małym chłopcem, został drużbą na ślubie rodziców. Po paru latach przestało im się układać i żona Claytona wyjechała do Idaho, zabierając Eathana. Clayton postanowił rozwiązać problem w tradycyjny sposób: pojechał za nią, zabrał syna i ruszył w stronę domu. Grupa przyjaciół jego żony rzuciła się w pogoń, złapała Claytona, pobiła go i odzyskała chłopca. Po dalszych negocjacjach Claytonowi udało się uzyskać prawo do opieki nad Eathanem i wychowywał go na rodzinnej farmie w Yamhill. Ich stosunki często bywały napięte.



Clayton Green, z prawej, z naszym wspólnym przyjacielem Rykoszetem Goffem w 2015 roku, gdy problemy zaczynały go przerastać

Fot. Nicholas Kristof

Brawura często bywa zmorą samotnych mężczyzn. W przypadku Claytona również tak było. Jadąc za szybko na motocyklu, stracił panowanie nad pojazdem i wypadł z drogi. Innym razem poróżnił się z pewnym człowiekiem o to, kto jest właścicielem przyczepy. Tamten rozwiązał problem, podczepiając ją do swojej furgonetki i odjeżdżając.

– To nie twoja przyczepa! – zawołał za nim Clayton, próbując zagrodzić drogę furgonetce.

W całym tym zamieszaniu pojazd z przyczepą przetoczył się po nim i zniknął na drodze. Ciężko ranny Clayton dowlókł się do sąsiada, żeby wezwać pogotowie. W szpitalu okazało się, że ma uszkodzoną wątrobę i pęknięte płuco, a do tego dwadzieścia osiem złamanych kości.

– Porządnie oberwałem – wspominał Clayton z odrobiną dumy.

Ten przedsiębiorczy człowiek znajdował rozmaite sposoby na zarabianie pieniędzy, gdy nie mógł zdobyć porządnej pracy.

Po tym, jak wyleciał z liceum, przez jakiś czas uprawiał marihuanę, niekiedy w odległych zakątkach cudzych działek, tak by w razie znalezienia roślin nie można go było łatwo z nimi powiązać. Raz został przyłapany tylko dlatego, że jakiś rolnik zasnął na traktorze i niechcący wjechał na poletko jego marihuany. Później, mimo że w liceum nigdy nie uczył się chemii, Clayton zaczął produkować i sprzedawać metamfetaminę. Razem z kolegą z klasy Nicka, Farlanem Knappem, którego ojciec strzelał do matki ukrywającej się na polu, zostali lokalnymi pionierami gotowania mety. Clayton powiedział nam, że w ciągu trzech lat na początku trzeciego tysiąclecia zarobił na tym sto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów (inni szacowali, że znacznie więcej). W narkotykowej społeczności nosił przezwisko Candy Man i miał reputację utalentowanego chemika umiejącego wyprodukować zarówno zwykły crank, czyli tanią wersję metamfetaminy, jak i kryształ. W tych dostatnich latach kupił sobie indywidualną tablicę rejestracyjną NAST-1, nawiązującą do słowa *nasty*[31]. Ustawił też szereg znaków mających zniechęcać intruzów: do dziś wjeżdżając na podjazd Greenów, mija się pięć tablic z napisem „Zakaz wstępu” i dwie ostrzegające przed złym psem. Po paru wyrokach narkotykowy model życia nie wydawał się już atrakcyjny, więc Clayton porzucił sprzęt laboratoryjny i próbował żyć inaczej, lecz przeszłość kryminalna utrudniała mu znalezienie pracy.

Wcześniejsze pokolenia klasy robotniczej w Yamhill i innych częściach Stanów Zjednoczonych znajdowały pokrzepienie i wsparcie w kościołach albo organizacjach społecznych, a nawet w klubach kręglarskich, które jednak powoli zamykano, jak zauważył profesor Harvardu Robert Putnam w swojej książce *Samotna gra w kręgle*. W Yamhill działały kiedyś loża masońska, tajne stowarzyszenie Odd Fellows, koło kobiet, placówka Veterans of Foreign Wars i duża orkiestra, a ponadto wydawano tygodnik „Carlton-Yamhill Review”, donoszący o takich wydarzeniach towarzyskich jak na przykład to, że pani Withycombe wpadła

z wizytą do pani Laughlin. Istnieją dość mocne dowody, że tego rodzaju integracja społeczna nam służy. W słynnym badaniu przeprowadzonym w Roseto w stanie Pensylwania, zamieszkanym przez zżytą społeczność włosko-amerykańską, zaobserwowano, że rezultatem mocnych więzi społecznych jest brak stresu połączony z ogromnym spadkiem liczby chorób serca. Ludzie w Roseto palili, pili i jedli tłustą kiełbasę, ale nie dostawali zawałów. Ten ochronny wpływ zżytej społeczności na stan zdrowia nazywa się efektem Roseto.



Clayton Green i Nicholas Kristof na farmie Kristofów w Yamhill w 2015 roku. Clayton odbudował widoczną w tle owczarnię, po tym jak Nick wjechał w nią traktorem

Fot. dzięki uprzejmości rodziny Kristofów

Poza tym warto zwrócić uwagę, że wśród Latynosów znacznie rzadziej niż wśród innych Amerykanów dochodzi do samobójstw i że często ogólny wskaźnik śmiertelności też okazuje się u nich niższy, i to mimo mniejszych średnich dochodów. Inaczej mówiąc, latynoska klasa robotnicza – zwłaszcza osoby urodzone za granicą – jest niejako chroniona przed działaniem niektórych czynników powodujących spustoszenie w białej klasie robotniczej. Czasami nazywa się

to zjawisko latynoskim paradoksem i istnieje wiele teorii na temat tego, dlaczego ono zachodzi i w jakim stopniu jest prawdziwe. Jedno z wyjaśnień wskazuje, że siła latynoskich rodzin i innych społeczności, zwłaszcza wśród nowo przybyłych imigrantów, tworzy spójną ochronną tkankę społeczną osłaniającą robotników przed samotnością, frustracją i stresem, które tak bardzo osłabiają białą klasę robotniczą.

Choć dawniej Yamhill było wzorem zżytej wspólnoty rolniczej, obecnie jego tkanka społeczna jest zetlała. W miasteczku wciąż działają cztery kościoły i ochotnicza straż pożarna, lecz inne instytucje zniknęły, a stare spoiwo społeczne zwietrzało niezwykle szybko. Clayton był typowym przedstawicielem swojego pokolenia: nie udzielał się w szkole ani w żadnej innej organizacji. Więzi międzyludzkie i lokalne instytucje osłabły, więc choć miał przyjaciół, w zasadzie nigdzie nie przynależał ani nie odgrywał żadnej roli społecznej, która dawałaby mu spełnienie oraz poczucie, że coś znaczy.

Clayton coraz bardziej szedł w ślady Kevina. On także zapuścił długą brodę i tak bardzo przytył, że trudno mu było pracować. Gdy przekroczył sto osiemdziesiąt kilogramów, lekarze oznajmili mu, że ma cukrzycę i zastoinową niewydolność serca oraz rosnący poziom płynu w opłucnej. Próbował się poddać operacji zmniejszenia żołądka, ale powiedziano mu, że najpierw musi podreperować zdrowie. Daliśmy mu książkę o odchudzaniu, lecz nigdy nie zdołał dużo schudnąć.

Paul Ryan prawdopodobnie widziałby w Claytonie człowieka, który nie chciał wyciągnąć się z kłopotów za własne cholewki. My widzieliśmy piekielnie wiernego przyjaciela, który nie zdołał zdobyć wykształcenia, a potem ciągle borykał się z problemami, często wykonując ciężką, wielogodzinną pracę fizyczną mimo wielu dolegliwości. Raz Clayton omal nie umarł na serce, trafił do szpitala, a kilka dni po wyjściu przyczłapał na farmę Kristofów, bo obiecał

naprawić traktor. Mieliśmy do niego pełne zaufanie, ponieważ był szalenie lojalny wobec mamy Nicka i wobec swoich starych przyjaciół, takich jak Rykoszet Goff. Na dowód tej lojalności pewnego razu wyrzucił syna Goffa z ekipy pracującej na naszej farmie, gdy ten zjawił się pod wpływem metamfetaminy – ironia losu, jeśli wspomnieć wysoki status Claytona w świecie mety. Regularnie nas zapewniał, że ostrzega ludzi z narkotykowego światka, iż osobiście zabije każdego, kto zadrze z panią Kristof. Dziękowaliśmy mu z zakłopotaniem, ale zaraz wyrażaliśmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Owszem, zdarzało się, że bez pytania brał benzynę ze zbiornika na naszej farmie, ale rozdawał też gotówkę przyjaciołom w potrzebie i zjawiał się, ilekroć potrzebowaliśmy pomocy. Patrząc z perspektywy czasu, dochodzimy do wniosku, że szkoła wykazała się brakiem odpowiedzialności, wydalając Claytona i nigdy nie zapewniając mu pomocy logopedy, a potem on sam pogłębił swoje problemy. Gotowanie metamfetaminy było nieodpowiedzialne, lecz myślenie, że otyły człowiek, który w dziewiątej klasie wyleciał ze szkoły i dysponuje przestarzałymi umiejętnościami technicznymi, zdoła wyciągnąć się z kłopotów za własne cholewki, to pobożne życzenie.

Podobnie jak Kevin, Clayton stracił prawo jazdy z powodu niepłacenia alimentów. Jednak podczas gdy Kevin był ostrożny w kwestii prowadzenia bez uprawnień, Clayton miał mniejsze zahamowania i jawnie jeździł swoim czarnym pikapem. Pewnego razu wezwano go w związku z tym do biura prokuratora okręgowego w siedzibie władz hrabstwa w McMinnville.

– Ale nie przyjechał pan tutaj sam, prawda? – spytał prokurator.

– Nie, skąd – odpowiedział Clayton. – Wziąłem ze sobą psa.

9

Śmierć z rozpaczy

> Ubóstwo wiąże się z lękiem i stresem, bywa, że również z depresją. Osoby niezamożne znoszą tysiące drobnych upokorzeń i trudności. Wychodzenie z biedy o własnych siłach to coś, czym można się szczycić, ale tylko głupcy idealizują ubóstwo[1].
>
> J. K. Rowling

Na początku XIX wieku najbogatszym człowiekiem na świecie był bezapelacyjnie Nathan Mayer Rothschild, założyciel bankierskiej dynastii Rothschildów i człowiek, który w 1826 roku poratował finansowo Bank Anglii. Jeśli uwzględnić poziom inflacji, był bogatszy niż John D. Rockefeller, Bill Gates czy Jeff Bezos. W 1836 roku zrobił mu się czyrak na pośladku – chirurdzy wycięli ropień, lecz doszło do zakażenia. Kolejne bolesne zabiegi przeprowadzone przez lekarzy okazały się nieskuteczne i najbogatszy człowiek wszech czasów umarł, choć dzisiaj wystarczyłaby dawka antybiotyków warta dolara, żeby go wyleczyć.

Przez ostatnie sto pięćdziesiąt lat średnia długość życia na świecie szybko rosła dzięki antybiotykom, transfuzjom krwi, szczepionkom, dezynfekcji, kanalizacji i innym innowacjom, które miały oszałamiający wpływ na opiekę zdrowotną. Nawet najuboższy Amerykanin raczej nie umarłby dziś z powodu zainfekowanego czyraka, jaki uśmiercił Rothschilda. Średnia długość życia wzrosła w Stanach Zjednoczonych od niespełna trzydziestu pięciu lat w 1860 roku do blisko siedemdziesięciu siedmiu w 2000 roku i powoli się zwiększała, aż w 2014 roku osiągnęła szczytową wartość 78,9 roku[2].

Później, poczynając od 2015 roku, działo się coś niepokojącego: średnia długość życia w Stanach Zjednoczonych zaczęła znowu gwałtownie spadać i trwało to

przez trzy kolejne lata – był to pierwszy taki trzyletni spadek od 1918 roku, gdy ludzie umierali z powodu najgorszej pandemii grypy w historii współczesnej. Spadek średniej długości życia dobitnie świadczy o tym, że dzieje się coś bardzo złego, nawet jeśli w tym samym czasie gospodarka w ogólnym ujęciu przeżywa rozkwit.

„Powinniśmy to potraktować bardzo poważnie – powiedział Bob Anderson z Centrum do spraw Profilaktyki i Zapobiegania Chorobom. – Jeśli spojrzymy na inne kraje rozwinięte, okazuje się, że nie odnotowują one u siebie niczego podobnego”[3]. To prawda, zubożali niegdyś mieszkańcy Korei Południowej żyją już średnio osiemdziesiąt dwa lata, znacznie dłużej niż Amerykanie, a demografowie przewidują, że w 2030 roku Meksykanie także będą się cieszyli dłuższym życiem.

Wszystko zależy od warstwy społecznej. Średnia długość życia amerykańskich mężczyzn osiągających niskie dochody jest porównywalna ze średnią długością życia mężczyzn w Sudanie albo Pakistanie, podczas gdy zamożni amerykańscy mężczyźni żyją dłużej, niż wynosi średnia w jakimkolwiek kraju na świecie. Największy wpływ na spadek średniej długości życia Amerykanów ma umieralność takich ludzi jak Greenowie i Knappowie – białych z najwyżej średnim wykształceniem. Tymczasem średnia długość życia czarnych wciąż rośnie, choć pozostaje niższa niż średnia długość życia białych w ogólnym ujęciu. Anne Case i Angus Deaton, ekonomiści z Uniwersytetu w Princeton, którzy pierwsi zwrócili uwagę na ten trend, przypisywali spadek średniej długości życia „śmierci z rozpaczy” spowodowanej przez trzy główne czynniki: narkotyki, alkohol i samobójstwa.

– Są one objawem głębszego problemu: znaczenie życia robotników i ich rodzin jakby wyparowało – powiedział nam profesor Deaton. – Wygląda na to, że gospodarka po prostu przestaje uwzględniać tych ludzi.

Jeśli pomyśleć o losach dzieci Knappów ze szkolnego autobusu numer sześć, można dojść do wniosku, że chyba rzeczywiście tak jest.

Ilekroć Gary Knapp bił Dee i sięgał po strzelbę, jego żona uciekała z domu i kuliła się w ciemności. Wtedy on zaczynał strzelać.

– Po prostu przywierałam do ziemi, chowałam się, zastygałam i modliłam się, żeby Gary we mnie nie trafił – wspominała Dee.

Jeszcze bardziej stresujące były chwile, w których mąż mierzył do niej ze strzelby. Kulę dwudziestkidwójki mogłaby przeżyć, strzału w klatkę piersiową ze strzelby kaliber dwanaście już nie bardzo. Dee bała się nie tyle śmierci, ile traumy, jakiej doświadczyłyby jej dzieci, gdyby stały się świadkami takiego morderstwa. Już i tak były okaleczone scenami, w których ich ojciec znęcał się nad matką. Farlan mówił ponuro, że zamierza go zabić.

Próbując ocalić dzieci przed bolesnymi doświadczeniami, Dee poszła do biura szeryfa, by złożyć skargę i poprosić o pomoc. W latach siedemdziesiątych zastępcy szeryfa nie byli jednak zainteresowani przemocą domową. „To problem rodzinny” – oświadczył jeden z nich. Gary stawał się zatem coraz bardziej brutalny w stosunku do Dee i dzieci, mimo że robiła wszystko, co w jej mocy, by odwrócić jego uwagę, ilekroć nakazywał synom i córce ustawić się w szeregu i zamierzał bić ich pasem. Zazwyczaj jej się to udawało, lecz wyłącznie własnym kosztem. Musiała trzykrotnie wstawiać nowe drzwi, ponieważ mąż ją przez nie wypchnął.

Gdy pewnego wieczoru szykowała kolację dla dzieci, Gary zażądał, by zawiozła go do baru w Gaston.

– Nie zamierzam teraz wychodzić i zostawiać dzieci głodnych tylko dlatego, że ty masz ochotę wybrać się do baru – odpowiedziała. – Najpierw dam im jeść.

Na rozgrzanej patelni skwierczał tłuszcz. Wściekły Gary rzucił w nią tą patelnią i poparzył Dee. Potem chwycił za nóż.

– Nie ruszaj się albo cię zabiję – powiedział. Po chwili zaczął rozcinać na niej ubranie.

– Dzieci, idźcie na górę – krzyknęła bezradna Dee, nie chcąc, by widziały jej upokorzenie.

Posłuchały, a Gary metodycznie poprzecinał szew po szwie. Potem uderzył ją pięścią i wypchnął z domu.

Pewnej niedzieli wielkanocnej, po trwającej do rana awanturze, Dee i Gary zawieźli dzieci na szukanie jajek. Gary pił whiskey aż do świtu, a do tego łykał tabletki. Ta mieszanina obezwładniła jego organizm. Poszarzał na twarzy, stracił wzrok i zaczął wchodzić na ściany. Dee i Farlan siłą wsadzili go do samochodu i zawieźli do szpitala. Umarł dwie godziny później. Miał trzydzieści dziewięć lat.

Dee odczuła przede wszystkim ulgę.

– Wiedziałam, że nie może już wrócić i mnie skrzywdzić – wspominała.

Na pogrzebie siedziała niewzruszenie z podbitym okiem i pękniętą wargą upamiętniającymi jej małżeństwo. O dziwo, jedynym szczerze przejętym żałobnikiem był Farlan, nękany poczuciem winy z powodu swoich planów wobec ojca. Był przesądny i zastanawiał się, czy w pewnym sensie nie przyczynił się do jego śmierci.

– Myślę, że Farlan znalazłby jakiś sposób, żeby zabić Gary’ego. Nienawidził go – powiedziała Dee.

Po śmierci Gary’ego w domu Knappów zapanował większy spokój i wydawało się, że przyszłość rysuje się w jaśniejszych barwach. Nie należy idealizować ubóstwa, lecz nie jest ono także nieustającym pasmem nieszczęść. Jak zauważały inne dzieci, młodzi Knappowie czasami świetnie się bawili. Borykali się wprawdzie z poważnymi trudnościami, lecz w ich życiu były także psikusy, przyjemność towarzysząca łowieniu

ryb i ciepło dużej rodziny zebranej przy stole. Dzieci robiły wszystko razem, od pasteryzowania pomidorów po majstrowanie przy gaźnikach. Mimo częstych kłótni i bójek Knappowie byli ze sobą bardzo zżyci. Doprowadzali się nawzajem do rozpaczy, czasami bili się do krwi, lecz także stawali w obronie rodzeństwa i polegali na sobie. Byli dla siebie najlepszymi przyjaciółmi i wszyscy wiedzieli o bezwarunkowym oddaniu swojej matki. Dee uciułała ze swoich marnych dochodów trochę pieniędzy, by kupić szesnastoletniemu Farlanowi mustanga, jego pierwszy samochód, i cała rodzina zachwycała się miłością oraz poświęceniem, jakie odzwierciedlał ten prezent.

W domu Knappów zapanował optymizm, lecz dalsze życie okazało się skomplikowane. Kształcenie otwierało drogę do lepszej przyszłości, ale ponieważ Dee skończyła naukę na piątej klasie, nie mogła uczyć swojej piątki ani jej upilnować. Była wyczerpaną samotną matką, która całymi dniami jeździła traktorem, a potem usiłowała wychowywać dzieci. Droga ku lepszemu życiu stała się zatem kręta, a jej synowie i córka jedno po drugim rzucali szkołę. Farlan rzucił naukę po dziewiątej klasie, by dokładać się do utrzymania rodziny. Zealan był w gruncie rzeczy analfabetą i nie przejmował się szkołą jeszcze długo, zanim oficjalnie z niej wyleciał. Nathan nieustannie wagarował, nudził się na lekcjach i odczuwał niechęć do dyscypliny, w końcu odpadł w dziesiątej klasie. Rogena miała szesnaście lat, gdy poszła w ślady braci.

Keylan regularnie pakował się w kłopoty. W trzeciej klasie przyniósł do podstawówki w Yamhill PCP, narkotyk o działaniu halucynogennym, a potem zażył go razem z Zealanem i kolegą, co zakończyło się pobytem w szpitalu. Keylan jednak wyjątkowo dobrze radził sobie z matematyką i przyrodą. W piątej klasie nauczyciele wysłali go na lekcje matematyki trzy roczniki wyżej, gdzie siedział na wysokim krześle, a jego stopy dyndały w powietrzu. Osiągał tam lepsze wyniki niż większość ósmoklasistów. Być może odpowiedni nauczyciel pielęgnowałby jego matematyczną pasję

i skierował chłopaka na ścieżkę ku college'owi. Keylanowi zabrakło jednak wyzwań i zaczął się nudzić.

Dee narzeka, prawdopodobnie słusznie, że szkoły nie były zbytnio zainteresowane jej dziećmi, widziały w nich tylko niesforną hołotę i z radością się ich pozbyły. Z punktu widzenia dyrektora placówka funkcjonowała sprawniej bez Knappów i Greenów, lecz taktyka pozbywania się kłopotliwych dzieci sprawiała jedynie, że stawały się problemem społecznym.

W domu Knappów były strzelby, ale brakowało książek. Uczono dzieci, jak majstrować przy samochodach, ale nie uczono ich czytać. Dee nigdy nie zdobyła właściwego klasie średniej zestawu umiejętności niezbędnych podczas negocjowania ze zbiurokratyzowanymi instytucjami, takimi jak szkoła.

– Mówili, że nie mają personelu, żeby pomagać gorzej uczącym się dzieciom – wspominała Dee. Nie wiedziała, jak zaprotestować.

Jeśli jej rodzina walczyła o swoje, robiła to w niewłaściwy sposób. Zgodnie z tradycyjnym kodeksem honorowym na zniewagę należało odpowiadać przemocą. Gdy Keylan, będąc w złym humorze, przewrócił biurko nauczyciela i został zawieszony na trzy dni, jego wujek zemścił się, przychodząc do szkoły i przypierając tego nauczyciela do ściany. To sprawiło, że szkole zaczęło jeszcze bardziej zależeć na pozbyciu się Knappów.

Innym problemem mógł być brak wzorów do naśladowania oraz brak pewności siebie. Knappowie mieszkali w Cove Orchard, wiosce zbudowanej wokół maleńkiego sklepu z dystrybutorem paliwa na północ od Yamhill. Woda gruntowa była tam słona, więc studnie na niewiele się przydawały, a za kanalizację służyły jedynie wychodki i szamba. Czarne, śmierdzące ścieki płynęły do rowów. „Wiele takich rowów stwarzało ogromne zagrożenie dla zdrowia z powodu zalegających w nich nieoczyszczonych ścieków" – wspominał

Joe Petrovich, ówczesny okręgowy specjalista do spraw sanitarnych. To wszystko sprawiało, że ceny nieruchomości były niskie i przyciągały ludzi z nizin społecznych. Wśród sąsiadów Knappów było kilka rodzin alkoholików oraz stary pijak nazywany przez ludzi menelem, dwie wdowy mieszkające w chałupach bez prądu i bieżącej wody oraz młoda samotna matka, która składała niemoralne propozycje chłopcom przychodzącym do jej ładnej córki. Nick wciąż się rumieni na to wspomnienie.

– Jeśli mieszkałeś w Cove Orchard, na tym zadupiu Yamhill, byłeś hołotą – wspominał Keylan.

To poczucie degradacji, bycia zaszufladkowanym jako ktoś gorszy, jest najważniejszą cechą wiru wciągającego pracującą biedotę. Amartya Sen, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, powiedział, że wstyd jest „nieredukowalnym absolutystycznym rdzeniem” doświadczenia ubóstwa. Ubóstwo to nie tylko dochód, lecz także upokorzenie, wykluczenie oraz stres towarzyszący ciągłemu przebywaniu na niższym szczeblu drabiny społecznej.

Niektórzy powiedzą – albo przynajmniej pomyślą, gdyż wyrażanie takich opinii na głos jest niepoprawne politycznie – że ubodzy są ubodzy, ponieważ odziedziczyli mierne możliwości intelektualne. Są powody, by taki pogląd wywoływał silny sceptycyzm (i to nie tylko dlatego, że argumenty o dziedziczeniu ułomności były kiedyś bezpodstawnie stosowane dla uzasadnienia rasizmu i nietolerancji).

Badacze przyglądają się uważnie powiązaniom między czynnikami genetycznymi a długością kształcenia się ludzi, co jest możliwe między innymi dzięki temu, że dane dotyczące edukacji są gromadzone na wielką skalę i dość obiektywne. Rzeczywiście zaobserwowano, że genetyka odgrywa tu pewną niewielką rolę, choć prawdopodobnie wiąże się nie tylko z umiejętnościami poznawczymi, lecz także z wytrwałością, zdolnością koncentracji oraz z komunikacją neuronalną.

Olbrzymie badanie z udziałem miliona stu tysięcy osób, którego wyniki opublikowano w „Nature Genetics” w 2018 roku, wykazało 1271 wariacji genetycznych korelujących z różnicami w zakresie długości uczenia się. W jednej piątej osób mających wariacje genetyczne najwyżej skorelowane z kształceniem college ukończyło pięćdziesiąt siedem procent z nich, natomiast w dolnej jednej piątej – tylko dwanaście procent. W badaniu stwierdzono, że czynniki genetyczne mają znaczenie tylko w przypadku białych osób pochodzących z Europy i nie są predyktorem długości uczenia się osób czarnych. Co ważniejsze, nawet u białych były one mniej istotną determinantą ilości czasu spędzonego w szkole niż takie czynniki środowiskowe jak zamożność rodziców czy poziom ich wykształcenia. Badanie sugeruje zatem, że choć czynniki genetyczne mogą odgrywać pewną rolę, to mają o wiele mniejsze znaczenie niż geografia, sytuacja rodziców, dostęp do dobrych szkół i inne kryteria[4].

Znaczenie ma także nadzieja. W ostatnich latach przeprowadzono ważną analizę pokazującą, że gdy ludzie pogrążają się w rozpaczy z powodu swojej sytuacji i nie widzą z niej wyjścia, bardziej prawdopodobne jest to, że się poddadzą i zaangażują w autodestrukcyjne zachowania, które zmienią tę rozpacz w samospełniającą się przepowiednię. Jeśli nie mają poczucia, że mogą uciec z ubóstwa, to z niego nie uciekają. Jeśli zaś, jak pokazała Esther Duflo z MIT, da się im nadzieję, że wyjście z ubóstwa jest możliwe, stają się pracowitsi i ta nadzieja staje się samospełniającym się proroctwem, mobilizującym ich do ucieczki[5].

Świadomość, że ludzie zazwyczaj dostosowują swoje zachowanie do oczekiwań, pomaga wyjaśnić zarówno sukces, jak i porażkę, zwłaszcza w przypadku mężczyzn (z niezrozumiałych dla nas powodów efekt ten jest silniejszy wśród chłopców niż wśród dziewcząt). Są dowody, że to jedna z najbardziej podstępnych konsekwencji rasizmu, podsycająca poczucie zagubienia i beznadziei, lecz jak pokazuje przykład Cove Orchard, efekt ten może działać również w przypadku

białych, którzy borykają się z problemami. Na pewnym poziomie Knappowie i Greenowie nasiąkali przekonaniem, że są nic niewarci, że im się nie powiedzie, a potem łatwiej im było pocieszać się alkoholem i narkotykami. Łatwiejsze stało się także łamanie zasad i przepisów, zarówno dlatego, że system wydawał się mało sprawiedliwy, jak i dlatego, że więzienie jest mniej upokarzające, jeśli już na starcie jest się wyrzutkiem.



Dee Knapp odwiedza groby czworga ze swoich pięciorga dzieci niedaleko swojego domu

Fot. Lynsey Addario

Farlan, podobnie jak Clayton Green, został zatem chemikiem samoukiem i jako jeden z pierwszych w okolicach Yamhill wytwarzał metamfetaminę. Wynajął budynek w Gaston i odnosił sukcesy jako przedsiębiorca, słynąc z mety wysokiej jakości. „Jestem do tego stworzony” – powiedział kiedyś Claytonowi. Niestety, Farlan nie stronił od swoich wyrobów i uzależnił się od nich, podobnie jak jego ojciec od alkoholu.

Farlan, doskonały stolarz i producent mebli, marzył o otwarciu własnego sklepu, który nazwałby „Fantastyczne Fikuśne Fotele z Fabryczki Farlana”. Jego marzenie się jednak

nie ziściło, ponieważ alkohol i narkotyki coraz bardziej wykańczały jego organizm. Już przed pięćdziesiątką powoli umierał na marskość i niewydolność wątroby. Miał zapadnięte policzki, był wyniszczony i słaby.

– Mamo, ile masz lat? – spytał któregoś dnia Dee.

– Siedemdziesiąt – odpowiedziała.

– Dlaczego ja nie mogę żyć tak długo? – spytał ze smutkiem. Miał wtedy czterdzieści dziewięć lat. Umarł w 2009 roku, tuż po swoich pięćdziesiątych pierwszych urodzinach.

Zealan, który przez lata brał heroinę w Oregonie, przeprowadził się razem z matką i większością rodziny do Luther w Oklahomie. To tam, w jego domu na kółkach, w tajemniczych okolicznościach wybuchł pożar. Inni przebywający wewnątrz ludzie uciekli, lecz Zealan, pijany do nieprzytomności, zginął. Jego ciało znaleziono niedaleko tylnych drzwi. Dee powiedziała nam, że według niej dom zajął się ogniem od chemikaliów, których używał jej syn do produkcji mety. Zrobiła wtedy zdjęcia domu i aparatury do narkotyków, ale niedawno je wyrzuciła.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zaprotestował Keylan. – Chętnie bym je obejrzał.

– Przywoływały złe wspomnienia, synu.

Podobna tragedia dotknęła Nathana, który także przeprowadził się do Luther, zamieszkał w przyczepie obok Dee i razem z synem produkował metę, używając niebezpiecznej metody *shake and bake* (potrząśnij i upiecz). Pewnego razu mieszanina wybuchła, a ranny Nathan dowlókł się do Dee. „Dosłownie się roztapiał” – wspominała. Przetransportowany helikopterem do szpitala, zmarł jeszcze tego samego dnia.

Rogena miała równie wielkie upodobanie do alkoholu i narkotyków jak jej bracia. W jej przypadku sytuację komplikowała choroba psychiczna, którą pogłębiało

nadużywanie narkotyków i alkoholu. Bała się, że śledzą ją samoloty, a raz, jadąc z Oregonu do Oklahomy, była tak rozkojarzona, że minęła cel swojej podróży, przejechała jeszcze setki kilometrów i zatrzymała się w Missouri tylko dlatego, że padł jej silnik. Kiedy indziej zjawiła się na imprezie z okazji Dnia Niepodległości i poczuła się urażona, gdy jej oznajmiono, że może zjeść tylko jednego hot doga, ponieważ niewiele ich zostało. Wszczęła kłótnię, a kiedy zjawiła się policja, Rogena próbowała odjechać. Policja zagrodziła podjazd radiowozem, żeby uniemożliwić jej ucieczkę. Rozzłoszczona Rogena wjechała z impetem w bok pojazdu. Potem wycofała i zrobiła to jeszcze raz. Policjanci wywlekli ją z samochodu i zabrali do aresztu. Rogena zmarła w 2016 roku, po latach zmagań z zapaleniem wątroby typu C i rakiem wątroby związanym z długotrwałym nadużywaniem narkotyków i alkoholu. Była czwartym dzieckiem, które Dee pochowała w ciągu pięciu lat. Wszystkie spoczęły na cmentarzyku za domem matki, a ta codziennie odwiedzała ich groby.

Rogena była ofiarą narastającej fali zgonów związanych z alkoholem – według Centrum do spraw Profilaktyki i Zapobiegania Chorobom to ważny komponent „śmierci z rozpaczy". W badaniu opublikowanym w „British Medical Journal" zaobserwowano, że w latach 1999–2016 liczba zgonów związanych z marskością wątroby w Stanach Zjednoczonych wzrosła o sześćdziesiąt pięć procent, a liczba zgonów z powodu raka wątroby się podwoiła[6]. W badaniu stwierdzono, że za te wzrosty odpowiada przede wszystkim nadużywanie alkoholu. Wprawdzie narkotyki skupiają więcej uwagi, lecz Centrum szacuje, że nadużywanie alkoholu zabija co roku więcej Amerykanów (osiemdziesiąt osiem tysięcy) niż przedawkowanie narkotyków (sześćdziesiąt osiem tysięcy).

Dlaczego śmierć z rozpaczy zabrała Farlana, Zealana, Nathana, Rogenę i tak wielu innych ludzi? Zwróćmy uwagę na cztery ważne powody.

Po pierwsze, zniknęły dobre miejsca pracy chronione przez związki zawodowe, co było spowodowane rozwojem techniki, automatyzacji, handlu, presją polityczną na działalność związkową oraz powszechne skupianie władzy w rękach ludzi zamożnych. Gdy zniknęły dobrze płatne miejsca pracy dla osób słabiej wykształconych, samoocena robotników niemogących znaleźć nowego zatrudnienia gwałtownie spadła. Część z nich otrzymała receptę na środki przeciwbólowe z powodu różnych schorzeń i wkrótce zaczęła nadużywać leków.

Po drugie, nadeszła fala narkotyków – oksykodonu, mety, heroiny, cracku i obecnie także fentanylu. Było to spowodowane między innymi profesjonalizacją karteli narkotykowych oraz nieodpowiedzialnym marketingiem środków przeciwbólowych na receptę prowadzonym przez firmy farmaceutyczne.

Po trzecie, wojna z narkotykami sprawiła, że pogodzenie nałogu z codziennym życiem było zdecydowanie trudniejsze niż dawniej, gdy nadużywało się przede wszystkim alkoholu. W przeszłości tacy alkoholicy jak Gary Knapp od biedy funkcjonowali, mogli utrzymać się w pracy, uniknąć wyroków skazujących i zarobić na swoje uzależnienie. Natomiast ludzie z pokolenia Farlana zażywali narkotyki, w związku z czym byli znacznie bardziej narażeni na wchodzenie w konflikty z prawem, przez które trudniej znaleźć pracę i zawrzeć małżeństwo. O ile bowiem można podołać finansowo uzależnieniu od alkoholu kosztującemu dwadzieścia dolarów dziennie, uzależnienie od narkotyków pociąga za sobą dziesięciokrotnie wyższe koszty i częściej prowadzi do kradzieży albo prostytucji. Do tego dochodziła pokusa zarabiania pieniędzy na wytwarzaniu narkotyków albo handlowaniu nimi, nawet jeśli wiązało się to z ryzykiem takiej eksplozji w laboratorium, w jakiej zginął Nathan Knapp.

Wreszcie masowe wtrącanie do więzień za przestępstwa związane z narkotykami doprowadziło do rozpadu rodzin. Miliony chłopaków dorastały bez ojca lub bez jakiegokolwiek

innego pozytywnego męskiego wzorca, co sprawiło, że kolejne pokolenie mierzyło się z tymi samymi problemami.

Państwo interweniowało w sprawie dzieci Knappów nie po to, by zatrzymać je w szkole, lecz jedynie by je aresztować. Te dzieci były bystre i dzięki staraniom pracowników opieki społecznej albo wsparciu finansowemu mogłyby skończyć liceum, a nawet pójść do college'u albo zaciągnąć się do wojska. Keylan przetrwał po trosze dlatego, że razem z Nathanem trafił za kratki za napad z bronią w ręku na stację benzynową i spędził dziewięć lat w więzieniu stanowym w Oregonie. Siedzieli tam w jednej celi, co było symbolem silnych więzi w rodzinie Knappów, lecz jednocześnie świadczyło o tym, że rodzina zeszła na złą drogę. Keylan pracował w więziennym zakładzie obróbki metali i inwestował w akcje. Mówi, że w czasie odsiadki zarobił na swoich transakcjach na giełdzie około dwudziestu pięciu tysięcy dolarów.



Keylan Knapp, jedyny ocalały z dzieci Knappów, pociesza matkę w domu, w którym razem mieszkają

Fot. Lynsey Addario

Po wyjściu z więzienia znowu stracił panowanie nad swoim życiem. Kupił monster trucka z olbrzymimi kołami.

– Przejeżdżając ulicą, mogłem uruchomić alarmy we wszystkich samochodach – mówi.

Tak też robił, zazwyczaj o trzeciej w nocy. Gdy policja znalazła w jego pojeździe metamfetaminę, odsiedział w więzieniu kolejne czterdzieści siedem miesięcy. Mówi, że odnalazł wtedy Boga i po wyjściu zza krat pojechał do Oklahomy, by być razem z matką. Zjawił się z zaledwie trzydziestoma pięcioma dolarami i dwiema parami dżinsów, ale znalazł pracę na budowie.

W 2018 roku Keylan miał nieszczęśliwy wypadek odzwierciedlający jego skłonność do podejmowania ryzyka: pracując na dachu, spadł z wysokości czternastu metrów i złamał sobie miednicę, biodro, obie nogi oraz prawą rękę. Rachunki za leczenie wyniosły w sumie siedemset tysięcy dolarów i miał spędzić trzy miesiące w szpitalu oraz na rehabilitacji, lecz udało mu się wyjść już po miesiącu. Gdy odwiedziliśmy go kilka miesięcy później, chodził sztywno, lecz był gotów wrócić do pracy.

Jak na człowieka skazanego za napad z bronią w ręku i przez większość życia nadużywającego narkotyków Keylan emanuje urokiem osobistym, inteligencją i niefrasobliwością. Bez trudu można sobie wyobrazić, że gdyby miał inny start, zostałby wziętym inżynierem albo kierownikiem sprzedaży. Tryska dobrym humorem, który przeczy jego losom, a także zaskakującym optymizmem.

– Mam szczęście – powiedział nam, choć nie jest to słowo, które wybralibyśmy na określenie jego doświadczeń. – Nie wiem, dlaczego Bóg mnie kocha.

Robiło się późno i na koniec chcieliśmy mu zadać jeszcze kilka pytań.

– Już nie bierzesz?

– Nie, palę tylko trawkę. No wiecie, wciąż lubię sobie zajarać.

– Ale poza tym nic?

– Od czasu do czasu zdarza mi się mały wyskok i wrzucam trochę mety.

– Jasne. A masz problem z alkoholem?

– Nie mam – odpowiedział łobuzersko. – Po prostu piję alkohol. Codziennie.

10

Skuteczne interwencje

> Po co miałbym się uczyć postępować dobrze, kiedy to strasznie przykra rzecz postępować dobrze, a wcale nie jest przykro postępować źle, gdy tymczasem skutek jest dokładnie taki sam?[1]
>
> Huckleberry Finn

Tych siedemnaście kobiet ma na koncie w sumie dwieście sześćdziesiąt lat uzależnienia od narkotyków, średnio po piętnaście na głowę, oraz duże obycie w świecie przestępstw, ubóstwa i bezdomności. Wszystkie były na zwolnieniu warunkowym. Przez lata okłamywały, okradały i oszukiwały chyba wszystkich wokół siebie. Mimo to uradowany trzystuosobowy tłum zgotował im owację na stojąco. Tego wieczoru w 2018 roku w Tulsie w stanie Oklahoma siedemnaście kobiet stało dumnie przed oklaskującymi je ludźmi. Miały piękne sukienki, eleganckie fryzury i zadbane paznokcie; słuchały gromkich okrzyków swoich najbliższych, a nawet funkcjonariuszy policji, którzy dawniej je aresztowali i nimi pogardzali. Była to ceremonia ukończenia więziennego programu terapii o nazwie Women in Recovery dla sprawczyń przestępstw narkotykowych bez użycia przemocy, a wspomniane kobiety właśnie szykowały się do powrotu do społeczeństwa jako produktywne pracownice, podatniczki, wyborczynie i mamy. Przyjechaliśmy do Tulsy nie po to, by odbyć ponurą wycieczkę po ruinach człowieczeństwa, lecz by uczcić zwycięstwo i poznać szczegóły programu, który okazał się zadziwiająco skuteczną formą pomocy pogubionym ludziom w odzyskiwaniu życia i rodziny.

W pierwszym rzędzie siedziało kilkoro sędziów, którzy często widywali te kobiety w swoich salach sądowych. Klaskali jak szaleni. Szeryf promieniał z radości. Prokurator okręgowy powiedział nam, że uczestniczki programu go

inspirują. Stanowy prokurator generalny Oklahomy wygłosił przemówienie, w którym nazwał je bohaterkami. Wywołał tym uśmiechy i łzy w gronie pań przywykłych raczej do tego, że się je piętnuje, nazywając ćpunkami albo kurwami.

– Prędzej bym się spodziewał, że będziemy organizowali pogrzeb – powiedział ktoś z publiczności. Jego młodsza siostra zaczęła zażywać metamfetaminę w wieku dwunastu lat i właśnie kończyła terapię, mając trzydzieści pięć.

Ken Levit, który prowadzi George Kaiser Family Foundation i pomógł stworzyć Women in Recovery, oznajmił zgromadzonym, że dzięki temu programowi Oklahoma zaoszczędziła ponad siedemdziesiąt milionów dolarów, które musiałaby wydać na więziennictwo.

– To właśnie wy i wasze historie zmieniłyście losy sądownictwa karnego w Oklahomie – zwrócił się do kobiet.

Pod koniec ceremonii publiczność zgotowała uczestniczkom jeszcze jedną owację na stojąco. Potem one odwdzięczyły się tym samym, wołając: „Dziękujemy, sędziowie!”. Ta oszałamiająca scena niosła ważną lekcję, której reszta kraju wciąż nie docenia: jest nadzieja nawet dla ludzi uzależnionych, od których społeczeństwo się odwróciło – pod warunkiem że otrzymają odpowiednią pomoc.

– Gdyby siedziały w więzieniu, to byłaby dla nich okropna niesprawiedliwość – powiedział nam sędzia William J. Musseman junior. – Byłaby to niesprawiedliwość, ponieważ system nie rozumie, że leczenie może być punktem zwrotnym wpływającym na zachowanie, że może naprawdę odmienić ludzkie losy.

Women in Recovery to tylko jeden skromnych rozmiarów program w jednym mieście, lecz można go powielić. Poza tym pokazuje on wyraźnie, że jest nadzieja dla Amerykanów, którzy zostali w tyle. Trzeba jednak do nich dotrzeć, niezbędne są też odpowiednie środki. Gdy pracowaliśmy nad

tą książką, nasi koledzy bardzo często rzucali uwagi w rodzaju: „To musi być strasznie przygnębiające”. Tak, oczywiście były ponure chwile, lecz widywaliśmy również rzeczy podnoszące na duchu i inspirujące. Obawiamy się, że zbyt wielu Amerykanów uważa uzależnienie, bezdomność i przestępczość za coś, czego nie da się leczyć, z czym nie można nic zrobić. Każdy uczestnik ceremonii ukończenia programu Women in Recovery zobaczył olbrzymią radość i szczęście oraz drogę ku lepszej przyszłości. Jeśli zależy nam na poprawie sytuacji, nie powinniśmy jedynie grozić palcem i besztać, musimy także wskazywać sukcesy, które da się osiągnąć, jeśli konsekwentnie realizuje się politykę stwarzania szans.



Tanitoluwa Adewumi, bezdomny uchodźca z Nigerii, który uczył się gry w szachy, leżąc na podłodze w schronisku, promienieje z radości. W szachowych mistrzostwach stanu Nowy Jork w 2019 roku zdobył puchar w swoim przedziale wiekowym

Fot. Russell Makofsky

Przebłyski nadziei pojawiają się w niespodziewanych miejscach i napawają nas optymizmem. Jedną z najwspanialszych chwil ostatnich lat była dla nas ta, w której patrzyliśmy, jak bezdomny ośmiolatek Tanitoluwa Adewumi – nazywany przez wszystkich Tani – taszczy puchar prawie tak duży jak on sam do swojego schroniska na Manhattanie. Tani przybył do Nowego Jorku nieco ponad rok wcześniej, gdy jego rodzina uciekła z Nigerii z powodu ataków terrorystów z Boko Haram na chrześcijan. Jakiś pastor pomógł im znaleźć miejsce w schronisku dla bezdomnych i Tani poszedł do miejscowej podstawówki numer 116, gdzie dziesięć procent

uczniów to bezdomne dzieci. Szkoła współpracowała z Shawnem Martinezem, pasjonatem szachów, który przychodził tam co czwartek, by uczyć tej gry dzieci z klasy Taniego. Chłopiec nigdy wcześniej nie miał styczności z szachami i dołączył do grupy w połowie roku szkolnego, lecz szybko dogonił kolegów i koleżanki. Trener Martinez był pod wrażeniem takiego startu i zachęcił ucznia do zapisania się do szkolnego klubu szachowego. Obowiązywały tam składki przeznaczane na pokrycie kosztów udziału w turniejach, lecz mama Taniego, Oluwatoyin Adewumi, napisała maila do prowadzącego, w którym wyjaśniła, że rodzina mieszka w schronisku dla bezdomnych i nie stać jej na uiszczenie opłat. Chłopiec, zwolniony ze składek, zaczął przychodzić na spotkania. Wszyscy widzieli, że ma talent, ale nikt jeszcze nie przeczuwał, jak duży.

Odmiana ludzkich losów to ambitny cel Women in Recovery, a absolwentki tego programu pokazują, że można ten cel osiągnąć. Jest wśród nich Rebecca Hale, która przemawiała na wspomnianej ceremonii. Ma piękne brązowe włosy i błyszczące zielonobrązowe oczy. Dorastała w Tulsie i powiedziała nam, że trafiła do więzienia w typowy sposób: z wyboistej drogi pełnej zaniedbań, traum oraz przemocy fizycznej i seksualnej. Odkąd sięga pamięcią, jej matka, Joyce King, sprzedawała w ich domu metamfetaminę. Bezustannie ktoś się u nich kręcił. Joyce także brała i często była na haju. Gdy Rebecca miała około sześciu lat, jej matkę zamknięto w więzieniu za przestępstwa narkotykowe, więc córka trafiła pod opiekę ojca. Ten jednak ostro pił, a w tamtym okresie zażywał też narkotyki, więc latem, kiedy Rebecca skończyła pierwszą klasę podstawówki, obydwoje wylądowali na ulicy.

Po tym jak Joyce wyszła z więzienia, Rebecca zamieszkała razem z nią, ale matka wróciła do handlu narkotykami i znowu trafiła za kratki. W wieku trzynastu lat Rebecca była w gruncie rzeczy sierotą, ponieważ ojciec też już siedział w więzieniu za włamanie. Umieszczono ją w domu dziecka, ale nie była tam szczęśliwa i uciekała do przyjaciół. Chciała jednak

kontynuować naukę. Wzięła formularze, zaniosła je do więzienia, by zdobyć podpis matki, i wybrała się do lokalnej szkoły z zamiarem zapisania się do dziewiątej klasy.

– Gdzie jest twoja mama? – spytała sekretarka.

– Pracuje i nie może dzisiaj przyjść.

Sekretarka zaczęła zadawać kolejne sondujące pytania. W końcu Rebecca wyznała jej prawdę.

– Niech pani posłucha, jestem bezdomna – powiedziała. – Rodzice siedzą w więzieniu. Proszę mi tylko pozwolić zapisać się do szkoły.

– Och, skarbie, nie mogę tego zrobić – odrzekła kobieta. – Są pewne przepisy i zasady. Zadzwonimy do kogoś, kto ci pomoże.

Kobieta połączyła się z policją i gdy objaśniała komuś sytuację, Rebecca wymknęła się z sekretariatu.

– Muszę iść do łazienki – powiedziała… i uciekła.

Tułała się po domach przyjaciół, aż wpadła na jednego z dostawców matki. Właśnie wtedy zaczęła sprzedawać i zażywać narkotyki. W weekendy odwiedzała Joyce w więzieniu i ich więzi powoli się umacniały. Któregoś razu wyjawiła matce swój sekret. Gdy miała pięć–sześć lat i mieszkały na osiedlu socjalnym, bawiła się sama na podwórku. Jakiś starszy mężczyzna, na oko dobiegający siedemdziesiątki, siedział czasami w pobliżu i częstował ją lodami na patyku oraz cukierkami. Pewnego dnia zwabił ją do swojego mieszkania i zaczął całować. Potem dotykał jej w niestosowny sposób i namawiał, by też go dotykała.

– Wiedziałam, że coś jest nie tak – wyznała – ale mówię wam, najbardziej chore i pokręcone było w tym wszystkim to, że poświęcał mi mnóstwo uwagi, której bardzo potrzebowałam. Powiedział mi, że tatusiowie robią tak ze swoimi córkami, ale to tajemnica – wspominała. – Mój tata

pojawiał się i znikał, więc nie wiedziałam, czy rzeczywiście tak jest, uznałam, że to może być prawda.

Taka sytuacja wydarzyła się sześć albo siedem razy. A potem jej ojciec wyszedł z więzienia. Wkrótce Rebecca spróbowała dać mu długiego całusa z języczkiem.

– Powiedział: „Tak się nie robi. Ja jestem dorosły, ty jesteś małą dziewczynką, a poza tym jestem twoim tatusiem i to nie w porządku”.

Rebecca nie wspomniała wtedy ojcu o tamtym mężczyźnie, ale podczas odwiedzin w więzieniu zwierzyła się matce, a Joyce się rozpłakała.

Jedna z koleżanek Joyce zabrała Rebeccę do siebie i zapisała ją do szkoły. Później dziewczyna zdobyła pracę, dzięki której mogła kupić samochód, żeby mieć gdzie spać, i choć wciąż była bezdomna, skończyła liceum. Po osiemnastych urodzinach znalazła się na rozdrożu. Już wcześniej wykazała się nadzwyczajną inicjatywą i odpornością, kończąc szkołę średnią, teraz zaś zatrudniła się jako kasjerka i kucharka w Arby’s, dzięki czemu mogła pierwszy raz w życiu wynająć mieszkanie. Ostatecznie jednak wybrała złą drogę. Nadal zażywała i sprzedawała narkotyki, w wieku dwudziestu lat urodziła córeczkę, której dała na imię Chloe, a rok później pojawił się Nate, jej syn ze związku z innym mężczyzną. Ojciec Nate’a nie pochwalał brania narkotyków i próbował ją nakłonić, żeby z tym skończyła, lecz nie posłuchała.

– Wątpię, by ktokolwiek był wtedy w stanie mnie przekonać, żebym przestała – powiedziała Rebecca. Prześladował ją wstyd wywołany wykorzystywaniem seksualnym i miała niskie poczucie własnej wartości. Popadała w coraz głębsze uzależnienie i regularnie trafiała do więzienia.

Ojciec Nate’a odszedł od niej i uzyskał w sądzie prawo opieki nad ich synem, a Chloe trafiła do babci.

– Wtedy naprawdę się wściekłam – powiedziała Rebecca. – Gdy odebrali mi dzieci, naprawdę mi odbiło.

Popełniła szereg przestępstw i ostatecznie trafiła na trzy lata do więzienia za pranie brudnych pieniędzy, oszustwo bankowe i kradzież tożsamości. Gdy wyszła, zaciągnęła kredyt na matkę, kupiła małe dwupokojowe mieszkanie bezpośrednio od właściciela i zapisała się na zajęcia z sądownictwa karnego – bądź co bądź, miała już w nim przecież niemałe doświadczenie.

Rebecca coraz bardziej pragnęła zacząć wszystko od nowa. Zadzwoniła do swoich kuratorów sądowych i oznajmiła, że chce iść na odwyk, ale brakuje jej na to pieniędzy (nie była ubezpieczona). Usłyszała od nich, że nie mogą jej pomóc, dopóki znowu nie zostanie aresztowana za jakieś przestępstwo.

– Chcecie mi powiedzieć, że żeby dostać pomoc, muszę się wpakować w większe kłopoty? – spytała Rebecca.

– W zasadzie tak.

Wkrótce Rebecca ponownie zaczęła brać narkotyki i popełniać przestępstwa. W końcu wylądowała za kratkami – tym razem postawiono jej dwadzieścia osiem zarzutów. Przy rejestracji dostała dwa komplety pomarańczowych kombinezonów więziennych.

Na tym etapie Rebecca była dość typową kobietą odsiadującą wyrok w Stanach Zjednoczonych. Kiedy zajrzy się do akt takich jak ona, zobaczy się zatwardziałe przestępczynie i odniesie wrażenie, że świadomie obrały taki kurs. Jeśli jednak podrążyć głębiej, okaże się, że większość z nich była na drodze do więzienia już w dzieciństwie. W jednym z badań wykazano, że osiemdziesiąt jeden procent przestępczyń w Karolinie Południowej doświadczyło przemocy seksualnej, a badanie przeprowadzone w Oregonie pokazało, że dziewięćdziesiąt trzy procent dziewczyn, które miały do czynienia z tamtejszym wymiarem sprawiedliwości

dla nieletnich, doświadczyło przedtem przemocy seksualnej albo fizycznej[2]. Zamykanie ich w więzieniach stwarza ryzyko powielenia tej drogi w następnym pokoleniu, ponieważ siedemdziesiąt dziewięć procent osadzonych kobiet ma niepełnoletnie dzieci[3].

W więzieniu Rebecca przeszła zjazd po odstawieniu narkotyków, lecz jej sposób patrzenia na świat powoli się zmieniał. Codziennie czytała Biblię i często się modliła.

– Gdy człowiek nie jest na haju i ma chwilę, żeby się zastanowić nad swoim życiem, uświadamia sobie, jaką krzywdę wyrządza ludziom, których najbardziej kocha – powiedziała.

Chloe miała wtedy trzynaście lat i nie chciała rozmawiać z matką, gdy ta dzwoniła z więzienia. To sprawiało Rebecce przykrość, ale zmobilizowało ją, aby przeprowadzić radykalne zmiany.

– Miałam serdecznie dość takiego życia i rozłąki z dziećmi. Po prostu powtarzałam ten sam chory cykl – relacjonowała. Właśnie wtedy dowiedziała się o Women in Recovery i rozpaczliwie zapragnęła dostać się do tego programu, o czym zresztą wszystkim mówiła. – Gdyby mi powiedzieli, że aby zachować trzeźwość, muszę stanąć na rękach i spędzić tak resztę życia – zapewniła nas – zrobiłabym to.

W 2018 roku mieszkający w Nowym Jorku Tani pierwszy raz w życiu wziął udział w turnieju. Spośród wszystkich uczestników miał najniższą liczbę punktów w rankingu szachowym: sto pięć. Bardzo się starał, uczestnicząc w darmowym letnim kursie szachowym dla uczniów nowojorskich szkół, i wkrótce zaczął odnosić sukcesy. Szachowe trofea zaczęły wypełniać schronisko dla bezdomnych. Tani wygrywał też szachownice, dzięki którym łatwiej mu było trenować.

– Ten chłopak ma w sobie mnóstwo determinacji – powiedział trener Martinez. – Rozwiązuje dziesięć razy więcej

łamigłówek szachowych niż przeciętne dziecko. Po prostu chce być lepszy.

Taniemu nie było jednak lekko. Pewnego dnia wrócił ze szkoły zapłakany, ponieważ koledzy z klasy wyśmiewali się z jego bezdomności. Na rozmowie w biurze imigracyjnym źle zrozumiał sędziego i wybuchnął płaczem, bo myślał, że zamierzają go deportować do Nigerii. Sprzyjało mu to, że ma niezwykle pracowitą i wspierającą rodzinę. Kayode Adewumi, jego ojciec, pracował na dwa etaty: godzinami jeździł uberem, korzystając z wypożyczonego samochodu, a poza tym zdał egzamin na licencjonowanego pośrednika w handlu nieruchomościami. Matka chłopca poszła na kurs dla domowych opiekunów medycznych. Łatwo było się domyślić, skąd się wzięły ambicje i pracowitość chłopca. Rodzina ogromnie wspierała Taniego i była dumna z jego osiągnięć. Mama zabierała go co sobota na trzy godziny do darmowego klubu szachowego w Harlemie, a tata pozwalał mu korzystać ze swojego komputera, by chłopiec mógł ćwiczyć grę w programie udostępnionym bezpłatnie przez szkołę. Nawet starszy brat Taniego, piętnastoletni Austin, który chce zostać inżynierem, regularnie towarzyszył Taniemu na imprezach szachowych. Rodzina Adewumich jest bardzo religijna, lecz – mimo pewnych oporów – pozwalała Taniemu opuszczać niedzielne msze, by mógł brać udział w turniejach.

„Tani jest niebywale bogaty” – powiedział nam Russell Makofsky, który nadzoruje program szachowy. Niedostatki materialne rekompensowało mu bowiem wsparcie okazywane przez kochającą rodzinę. W 2019 roku Tani wyruszył na turniej stanowy. Miał już wówczas 1587 punktów w rankingu. Grał w szachy zaledwie od roku, lecz ewoluował w dynamicznego, intuicyjnego zawodnika. W jednej z partii śmiało wymienił gońca na znacznie mniej cennego piona i szkolni trenerzy zmartwili się, że wykonał niemądre posunięcie. Wprowadzili je jednak do komputerowego symulatora i okazało się, że szanse Taniego na zwycięstwo właśnie wzrosły: symulator, podobnie jak Tani, zauważył, że

taki gambit umocni jego pozycję kilka ruchów później. Na tym poziomie Tani rywalizował przede wszystkim z dziećmi z elitarnych prywatnych szkół, mających osobistych nauczycieli szachów pracujących za sto dolarów za godzinę, lecz ostatecznie to on wygrał tę partię i do końca turnieju był niepokonany. Zdobył mistrzostwo stanowe w swojej kategorii wiekowej.

– To inspirujący przykład tego, że życiowe wyzwania nie determinują człowieka – oznajmiła Jane Hsu, dyrektorka szkoły, do której chodzi Tani.

Makofsky, nauczyciel gry w szachy, tylko pokręcił z zachwytem głową.

– Dotrzeć do takiego poziomu w rok, wspiąć się na sam szczyt, zostać najlepszym z najlepszych, i to bez żadnych środków finansowych… – powiedział. – Nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałem.

Uzależnieni, zwłaszcza dorośli, potrzebują jednak zazwyczaj jakiegoś wsparcia z zewnątrz. Programy terapeutyczne zyskują coraz większą popularność. Wielu polityków, zarówno republikanów, jak i demokratów, wzywa do reformy sądownictwa karnego i do lepszego reagowania na uzależnienie od narkotyków. Panuje powszechna zgoda co do tego, że odsiadki są drogie i często skutkują jedynie tymczasową izolacją osadzonych i rozpadem ich rodzin. Natomiast takie inicjatywy jak Women in Recovery skutecznie pomagają ludziom, którzy chcą zmienić swoje życie. Recydywa w okresie trzech lat wśród absolwentek Women in Recovery wynosi zaledwie cztery i pół procent, o wiele mniej niż wskaźnik recydywy wśród osób po odsiadce.

Women in Recovery zbudowano na gruncie intensywnej terapii psychospołecznej, która, jak się przekonaliśmy, jest kluczem do sukcesu skutecznych programów kiełkujących w całym kraju. Women in Recovery stało się dla nas oknem, przez które mogliśmy obserwować sposób ich działania. Kobiety spędzają większość dnia w placówce i razem

mieszkają, więc codziennie są otoczone przez terapeutów, doradców i wielu specjalistów dążących przede wszystkim do tego, by dotarły do kolejnego etapu, a potem ukończyły program. Budują oni poczucie koleżeństwa i czasami stosują głosowanie, by podopieczne mogły przejść na kolejny poziom.

– Nie zrealizują programu, jeśli nie powiedzą: „Nie jestem ofiarą, ponoszę za to odpowiedzialność” – wyjaśniła nam Catherine Claybrook, dyrektor kliniczna programu.

Przypomnieliśmy sobie, że Daniela McDowella w Baltimore Station też uczono tej zasady. Oto paradoks: każdy przestępca musi w jakimś stopniu zaakceptować narrację o osobistej odpowiedzialności, ale amerykańscy politycy i społeczeństwo powinni podchodzić do niej sceptyczniej.

Inna sprawdzona terapia stosowana w Women in Recovery polega na uczeniu kobiet, jak podejmować decyzje pozwalające trzymać się z dala od więzienia, oraz pozwala im wykształcić w sobie kompas moralny, którego nie dostały w okresie dorastania. Doradcy pomagają kobietom opierać się pokusom i wyjaśniają, dlaczego większą korzyść przyniesie im podjęcie nudnej pracy za osiem dolarów za godzinę niż przyjęcie stu pięćdziesięciu dolarów za seks albo ośmiuset za transport narkotyków. Program Women in Recovery trwa około półtora roku, znacznie dłużej niż większość odwyków, a jego długość i intensywność to podstawa jego sukcesu. Jeśli kobiety obleją okresowe badania na obecność narkotyków, wracają do więzienia, a to potężna motywacja, by proces się powiódł.

Kobiety nic za to nie płacą. Mają zapewnione mieszkanie i wyżywienie, szkolenie i terapię. Koszt takiego półtorarocznego leczenia wynosi dwadzieścia osiem tysięcy dolarów za osobę i pokrywa go George Kaiser Family Foundation. Może się wydawać, że to dużo, lecz jest to o wiele mniej, niż kosztowałaby odsiadka w więzieniu. Co równie ważne, program uwzględnia dzieci i dąży do

przerwania międzypokoleniowego cyklu uzależnienia od narkotyków i ubóstwa, by zmniejszyć prawdopodobieństwo, że kolejne pokolenie, gdy dorośnie, trafi do aresztu.

Women in Recovery to modelowy przykład tego, że taki program może mieć na uwadze dobro osadzonych i jednocześnie oszczędzać pieniądze podatników. Oferuje sprawdzone narzędzia pomagające ludziom z problemami – jeśli tylko zechcemy z nich skorzystać. Poza tym jest powtarzalny i można go zastosować na większą skalę. W 2017 roku republikański gubernator Oklahomy uczynił z Women in Recovery główny element programu Pay for Success, aby mógł służyć większej liczbie kobiet. W gruncie rzeczy jego koszt pokryto z oszczędności, które w innych okolicznościach wydano by na utrzymanie kobiet w więzieniu.

Rebekki nie interesowała jednak abstrakcyjna polityka. Potrzebowała po prostu koła ratunkowego. O czwartej rano w dniu wstępnego przesłuchania usłyszała, jak ktoś wywołuje jej nazwisko. Kazano jej wyjść z celi, została przeszukana, a następnie skuto jej nogi i ręce. Razem z innymi kobietami trafiła do małego vana, którym zawieziono je do sądu. Zamknęła oczy.

„Boże, proszę, daj mi tę szansę – modliła się. – Mam dość robienia w kółko tego samego. Proszę, otwórz przede mną drzwi, żebym mogła się dostać do tego programu”.

Gdy wywołano sprawę Rebekki, zobaczyła, jak wstaje prokurator okręgowy. Na poprzednim przesłuchaniu ją przerażał.

– Był wkurzony – wspominała. – Mówił coś w rodzaju: Ta kobieta ma na koncie wiele wyroków. Z taką kartoteką stanowi zagrożenie dla społeczeństwa.

Potem Rachel Delcour, łączniczka Women in Recovery, która ściśle współpracuje z przedstawicielami lokalnych sądów i więzień, zaczęła zadawać Rebecce pytania, a ta starała się pokazać determinację, z jaką zamierzała zmienić swoje

życie. Gdy rozpatrzono jej sprawę, prokurator okręgowy oznajmił: „Po przeanalizowaniu akt uznaliśmy, że spełnia pani warunki Women in Recovery. Przyjęto panią do programu”.

Rebecca wygrała nowy start, o którym marzyła.

– Myślę, że sprawił to Bóg – powiedziała. – Moja mama się modliła, ja się modliłam. Nawet moja córka co niedziela siedziała w pierwszej ławce w kościele.

Rebecca poświęciła się Women in Recovery. Chodziła na wszystkie zajęcia, na sesjach terapeutycznych szczerze i emocjonalnie przyglądała się swojej przeszłości – traumie, wykorzystywaniu, zaniedbywaniu i narkotykom. Terapeuci pomogli jej ocenić dawne decyzje i doradzili, jak uniknąć błędów w przyszłości.

– Starannie przeanalizowaliśmy drogi prowadzące kobiety przed wymiar sprawiedliwości – powiedziała Mimi Tarrasch, energiczna, pełna pasji pracownica opieki społecznej, która stworzyła i prowadzi Women in Recovery. – Pierwszą rzeczą na tej drodze jest dysfunkcjonalna rodzina. – Tarrasch wyjaśniła, że kobietom, które przeżyły traumę, były wykorzystywane albo stręczone przez któreś z rodziców, odwyk trwający zaledwie jeden, dwa albo trzy miesiące nie wystarczy, by przezwyciężyć długotrwałe uzależnienie. Mimo to większość takich programów trwa najwyżej trzy miesiące. Za to standardowy wyrok za powtórne przestępstwo jest mierzony w latach. Zerwanie z dawnym sposobem życia wymaga czasu.

Rebecca nauczyła się, jak wyznaczać sobie cele i jak je potem osiągać. To podstawa dyscypliny, którą te programy – podobnie jak wojsko – zaszczepiają podopiecznym. Uczestniczki szkolono w zakresie podejmowania decyzji i brania za nie odpowiedzialności, planowania budżetu i rozwiązywania konfliktów, zdrowego odżywiania, unikania recydywy i pisania CV, a ponadto pomagano im w zdobyciu dyplomu ukończenia szkoły średniej oraz mieszkania i pracy.

Po ukończeniu programu Rebecca szukała zatrudnienia u partnerów biznesowych Women in Recovery, którzy są gotowi dać pracę jego absolwentkom. Znalazła posadę w przedsiębiorstwie zajmującym się klimatyzacją, gdzie zajęła się fakturowaniem i obsługą klienta, a dodatkowo zapisała się na zajęcia dotyczące działania ogrzewania, wentylacji i klimatyzacji. Jeśli klienci się denerwują, stosuje poznane na terapii metody rozładowania napięcia i panowania nad złością. Patrząc na kartotekę policyjną Rebekki, każdy mógłby dojść do wniosku, że była recydywistką bez szans na poprawę, lecz teraz wszyscy mający z nią do czynienia w firmie widzą szczęśliwą, dobrze przystosowaną pracownicę i porządną obywatelkę.

W wieku trzydziestu siedmiu lat Rebecca pierwszy raz nie korzysta z żadnego wsparcia rządowego, lecz stara się płacić rachunki, między innymi raty kredytu hipotecznego, oraz spłaca pożyczkę studencką i odsetki od dwudziestotysięcznego zadłużenia, które uzbierało jej się w sądach. Zdaje sobie sprawę, że część jej nowych kolegów i koleżanek z pracy oszczędza od dwudziestu lat w ramach zakładowych programów emerytalnych i ma udział w zyskach przedsiębiorstwa, podczas gdy ona dopiero zaczęła.

– To tylko dlatego, że postanowiłam obrać inną drogę – powiedziała. – Od czterech lat buduję na nowo swoje życie i przygotowuję się do przyszłości. To wielkie wyzwanie.

Jedną z przeszkód w stosowaniu programów w rodzaju Women in Recovery na większą skalę jest ich wysoki koszt, przynajmniej w porównaniu z tradycyjnymi jednomiesięcznymi terapiami, które są znacznie mniej skuteczne. Następną przeszkodą jest przekonanie, że leczenie narkomanii to syzyfowa praca, która zazwyczaj nie przynosi efektów, i że nawet mimo zainwestowania olbrzymiej ilości czasu i pieniędzy większość ludzi wróci do nałogu. To prawda, powrót do nałogu często bywa etapem procesu zdrowienia. Pamiętajmy jednak o zadziwiająco niskim współczynniku recydywy wśród absolwentek Women in Recovery: tylko

cztery i pół procent kobiet, które ukończyły program, wchodzi w konflikt z prawem w ciągu następnych trzech lat. To oszałamiający sukces, który pokazuje, ile można osiągnąć. Owszem, jest to po części zasługą procesu rekrutacji oraz tego, że za oblanie testu na obecność narkotyków w moczu grozi powrót do więzienia. Co więcej, nie każdy program byłby w stanie powtórzyć ten wynik. Widać jednak wyraźnie, że dzięki intensywnym długofalowym działaniom możemy zmienić życie ogromnej liczby ludzi zmagających się z uzależnieniem, a także życie ich dzieci, oraz że stanowczo zbyt wiele osób nie otrzymuje pomocy, która mogłaby odmienić ich los.

Ponadto, choć koszty są niezaprzeczalne, następstwem sukcesu jest możliwość zaoszczędzenia olbrzymich kwot. Leczenie jest drogie, lecz dużo kosztują także przestępstwa, więzienia i opieka zastępcza. W jednym z badań wyliczono, że gdyby osadzeni w więzieniach stanowych otrzymali potrzebne im leczenie odwykowe, kraj zaoszczędziłby trzydzieści sześć miliardów dolarów, między innymi na zasiłkach[4].

Gdyby dobre programy terapii udało się znacząco rozszerzyć i powielić w innych miastach i hrabstwach, Ameryka mogłaby odejść od masowego wtrącania ludzi do więzień, a osoby skazane za przestępstwa narkotykowe miałyby szanse na leczenie, doradztwo i pracę. Sędzia Musseman powiedział nam, że większość rozpatrywanych przez niego spraw ma związek z narkotykami. A gdy do więzienia trafiają matki, życie ich dzieci też często obraca się w ruinę, co daje początek okropnej przyszłości.



Rebecca Hale, z prawej, w swoim domu. Ma teraz o wiele lepsze relacje z Chloe, swoją nastoletnią córką

Fot. Lynsey Addario

– Skupiamy się na modelu dwupokoleniowym – powiedziała Tarrasch.

Rebecca Hale miała szczęście: była w Tulsie i mogła skorzystać z Women in Recovery. Olbrzymia rzesza osób zażywających narkotyki pozostaje jednak za kratami, ponieważ w ich okolicy nie ma takich inicjatyw. Potrzebujemy programów Women in Recovery i Men in Recovery w całym kraju, by dawały nadzieję tam, gdzie dotąd dominowało zniszczenie. Bądźmy jednak świadomi także tego, że lokalne rozwiązania opierające się na dobroczynności to za mało. Potrzebujemy instytucjonalnych makrorozwiązań, które można stosować na większą skalę, połączonych z takimi inicjatywami jak szkolenia zawodowe i zapewnienie miejsc pracy, by zarobki znów zaczęły rosnąć.

Oddziaływanie dwupokoleniowego modelu Women in Recovery widać na przykładzie dzieci Rebekki. Siedemnastoletnia Chloe o okrągłej twarzy, niebieskoszarych oczach i jasnych włosach jest w przedostatniej klasie liceum i choć miewa takie same problemy z odrabianiem lekcji

i z chłopakiem jak jej koleżanki, boryka się też z kłopotami, jakich większość nastolatek nie zna. Oprócz tego, że jej mama jest na zwolnieniu warunkowym, mężczyzna, którego Chloe nazywa tatą, siedzi w więzieniu trzy godziny od jej domu. Dziewczyna wyjaśniła nam dość rzeczowym tonem, że jej przybrany ojciec odsiaduje pięcioletni wyrok za przestępstwo narkotykowe oraz porwanie osoby dorosłej z użyciem kija bejsbolowego. Jeśli zaś chodzi o jej biologicznego ojca, to aktualnie nie ma z nim kontaktu.

– Rozmawialiśmy przez telefon – opowiedziała Chloe. – A potem on się chyba upił i powiedział, że moja mama jest dziwką, że ja nie jestem jego córką i że nie chce mieć ze mną nic wspólnego, i że powinnam pójść się zabić.

Dzieci także przeszły terapię, ponieważ przeżyte przez nie traumy zwiększają ich podatność na nadużywanie alkoholu i narkotyków oraz na problemy ze zdrowiem w późniejszym życiu. Pewnego razu, gdy Chloe i Nate byli w domu, rozzłoszczony facet ich matki zaczął ją bić. Pociął Rebecce szyję i twarz. Innym razem wziął młotek, zgruchotał jej ramię i dłoń oraz groził, że rozwali jej głowę. Ilekroć dochodziło do eskalacji przemocy, Chloe i Nate biegli do swojego pokoju, wychodzili przez okno i pędzili do babci po pomoc.

– Wiedziałam, że to zły facet – powiedziała Chloe. – Groził mi, że jeśli pisnę komuś słowo, zabierze nam mamę.

Zapytana o narkotyki, odpowiada stanowczo: „To nie dla mnie”. Jak dotąd trzyma się takiego podejścia. Gdy jej najlepsza przyjaciółka, z którą znały się sześć lat, zaczęła brać narkotyki w wieku czternastu lat, Chloe zerwała z nią kontakt.

– Już urodziła dziecko – powiedziała nam.

Chloe pracuje jako kasjerka w hamburgerowni Carl’s Jr., doskonaląc się w obsłudze klienta, gdy ludzie są z jakiegoś powodu niezadowoleni z jedzenia. Bywa, że rzucają w nią napojami, opluwają, wyzywają, lecz ona stara się zachować cierpliwość.

– Trzeba próbować ich uspokoić – tłumaczy. – Mówić, że wydamy zamówienie najszybciej, jak się da. Że robimy, co w naszej mocy.

Mówi, że nie była gnębiona ani stygmatyzowana w szkole z powodu pobytu jej rodziców w więzieniu, po części dlatego, że ani ona, ani Nate nikomu o tym nie wspominali.

– Zmyślaliśmy różne historie – wspominała. – Na przykład że mieszkam z babcią, bo mama wyjechała do innego stanu. Mówiłam, że żyje nam się wspaniale.

Chloe chce się skupić także na poprawie stopni. W dziewiątej klasie miała średnią 3,89 w czteropunktowej skali, ale opuściła się w nauce po zerwaniu z chłopakiem. Obydwoje z Nate'em są zapisani do Oklahoma's Promise, stanowego programu umożliwiającego im nieodpłatną naukę w college'u stanowym, dopóki będą utrzymywali średnią powyżej 2,5. Chloe chce zostać wolontariuszką w lokalnym schronisku dla zwierząt i dostała na urodziny świnkę wietnamską o imieniu Dexter, która mieszkała u niej w pokoju, dopóki Chloe nie zdała sobie sprawy, ile pracy wymaga takie zwierzę. Dexter pojechał na farmę kuzyna.

Jeśli chodzi o karierę zawodową, Chloe ma aspiracje artystyczne. I choć żartuje, że ze wszystkich zajęć najbardziej lubi przerwę na lancz, jest mocno zaangażowana w licealne życie. Dołączyła do szkolnego kółka teatralnego i pochwaliła się nam, że czytała niedawno *Sekretne życie pszczół* oraz sztukę, którą nazwała „klasyką z takimi bohaterami jak Brutus i Cezar".

– *Et tu, Brute?* – wtrącił Nate, zapalony czytelnik.

Nate, krzepki uczeń drugiej klasy liceum i zawodnik drużyny futbolu amerykańskiego, jest wesołym żartownisiem, często daje siostrze kuksańce albo ją łaskocze. Jego strach przed głośnymi dźwiękami to prawdopodobnie pozostałość po traumie z dzieciństwa. Gdy był mały, a w domu wybuchały

kłótnie i bójki, Chloe biegła do pokoju, zasłaniała mu uszy rękami albo poduszką i śpiewała, dopóki nie zasnął.

Nate jest wyjątkowo entuzjastycznie nastawiony do szkoły, zarówno do lekcji, jak i do innych zajęć. Próbował swoich sił w rozlicznych dyscyplinach sportowych – tenisie, piłce nożnej, bieganiu, zapasach i futbolu amerykańskim – a poza tym stara się zbierać dobre stopnie, by dostać się do porządnego college'u. Mówi, że zamierza złożyć papiery na Uniwersytet Stanforda albo na Yale; myśli też o marynarce wojennej lub siłach powietrznych. Po latach balansowania na linie Nate i Chloe wydają się bezpieczniejsi i szczęśliwsi. Nate przyznaje, że jest rozpuszczony przez mamę i siostrę. A Chloe powiedziała: „Teraz lubię swoje życie. Jest naprawdę dobre".

Historia, która zaczęła się od narkotyków, wykorzystywania seksualnego i bezdomności, przeobraziła się zatem w opowieść o wytrwałości i zjednoczeniu rodziny – ponieważ tak się złożyło, że Rebecca mieszkała w Tulsie, gdzie Women in Recovery podejmuje interwencje ratujące życie. Rebecca wie, że w niemal każdym innym miejscu dalej siedziałaby w więzieniu, a jej rodzina byłaby w rozsypce, lecz po tym, co się wydarzyło, skupia się na poczuciu zwycięstwa.

– Wciąż walczymy – powiedziała. – Ale na nas to się kończy. Ja będę ostatnia.

Nate potakuje.

– Nie mam żadnych wątpliwości, że nam się uda – powiedział.

Jego siostra pokiwała głową i dodała:

– Uda nam się i będziemy żyli dalej, jakby nic się nie stało!

Mamy nadzieję, że twardy charakter odniesie zwycięstwo nad przeciwnościami losu. Szliśmy z Tanim do schroniska dla bezdomnych na Manhattanie, gdy taszczył swoje olbrzymie trofeum. Starsza biała kobieta na ulicy spojrzała na tego mizernego czarnego chłopca z ogromnym pucharem i spytała:

– Za co to?

– Za szachy – odpowiedział rzeczowo, nie zwalniając kroku. – Wygrałem turniej szachowy.

Kobieta wytrzeszczyła oczy ze zdziwienia.

– Szachy? – powtórzyła. – O rany!

Zwycięstwo Taniego jest odzwierciedleniem jego inteligencji i pracowitości, lecz także zestawu okoliczności, które rzadko występują razem. Oczywiście sprzyjało mu to, że ma silną rodzinę, która z zaangażowaniem prowadzała go na zajęcia w klubie szachowym, na wszystkie treningi i turnieje. Bardzo ważna była też gotowość klubu do zwolnienia go ze składek. Nic takiego nie mogłoby się wydarzyć, gdyby w podstawówce numer 116 nie uczono gry w szachy i nie zatrudniono pierwszorzędnego nauczyciela, który z oddaniem pomagał Taniemu doskonalić umiejętności. Większość bezdomnych dzieci nie ma takiego talentu jak Tani, lecz brakuje im także jego możliwości i determinacji.

– Chcę zostać najmłodszym wielkim mistrzem szachowym – oznajmił nam.

Nick napisał o Tanim w swojej rubryce w „Timesie” i artykuł wywołał oszałamiającą falę dobrej woli. W kilka godzin parę osób zaproponowało Taniemu i jego rodzinie dach nad głową. Pewna kobieta miała niezamieszkany umeblowany dom, który była gotowa udostępnić, inna zaoferowała miejsce w swoim mieszkaniu z widokiem na Central Park, a jeszcze inna oznajmiła, że pomoże rodzinie, wynajmując lokum w pobliżu szkoły Taniego. Kilka kolejnych osób zaproponowało, że kupi ojcu Taniego samochód, by nie musiał dłużej wynajmować pojazdu, którym jeździł dla Ubera. Pewne przedsiębiorstwo złożyło rodzicom chłopca ofertę pracy. Dwie prywatne szkoły były gotowe dać mu pełne stypendium. Prawnicy chcieli doradzić w sprawach imigracyjnych. Prezydent Bill Clinton zaprosił Taniego i jego rodzinę do swojego biura w Harlemie (chłopiec zwolnił się z tego

powodu z pierwszych kilku lekcji). A do tego setki czytelników wpłaciły datki na stronie GoFundMe, gdzie szybko zebrano dla Adewumich ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Kilka dni później pomogliśmy im przeprowadzić się do nowego domu, przyjemnego dwupokojowego mieszkania niedaleko szkoły Taniego na Manhattanie. Hojny czytelnik opłacił czynsz za pierwszy rok, a pewna rodzina kupiła meble.

– Mam dom – oznajmił nam oszołomiony Tani, biegając po pustych pokojach. – Mam dom! – Powiedział, że najbardziej cieszy się na myśl o tym, że pierwszy raz od roku zje domowy posiłek. – Chcę, żeby mama znowu gotowała – wyjaśnił.

Państwo Adewumiowie byli oszołomieni, lecz podeszli do tego wszystkiego rozsądnie. Uprzejmie odrzucili stypendia proponowane przez elitarne prywatne szkoły, zaznaczając, że być może wezmą je pod uwagę, gdy Tani osiągnie wiek gimnazjalny. Na razie miał jednak pozostać lojalny wobec podstawówki, która dała mu szansę i przyjęła go do swojego klubu szachowego, mimo że nie mógł zapłacić składki członkowskiej.

– Ta szkoła pokazała wiarę w Tanitoluwę, więc my tę wiarę odwzajemniamy – powiedziała mama chłopca w rozmowie z dyrektor Hsu. A potem się uściskały, powstrzymując łzy.

Problem tylko w tym, że gdy naświetlamy tak inspirującą historię jak ta, czytelnicy niezmiennie chcą wspierać konkretne dziecko, zamiast reagować na to, że z podobnymi kłopotami borykają się całe grupy społeczne. Ludzie chętnie pomogą jednostce, ale nie kwapią się do podejmowania problemów strukturalnych. Rozwiązaniem problemu bezdomności dzieci nie jest jednak niczyje zwycięstwo w stanowych mistrzostwach szachowych. Nie da się go powtórzyć na większą skalę. Dlatego tak szczególne znaczenie ma to, co zrobili państwo Adewumiowie: postanowili, że z ćwierć miliona dolarów na koncie GoFundMe wezmą tylko dziesięć procent, by przekazać te środki swojemu kościołowi

jako dziesięcinę. Resztę przeznaczyli dla nowej Fundacji Tanitoluwy Adewumiego, która ma pomagać imigrantom borykającym się z takimi kłopotami, z jakimi borykali się oni sami zaledwie tydzień wcześniej.

– Bóg już mnie pobłogosławił – wyjaśnił Tani. – Chcę się tym błogosławieństwem podzielić z innymi ludźmi.

Spytaliśmy go, czy zamiast oddawać całą tę olbrzymią kwotę, nie wolałby zachować paru dolarów, by kupić sobie na przykład rower albo grę wideo, lub aby po prostu uczcić swój sukces kolacją w restauracji.

– Chcę pomagać innym dzieciom – powiedział, lecz gdy wymieniliśmy inne możliwości, po jego twarzy przemknął cień tęsknoty. Zaczęliśmy drążyć: czy naprawdę nie było niczego, co chciałby mieć? Po dłuższej chwili milczenia przyznał:

– No, może komputer. Byłoby fajnie.

Oczywiście gdy tylko Nick wspomniał o tym w rubryce, zasypano Taniego ofertami.

Dokładnie miesiąc po ukazaniu się pierwszego artykułu rodzice Taniego zorganizowali w swoim domu nigeryjską kolację dla wszystkich, którzy im pomogli, poczynając od trenera szachowego aż po darczyńcę, dzięki któremu przed ich domem stał teraz zaparkowany nowy samochód. Philip Falayi, nigeryjski pastor, który pozwolił rodzinie Adewumich spać w swoim kościele przez pierwszych kilka dni po jej przybyciu do Nowego Jorku, pobłogosławił potrawy, a Tani grał w kącie w szachy z jednym ze swoich szkolnych kolegów. Sceny dopełniały regał zastawiony podarowanymi mu książkami o szachach, olbrzymi puchar zwycięzcy stanowych zawodów szachowych oraz plan treningów mających przygotować chłopca do turnieju ogólnokrajowego.

– Jesteśmy wdzięczni wam wszystkim – powiedział Tani do zgromadzonych. – To się stało dzięki wam.

Patrząc na chłopca z pucharem, można było poczuć, jakie możliwości stwarza wsparcie dzieci w potrzebie. Czegoś podobnego doświadczaliśmy, oklaskując absolwentki Women in Recovery. Odpowiednia polityka stwarza szanse dla obu tych grup. Wspominamy o polityce, ponieważ istnieje niebezpieczeństwo, że po przytoczeniu tak pokrzepiającej historii powstanie wrażenie, iż dobroczynność może rozwiązać wszystkie problemy społeczne, a nie tylko wypełnić pewne luki. Fala pomocy dla rodziny Taniego była poruszająca, ale dzieci powinny mieć dach nad głową, nawet jeśli nie są geniuszami szachowymi. Tym, czego potrzebujemy, jest nie tylko oszałamiająca hojność, jaką okazano Adewumim – choć w tym wypadku to właśnie ona wywołała przemianę – lecz rozwiązania systemowe na rzecz dzieci, nawet jeśli nie odróżniają one gońca od piona. Owszem, powinniśmy czerpać z tej historii inspirację, ale właśnie po to, by próbować tworzyć kompleksowe systemy wsparcia obejmującego w miarę możliwości *wszystkie* dzieci. To zaś wymaga, by hojność Amerykanów przejawiała się nie tylko w jednostkowych gestach dobroczynności, lecz także w polityce społecznej.

11

Powszechna opieka zdrowotna. Jeden dzień, jedno miasto

Amerykański system opieki zdrowotnej nie ma nic wspólnego ani z systemem, ani z opieką, ani ze zdrowiem.

Walter Cronkite, były prezenter CBS *Evening News*

Raz w roku w Wise w stanie Wirginia, małym miasteczku wśród wzgórz regionu Appalachów, ludzie z kilkudniowym wyprzedzeniem zaczynają ustawiać się w kolejce przed bramą prowadzącą na plac targowy. Koczują w śpiworach, piją kawę z termosów i oglądają filmy, podczas gdy mijające ich ciężarówki zwożą namioty cyrkowe, sprzęt stomatologiczny i łóżka polowe. Wieczorem w przededniu wielkiego otwarcia tłum się rozrasta, tworząc olbrzymią krętą kolejkę na trawie obok drogi, parking się zapełnia, a potem rodzice i dzieci drzemią obok siebie, gdy w środku nocy przybywają lekarze, dentyści i technicy medyczni, by przygotować się do pracy. Podczas naszego pobytu w tym miejscu brama otworzyła się o piątej rano, nim jeszcze zaczęło świtać i gdy niebo wciąż miało atramentowy kolor. Wysoki mężczyzna z brytyjskim akcentem powitał wszystkich i zaprosił do środka pierwszych kilkaset osób z kolejki.

Ludzie przechodzili obok niego, kiwając z uznaniem z głowami, uradowani, że oczekiwanie dobiegło końca. Wysoki mężczyzna witał każdego z osobna wesołym „dzień dobry!”. Uśmiechali się i dziękowali mu. Wielu rozpoznało w nim założyciela organizacji, której zawdzięczali ten jarmark zdrowia, oferujący im darmową pomoc medyczną i stomatologiczną przez trzy dni. „Dziękuję, och, tak bardzo panu dziękuję” – zwróciła się do niego jakaś kobieta, po czym zaczęła bić mu brawo. Reszta osób się zatrzymała i też zaczęła

klaskać. „Jest pan wspaniały!” – krzyknął ktoś inny. Inna kobieta spojrzała na niego z wdzięcznością, ale ze wzruszenia nie mogła wykrztusić słowa i po jej twarzy popłynęły łzy. Wysoki mężczyzna, jak przystało na powściągliwego Brytyjczyka, wydawał się tym wszystkim przerażony, lecz uprzejmie skinął do niej głową i życzył jej wszystkiego najlepszego.

– Ci ludzie mają zatrważające problemy ze zdrowiem – stwierdził po chwili z zadumą.

Stan Brock, osiemdziesięciodwulatek o siwych, zaczesanych do tyłu włosach i pomarszczonej twarzy, posiadacz czarnego pasa w taekwondo, wyprostowany jak struna i bez grama zbędnego tłuszczu w ciele, był chyba w lepszej kondycji niż większość przybyłych. Za nim stał długi rząd wózków inwalidzkich oraz ochotników czekających na osoby potrzebujące pomocy. Wiele z nich naprawdę jej potrzebowało.

Stan wyglądał jak człowiek wyjęty wprost z kolonialnej Kenii: odnosiło się wrażenie, że w każdej chwili może włożyć kask tropikalny i zaproponować grę w krykieta. Uczciwie jednak zarobił na wizerunek ekscentryka. W Gujanie Brytyjskiej hodował pięćdziesiąt tysięcy krów na jednym z największych rancz na świecie. Pewnego dnia dziki koń zrzucił go i przetoczył się po nim, powodując poważne obrażenia. Stan musiał walczyć o życie. Do najbliższego szpitala musiałby maszerować dwadzieścia sześć dni, więc zdał się na miejscowych, którzy go poskładali – a potem zaczął się zastanawiać, jak mógłby się im odwdzięczyć. Założył grupę pomocową Remote Area Medical, by sprowadzać lekarzy i stomatologów do odległych zakątków Gujany, a później rozszerzył działalność na inne ubogie kraje, w tym na Haiti i Ugandę. Nieustannie podróżował ze swojej bazy w Rockford w stanie Tennessee do najuboższych krajów na świecie. Spał na podłodze w biurze, by zaoszczędzić pieniądze.

Pewnego razu niespodziewanie zatelefonowano do niego z pobliskiego miasteczka Sneedville w stanie Tennessee, gdzie brakowało stomatologa. Nieco zakłopotany rozmówca wyjaśnił, że słyszał, iż Remote Area Medical świadczy usługi stomatologiczne w takich miejscach jak Haiti.

– Czy jest szansa – spytał – żebyście przyjechali do Sneedville? My też potrzebujemy pomocy.



Wolontariusze świadczą bezpłatne usługi stomatologiczne na jarmarku zdrowia Remote Area Medical w Gray w stanie Tennessee. Nawet w najbogatszym kraju na świecie są ludzie, którzy całymi dniami stoją w kolejce, by uzyskać bezpłatną pomoc

Fot. Lynsey Addario

Stan załadował na pikapa fotel dentystyczny i zawiózł do Sneedville stomatologa. Ku swojemu zdumieniu ujrzał tam kolejkę stu pięćdziesięciu osób. Zaczął pojmować, że pod względem opieki zdrowotnej niektóre części Stanów Zjednoczonych też są w ogromnej potrzebie. Zorganizował w kraju kilka imprez, na których oferował bezpłatne usługi lekarskie oraz stomatologiczne, i odzew go oszołomił. Stan rozszerzył swoją działalność, by obejmowała nie tylko najuboższe części globu, lecz także najbogatsze i najpotężniejsze państwo w historii świata. Obecnie Remote Area Medical organizuje w Stanach Zjednoczonych

siedemdziesiąt jarmarków zdrowia rocznie, zwłaszcza w uboższych częściach stanów takich jak Tennessee, Alabama, Missouri, Kentucky, Dakota Południowa i Nebraska. Jedna z największych przychodni weekendowych działa w Kalifornii. Ochotnicy pochodzą z okolic i z innych stanów. Odwiedziliśmy jarmark zdrowia w Wise, by przyjrzeć się temu z bliska i przeanalizować przyczyny, dla których Stany Zjednoczone wypadają słabo w międzynarodowych porównaniach systemów opieki zdrowotnej, oraz by zrozumieć, jak to możliwe, że w najpotężniejszym kraju na świecie spada średnia długość życia.

– Ktoś, kto może naprawić opiekę zdrowotną, powinien to zobaczyć – powiedział zamyślony Stan, patrząc na ludzi z Wise, którzy przybyli po pomoc. – To nie jest problem prawicy czy lewicy. Po prostu trzeba w jakiś sposób zapewnić opiekę zdrowotną, usługi stomatologiczne i okulistyczne. – Zauważył, że opieka dentystyczna jest w Stanach Zjednoczonych szczególnie zaniedbywana. Około siedemdziesięciu czterech milionów ludzi nie ma ubezpieczenia stomatologicznego. To prawie dwukrotnie więcej niż jest tych, którzy nie mają ubezpieczenia zdrowotnego. – Chore zęby prowadzą do cukrzycy, chorób serca, do śmierci – wyliczał Stan. – Ludzie w tym kraju umierają z powodu chorych zębów.

Zostawiliśmy Stana przy bramie i ruszyliśmy w stronę części stomatologicznej, olbrzymiego namiotu z rzędami foteli dentystycznych[32]. Wyglądało to jak hala fabryczna: dziesiątki stomatologów ochotników zajmowały się pacjentami, stojąc w odległości zaledwie kilku kroków od siebie. Kolejne osoby siedziały w poczekalni na składanych krzesłach, litościwie odwracając głowy w przeciwną stronę, by nie patrzeć, jak wyrywa się czyjeś zęby, ponieważ za chwilę czekało ich to samo. Pierwszą osobą, którą tam spotkaliśmy, był Daniel Smith, trzydziestoletni przedsiębiorca, szczupły i żylasty, o pociągłej twarzy i odstających uszach. Miał krótkie włosy, rzadką brodę i chętnie zgodził się na rozmowę, żeby

czas szybciej mu minął – lepsze to, zażartował, niż myśleć o wyrywaniu zębów.

– Ile zębów panu dzisiaj usuną?

Daniel spojrzał na kartkę, którą ściskał w ręce. Dostał ją przed chwilą od dentysty.

– Hm. Osiemnaście. Dzisiaj wyrwą mi osiemnaście.

Chyba zrobiliśmy przerażone miny, ponieważ Daniel uśmiechnął się ponuro i wyjaśnił:

– Pracuję od czternastego roku życia, ale nigdy nie miałem ubezpieczenia stomatologicznego.

– Kiedy ostatni raz był pan u dentysty?

– Może ze dwadzieścia lat temu. Raz zaprowadziła mnie mama, kiedy byłem mały, i chyba to tyle.

Raz miał zainfekowany ząb i groteskowo spuchły mu usta, więc pojechał na pogotowie. Lekarz mu go wyrwał, oznajmił, że ta infekcja mogła go zabić, i odesłał Daniela do domu.

Jakiś wolontariusz przerwał nam rozmowę, informując, że zwolnił się fotel dentystyczny, po czym poprowadził ku niemu Daniela. Nora Hermes, młoda dentystka na stażu, z brązowymi włosami ściągniętymi w długi kucyk, czekała na niego razem z pomocnikiem, również wolontariuszem, studentem myślącym o karierze stomatologicznej. Nora wzięła kartę choroby Daniela, obejrzała jego uzębienie i rzuciła okiem na skierowanie na usunięcie osiemnastu zębów. Pokręciła głową.

– Taki młody facet. Serce mi się kraje – powiedziała do nas.

Daniel, już na fotelu, słysząc jej słowa, spojrzał na nią z niepokojem.

Spytaliśmy go, czy czuje strach przed osiemnastoma spotkaniami z kleszczami. Z cierpkim uśmiechem odrzekł, że oczywiście tak, lecz dodał, że czuje też ból – chroniczny, niekończący się ból w ustach – a dzięki wyrwaniu zębów

przynajmniej wkrótce się go pozbędzie. Zamilkł, spuścił wzrok, po czym trochę nieśmiało podniósł głowę.

– Poza tym chcę dobrze wyglądać – wyjaśnił. – Jedyne, co mnie wprawia w zakłopotanie, to mój uśmiech. Mam bałagan w ustach. Potem będę musiał zrobić jakąś protezę. Chcę mieć ładny uśmiech. Nigdy w życiu takiego nie miałem.

– Protezę? – Nora oderwała wzrok od jego historii choroby. – Możemy pana zapisać do programu oferującego tanie protezy. Kosztują około dwustu dolarów, a to naprawdę niewiele.

Daniel się rozpromienił.

– Byłoby wspaniale – powiedział szczerze. – Na taką kwotę mnie stać.

Potem Nora ustawiła lampę, poprosiła Daniela, by otworzył szeroko usta, wstrzyknęła znieczulenie miejscowe i przystąpiła do pracy. Pomocnik dzielnie podawał jej narzędzia, lecz robił się coraz bardziej zielony. Wszędzie wokół Daniela dziesiątkom osób wyrywano i plombowano zęby albo poddawano je innym zabiegom. Dwa miejsca dalej doktor Daniel Laskin, dziewięćdziesięciodwuletni emerytowany profesor chirurgii szczękowej, promieniał ze szczęścia. Właśnie wyrwał dziewięć zębów trzydziestosiedmioletniemu mężczyźnie i wszystko poszło gładko.

Z namiotu dentystycznego przeszliśmy do namiotu okulistycznego, gdzie z pomocą lokalnego Lions Club prowadzono badania przesiewowe pacjentów pod kątem jaskry i innych problemów ze wzrokiem – byli tam między innymi ludzie rozpaczliwie potrzebujący okularów. W pobliskiej przyczepie mieściło się laboratorium ze specjalistycznym sprzętem do szlifowania, kształtowania i dopasowywania przepisanych szkieł w ciągu godziny, by pacjenci mogli otrzymać nową parę w czasie jednej wizyty.

– Są ludzie, którzy nie widzą największej litery na planszy – powiedziała nam ze zdziwieniem wolontariuszka

Jennifer Jolliffee. – A gdy ich pytamy, jak tu dotarli, odpowiadają, że przyjechali samochodem.

– To absolutna zbrodnia naszego systemu opieki zdrowotnej – stwierdził w rozmowie z nami doktor John Watters, pracujący nieopodal okulista. – Widać, że zapotrzebowanie w tym kraju istnieje, lecz nie robi się nic, by je zaspokoić.

Według doktora Wattersa rozwiązaniem problemu jest system powszechnej opieki zdrowotnej, taki jak w większości innych krajów rozwiniętych. Zresztą nawet część ubogich krajów, takich jak Rwanda, wprowadza powszechną opiekę zdrowotną, a Światowa Organizacja Zdrowia pod kierownictwem Etiopczyka doktora Tedrosa Adhanoma pomaga innym krajom rozwijającym się podążać za tym przykładem.

W sumie podczas trzydniowego jarmarku zdrowia w Wise około dwóch tysięcy trzystu mężczyzn, kobiet i dzieci otrzymało bezpłatną pomoc lekarską lub stomatologiczną. Pracowało dla nich tysiąc czterystu wolontariuszy. Później odwiedziliśmy podobną trzydniową imprezę w Gray w stanie Tennessee. Remote Area Medical postawiło tam przyczepę ze szkłami korekcyjnymi oraz drugą, przeznaczoną do badań mammograficznych i cytologicznych. Ashley Edwards, trzydziestodwuletnia pracownica fabryki, potrzebująca dobrego wzroku, by przeprowadzać kontrole gumowych uszczelek w oknach samochodów, przyjechała tam po okulary. Zjawiła się w Gray o północy w przeddzień otwarcia, by stanąć w kolejce i zapewnić sobie bilet na bezpłatne badanie wzroku. Ashley pracowała za płacę minimalną, ale dzięki temu miała ubezpieczenie zdrowotne. Nie obejmowało ono jednak okulisty ani stomatologa, toteż dotąd obywała się bez nich.

Te potrzeby zdrowotne rzucają światło na większy problem: opieka medyczna jest kolejną dziedziną, w której Stany Zjednoczone zostały w tyle, a to przynosi tragiczne

konsekwencje. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dane statystyczne dotyczące zdrowia Amerykanów były porównywalne z danymi w innych krajach rozwiniętych: w 1970 roku średnia długość życia wyglądała nieco lepiej niż średnia w krajach OECD. Przeżywalność dzieci także była trochę powyżej średniej.

Od tamtej pory większość innych państw stworzyła systemy powszechnej opieki zdrowotnej, wskutek czego Stany Zjednoczone są obecnie jedynym dużym krajem rozwiniętym, który takiego systemu nie ma. Takie jarmarki zdrowia jak te w Wirginii i Tennessee byłyby nie do pomyślenia w Kanadzie czy Francji, ponieważ tam nikt by ich nie potrzebował. Oba kraje mają oczywiście własne problemy i prawdopodobnie skorzystały na badaniach i rozwoju farmacji w Stanach Zjednoczonych, lecz ich obywatele nie przemykają niezauważeni przez system, tak jak to się dzieje każdego dnia w Stanach Zjednoczonych.

W rezultacie od 1970 roku średnia długość życia w Stanach Zjednoczonych wzrosła, ale znacznie mniej niż w innych krajach. Z miejsca nieco powyżej środka grupy spadliśmy na dwudzieste siódme miejsce wśród trzydziestu pięciu krajów OECD. Obecnie pod względem średniej długości życia plasujemy się za Chile i tylko nieznacznie wyprzedzamy Republikę Czeską oraz Turcję[1]. Gdyby stan Missisipi był odrębnym krajem, pod względem średniej długości życia zajmowałby przedostatnie miejsce, na równi z Meksykiem. Badania, których wyniki opublikowano w recenzowanym czasopiśmie „Health Affairs”, wykazały, że dziś dzieciom w Stanach Zjednoczonych grozi o pięćdziesiąt pięć procent wyższe ryzyko śmierci niż dzieciom w innych zamożnych krajach[2].

„Stany Zjednoczone są najbardziej niebezpiecznym na świecie krajem dla dzieci wśród zamożnych demokratycznych państw” – powiedział doktor Ashish Thakrar ze szpitala Johnsa Hopkinsa, kierownik zespołu badawczego. Thakrar

szacuje, że gdyby sytuacja w Stanach Zjednoczonych poprawiała się w takim samym tempie jak w innych krajach rozwiniętych, ocalono by życie sześciuset tysięcy dzieci. Gdyby śmiertelność w Ameryce była równa średniej dla reszty zamożnego świata, co roku przeżywałoby o dwadzieścia jeden tysięcy dzieci więcej. Ponieważ w przeciwieństwie do swoich krajów partnerskich nie zmodernizowaliśmy systemu opieki zdrowotnej, tracimy pięćdziesięcioro ośmioro dzieci dziennie[33].

Uważa się, że problem zakażenia ludzi pasożytami dotyczy ubogich mieszkańców wsi w Afryce i Azji Południowej. Tymczasem kilka lat temu Catherine Flowers z hrabstwa Lowndes w Alabamie przeczytała artykuł doktora Petera Hoteza, eksperta w dziedzinie chorób tropikalnych, i skontaktowała się z nim, by poinformować, że wiele rodzin w jej okolicy nie ma nowoczesnej instalacji wodno-kanalizacyjnej. Zaczęła się zastanawiać, czy ci ludzie także mogą być nosicielami pasożytów. Badacze pobrali zatem próbki kału w hrabstwie Lowndes i w trzydziestu czterech procentach z nich wykryto tęgoryjce dwunastnicy.



Dwudziestosiedmioletniej Megan Reed wyrwano piętnaście zębów na jarmarku zdrowia w Gray w stanie Tennessee

Fot. Lynsey Addario

– Prawdopodobnie w wielu innych miejscach jest tak samo, ale nikt tego nie bada – powiedział nam Hotez. – Nie możemy zdobyć pieniędzy na testy.

Różnice w ochronie zdrowia prowadzą do powstawania bolesnych różnic między sąsiadami. W Filadelfii średnia długość życia człowieka urodzonego w przeważnie białej i zamożnej okolicy Liberty Bell jest o dwadzieścia lat dłuższa niż człowieka urodzonego sześć kilometrów dalej, w przeważnie czarnej Filadelfii Północnej. Gdy średnia długość życia zależy tak bardzo od miejsca urodzenia, nie możemy jej wiązać wyłącznie ze złymi decyzjami podejmowanymi przez jednostki[3].

Zatrważające dane statystyczne dotyczące zdrowia to konsekwencja nie tylko braku ubezpieczenia, lecz także ubóstwa, stresu i poczucia beznadziei skłaniających ludzi do przeróżnych ryzykownych zachowań, w tym do zaniedbywania profilaktyki. W klinice w Gray w stanie Tennessee Joseph Gambacorta, dziekan do spraw klinicznych w Szkole Stomatologii na Uniwersytecie Stanowym Nowego

Jorku w Buffalo, powiedział, że wiele osób, których nie stać na ubezpieczenie stomatologiczne, nie dba o zęby i dlatego próchnica dopada ich w młodym wieku. Doktor Gambacorta badał Megan Reed, dwudziestosiedmioletnią dyplomowaną asystentkę pielęgniarstwa, której zostało tylko dwadzieścia pięć zębów i trzeba było je wszystkie usunąć z powodu zaawansowanej próchnicy. Megan brakowało pieniędzy na opiekę stomatologiczną, więc w części zębów powstały duże ubytki, które powodowały ostry ból. Dzień wcześniej pewien czterdziestokilkulatek prosił, by usunięto mu wszystkie zęby, ponieważ przednich już nie miał i chciał dopasować protezę, aby ładniej wyglądać i nie musieć zawracać sobie głowy higieną jamy ustnej.

– To problem dotyczący całego człowieka, dynamiki społecznej – powiedział doktor Gambacorta. – Trzeba się przyjrzeć społecznym determinantom zdrowia: ubóstwu i edukacji.

Robert Cronyn, kolega Gambacorty z uniwersytetu w Buffalo, profesor chirurgii szczękowo-twarzowej nadzorujący usuwanie zębów Megan, zaobserwował w ciągu lat pracy zawodowej, że wiele osób ubogich i słabiej wykształconych żyje w przekonaniu, iż ma trzy zestawy zębów: mleczaki, po których wyrastają zęby stałe, oraz „dorosłe” zęby, czyli protezy. Pewnego razu spierał się z kobietą, która miała zupełnie zdrowe zęby, lecz w wieku dwudziestu jeden lat uznała, że pora sobie sprawić sztuczną szczękę, tak jak zrobiły wcześniej jej matka i babcia.

– Jeśli nie usunę pani zębów, będzie pani chodziła od dentysty do dentysty, dopóki nie znajdzie się taki, który je pani wyrwie, prawda? – spytał ją doktor Cronyn.

– Tak – odrzekła.

– Jeśli kogoś takiego pani znajdzie, to będzie naciągacz. Nie ma potrzeby wyrywać pani zębów.

Po jakimś czasie piętnaście zębów Megan leżało na tacy stomatologicznej, a ona sama wyglądała na zadowoloną z tego, że się ich pozbyła.

Poczynając od Harry'ego Trumana, prezydenci Stanów Zjednoczonych domagali się wprowadzenia powszechnej opieki zdrowotnej, lecz w zasadzie nigdy to nie nastąpiło. Lyndon Johnson rozszerzył zasięg świadczeń na starszych Amerykanów, wprowadzając Medicare, a Barack Obama jeszcze bardziej rozbudował system pomocy za pomocą ustawy o przystępnej opiece zdrowotnej, lecz wciąż istnieją olbrzymie luki w tej dziedzinie. Wprawdzie liczba Amerykanów niemających ubezpieczenia zdrowotnego spadała stopniowo przez cały 2016 rok, ale po atakach na spuściznę Obamy, przypuszczonych przez prezydenta Trumpa i republikanów w Kongresie, utknęła w miejscu.

Wszystkie inne kraje rozwinięte rozwiązują jakoś ten problem, więc Stany Zjednoczone też mogą. Rozszerzenie Medicaid to pestka, lecz stany na południu i w środkowej części kraju, których mieszkańcy mają największe problemy ze zdrowiem, odmawiają przyłączenia się do tego programu, skazując swoich kolejnych obywateli na niepotrzebną śmierć. Badacze obserwują, że brak ubezpieczenia zabija dziesiątki tysięcy Amerykanów rocznie. W zrecenzowanym artykule profesor Katherine Baicker z Uniwersytetu Chicago udowadnia, że ubezpieczenie zdrowotne ratuje życie co najmniej jednej na osiemset trzydzieści osób, którym udało się je zdobyć[34].

Jednym ze sposobów ulepszenia obecnego systemu opieki zdrowotnej byłoby rozszerzenie Medicare, by wypełnić wspomniane luki. Istnieje wiele sposobów, żeby to zrobić. Paul Starr, czołowy specjalista w dziedzinie ochrony zdrowia, proponuje objęcie tym programem Amerykanów w wieku od pięćdziesięciu zamiast od sześćdziesięciu pięciu lat – przynajmniej tych, którzy nie mają innego ubezpieczenia z tytułu wykonywanej pracy. Mogłoby to być punktem wyjścia

do stopniowego poszerzenia systemu publicznej opieki medycznej. Członkowie Kongresu przeciwni takiemu rozwiązaniu najwyraźniej nie mają nic przeciwko temu, by państwo pokrywało koszt usług medycznych świadczonych na rzecz nich samych: oprócz siedemdziesięciu dwóch procent dopłaty do składek na dobre ubezpieczenie zdrowotne – pochodzącej z kieszeni podatników – mogą oni korzystać z podlegającego marynarce wojennej gabinetu lekarza Kongresu Stanów Zjednoczonych (OAP), dzięki czemu otrzymują bezpłatne świadczenia ambulatoryjne w placówkach wojskowych w Waszyngtonie.

Istnieje prosty powód, dla którego mamy finansowany z podatków system bezpłatnej podstawowej opieki zdrowotnej dla osób starszych (Medicare), ale dla dzieci już nie: w przeciwieństwie do dzieci, seniorzy głosują w wyborach. Zatem podczas gdy w Stanach Zjednoczonych umiera o pięćdziesiąt pięć procent więcej dzieci niż w innych krajach rozwiniętych, średnia długość życia Amerykanów, którzy osiągną sześćdziesiąt pięć lat i zakwalifikują się do Medicare, jest podobna.

Przeciwnicy powszechnego ubezpieczenia obywateli bez względu na wiek argumentują, że nas na to nie stać. Zapewniamy już jednak opiekę najdroższej grupie demograficznej (osobom starszym), choć nie zapewniamy jej najtańszej (dzieciom); zamiast płacić za leczenie dzieci, obsypujemy pieniędzmi firmy farmaceutyczne i komercyjne szpitale. Xarelto, lek przeciwzakrzepowy, kosztuje w Stanach Zjednoczonych 292 dolary za trzydzieści dwa dni; w Szwajcarii – tylko 102 dolary. Tecfidera, lek stosowany w leczeniu nawrotów stwardnienia rozsianego, kosztuje 5089 dolarów za trzydzieści dwa dni leczenia w Stanach Zjednoczonych; w Wielkiej Brytanii płaci się za taką kurację 663 dolary. Usunięcie wyrostka robaczkowego kosztuje w Stanach Zjednoczonych średnio 15 930 dolarów; w Hiszpanii tylko 2003[4]. W sumie Stany Zjednoczone wydają na opiekę zdrowotną znacznie więcej niż jakikolwiek inny

kraj, około dziesięciu tysięcy dolarów na osobę rocznie, czyli niemal jedną piątą dochodu narodowego. To prawie dwa razy tyle co w Europie.

Amerykański system opieki zdrowotnej jest drogi i działa słabo, między innymi dlatego, że patologie związane z brakiem równości i ubóstwem są tu bardzo rozpowszechnione. Otyłość w Stanach Zjednoczonych to znak rozpoznawczy ubóstwa oraz klasy robotniczej; nieprzypadkowo cierpieli na nią Cindy, Kevin i Clayton Greenowie. Ryzyko nadwagi wśród Amerykanów jest wyższe niż wśród obywateli innych krajów rozwiniętych i wszyscy płacimy za to cenę. Roczny koszt leczenia osoby otyłej wynosi o 1900 dolarów więcej niż osoby bez nadwagi, a według pewnych szacunków problemy związane z tuszą odpowiadają za dziewięć procent wydatków amerykańskiego systemu opieki zdrowotnej[5].

System ten bywa zresztą po prostu irracjonalny. Weźmy na przykład Drew Calvera, czterdziestoczteroletniego nauczyciela historii w liceum i trenera pływania. Ten sprawny fizycznie pływak, który pięć miesięcy wcześniej ukończył triatlon Ironman, dostał zawału, gdy wynosił śmieci. Sąsiad zawiózł go szybko na izbę przyjęć pobliskiego szpitala, St. David's Medical Center w Austin w stanie Teksas. Podczas czterodniowego pobytu Calvera na oddziale lekarze umieścili stenty w jego zapchanej tętnicy wieńcowej. W szpitalu spytał, czy jego ubezpieczenie pokryje koszt tych zabiegów, i uspokojono go, zapewniając, że szpital przyjmie jego ubezpieczenie. Rzeczywiście, przyjęto płatność z polisy w wysokości 55 840 dolarów, lecz dodatkowo obciążono go kwotą 108 951 dolarów.

– Przyprawią mnie o następny zawał. Stresuję się tym rachunkiem – powiedział Calver w wywiadzie dla „Kaiser Health News". – Nie dam rady zapłacić takiej kwoty ze swojej nauczycielskiej pensji, a nie chcę, żeby sprawa trafiła do windykatora.

Szpital rzeczywiście przesłał rachunek windykatorowi, a ten skierował do Calvera pismo z żądaniem bezzwłocznej zapłaty. Tymczasem eksperci stwierdzili, że kwota była ogromnie zawyżona. Na przykład St. David skasował 19 700 dolarów za stent, za który szpitale płacą około 1150. Gdy napisano o tym w „Kaiser Health News”, St. David natychmiast zawiesił działania windykacyjne i zgodził się obniżyć swoje honorarium ze 108 951 do 332 dolarów.

W innych krajach nie doszłoby do takiej farsy. W badaniu opublikowanym w „The American Journal of Medicine” wykazano, że czterdzieści dwa procent Amerykanów, u których zdiagnozowano raka w latach 1998–2014, wydało w ciągu następnych dwóch lat cały swój majątek[6]. To także nie zdarza się w innych krajach. Skutek jest taki, że od 1970 roku obserwujemy rozmaite aspekty amerykańskiej wyjątkowości w opiece medycznej: brakuje nam powszechnych świadczeń zdrowotnych, wydajemy więcej na ochronę zdrowia i osiągamy gorsze wyniki.

W zasadzie jest jeszcze czwarta dziedzina, w której także jesteśmy wyjątkowi: Stany Zjednoczone są przeczulone na punkcie seksu i zdrowia reprodukcyjnego, co po części jest pokłosiem wojen aborcyjnych, dlatego Amerykanie radzą sobie wyjątkowo źle z zapewnianiem środków antykoncepcyjnych i dbaniem o zdrowie reprodukcyjne. Prezydent Trump pogłębił tę lukę, ograniczając takie programy z tej dziedziny jak Planned Parenthood i Title X – i nie, nie chodzi o to, że nie chciał płacić za aborcje. Stany Zjednoczone już zakazują opłacania aborcji ze środków federalnych. Pieniądze dla Planned Parenthood przeznaczano na badania przesiewowe raka szyjki macicy, badania piersi, programy z zakresu planowania rodziny oraz na leczenie infekcji przenoszonych drogą płciową. Skutek jest taki, że matki umierają.

W Stanach Zjednoczonych mówimy, że kochamy mamy, ale to okrutny żart. Amerykanki umierają w czasie ciąży albo

podczas porodu około dwóch razy częściej niż Brytyjki – ponieważ Brytyjczycy podejmują prawdziwe starania, by ratować życie matek, a my nie. Liczba zgonów w tej grupie w Ameryce zaczęła ponownie rosnąć około 2000 roku, mimo że w reszcie świata spadała. W krajach rozwiniętych jednym z najniebezpieczniejszych miejsc, w jakich można zajść w ciążę, jest obecnie południe Stanów Zjednoczonych, gdzie kobiety umierają podczas porodu znacznie częściej niż, powiedzmy, w Hiszpanii czy w Szwecji. Wybraliśmy się zatem do Houston, by towarzyszyć doktor Lisie Hollier, rektorce Amerykańskiego College'u Położnych i Ginekologów, w jej Centrum Dzieci i Kobiet. Wchodzi ono w skład organizacji Texas Children's Health Plan, zajmującej się zdrowiem dzieci. Doktor Hollier wyjaśniła, że jej misja polega na zmniejszeniu śmiertelności wśród matek, a podjęła się tego zadania po tym, co przeżyła w Dallas jeszcze jako młoda lekarka.

Amy, dwudziestotrzyletnia pacjentka spodziewająca się pierwszego dziecka, zbliżała się do końca nieskomplikowanej ciąży. Wydawała się zdrowa. Zarówno ona, jak i jej mąż byli przeszczęśliwi, że będą mieć dziecko. Tuż przed porodem Amy dopadł jednak mocny ból głowy i zjawiła się z mężem w szpitalu. Zabrano ją do gabinetu, podłączono kardiotokograf – i nagle Amy straciła przytomność. Lekarze i pielęgniarki podbiegli do łóżka, przeganiając jej męża. Kardiotokograf pokazał, że dziecko ma spowolnioną akcję serca, ciąża jest zagrożona, więc lekarze szybko zawieźli Amy na salę operacyjną, by przeprowadzić cesarskie cięcie i ocalić maleństwo. Gdy chirurg wydobył zdrową córeczkę i zszył macicę pacjentki, personel przygotował się do prześwietlenia jej mózgu. Okazało się, że Amy doznała rozległego udaru. To dobrze znane ryzyko w czasie ciąży. Doktor Hollier, neurolodzy i grupka pielęgniarek byli bezradni. Późnym popołudniem stwierdzono zgon pacjentki. Doktor Hollier nigdy nie zapomni sceny, jaka rozegrała się później w sali dla noworodków, gdy dziecko przekazano świeżo owdowiałemu

ojcu. Stał tam zupełnie sam, trzymając w objęciach córeczkę, gotowy opuścić szpital – zdruzgotany.

– Wciąż widzę tego tatę – powiedziała doktor Hollier, ocierając łzy. – To powinien być najszczęśliwszy dzień w jego życiu, a on miał taką minę… Był zupełnie zagubiony. – Zamilkła, by zapanować nad emocjami. – Jako kraj musimy podjąć pewne zobowiązanie – stwierdziła po chwili. – Możliwe do uniknięcia zgony wśród matek nie powinny się zdarzać. Niech to będzie nasz cel.

W Stanach Zjednoczonych do śmierci związanej z ciążą dochodzi średnio dwa razy dziennie, a szczególnie zagrożone są czarne kobiety. Liczbę ofiar zwiększa to, że wiele dziewczyn nie ma ubezpieczenia, lekarza rodzinnego, ginekologa ani łatwego dostępu do antykoncepcji. Sondaże wskazują, że amerykańskie i europejskie dzieciaki uprawiają seks mniej więcej równie często, lecz te pierwsze rodzą dzieci około trzech razy częściej. To dlatego, że w Stanach Zjednoczonych mają mniejsze szanse na otrzymanie kompleksowej edukacji seksualnej, oraz dlatego, że Amerykanie nie mają tak dobrego dostępu do bezpłatnych metod planowania rodziny, zwłaszcza do środków o długotrwałym i odwracalnym działaniu, takich jak implanty albo wkładki wewnątrzmaciczne.

– Nie można umrzeć z powodu ciąży, jeśli nie jest się w ciąży – powiedziała doktor Hollier, zwracając uwagę na to, że prawie połowa ciąż w Stanach Zjednoczonych jest nieplanowana. Dodała, że tylko połowa kobiet w Teksasie korzysta z opieki prenatalnej w pierwszym trymestrze i zaledwie sześćdziesiąt procent zgłasza się na badanie kontrolne po porodzie.

Zdrowie reprodukcyjne ma w sobie coś, co sprawia, że politycy i lokalni urzędnicy tracą zdolność rozumowania. Stanowi kuratorzy oświaty i członkowie rad szkolnych wiedzą, że nastoletnie ciąże stanowią olbrzymi problem, a mimo to często nie zezwalają, by uczyć dzieci, jak ich

uniknąć. Według organizacji Guttmacher Institute tylko osiemnaście stanów wymaga w swoich szkołach nauczania o kontroli urodzeń i zaledwie mniej więcej połowa amerykańskich dzieci otrzymuje w klasie jakiekolwiek instrukcje związane z antykoncepcją, zanim zaczną współżyć. Według Centrum do spraw Profilaktyki i Zapobiegania Chorobom jedynie trzydzieści pięć procent uczniów szkół średnich dowiaduje się, jak prawidłowo używać prezerwatyw.

Co zdumiewające, odsetek uczniów, którzy nie są edukowani w zakresie antykoncepcji, rośnie, zamiast maleć. Administracja Trumpa próbowała nawet obciąć fundusze na program zapobiegania ciążom wśród nastolatków (pozwy sądowe wymusiły kontynuację finansowania). Dziwi fakt, że ci sami urzędnicy opowiadają się często przeciwko aborcji – najwyraźniej nie rozumieją, że zapobieganie nieplanowanym ciążom zmniejszy liczbę ich terminacji. Uważają oni, że dostęp do prezerwatyw będzie zachęcał do rozwiązłości, a przecież powodują one seks nie bardziej niż parasolki wywołują deszcz. Później ci sami urzędnicy grzmią o nieodpowiedzialności dziewczyn zachodzących w ciążę, nie dostrzegając tego, że odpowiedzialność ponoszą oni sami.

Pielęgniarka poinformowała doktor Hollier, że czeka na nią pacjentka, i za pozwoleniem tej pacjentki, Moniki Leii, wzięliśmy udział w ich spotkaniu. Monica, dwudziestokilkuletnia Latynoska, była w ósmym miesiącu ciąży. Na brzuchu miała wytatuowaną olbrzymią czaszkę. Doktor Hollier zbadała pacjentkę, zmierzyła jej brzuch i trochę z nią pogawędziła.

– Domyślam się, że nie planowała pani tej ciąży – powiedziała.

– A skąd! – Monica stanowczo pokręciła głową. – Zdecydowanie nie.

– Co się stało?

Monica wyjaśniła, że brała pigułki, lecz niedawno zmieniała pracę i przez trzy miesiące nie refundowano jej antykoncepcji.

– No więc przestałam łykać tabletki – dodała. – Kosztowały czterdzieści dolarów miesięcznie. Po prostu nie przypuszczałam, że tak się to skończy. – Zamilkła na chwilę, po czym spojrzała na doktor Hollier i dorzuciła: – A wie pani, co jest w tym najdziwniejsze? Pracuję w firmie ubezpieczeniowej.

Po wyjściu Moniki sfrustrowana doktor Hollier westchnęła.

– Antykoncepcja to najpotężniejsza broń przeciw ubóstwu, jaką mamy – powiedziała. – Umożliwia kobiecie skończenie szkoły, zaplanowanie rodziny, dążenie do życiowych celów.

Inne kraje podołały tego rodzaju wyzwaniom w zakresie planowania rodziny i zdrowia reprodukcyjnego. Niektóre części Stanów Zjednoczonych także. Kalifornia podjęła zdecydowane starania, by ratować życie kobiet w czasie ciąży i porodu, analizując każdy przypadek śmierci i próbując zrozumieć, co poszło źle. Skutek jest taki, że śmiertelność wśród ciężarnych spadła tam prawie o połowę. Obecnie rodzenie dzieci w Kalifornii jest mniej więcej równie bezpieczne jak w Europie.

Centrum Dzieci i Kobiet doktor Hollier, finansowane ze środków stanowych i federalnych, pokazuje, że nawet w Teksasie można przeprowadzić zmiany. Instytucja jest atrakcyjna, przyjazna i zapewnia opiekę nad dziećmi, gdy ich matki są na badaniach. Szczyci się nawet przychodnią stomatologiczną. Personel przeprowadza kobiety i dziewczyny przez proces rejestracji w Medicaid, by dostały ubezpieczenie, a następnie pomaga im wybrać odpowiedni rodzaj antykoncepcji. Lekarze wykonują badania cytologiczne, by uchronić je przed rakiem szyjki macicy (który wciąż zabija w Stanach Zjednoczonych jedną kobietę co dwie godziny), oraz badają im piersi. Leczą ich infekcje. Gdy pacjentki zachodzą w ciążę, personel uczy je karmić piersią i opiekować

się noworodkami. A podczas pobytu w ośrodku mogą skorzystać z bezpłatnej opieki stomatologicznej, dobrać za darmo okulary oraz zrealizować recepty w tamtejszej aptece.

Centrum doktor Hollier i Remote Area Medical pokazują, ile można osiągnąć. W zasadzie pokazuje to także Medicare. Pokazują to Kanada, Wielka Brytania i chyba każdy inny kraj rozwinięty. Dlaczego w najbogatszym państwie w historii świata tak wielu Amerykanów umiera, ponieważ nie mają dostępu do opieki zdrowotnej na podobnym poziomie?

12

Bezdomni w bogatym kraju

Nie chcę twoich drobnych. Chcę zmiany.

transparent trzymany przez bezdomnego mężczyznę na obrazie Meeka, australijskiego artysty ulicznego

Potargane włosy i biała krzaczasta broda, zmęczona, pomarszczona twarz. Mężczyzna stał obok wózka na zakupy wypełnionego ubraniami, butami i pustymi puszkami – jego jedynym dobytkiem po latach mieszkania na ulicy. Gdy Amerykanie zbliżają się do takiej bezdomnej osoby, ich naturalną reakcją jest odwrócenie wzroku i szybkie przejście dalej. Zachowują się, jakby jej nie zauważali. To jednak niemożliwe, gdy człowiek nagle uświadamia sobie z ukłuciem w sercu, że ten bezdomny to jego stary przyjaciel i sąsiad. Mike Stepp siedział w parku obok biblioteki w McMinnville, siedzibie władz hrabstwa Yamhill, a nasze spotkanie było serdeczne, wzruszające oraz niepokojące.

– Dobrze was widzieć – powitał nas życzliwie i wymieniliśmy uściski. – Tyle razy chodziliśmy kiedyś razem na autobus! Dzień w dzień!

Mike i jego brat Bobby byli w dzieciństwie najbliższymi sąsiadami Nicka i codziennie chodzili razem na przystanek na wzgórzu, gdzie zatrzymywał się szkolny autobus. Bobby, dobroduszny i pełen energii, zastawiał sidła i zarabiał trochę na skórach zwierząt, a Mike, o kilka lat młodszy od niego, był zabawny, pobudliwy i trochę lubił się popisywać.

Steppowie bardzo przypominali Knappów i Greenów: byli solidnymi ludźmi z klasy robotniczej, których życie uległo zdecydowanej poprawie w ostatnich pokoleniach, i nie mogli się doczekać dalszych zmian na lepsze. Ich ojciec, Robert Stepp, zawyżył swój wiek i po wybuchu wojny w Korei jako

szesnastolatek zaciągnął się do piechoty morskiej, a potem regularnie zgłaszał się na ochotnika do patroli zwiadowczych. Jeden z takich patroli wpadł w zasadzkę przygotowaną przez jednostkę z Korei Północnej i Stepp odniósł dwadzieścia dwie rany postrzałowe. Pamiętał, że nim stracił przytomność, widział, jak Koreańczycy chodzą od ciała do ciała i dźgają Amerykanów, chcąc mieć pewność, że ci nie żyją. Kiedy obudził się w szpitalu wojskowym, nie wiedział, jak udało mu się to przetrwać. Przez następne półtora roku leczył się z poważnych obrażeń. Jako dziewiętnastoletni ranny bohater wojenny ożenił się z Loreną Dockery i znalazł pracę w tartaku na północ od Yamhill.



Mike Stepp, najbliższy sąsiad Nicka z dzieciństwa, jest teraz bezdomny i mieszka na ulicach McMinnville w stanie Oregon

Fot. Lynsey Addario

Robert popadł w alkoholizm. Pił wieczorami, lecz w ciągu dnia był dobrze funkcjonującym, pracowitym i przestrzegającym prawa obywatelem. Był też bardzo dumny ze swojej służby wojskowej i udzielał się w lokalnym oddziale organizacji zrzeszającej weteranów zwanej American Legion. Gdy Bobby nie radził sobie w liceum, Robert i Lorena, która też ostro piła, posłali go do piechoty morskiej, by zmężniał, lecz ich syn nie przeszedł obozu dla rekrutów i wkrótce wrócił do domu. Ojciec próbował posłać do wojska także Mike'a,

gdy ten rzucił szkołę w jedenastej klasie, ale Mike wolał siły rezerwy, skąd potem został wydalony za niesubordynację. Umierając w wieku pięćdziesięciu sześciu lat, Robert był głęboko rozczarowany swoimi potomkami.

Teraz w więzieniu w Colorado Bobby odsiaduje wyrok dożywocia za napaści na tle seksualnym na troje dzieci, między innymi na swoją jedenastoletnią pasierbicę, która zeznała, że gwałcił ją przez trzy lata. To, że Bobby jest jednym z dwóch chłopaków z dawnego szkolnego autobusu numer sześć, skazanych później za napaść seksualną na dziecko, odzwierciedla rozpad tkanki społecznej. Bobby powiedział nam, że jeśli kiedyś wyjdzie z więzienia, chciałby wrócić do Yamhill, ale nie wie, czy zostanie tam przyjęty albo czy nie skończy bez pracy i domu – tak jak jego brat.

Słyszeliśmy wcześniej od przyjaciół, że alkohol i metamfetamina oraz paskudny wypadek na rowerze zmąciły umysł Mike’a, on jednak doskonale pamiętał naszego starego psa, olbrzymiego białego kuvasza, który go przerażał. „Zwykły stary wsiok” – powiedział o sobie. Dodał, że śledzi naszą karierę i od czasu do czasu czyta w bibliotece nasze artykuły.



Mike Stepp z wózkiem na zakupy i całym swoim dobytkiem na rogu ulicy w McMinnville. Przywykliśmy do tego, że odwracamy oczy od bezdomnych, lecz to nie działa, gdy bezdomny okazuje się jednym z naszych najdawniejszych przyjaciół

Fot. Lynsey Addario

Mike wyznał, że zaczął sięgać po narkotyki w szkole średniej, gdzie palił marihuanę na parkingu.

– W sumie nigdy nie przestałem – dodał. Powiedział, że czasami kupował metamfetaminę u Claytona Greena i pomagał mu podlewać marihuanę.

Ze swoją byłą żoną, Stephanie Ross, kłócił się o wszystko, także o to, że wierciła mu dziurę w brzuchu, by przestał pić. W końcu po prostu od niej odszedł. Bardzo jednak chciał się pochwalić swoimi dziećmi: Brandie i Mikiem juniorem. Na początek powiedział nam, skąd się wzięło imię Brandie.

– Byłem z żoną na porodówce, trwało to w nieskończoność – zaczął. Wyszedł zapalić papierosa i pociągnąć łyk brandy, i wtedy nagle zaskoczyła go pielęgniarka, oznajmiając, że urodziło mu się dziecko. Spytała, jak da córce na imię. – Pomyślałem: Brandie! – powiedział nam ze śmiechem. – O, tak. Wciąż czuję smak tamtej brandy.

Opowiadał nam z dumą, jak wspierał dzieci finansowo, gdy poszły do college'u. Brandie zamierzała zostać nauczycielką plastyki, a Mike junior chciał być inżynierem.

– Wypruwałem sobie żyły, żeby dzieciaki mogły skończyć studia – powiedział. – Jestem bardzo dumny, że nie wylądowały na ulicy. – Dodał, że co roku w Boże Narodzenie dzieci przyjeżdżają i nie odstępują go na krok. Proszą, by wrócił, i życzą mu jak najlepiej.

Spytaliśmy, czy ma jakieś problemy psychiczne.

– Nie jestem stuknięty – odrzekł. – Czasami, no wiecie, jakby gubię się we własnej głowie. Mój umysł trochę błądzi. Nigdy nie pamiętam, jaki jest dzień. – Powiedział, że zarabia około dziesięciu dolarów dziennie, zbierając puszki i butelki na sprzedaż, oraz że jada posiłki w przykościelnych jadłodajniach (między innymi w tej, w której mama Nicka pracuje jako wolontariuszka). Dopełnia to tym, co znajduje na śmietniku. – Jeśli jestem bardzo, bardzo głodny, to to jem.

Dostawał bony żywnościowe, ale wstrzymano je na rok, gdy pozwolił koledze, robiącemu zakupy dla nich obu, posłużyć się swoją kartą.

Tryskając energią tak jak wtedy, gdy był młodym chłopakiem, Mike raczył nas opowieściami o swoich bohaterskich dokonaniach w wojsku, o Purpurowym Sercu i medalu za odwagę, o ranie postrzałowej w brzuch, którą odniósł podczas walki w Ameryce Środkowej. Gdy wyraziliśmy podziw, powiedział skromnie, że nie wszystkim udało się stamtąd wrócić.

Nawet przyjmując ostrożną kalkulację, w każdej chwili mamy w Stanach Zjednoczonych ponad pół miliona bezdomnych, w tym prawie dwieście tysięcy osób mieszkających na ulicy zamiast w schroniskach[1]. Liczba osób bezdomnych w naszym kraju wzrosła w ciągu ostatnich czterdziestu lat, mimo że Stany Zjednoczone bardzo się wzbogaciły. Spowodował to splot różnych czynników.

Po II wojnie światowej wprowadzenie kontroli czynszów i przepisów określających zasady użytkowania gruntów zahamowało budowę mieszkań w przystępnej cenie. Potem prezydent John F. Kennedy miał wizję przeniesienia osób chorych psychicznie i niepełnosprawnych ze specjalistycznych instytucji do ośrodków znajdujących się bliżej rodziny. Stworzono jednak za mało takich placówek i bezbronni ludzie kończyli na ulicy. Gdy w latach osiemdziesiątych zaczęła dominować filozofia osobistej odpowiedzialności, prezydent Reagan obciął o połowę federalne środki na mieszkalnictwo. Dopłaty do mieszkań nigdy nie wróciły do dawnego poziomu. Później wielka recesja w latach 2008–2009 sprawiła, że miliony właścicieli domów straciły pracę, a następnie, nie będąc w stanie spłacać rat kredytów hipotecznych, także domy.

– Tanie mieszkalnictwo przechodzi kryzys, który właśnie osiągnął historyczne wyżyny – powiedziała nam Diane Yentel, prezes National Low Income Housing Coalition. – Obecnie brakuje nam ponad siedmiu milionów domów w przystępnej cenie dla ludzi osiągających najniższe dochody.

Badania wskazują, że gdy rodziny mają przyzwoity dach nad głową, dzieci lepiej radzą sobie w szkole i prawdopodobnie dzięki temu zarabiają więcej jako dorośli ludzie, a nawet dłużej żyją. Jeśli zaś dzieci są bezdomne, ich stan zdrowia jest gorszy i wiedzie im się słabiej – a to kosztuje. Jedna z analiz pokazała, że w 2016 roku bezdomność pociągnęła za sobą dodatkowe koszty w wysokości ośmiu miliardów dolarów związane ze zdrowiem i kształceniem dzieci oraz z psychiczną i fizyczną kondycją matek[2].

– Tak czy inaczej, płacimy za to jako społeczeństwo – oświadczyła Yentel. – Tych kosztów dałoby się uniknąć, gdyby pieniądze, które przeznaczamy na ich pokrycie, przeznaczyć na budowę tanich mieszkań. Wszystkim nam wyszłoby to na dobre.

Bezdomność obniża dobrostan całej społeczności. Ponadto może wpłynąć na zdrowie publiczne, tak jak podczas epidemii duru plamistego, odmiany tyfusu. Choroba ta, od dawna kojarzona z ubóstwem, szerzy się na południu Stanów Zjednoczonych z powodu bezdomności.

Zazwyczaj wydaje nam się, że bezdomni mają problemy psychiczne albo są uzależnieni, i w wielu przypadkach rzeczywiście tak jest. Coraz częściej jednak brak mieszkań w przystępnej cenie wpycha w bezdomność ludzi bez nałogów i mających pracę, w której po prostu zarabiają za mało, by opłacić czynsz. To dlatego stany z największą liczbą bezdomnych nie znajdują się w regionach najbardziej dotkniętych kryzysem, lecz obejmują niekiedy obszary cechujące się szybkim rozwojem gospodarczym. Najwięcej bezdomnych w kraju jest w mieście Waszyngton, następnie na Hawajach, w Nowym Jorku i Kalifornii. Na tych terenach brakuje mieszkalnictwa w przystępnej cenie[3].

Dwojga ludzi pracujących na pełny etat za federalną płacę minimalną wynoszącą 7,25 dolara za godzinę nie byłoby stać na trzypokojowe mieszkanie w żadnym zakątku Stanów Zjednoczonych, gdyby chcieli przestrzegać sprawdzonej zasady, że nie należy wydawać na mieszkanie więcej niż trzydziestu procent swojego dochodu[4]. Od 1960 roku odsetek wynajmujących, którzy wydają na czynsz więcej, wzrósł ponaddwukrotnie i wynosi czterdzieści dziewięć procent.

– Dotyka to ludzi, których dotąd nie dotykało – powiedział nam Matthew Desmond, profesor socjologii na Uniwersytecie w Princeton. – Dotyka pielęgniarki i policjantów. Dotyka rodziców ze starszymi dziećmi, które muszą z powrotem zamieszkać w domu rodzinnym, ponieważ rynek mieszkaniowy jest zbyt bezwzględny. W San Jose w Kalifornii co najmniej dwunastu funkcjonariuszy policji mieszka ponoć w kamperach na parkingu niedaleko komendy głównej. Inni poświęcają do czterech godzin dziennie na dojazdy, co jest obciążeniem zarówno dla nich, jak i dla ich rodzin. Myśląc

o polityce mieszkaniowej, musimy się skonfrontować z problemem polegającym na tym, że nie wszystkie rodziny próbujące uzyskać pomoc i kwalifikujące się do niej zdołają ją otrzymać, ponieważ takiej pomocy jest po prostu za mało – dodał Desmond. – To poważna decyzja, którą podjęliśmy jako kraj.

Uosobieniem kryzysu taniego mieszkalnictwa jest Marquita Abbott, trzydziestoletnia Afroamerykanka mieszkająca w Waszyngtonie razem ze swoim niezwykle bystrym sześcioletnim synem Masonem. Marquita nie ma problemów ze zdrowiem psychicznym ani z uzależnieniem, skończyła szkołę średnią i miała pełnowymiarową pracę – nie uchroniło jej to jednak przed bezdomnością. Będąc samotną matką, pracowała na cały etat w branży hotelarskiej, lecz zarabiała zaledwie dwadzieścia siedem tysięcy dolarów rocznie. Jako że ojciec Masona był nieobecny i nie płacił alimentów, Marquicie z trudem starczało na trzypokojowe mieszkanie na parterze kosztujące osiemset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Latem 2017 roku po powrocie z pracy zastała w nim pięciocentymetrową warstwę ścieków. Właściciele nie zrobili nic, by rozwiązać problem – zaproponowali jej jedynie droższe mieszkanie, na które nie było jej stać.

Nieczystości zniszczyły wiele rzeczy Marquity, między innymi ubrania, buty, albumy ze zdjęciami oraz zabawki i książeczki Masona, jak również nowiuteńki dywan. W przypływie frustracji Marquita wyrzuciła więcej, niż było trzeba, a zakup nowych ubrań nadszarpnął jej budżet. Razem z synem wprowadziła się na jakiś czas do swojej babci. Gorączkowo starała się odłożyć trochę pieniędzy i szukała lokum. Potem właściciel zalanego mieszkania pozwał Marquitę do sądu za to, że po awarii nie zapłaciła czynszu. Marquita zjawiła się na rozprawie bez adwokata i sędzia nakazał jej dalej płacić czynsz po obniżce do czterystu pięćdziesięciu dolarów miesięcznie, z tym że w lokalu nie dało się mieszkać. Trudno sobie wyobrazić, że podjąłby taką decyzję, gdyby Marquita miała adwokata albo gdyby

sprawniej poruszała się w systemie. W końcu udało jej się rozwiązać umowę najmu, lecz była wściekła, że musi płacić czynsz właścicielowi, który dopuścił do zalania mieszkania i zniszczenia jej rzeczy.

Gdy jesienią 2017 roku babcia Marquity się przeprowadziła, ona i jej syn zjawili się przygnębieni w D. C. General, dawnym szpitalu przekształconym w schronisko dla bezdomnych. Było tam czysto i bezpiecznie, mieli do dyspozycji wspólne łazienki. Niedaleko było metro, dzięki czemu Marquita mogła z łatwością odwozić Masona do szkoły. Stare windy psuły się jednak regularnie, a schronisko było owiane złą sławą, odkąd zniknęła z niego ośmioletnia Relisha Rudd, prawdopodobnie zamordowana przez dozorcę, który popełnił samobójstwo, gdy szukała go policja. Tworzyło to złowieszczą atmosferę i Mason bał się korzystać z łazienki.

– Znowu moczy łóżko – wyznała nam zaniepokojona Marquita. – Nie zdarzało mu się to od lat, a teraz robi to trzy albo i cztery razy w tygodniu. – Dodała, że w pierwszej klasie nauczycielka Masona poinformowała ją, że jej syn jest „trochę niegrzeczny”, a w schronisku zaczął gnębić inne dzieci. – Trudno jest tu żyć, naprawdę trudno – powiedziała.

Mason jest uroczym dzieckiem i zapalonym czytelnikiem – w czytaniu wyprzedza rówieśników o dwie klasy. Zdaje sobie sprawę, że bezdomność przygnębia jego mamę.

– Czasami opowiadam jej śmieszne historie – powiedział nam. – Czasami robię coś śmiesznego, żeby ją rozbawić.

Marquita objęła go i przytuliła. Bezdomność ograniczyła jej możliwość pracy. Godzina policyjna w schronisku i konieczność odwożenia Masona metrem do szkoły oddalonej o czterdzieści minut oraz odbierania go stamtąd utrudniały jej znalezienie posady. Straciła pracę w hotelu. Zatrudniła się jednak w niepełnym wymiarze godzin jako konsjerżka w apartamentowcu dla zamożnych mieszkańców Waszyngtonu, gdzie dzięki swojemu urokowi osobistemu i umiejętnościom interpersonalnym stała się cenionym

pracownikiem. Sytuacja zakrawała na kpinę: bezdomna kobieta pracowała w eleganckim budynku w rodzaju tych, które sprawiły, że dla wielu osób Waszyngton stał się atrakcyjniejszym miejscem. Jednocześnie właśnie z ich powodu zmniejszyła się tam liczba mieszkań w przystępnej cenie. Miało to także wymiar rasowy: prawie wszyscy właściciele mieszkań byli biali, zaś praktycznie wszyscy mieszkańcy schroniska dla bezdomnych – czarni.

Część lewicy opowiadała się za kontrolą czynszów dla takich ludzi jak Marquita, lecz rozwiązanie to nie sprawdziło się ze względu na prosty rachunek. Kontrola czynszów nie zwiększa podaży, zazwyczaj wręcz ją ogranicza, ponieważ ludzie nie rezygnują z mieszkań w okazyjnych cenach, a deweloperzy niechętnie je budują, jeśli uważają, że ich zyski będą się utrzymywały na niskim poziomie. Ponadto w niektórych miastach właściciele mogą przekształcić czynszówki w lokale niepodlegające regulacjom prawnym. Jednocześnie kontrola czynszów prowadzi zazwyczaj do wzrostu popytu, a zatem więcej osób rywalizuje o mniej mieszkań.



Marquita Abbott bawi się ze swoim synem Masonem w D. C. General, schronisku dla bezdomnych w Waszyngtonie. Marquita pracuje w eleganckim apartamentowcu, lecz mimo to nie stać jej na opłacenie czynszu za mieszkanie dla siebie i syna

Fot. Nicholas Kristof

Coraz więcej ekonomistów zgadza się co do tego, że podział na strefy – na przykład rezerwowanie wielu obszarów wyłącznie pod budownictwo jednorodzinne – zmniejsza podaż mieszkań w przystępnej cenie i przez to powoduje wzrost bezdomności. Firmy budowlane często uznają, że bardziej opłacalne jest dostarczanie mieszkań najzamożniejszym, i nie troszczą się o najuboższych. Ekonomiści Edward L. Glaeser i Joseph Gyourko stwierdzili: „Zgromadzone przez nas dowody wskazują, że podział na strefy i inne formy kontroli użytkowania gruntów odgrywają dominującą rolę we wzroście cen mieszkań”[5]. Zgadzali się z tym liberalni ekonomiści z administracji Obamy. W raporcie Białego Domu w 2016 roku oznajmili: „Na obszarach cechujących się wysokimi cenami mieszkań, na przykład w Kalifornii, takie formy kontroli użytkowania gruntów jak podział na strefy przyczyniły się znacząco do niedawnego gwałtownego wzrostu kosztów”[6]. Innym problemem było to, że

w przeszłości programy mieszkaniowe prowadziły zwykle do skupienia ludzi ubogich w podupadłych dzielnicach, gdzie często przekazuje się ubóstwo z pokolenia na pokolenie. W tym kontekście część inicjatyw w dziedzinie mieszkalnictwa może utrudniać awans społeczny. Badania pokazały jednak, że zamiast tego można pomagać rodzinom z małymi dziećmi, oferując im vouchery umożliwiające przeniesienie się do lepszych dzielnic i szkół.

W ostatniej dekadzie poszerzyliśmy swoją wiedzę o sposobach rozwiązywania problemów mieszkaniowych. Zmaganie się z nimi wyłącznie na poziomie lokalnym jest ryzykowne, ponieważ dobra jakość usług w danym rejonie przyciąga zazwyczaj ludzi bezdomnych z innych obszarów, w których ich potrzeby są ignorowane. Dlatego skuteczniejsze są strategie o zasięgu ogólnokrajowym i stanowym. Sukcesem w Seattle i innych miastach okazało się między innymi szybkie i niedrogie budowanie osiedli domków o powierzchni od zaledwie dziewięciu do trzydziestu siedmiu metrów kwadratowych. W innych miejscach eksperymentowano z umieszczaniem bezdomnych o bardziej ustabilizowanej sytuacji w domach rodzin oferujących im pomoc.

Niezmiennie najskuteczniejsze okazują się podejścia holistyczne. Program Housing First w Salt Lake City przyjmuje bezdomnych ludzi do schronisk niezależnie od tego, czy są uzależnieni od narkotyków albo alkoholu. Aktualnie uważa się to za najlepszy model, ponieważ osoby mające problemy ze zdrowiem psychicznym i z nałogami stanowią znaczną część populacji bezdomnych. Jim Vargas, który kieruje olbrzymim programem o nazwie Father Joe’s Villages dla bezdomnych w San Diego, mówi, że w niedawnym spisie wewnętrznym około dwudziestu sześciu procent dorosłych mających pod opieką dzieci zgłosiło chorobę psychiczną, czternaście procent nadużywanie alkoholu, a dwadzieścia dwa procent nadużywanie narkotyków. Wymaganie od ludzi, by zerwali z narkotykami albo alkoholem, oznacza zatem, że po prostu zostają oni na ulicy.

Waszyngton prowadzi skuteczny, choć niedofinansowany, program voucherowy, który ostatecznie pomógł Marquicie i Masonowi wyjść z bezdomności. Po roku w schronisku D. C. General Marquita otrzymała voucher mieszkaniowy ułatwiający opłacenie czynszu. Miała dostawać takie vouchery przez rok, by stanąć finansowo na nogi i móc przejąć całość płatności. Szczerze mówiąc, byliśmy do tego sceptycznie nastawieni. Nowe trzypokojowe mieszkanie – Marquita zdecydowanie przy tym obstawała – kosztowało tysiąc trzysta dolarów miesięcznie i trudno było sobie wyobrazić, że po roku będzie ją stać na płacenie takiego czynszu. Na jej korzyść przemawia to, że gdy była bezdomna, poszła na kurs obsługi komputera, a zdobyte na nim umiejętności pomogą jej znaleźć lepiej płatną pracę.

Problemy w mieszkalnictwie uwypuklają potrzebę nauczania podstaw przedsiębiorczości w szkołach średnich. W swojej pracy reporterskiej często spotykaliśmy się z tym, że gdy najemcom odcina się media za niepłacenie czynszu, nie dzieje się to wyłącznie z powodu nagłych wydatków na leczenie albo kryzysu w pracy, lecz często przyczyną jest nieumiejętne gospodarowanie pieniędzmi. Ludzie wprowadzają się do większych mieszkań, niż ich stać, a potem coś idzie nie tak. Przy uważniejszej analizie okazuje się, że nauczanie podstaw przedsiębiorczości nie zawsze przynosi efekty, lecz wydaje się, że niekiedy faktycznie poprawia funkcjonowanie młodych ludzi z grupy ryzyka[7].

Mimo swoich zastrzeżeń co do tego, czy Marquicie uda się utrzymać nowe mieszkanie, gdy skończą się vouchery, uważamy, że pomysł takiego wsparcia samotnych matek jest dobry. Owszem, programy mieszkaniowe potrafią sporo kosztować, lecz społeczeństwo płaci olbrzymią cenę także za bezdomność: są to koszty związane ze zdrowiem, patrolowaniem ulic, zaprzepaszczeniem potencjału dzieci i erozją wspólnotowości. Wszyscy wiedzą, że istnieją rządowe programy mieszkaniowe dla ubogich, na przykład Section 8 (kosztujący trzydzieści miliardów dolarów rocznie), ale

nieliczni Amerykanie zdają sobie sprawę, że w ostatnich latach wydaliśmy ponad dwa razy więcej na dofinansowanie domów dla osób, które w większości są zamożne (siedemdziesiąt jeden miliardów dolarów rocznie w postaci odliczenia odsetek od kredytów hipotecznych oraz innych świadczeń)[8]. Rząd federalny wpompował ogromne kwoty w parkingi dla domków holenderskich przeznaczonych na wynajem przez osoby o niskich dochodach, lecz ostatecznie na tym programie skorzystali nie najemcy, lecz firmy *private equity*. Fannie Mae, pożyczkodawca sponsorowany przez rząd, przekazał miliard trzysta milionów dolarów olbrzymiej firmie Stockbridge Capital na zakup istniejących parkingów – a potem, jak donosił „The Washington Post", Stockbridge podniosło tam czynsze, by uzyskać trzydziestoprocentowy zwrot inwestycji[9].

Niektórzy szacują, że podwojenie środków na programy mieszkaniowe dla ludzi ubogich – do sześćdziesięciu miliardów rocznie – w znacznej mierze rozwiązałoby problem bezdomności, a ich łączny koszt, jak widać, i tak byłby niższy niż dopłaty dla zamożniejszych właścicieli domów. Pierwszym zadaniem powinno być wyeliminowanie bezdomności dzieci – a to możliwe, jeśli uznamy ten problem za priorytet.

Opowieść Mike'a Steppa o jego życiu i bezdomności – o osiągnięciach wojskowych i Purpurowym Sercu, o imieniu dla córki, o tym, jak płacił za naukę swoich dzieci w college'u i jak odwiedzają go co roku w Boże Narodzenie – wywarła na nas ogromne wrażenie. Potem jednak porozmawialiśmy ze Stephanie, jego byłą żoną.

– To wszystko nieprawda – oświadczyła. Wyjaśniła, że Mike nigdy nie był na froncie i nie zdobył żadnych medali. Imię Brandie nie miało nic wspólnego z ukradkowym golnięciem sobie w szpitalu, lecz zostało wybrane o wiele wcześniej. Owszem, dzieci chodziły do college'u, ale bez wsparcia ze strony ojca, który nie widział ich od 2001 roku. – Moglibyśmy przejść obok niego na Third Street

w McMinnville, a on nie poznałby żadnego z nas – powiedziała oschle Stephanie. Wciąż nazywa Mike'a miłością swojego życia i przypuszcza, że jej były mąż nie zdaje sobie sprawy, iż jego opowieści mijają się z prawdą.

W McMinnville jest schronisko, które mogłoby go przyjąć, ale osoby chcące z niego korzystać muszą odstawić narkotyki i alkohol – czego on, jak twierdzi, nie potrafi zrobić. Uparcie powtarza, że lubi przebywać na świeżym powietrzu i żyć na własnych warunkach, ale płakał, gdy policja eksmitowała go z zadaszonego parkingu. Na tym etapie nie da się rozwiązać jego problemów w łatwy sposób. Mike nie chce iść do pracy i prawdopodobnie nie zdołałby się w niej utrzymać. Mógłby jednak dostać miejsce w schronisku, gdyby nie wymagano tam trzeźwości. Przynajmniej nie musiałby mieszkać na ulicy.

Najskuteczniej można było zapobiec jego bezdomności dziesiątki lat temu, zwłaszcza gdy był jeszcze dzieckiem. Należało mu zapewnić opiekę przedszkolną, dzięki której lepiej radziłby sobie w szkole; należało podjąć zdecydowane starania o to, by pozostał w szkole średniej i ją skończył, zamiast z niej odejść; kształcenie zawodowe przygotowałoby go do konkretnej pracy, mógłby na przykład zostać hydraulikiem albo stolarzem – wszystkie te działania zmniejszyłyby ryzyko, że skończy tam, gdzie teraz jest.

Spytaliśmy Stephanie, co mogłoby odmienić losy Mike'a, z którym zaczęła się spotykać jako piętnastolatka. Powiedziała, że jego wielkim problemem było to, że w Yamhill obracał się w środowisku, w którym uważano, że fajnie jest się upijać i palić metę. Gdyby udało mu się z niego wyrwać – może gdyby uległ namowom ojca i jako nastolatek zaciągnął się do wojska – ułożyłoby mu się lepiej, lecz w rodzinnym mieście nie miał szansy uciec od presji grupy spychającej go na złą drogę. Wspólnym wątkiem w życiu Mike'a Steppa, Farlana Knappa, Rykoszeta Goffa i Rebekki Hales jest dorastanie w chaosie wśród narkotyków, alkoholu, przestępstw i innych pokus oraz bez większej pomocy ze strony bliższej i dalszej rodziny, szkoły czy państwa. Byli

skazani na podejmowanie złych decyzji i faktycznie je podejmowali, nie mając w zasięgu wzroku żadnej deski ratunku.

13

Mistrzowie ucieczek

Nie uciekam od wyzwania dlatego, że się boję. Biegnę ku niemu, ponieważ jedyny sposób, by uciec przed strachem, to rozdeptać go własnymi stopami.

Nadia Comăneci, zdobywczyni złotych medali olimpijskich w gimnastyce

Nie wszyscy w Yamhill przeszli piekło – bynajmniej. Gdy przeglądaliśmy stare kroniki licealne Nicka, uderzyło nas to, że niemal każda osoba ze zrzeszającego najlepszych uczniów National Honor Society poradziła sobie doskonale, zresztą podobnie jak wiele innych. Brad Larsen został pilotem. Brett Peloquin – bankowcem. Bob Bansen odnosi sukcesy jako producent organicznego nabiału, a jego siostra Lisa jest profesorką języka francuskiego. Barry McNabb jest tancerzem i choreografem na Broadwayu. Joni Marten, podobnie jak jej siostry, handluje sztućcami i jest filarem lokalnej działalności dobroczynnej. Córki Jernstedtów były gwiazdami liceum i potem też poradziły sobie wspaniale – dwie z pięciu sióstr zrobiły doktorat.

Zachodziliśmy w głowę, dlaczego część dzieci uniknęła niebezpieczeństwa, i zadawaliśmy sobie pytanie, jak moglibyśmy sprawić, żeby udało się to na większą skalę. Większość osób, którym się powiodło, pochodziła ze stabilnych, opiekuńczych rodzin ceniących edukację, podczas gdy, jak wskazują badania, te z problemami wychowywały się w domach, w których panował chaos, nadużywano alkoholu i narkotyków oraz przejawiano obojętny stosunek do nauki. Rodzina Jernstedtów uprawiała trawę na nasiona i zaszczepiła córkom przekonanie, że pójdą na studia. Dziś jedna z nich jest profesorką botaniki na Uniwersytecie Kalifornijskim w Davis. Spytaliśmy je, skąd się wzięły ich doktoraty i sukcesy. Nie miały żadnych wątpliwości.

– Wygrałyśmy los na loterii: miałyśmy dobrych rodziców – powiedziała Lisa.

Niektóre rodziny z wiejskiej klasy robotniczej, zwłaszcza jeśli ich żywiciel miał dobrą pracę połączoną z członkostwem w związku zawodowym, osiągnęły stabilny status klasy średniej i przyjęły jej wartości oraz aspiracje. Ojciec Joni Marten pracował w tartaku, potem w odlewni, która bankrutując, wyczyściła większość jego konta emerytalnego, i wreszcie przez wiele lat był woźnym w szkole podstawowej, jej matka zaś pracowała jako kelnerka, a później zatrudniła się w domu towarowym JCPenney w McMinnville. Wykarmili ze swoich pensji sześcioro dzieci.

– W zasadzie nigdy nie przyszło mi do głowy, że jesteśmy pracującą biedotą – powiedziała nam Joni. – Moi rodzice mieli przyjaciół z przeróżnych środowisk, bogatszych i biedniejszych.

Nie przelewało im się. Rodzina Joni miała krowę mleczną oraz kilka sztuk bydła mięsnego, czasem polowała na sarny i łowiła ryby. Matka szyła córkom sukienki, robiła przetwory z owoców i warzyw na zimę. Dzieci też pracowały – Joni zarobiła pierwsze pieniądze w wieku piętnastu lat. Rodzice kazali jej odkładać część każdej wypłaty na koncie w banku, by wykształcić w niej nawyk oszczędzania.

– Co tydzień w sobotni wieczór mama pilnowała, żebyśmy miały umyte włosy, i robiła nam loki na wsuwki albo na wałki, bo rano szliśmy do kościoła – wspominała Joni. – Zawsze mogliśmy liczyć na któreś z rodziców. Nigdy nie opuścili żadnego naszego występu, widowiska muzycznego ani innej imprezy, w której brałyśmy udział. Zawsze przychodziło przynajmniej jedno z nich.

To zaangażowanie sprawiło, że szkoła stała się dla młodej Joni w zasadzie centrum świata.

– Wylecieć ze szkoły? Dostać tróję? To nie wchodziło w rachubę – wspominała Joni. – Tak zostałyśmy wychowane.

Nie wolno nam było opuszczać lekcji. Nie wolno było nie pójść do pracy.

Rodzice, głęboko zaangażowani w życie lokalnej społeczności, mogli liczyć na to, że inni także będą mieli na oku ich dzieci, a to zmniejszało ryzyko, że zrobią one coś głupiego.

– Jeśli zdarzył mi się jakiś wyskok, rodzice dowiadywali się o tym, zanim dotarłam do domu – wspominała Joni. – Niewiele można było przed nimi ukryć. Nasz sąsiad był szefem policji w miasteczku, więc mówił na przykład: „A wiesz, widziałem Joni z takim a takim chłopakiem. Nie powinna się z nim zadawać”. Ludzie mieli oko na cudze dzieci. Żaden rodzic nie bał się obsztorcować dziecka innej osoby. – Joni podsumowała to, co według niej miało decydujące znaczenie. – Jeśli spojrzeć na to z perspektywy czasu, nie mieliśmy wiele, ale naszym bogactwem były miłość i wsparcie ze strony rodziny.

Joni nie tylko odziedziczyła ten kapitał społeczny, lecz także przekazuje go dalej, ponieważ nieustannie wspiera lokalną wspólnotę. Pomagała prowadzić bank żywności, a gdy umarł ojciec Nicka, okazała się najlepszą z sąsiadek – przywoziła domowe posiłki, które starczyły nam na wiele tygodni.

Te dzieci, które przykładały się do nauki, przeważnie dobrze sobie potem radziły. Te, które należały do różnych drużyn sportowych, radziły sobie nieźle, podobnie jak te, które udzielały się w Future Farmers of America albo w innych organizacjach. Grupy rówieśnicze również miały ogromne znaczenie. Brad, Brett i Nick byli w młodości bardzo bliskimi przyjaciółmi, mobilizującymi się nawzajem do nauki, a potem jako pierwsi w Yamhill pojechali na studia do innych stanów: Brad do Akademii Sił Powietrznych, Brett do Akademii Marynarki Wojennej, a Nick na Harvard.

Kościół mormonów, który organizuje zajęcia pozalekcyjne i mocno wspiera społecznie swoich wiernych, wywiera na nich

bardzo silny ochronny wpływ: dzieci mormonów po prostu nie pakują się w kłopoty, a potem nie popadają w ubóstwo. Wydaje się zresztą, że zaangażowanie w życie religijne działa w ten sposób bez względu na wyznanie. Badanie przeprowadzone na Harvardzie w 2018 roku i opublikowane w recenzowanym czasopiśmie „American Journal of Epidemiology" pokazało, że dzieci wychowywane w praktykujących rodzinach rzadziej cierpią z powodu „trzech poważnych zagrożeń dojrzewania": depresji, nadużywania alkoholu i narkotyków oraz ryzykownych zachowań[1]. Prawdopodobieństwo, że zachorują na depresję, było o dwanaście procent niższe; że będą zażywały narkotyki – o trzydzieści trzy procent niższe; a że zarażą się chorobą przenoszoną drogą płciową – o czterdzieści procent niższe. Jednocześnie częściej udzielały się w wolontariacie i deklarowały, że są szczęśliwe.

Nawet jednak pewne dzieci z Yamhill skupiające w sobie wszystkie czynniki ryzyka – takie, które teoretycznie powinny skończyć przedwcześnie na cmentarzu – przetrwały bez najmniejszego uszczerbku, a nawet z uśmiechem na twarzy. Nazwaliśmy je mistrzami ucieczek i zastanawialiśmy się, czego mogłyby nas nauczyć.

Jedną z takich osób był Dale Braden, kolega z klasy Nicka i Farlana Knappa. Mieszkał niedaleko Knappów w budynku dawnej szkoły w Cove Orchard i uważał ich za swoich kumpli. Dale wydawał się równie zagrożony co Farlan. Był środkowym z siedmiorga dzieci synem wędrownego robotnika budowlanego, a jego rodzina zmagała się z poważnymi problemami finansowymi – z którymi ojciec Dale'a radził sobie, pijąc w barach ze swoim kumplem Garym Knappem. Obaj byli alkoholikami ze skłonnością do przemocy.

– Często wracał do domu pijany jak bela i bił nas bez konkretnego powodu. Wciąż słyszę krzyki rodzeństwa i głos matki błagającej go, żeby przestał – powiedział Dale. Wspominał także bójkę na pięści stoczoną tuż pod jego oknem

przez pijanych kolegów ojca, gdy próbował zasnąć. – Pijaństwo mnie przerażało – wyjaśnił – przede wszystkim z powodu poczucia, że pijani ludzie nie mają nad sobą absolutnie żadnej kontroli.

Wyraźnie pamięta, jak jego ojciec padał pijany w domu albo na podwórku oraz jak pewnego razu poła jego koszuli zajęła się ogniem z pieca.

– Miałem wtedy jakieś trzynaście–czternaście lat i uderzałem w niego ręcznikiem, próbując ugasić ogień – wspominał. – Spojrzał na mnie, jakby zamierzał powalić mnie na ziemię. Na szczęście nic mu się nie stało i potem prawdopodobnie w ogóle nie pamiętał tego zdarzenia.

Gdy jego ojciec nie pił, był kochający i troskliwy (w końcu przestał pić po poważnych kłopotach ze zdrowiem) – w przeciwieństwie do Gary’ego Knappa.

– Pamiętam, że bałem się pana Knappa jak żadnego innego ze znanych mi wtedy rodziców. Zawsze miał w sobie coś złowrogiego i mrocznego – wyznał Dale. Wiedział, że Gary znęca się nad żoną i dziećmi.

O ile jednak wydawało się, że młodzi Knappowie przyciągają kłopoty, o tyle on miał awersję do ryzyka.

– Za bardzo się bałem, że wpakuję się w jakieś bagno, więc trzymałem się z dala od niebezpieczeństw. Jestem przekonany, że ogromnie mi to pomogło – wspominał. Powiedział, że Zealan pierwszy namówił go do spróbowania marihuany, ale nawet jako nastolatek Dale nie czuł się z tym dobrze.

Żadne z rodziców Dale’a nie poszło do szkoły średniej, a on sam był miernym uczniem. Przypisuje to „najzwyklejszemu lenistwu”, lecz także temu, że rodzice nie wsparli go dobrą radą.

– Po prostu nie wiedzieli, że można postępować inaczej – dodał.

Nauczyciele nie zwracali na Dale'a większej uwagi. Jedynym wyjątkiem była Lucita Duke, plastyczka z Yamhill, która dostrzegła jego uzdolnienia artystyczne i je pielęgnowała. Introwertyczny Dale, który starał się tylko dopasować do reszty i unikać szkolnych osiłków, przeważnie prześlizgiwał się przez szkołę, niepewny jutra.

– Nigdy nie myślałem o college'u i nikt nie kierował mnie w jego stronę – powiedział. – Szczerze mówiąc, chyba miałem szczęście, że skończyłem liceum.

Dale nie chciał spędzić reszty życia w dziewięcioosobowej rodzinie, ściśniętej w wąskiej przyczepie. Jego miejsce do spania znajdowało się na podłodze pod stołem i pragnął mieć własne łóżko. Wiedział także, że ma talent plastyczny, więc jego samoocena pozostała nietknięta.

– Zawsze czułem, że mimo tego wszystkiego, co się wokół mnie dzieje, mogę coś osiągnąć – wyjaśnił.

Po liceum, rozglądając się usilnie za czymś, co mógłby robić, zaciągnął się do wojska. Być może uratowało mu to życie.

– Armia to najlepsze, co mnie kiedykolwiek spotkało – oznajmił. – Nauczyła mnie czegoś, czego wcześniej nie umiałem. Poznałem, co to samodyscyplina, szacunek i odpowiedzialność.

Poza tym zobaczył kawałek świata: wyjechał do Georgii na szkolenie, a potem służył przez trzy lata w północnych Niemczech. W wojsku Dale rozpoczął edukację technologiczną, a potem ze średnią 3,8 zdobył dyplom college'u w dziedzinie informatyki.

– Chciałem sobie udowodnić, że jestem kimś znacznie więcej niż chudym dzieciakiem dorastającym w ubogim i przygnębiającym otoczeniu – powiedział.

Znalazł pracę w Nike i poślubił kobietę, z którą jest od trzydziestu czterech lat. Mają dwie córki, obie poszły do college'u. Obecnie Dale jest kierownikiem projektu

w przedsiębiorstwie świadczącym usługi z zakresu opieki zdrowotnej w Nashville w stanie Tennessee, gdzie zarządza wdrażaniem nowego systemu teleinformatycznego wartego miliony dolarów i jednocześnie zdobywa MBA.

– Cieszę się, że nie poszedłem tą samą ścieżką co Knappowie, ale byłem niebezpiecznie blisko – podsumował Dale. Część jego rodzeństwa borykała się z kłopotami. Dale opisuje je, nie owijając w bawełnę: – Stoczyli się w biedę i utrzymywali z zasiłków, wyciągali od rodziców każdy grosz. Nie wzięli żadnej odpowiedzialności za swoje życie i ich dzieci idą teraz tą samą drogą. Wprawdzie nie sięgali aż tak często po narkotyki, ale alkohol z całą pewnością ukształtował losy części z nich.

Dale ma konserwatywne poglądy, co częściowo wynika z jego doświadczeń w wojsku, a częściowo jest reakcją na to, co obserwuje u swojego rodzeństwa. Beształ braci i siostry za lekkomyślność finansową: jego brat kupił na raty ciężarówkę, na którą nie było go stać, a siostra sprawiła sobie najnowszego iPhone'a, wiedząc, że też prawdopodobnie nie zdoła spłacić rat.

– I co wtedy będzie? – spytał ją Dale.

– E tam, nic się nie stanie. Po prostu mi go zabiorą.

– Ale pomyśl, jak to wpłynie na twoją zdolność kredytową! – żachnął się. – Stracisz ją.

Wzruszyła ramionami i skupiła się na smartfonie.

Amerykańska armia stwarza nieocenione szanse dla młodych osób z klasy robotniczej. Wyjątkowo skutecznie uczy dyscypliny i pracy zespołowej, zaszczepia podstawowe umiejętności społeczne i techniczne, a co najważniejsze, nie dyskryminuje Afroamerykanów ani Latynosów – każdy może zrobić karierę w wojsku. Inwestuje w żołnierzy na starcie, kładąc nacisk na naukę, zarządzanie i przywództwo. Stała się wybawieniem dla młodzieży pragnącej się wyrwać z rodzin i środowisk z problemami. Umożliwia zdobycie umiejętności

i wyższego wykształcenia, jak również znalezienie zawodowego punktu zaczepienia po odejściu do cywila. W badaniu przeprowadzonym w 2018 roku zaobserwowano, że wojsko pomogło zwłaszcza czarnym mężczyznom, znacznie zwiększając prawdopodobieństwo, że przejdą oni do klasy średniej[2]. Stany Zjednoczone nigdy nie były skore do inwestowania w organizacje społeczne, lecz wojsko pełni właśnie taką funkcję dla tych nastolatków, którzy skończyli szkołę średnią (lub uzyskali dyplom eksternistycznie).

Amerykańska armia jest godna uwagi także jako instytucja oferująca osobom na dole drabiny społecznej znacznie większe wsparcie, niż zazwyczaj robią to, powiedzmy, olbrzymie przedsiębiorstwa. Różnica wysokości wynagrodzeń między generałem a szeregowym jest mniej więcej dziesięciokrotna, podczas gdy między dyrektorem generalnym banku a kasjerem trzystukrotna – poza tym w wojsku szeregowy i generał mają dostęp do takich samych świadczeń ubezpieczeniowych. Ponieważ armia skupia się na wykonywaniu misji i osiąganiu rezultatów, rekruci uczą się, jak układać i wdrażać plany, aby osiągać cele, a to umiejętność bardzo przydatna w życiu. I w gruncie rzeczy w wojsku traktuje się ludzi sprawiedliwie. Nawet dzieci mundurowych otrzymują opiekę w ramach doskonałych wojskowych programów przedszkolnych, które powinny być wzorem dla całego kraju. Wes Clark, były generał, powiedział nam, że wojsko to „socjalizm w najczystszej postaci”, i nie do końca żartował.

Różne badania dokumentują korzyści, jakie służba w wojsku daje młodzieży z ubogich środowisk, ucząc ją dyscypliny i umiejętności społecznych, które później umożliwiają jej odnoszenie sukcesów w przedsiębiorstwach. Armia nie może się jednak przekształcić w organizację zmieniającą życie amerykańskich dzieciaków – ma już własną misję. Ponadto wielu młodych ludzi, którzy najbardziej skorzystaliby na życiu w wojsku, w ogóle by tam nie przyjęto, ponieważ nie skończyli szkoły średniej albo nie przeszliby

badania na obecność narkotyków. Jednym z alternatywnych rozwiązań jest zatem szersze stosowanie metod sprawdzonych w zasadniczej służbie wojskowej w projektach publicznych, do których realizacji przygotowuje się zagrożonych młodych ludzi. Dzięki temu przyswajają oni różne umiejętności, uczą się pracy zespołowej i wojskowej dyscypliny. Do najlepszych projektów tego typu należą City Year, YouthBuild i National Guard Youth Challenge. Powinniśmy upowszechniać te inicjatywy – i starannie analizować ich wyniki – aby zobaczyć, czy możemy zaoferować zagrożonym nastolatkom jeszcze jedno wyjście z sytuacji.

14

Strzał w twarz

Ubóstwo jest matką zbrodni.

Marek Aureliusz

Był parny lipcowy wieczór i Debbie Baigrie z Tampy wyszła z koleżankami na miasto pierwszy raz, odkąd urodziła drugie dziecko. Ta szczupła dwudziestoośmioletnia blondynka, córka kantora wychowana w rodzinie ortodoksyjnych Żydów, zajmowała się prowadzeniem domu i rzadko z niego wychodziła, więc była szczęśliwa, mogąc skorzystać z okazji i wyskoczyć na godzinkę z dwiema przyjaciółkami w swoim rodzinnym mieście. Miło spędziły czas, poplotkowały i Debbie wychodziła z restauracji w dobrym humorze.

– Wie pani, że to niebezpieczna okolica? – spytał ją znajomy z siłowni, na którego wpadła w restauracji. – Nie powinna pani iść do samochodu sama. – Zaproponował, że odprowadzi ją do pojazdu, który zaparkowała na ulicy. Gdy szli, zbliżyła się grupka chłopaków. Jakiś czarny chudzielec wyjął pistolet i wymierzył w twarz Debbie.

– Dawaj torebkę! – zawołał. – Nie żartuję!

Zanim zdążyła zareagować, chłopak pociągnął za spust i strzelił jej w usta. Kula rozerwała jej żuchwę i wyszła przez policzek. Debbie odwróciła się i zaczęła biec, wciąż ściskając torebkę. Krew lała jej się po twarzy i moczyła bluzkę, gdy kobieta w czółenkach uciekała chwiejnym krokiem z powrotem do restauracji. Uzbrojony chłopak oddał kilka strzałów w stronę jej pleców, ale chybił, a potem uciekł. W drzwiach restauracji Debbie przecisnęła się obok ochroniarza.

– Pomocy! – zawołała. – On chyba odstrzelił mi twarz!

Debbie wciąż miała twarz, lecz ta została na zawsze okaleczona i wymagała wielu bolesnych operacji plastycznych.

– Moja dentystka się rozpłakała, gdy zajrzała mi do ust – wspominała Debbie.

Chirurdzy musieli usunąć tkankę z jej podniebienia, by odbudować dziąsła, a następnie umieścili w nich implanty zębów. Do napaści doszło 27 lipca 1990 roku, lecz mimo upływu wielu lat Debbie wciąż nie może zjeść jabłka. Ostatnią operację miała w 2018 roku.

Policja nie natrafiła na trop sprawcy, ale parę dni później wyciągnęła kilku nastolatków z kradzionego samochodu. Jeden z tych siedzących z tyłu, niski trzynastolatek Ian Manuel, czekając, aż przyjedzie jego matka, by zabrać go z posterunku, gawędził z policjantem dla zabicia czasu.

– Kojarzy pan tę kobietę, którą niedawno postrzelili w twarz? – spytał. – Ja to zrobiłem.

Manuel wciąż nie jest pewny, dlaczego przyznał się wtedy do przestępstwa.

Sprawa oczywiście rozjuszyła opinię publiczną. Debbie, ładna, biała, brutalnie postrzelona matka, była ofiarą budzącą współczucie. Ian, czarny chłopak dorastający na osiedlu socjalnym i mający już na koncie z tuzin wyroków w sądzie dla nieletnich, pasował do obowiązującego w Tampie stereotypu bezdusznego potwora.

Wcześniej ten chłopiec o pyzatej twarzy, szczupłej sylwetce i długich kończynach był powszechnie uważany za bystre dziecko. W szkole podstawowej dostawał nagrody za najlepsze w klasie wyniki w czytaniu i pisaniu. Nigdy jednak nie próbował kontynuować nauki – a w jego szkole chyba niezbyt przejmowano się uczniami. Podobnie jak wielu innych chłopaków w jego dzielnicy, Ian nigdy też nie poznał swojego ojca. Peggye, jego matka, która nie miała żadnych konfliktów z prawem, pracowała całymi dniami, by opłacić rachunki,

więc syn wychowywał się na ulicy. Narkotyki i przestępstwa były tam wszechobecne, a twardy charakter wzbudzał szacunek i rekompensował skromną posturę. Ian regularnie wagarował i ku rozpaczy Peggye zakumplował się z bandą nieco starszych chłopaków. Zaczął kraść w sklepach, wielokrotnie go aresztowano i władzom wydawał się niereformowalny. Choć powszechnie uważano go za doskonały przykład socjopaty, tak naprawdę powinien być uważany za doskonały przykład zaniedbania. Tam, gdzie pozwala się dzieciom zdziczeć i nie inwestuje się odpowiednio w programy szkolne albo pomocowe, kosztu nie ponoszą jedynie dzieci, lecz także atakowani przez nie niewinni ludzie.

Media osądziły Iana za postrzelenie Debbie. Uznano go za jednoznacznie winnego brutala, a prokurator szybko postanowił, że chłopak, choć był ledwie nastolatkiem, zostanie osądzony jak dorosły za usiłowanie zabójstwa. Przydzielony z urzędu adwokat doradził Ianowi, żeby się przyznał, zapewniając go, że dzięki temu dostanie mniejszy wyrok, a Ian się zgodził. Sędzia miał jednak inny pomysł.

– Ukarzemy pana dla przykładu, panie Manuel – oznajmił trzynastolatkowi, skazując go na dożywocie bez możliwości zwolnienia warunkowego.

Ian stał bez ruchu, słyszał, jak niedaleko szlocha Peggye, i ogrom wyroku powoli przesiąkał do jego świadomości. „Umrę w więzieniu” – pomyślał.

– Synku, wyciągniemy cię stąd – obiecała mu zapłakana matka, ściskając go.

Miał to być ostatni raz, gdy mogła go dotknąć. W areszcie sądowym Ian uświadomił sobie, że na zawsze stracił wolność. Rozpłakał się. Paradoksalnie, z uwagi na osobliwości systemu karnego, gdyby Ian zabił Debbie, jego odsiadka trwałaby krócej, maksymalnie dwadzieścia pięć lat. W wieku trzynastu lat Ian został zatem najmłodszym i najmizerniejszym więźniem w stanowym systemie penitencjarnym Florydy. Tylko pod jednym względem nie potraktowano go jak osoby

dorosłej: nie mógł kupować papierosów w więziennej kantynie, ponieważ był za młody.

W więzieniu Ian był gnębiony zarówno przez osadzonych, jak i przez strażników. Kiepsko to znosił.

– Buntował się – wspominał inny osadzony, Victor Jory. – Źle się zachowywał. Postanowił wszystkim udowodnić, że jest dorosłym mężczyzną, którym ogłosiły go sądy.

Wielokrotnie karano Iana zamknięciem w izolatce – celi mierzącej dwa na trzy metry – gdzie posiłki podawano przez otwór w drzwiach i nie miał z nikim regularnego kontaktu. Krzyk oznaczał zabranie materaca i konieczność spania na betonowej podłodze oraz przedłużenie pobytu w izolacji. Ian protestował, próbując popełnić samobójstwo i okaleczając się. Za każdym razem przedłużano mu pobyt w izolatce. Gdy nie chciał współpracować, traktowano go gazem łzawiącym i wbrew jego woli wstrzykiwano mu psychotropy.

Przez pół wieku do 1970 roku wskaźnik inkarceracji w Stanach Zjednoczonych utrzymywał się na stałym poziomie i był porównywalny z normą w innych krajach rozwiniętych. Poczynając od wczesnych lat siedemdziesiątych, nasz wskaźnik inkarceracji wzrósł pięciokrotnie i osiągnął szczyt mniej więcej dekadę temu, po czym nieco spadł[1]. W 1970 roku w amerykańskich więzieniach federalnych i stanowych siedziało niespełna dwieście tysięcy osób; teraz jest ich milion czterysta; do tego dochodzą jeszcze osadzeni w więzieniach lokalnych[2]. Surowsze kary pozbawienia wolności poparli zarówno demokraci, jak i republikanie, choć ci drudzy przyjmowali je szczególnie entuzjastycznie. Do orędowników tych zmian należał William Barr, prokurator generalny w czasach pierwszej kadencji George'a Busha. W tym czasie Barr sporządził raport zatytułowany *The Case for More Incarceration* [Argument za większą inkarceracją][3]. Skutek jest taki, że jeden na siedmiu Amerykanów przebywających dziś w więzieniu odsiaduje wyrok dożywocia, a prawie połowa z nich to ludzie o innym niż biały kolorze

skóry[4]. Na każdego wydaje się w czasie odsiadki w sumie około miliona dolarów.

Stany Zjednoczone odpowiadają obecnie za blisko jedną czwartą wszystkich osób więzionych na świecie. Krajowy wskaźnik inkarceracji jest tu sześć razy wyższy niż w Kanadzie czy Francji, dwanaście razy wyższy niż w Szwecji. W Stanach Zjednoczonych siedemdziesiąt procent kar wymierzanych za przestępstwa obejmuje pozbawienie wolności; w Niemczech to tylko sześć procent[5]. Tam częściej stosuje się grzywny, prace społeczne albo obowiązkowe szkolenia zawodowe. Kładzie się nacisk na nadzorowaną pracę, która pomaga przestępcy zadośćuczynić ofierze.

Metody działania policji w Stanach Zjednoczonych są ostrzejsze niż w innych krajach demokratycznych. W Grand Rapids w stanie Michigan funkcjonariusze mierzyli z broni palnej do wrzeszczącej jedenastolatki i zakuli ją w kajdanki, mimo że nie była podejrzana o żadne przestępstwo, tylko akurat znalazła się w przeszukiwanym domu. Nagranie z tego zdarzenia wstrząsnęło nawet szefem policji.

– Gdy człowiek słucha reakcji tej jedenastolatki, aż skręca go w żołądku – powiedział komisarz David Rahinsky. – Dosłownie miałem mdłości.

Mniej więcej w tym samym czasie w Eustis na Florydzie policja aresztowała dziewięćdziesięciotrzylatkę oskarżoną o wtargnięcie na cudzy teren, ponieważ dom spokojnej starości, w którym mieszkała od sześciu lat, oznajmił, że zalegała z opłatami.

Amerykańskie odsiadki często odbywają się w prywatnych więzieniach komercyjnych, co w innych krajach jest nie do pomyślenia, ponieważ daje korporacjom znaczną kontrolę nad osadzonymi. Teksas był pierwszym stanem, w którym zezwolono na działalność tego rodzaju placówek – w 1985 roku – i obecnie istnieją one w mniej więcej połowie stanów. W krytycznym raporcie Departamentu Sprawiedliwości stwierdzono rażące uchybienia w zachowaniu

środków ostrożności w prywatnych więzieniach na szczeblu federalnym i prezydent Obama zaczął stopniowo wyłączać je z użytku. Prezydent Trump poszedł jednak w przeciwnym kierunku i rozszerzył korzystanie z komercyjnych więzień, by mogli do nich trafiać także ludzie przebywający w areszcie dla imigrantów.

Więzienia komercyjne tną koszty, nawet jeśli oznacza to obniżenie bezpieczeństwa zagrażające zarówno osadzonym, jak i strażnikom. W pewnym prywatnym więzieniu w Missisipi liczba napaści jest co najmniej dwukrotnie wyższa niż w więzieniach publicznych, zaś zakład poprawczy dla młodzieży na Florydzie oskarżono o fizyczne i seksualne znęcanie się nad podopiecznymi, między innymi o zmuszanie ich, by walczyli ze sobą jak gladiatorzy. „Jak we *Władcy much*" – stwierdził jeden ze śledczych. W Michigan oskarżono prywatnego przedsiębiorcę o podawanie osadzonym zgniłego jedzenia nadgryzionego przez szczury (ślady na ciastkach maskowano lukrem). Równie alarmujące jest to, że prywatne więzienia lobbują za surowszymi wyrokami, by zwiększyć swoje obłożenie oraz zyski. Dwa największe komercyjne przedsiębiorstwa więziennie przeznaczyły na lobbing dwadzieścia pięć milionów dolarów.

W Pensylwanii korupcja miała drastyczny wymiar: właściciel prywatnych poprawczaków zapłacił setki tysięcy dolarów łapówek dwóm sędziom, żeby orzekali o winie młodych ludzi i skazywali ich na pobyt w tych placówkach. Ten układ spod znaku handlu dziećmi doprowadził do niesprawiedliwego więzienia młodych ludzi, między innymi Edwarda Kenzakoskiego, który nie był wcześniej notowany. Zamknięto go na całe miesiące za rzekome posiadanie akcesoriów do zażywania narkotyków. Od tego momentu staczał się po równi pochyłej i ostatecznie popełnił samobójstwo.

– Pamięta pan mojego syna? – krzyknęła Sandy Fonzo, matka Edwarda, do Marka Ciavarelli, jednego z sędziów, którzy skazali jej syna na odsiadkę, gdy sędzia ten został

później ukarany. – On już nie żyje. Strzelił sobie w serce, ty draniu.

Stany Zjednoczone powinny sobie przypomnieć spostrzeżenie Dostojewskiego: „Poziom ucywilizowania społeczeństwa można ocenić, wchodząc do jego więzień”[35]. Potrzebujemy nie tylko bardziej humanitarnych zakładów karnych i krótszych wyroków, lecz także, jak wyraźnie wskazaliśmy, więcej interwencji wspierających zagrożone dzieci, zanim staną przed wymiarem sprawiedliwości. Gdyby pracownicy opieki społecznej dotarli do Iana Manuela, kiedy był młodszy, i gdyby po szkole mógł pójść na jakieś zajęcia, zamiast włóczyć się po ulicach, być może nie wymierzyłby z broni do Debbie Baigrie. Wiemy, że dzieci losowo zapisywane do programów wizyt domowych w rodzaju Nurse-Family Partnership albo korzystające z dobrych inicjatyw przedszkolnych po latach rzadziej wchodzą w konflikt z prawem. Wydaje się, że takie programy szkolne jak Citizen Schools, Becoming a Man czy Communities in Schools, jak również inicjatywy w rodzaju Cure Violence na rzecz pomocy członkom gangów zmniejszają przestępczość. Programom tym brakuje jednak środków finansowych: w ramach wizyt domowych dociera się do niespełna dwóch procent rodzin, które mogłyby z nich skorzystać[6].

Inspirujące są także programy resocjalizacji dla więźniów, takie jak Women in Recovery, który skutecznie odmienił życie Rebekki Hale. Recydywa jest wysoka między innymi dlatego, że robimy za mało, by wspierać ludzi po wyjściu z więzienia. Widać jednak pewne symptomy zmian. Zarówno po lewej, jak i po prawej stronie sceny politycznej panuje zgoda co do tego, że zamykanie w więzieniach zaszło za daleko. „Czerwone” stany[36], takie jak Teksas, przodują w redukowaniu liczby więźniów. Ogólnie rzecz biorąc, wskaźnik inkarceracji w Stanach Zjednoczonych nareszcie zaczął spadać, a zarówno politycy, jak i eksperci mówią o zreformowaniu systemu kaucyjnego, który powodował gwałtowny wzrost liczby osób w więzieniach w całym kraju i ogromnie obciążał ludzi

ubogich. Harvey Weinstein, aresztowany za napaści seksualne po oskarżeniach wysuniętych przez ponad osiemdziesiąt kobiet, wyszedł za kaucją. Natomiast młody człowiek przyłapany na paleniu marihuany może nie mieć pieniędzy na kaucję i utkwiwszy w areszcie na nieokreślony czas, straci pracę, a ponieważ nie będzie miał z czego zapłacić rachunków – być może także dom i samochód.

Poniewczasie dokonuje się szersza zmiana podejścia do surowego sposobu działania systemu „sprawiedliwości". Leann Bertsch, szefowa więziennictwa Dakoty Północnej, odwiedziła więzienie w Norwegii i zdumiała się tym, jak bardzo jest ono humanitarne. Misją tamtejszych zakładów karnych jest przygotowanie osadzonych do reintegracji ze społeczeństwem, toteż są one dobrze utrzymane, a więźniowie przebywają zazwyczaj niedaleko swoich rodzin, ponieważ urzędnicy zauważyli, że częste odwiedziny najbliższych zmniejszają prawdopodobieństwo recydywy. Maksymalny wyrok za większość przestępstw wynosi dwadzieścia jeden lat. Po wizycie w tym więzieniu Bertsch wróciła do pokoju w hotelu Radisson i płakała nad cierpieniem osób, które nadzorowała w amerykańskim systemie penitencjarnym. „Krzywdzimy ludzi" – uświadomiła sobie. Jako była przewodnicząca Stowarzyszenia Zarządców Stanowych Zakładów Karnych (ASCA) powiedziała magazynowi „Mother Jones": „Zawsze myślałam, że stworzyliśmy dobry system. Że jesteśmy porządni. Że nie znęcamy się nad innymi. Że prowadzimy bezpieczne więzienia i realizujemy w nich dobre programy". Po wizycie w Norwegii nabrała jednak wątpliwości. „Jak mogliśmy uznać, że wsadzanie ludzi do klatek jest w porządku?"

Konserwatywni republikanie, tacy jak gubernator Missisipi Phil Bryant, przeprowadzają reformy skracające wyroki. Bryant powiedział nam, że zmienił się klimat polityczny i teraz wyborcom podoba się takie podejście oraz doceniają wynikające z niego oszczędności. Mark Holden, starszy wiceprezes Koch Industries, nie zgadza się z nami w niemal

każdej sprawie, lecz powiedział, że według niego w systemie sprawiedliwości panuje taki bałagan, że „trzeba go wysadzić w powietrze”, po czym uśmiechnął się i zaznaczył: „W pokojowy sposób”.

Dorastający w więzieniu Ian Manuel wkrótce znalazł najbardziej zaskakującego sojusznika. Zezwalano mu na jeden telefon miesięcznie i w Wigilię 1992 roku poprosił telefonistkę, by połączyła go na koszt rozmówcy z Debbie Baigrie z Tampy. Gdy Debbie podniosła słuchawkę, telefonistka spytała, czy przyjmie rozmowę na koszt odbiorcy od Iana.

– Jakiego Iana? – spytała Debbie.

– Iana Manuela – powiedział Ian do telefonistki.

Powodowana jakąś niezdrową ciekawością, Debbie zgodziła się zapłacić za rozmowę.

– Chciałem tylko życzyć pani wesołych świąt – odezwał się Ian z pewnym zakłopotaniem.

– Dlaczego do mnie strzeliłeś? – odrzekła.

– Nie wiedziałem, co robię – wyznał ponuro, a potem zapadła długa cisza. – To był błąd. Wszystko stało się tak szybko. Przepraszam.

Debbie była poruszona młodością i skruchą Iana. „Miałam poczucie winy – wspominała. – Czułam, że odebrałam mu życie. On mnie nie zabił, ale ja zabiłam jego”. Poza tym doskwierała jej świadomość, że Ian dorastał w okolicy przesyconej narkotykami, przestępczością i przemocą. Nigdy nie otrzymał porządnego wsparcia ani nie pokazano mu, jak się stamtąd wyrwać. Debbie przypomniała sobie własne wybryki z okresu dojrzewania w przyjemnej żydowskiej dzielnicy. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co by z niej wyrosło, gdyby wychowywała się tam gdzie Ian.

I tak zaczęła się z pozoru dziwaczna korespondencyjna przyjaźń, która podniosła Iana na duchu i dała mu nadzieję –

może gdyby jego ofiara zdołała mu wybaczyć, inni też by wybaczyli? Po pierwszej rozmowie telefonicznej wysłał do Debbie własnoręcznie zrobioną kartkę, na której narysował rękę wyciągniętą przez więzienne kraty i trzymającą różę. Zaczął pisać częściej. Sama Debbie miała mieszane uczucia. Czasem doskwierał jej ból, nie mogła jeść i bała się kolejnej operacji, a wtedy była wściekła na Iana i bezlitosna. Innego dnia myślała: „Przecież to tylko dzieciak. Kiedy ma się trzynaście lat, robi się głupie rzeczy”. W sumie nawet gdy zaciskała zęby i płakała w przypływie frustracji, myślała, że Ian cierpi równie mocno jak ona.

Debbie zamieściła niektóre listy Iana na swoim profilu na Facebooku, zrażając do siebie przyjaciół i rodzinę. „On tobą manipuluje – zżymał się jej mąż. – Wykorzystuje cię”. Małżonkowie z coraz większym rozgoryczeniem kłócili się o Iana, a przyjaciele ostrzegali, że padła ofiarą syndromu sztokholmskiego. Debbie miała do nich żal o ten protekcjonalizm i była przekonana, że dzięki Ianowi zyskała poczucie misji.

– Dzięki niemu się obudziłam – powiedziała nam. – Gdy mu wybaczyłam, moje życie stało się o wiele bogatsze.

Potem poszła krok dalej. Napisała do sądu, prosząc, by skrócono Ianowi wyrok.

– Nikt nie wie lepiej ode mnie, jak niszczycielskie i lekkomyślne było przestępstwo popełnione przez Iana – napisała. – Ale to, co mu teraz robimy, jest podłe i nieodpowiedzialne. Gdy dopuścił się tego czynu, był jeszcze dzieckiem, trzynastolatkiem z mnóstwem problemów, niemającym żadnego nadzoru ani możliwości skorzystania z pomocy.

Sąd zignorował jej list. Empatia, jaką Debbie okazywała Ianowi, przyniosła jeden konkretny skutek: doprowadziła do jej rozwodu.

Jeśli kiedykolwiek aresztują cię za przestępstwo i staniesz przed sądem, dopilnuj, by twój adwokat wykonał najważniejsze działania zaraz po obiedzie. Jak pokazało badanie przeprowadzone w 2011 roku, sędziowie częściej orzekają przeciwko oskarżonym, gdy są głodni i wyraźnie marudni, tuż przed obiadem albo późno po południu[7]. Poza tym, jak zaobserwowano w badaniu przeprowadzonym w 2018 roku, zasądzali dłuższe wyroki dzień po tym, jak drużyna futbolowa z ich college'u niespodziewanie przegrała mecz, i te dłuższe wyroki nieproporcjonalnie częściej dotyczyły czarnych oskarżonych[8]. Czarni w ogóle są najsurowiej traktowani w procesach sądowych, zwłaszcza jeśli są ubodzy. Zdaje się, że rasa i ubóstwo zaważyły też na wyroku Iana.

– Gdyby był uroczym białym trzynastolatkiem z dołeczkami w policzkach i niebieskimi oczami, coś takiego na pewno by się nie wydarzyło – powiedziała nam Debbie.

Amerykańska Komisja do spraw Wyroków (USSC) stwierdziła, że czarni dostają wyroki o dziewiętnaście procent dłuższe niż biali za to samo przestępstwo, nawet jeśli bierze się pod uwagę takie zmienne jak ich przeszłość kryminalna. Badacze zauważyli, że im ciemniejsza cera Afroamerykanina, tym dłuższy wymierza mu się wyrok. Ponadto czarnych częściej uznaje się za winnych i skazuje na śmierć: badacze wykazali, że w Luizjanie czarnoskóra osoba jest o dziewięćdziesiąt siedem procent bardziej narażona na wyrok śmierci niż biała. Do innych problemów związanych z masowym wtrącaniem ludzi do więzień dochodzi zatem fundamentalna prawda, że nasz system sprawiedliwości działa w rasistowski sposób[9].

Stronniczość systemu sądownictwa to tylko jeden aspekt dyskryminacji zakorzenionej w wielu sferach życia. Naukowcy mierzą ją na przykład, przesyłając takie same CV w odpowiedzi na ogłoszenie zamieszczone przez osobę szukającą kogoś do pomocy: w jednej wersji opatrują CV

nazwiskiem „brzmiącym czarno” (na przykład Lakisha Washington albo Jamal Jones), a w drugiej nazwiskiem „brzmiącym biało” (na przykład Emily Walsh albo Greg Baker). Identyczne CV z „białym” nazwiskiem dostaje o pięćdziesiąt procent więcej odpowiedzi[10]. Biali często są nieświadomi skali dawnej dyskryminacji oraz tego, jak bardzo wpływa ona na dzisiejsze nierówności rasowe. Po jednym z artykułów Nicka na temat rasy wielu białych odpowiadało szczerze, że niewolnictwo i prawa Jima Crowa były oczywiście okropne, ale obecnie używa się ich po prostu w charakterze wymówki. „Czy jako biali jesteśmy skazani na wieczne przepraszanie? – spytał Neil. – Kiedy zaczyna się liczyć indywidualna odpowiedzialność?”

Całym sercem wierzymy w znaczenie osobistej odpowiedzialności i mamy nadzieję, że wyraziliśmy to jasno. Zresztą czarna społeczność ma na ten temat takie samo zdanie. Pewien sondaż pokazał, że dziewięćdziesiąt dwa procent czarnoskórej młodzieży zgadza się, iż czarni mężczyźni „traktują wykształcenie niewystarczająco poważnie”, a osiemdziesiąt osiem procent, że zbyt często „nie są oni odpowiedzialnymi ojcami”[11]. W sondażu CNN w 2015 roku sześćdziesiąt jeden procent czarnych stwierdziło, że rozpad rodziny jest przyczyną aktualnych trudności Afroamerykanów, a czterdzieści dwa procent wskazało jako przyczynę „brak motywacji i niechęć do ciężkiej pracy”[12]. Prezydent Obama dowiódł, że i jemu ta kwestia leży na sercu, tworząc My Brother’s Keeper, inicjatywę wspierającą bardziej odpowiedzialne zachowanie mężczyzn i chłopców o kolorze skóry innym niż biały.

Po II wojnie światowej ustawa GI ułatwiła olbrzymiej liczbie weteranów podjęcie nauki w college’u, a Federalna Agencja do spraw Mieszkalnictwa (FHA) i inne inicjatywy ogromnie zwiększyły liczbę osób mieszkających we własnych domach. Programy te pchnęły białych robotników ku klasie średniej, lecz powszechnie pomijały czarnych. Między innymi

dlatego przeciętna czarna rodzina posiada jedynie dziesięć procent majątku przeciętnej białej rodziny[13].

Lekarstwa na trwające od dawna nierówności mają złożony skład. Dzisiaj moglibyśmy przynajmniej zapewnić ubogim czarnym dzieciom taką samą dawkę edukacji jak białym. Dyskryminacja w szkolnictwie trwa jednak nadal: przeciętne dziecko białe albo pochodzenia azjatyckiego chodzi do szkoły znajdującej się w sześćdziesiątym percentylu pod względem wyników uczniów w testach; przeciętne czarne dziecko chodzi do szkoły znajdującej się w trzydziestym siódmym percentylu[14]. System polityczny na to nie reaguje. Badacze odkryli, że biali ustawodawcy stanowi, zarówno demokraci, jak i republikanie, rzadziej odpowiadają na pisma od wyborców, gdy są one podpisane nazwiskiem kojarzącym się z Afroamerykaninem. Nie pomogły słowa prezydenta Trumpa skierowane do czarnych: „Żyjecie w ubóstwie, chodzicie do niedobrych szkół. Nie macie pracy. Do diabła, co macie do stracenia?”. Jednym z elementów przewagi białych jest dziś nieświadomość, że w ogóle tę przewagę mają.

Odnoszący wielkie sukcesy czarnoskóry przyjaciel, który sprawował wysokie funkcje w rządzie, powiedział nam, jaki był wstrząśnięty, gdy jego biała narzeczona wyrzuciła paragon, wychodząc z domu towarowego w Nowym Jorku. „Co robisz?” – spytał ją. Sam nigdy nie wyrzuciłby paragonu, ponieważ obawiałby się oskarżenia o kradzież. Ona zaś nie wiedziała, dlaczego tak się zdenerwował. Nie wyobrażała sobie, by mogła zostać o coś takiego posądzona.

„Kiedy wchodzę do jubilera, zamykają gablotkę na klucz – napisał do »The Stanford Daily« młody czarnoskóry mężczyzna w maju 1992 roku. – W obuwniczym najpierw obsługują białego, który przyszedł później niż ja. W centrum handlowym chodzą za mną”. Napisał o tym, jak został zatrzymany na pół godziny przez sześciu policjantów trzymających broń w pogotowiu i uznany za podejrzanego, mimo że tylko prowadził samochód. Tym młodym

człowiekiem był Cory Booker, starosta ostatniego roku na Uniwersytecie Stanforda, nagrodzony właśnie stypendium Rhodesa.

Biali Amerykanie winili czasem „czarną kulturę” za nierówności rasowe, upatrując przyczyny problemu w braku odpowiedzialności czarnych mężczyzn płodzących pozamałżeńskie dzieci lub w skłonności do przerywania nauki i zażywania narkotyków. Coraz wyraźniej widać jednak, że wielki czarnoskóry socjolog William Julius Wilson miał rację, gdy twierdził, między innymi w książce *When Work Disappears* [Gdy znikają miejsca pracy], że fundamentalnym problemem jest brak pracy, a zwłaszcza znikanie dobrych posad dla pracowników fizycznych. Profesor Wilson odnosił się wtedy do afroamerykańskich społeczności w podupadłych częściach centrów miast, lecz fala bezrobocia dotarła już do wiejskich obszarów Ameryki zamieszkanych przez białych – i „biała kultura” reaguje na nią w zasadzie tak samo. Okazuje się, że gdy ludzie dowolnej rasy masowo tracą pracę i poczucie własnej wartości, są bardziej skłonni szukać ukojenia w narkotykach, schodzić na drogę przestępstwa i częściej cierpią z powodu rozpadu rodziny. Nie bardzo wtedy pomaga słuchanie, jak Horatio Alger opiewa w swoich powieściach osobiste zasługi tych, którym się udało.

– Często słyszę, jak ktoś mówi, że dorastał w biedzie i wyszedł na ludzi – powiedział Sean Reardon, profesor socjologii na Uniwersytecie Stanforda. – Każdy może opowiedzieć historię o kimś, kto dorastał w ubóstwie i wyszedł z kłopotów o własnych siłach – dodał. Zauważył jednak, że na rezultaty w dużej mierze wpływa punkt wyjścia: dzieci wychowujące się w zamożnych domach lub w bezpiecznym środowisku klasy średniej są otoczone wzorami do naśladowania. – Dlatego wydaje im się jasne, że podejmowanie właściwych decyzji się opłaca – powiedział Reardon.

Ponadto zamożne dzieci korzystają z sieci wsparcia, która chroni je przed dokonywaniem złych wyborów.

– Bogate dzieci podejmują mnóstwo złych decyzji. Po prostu nie spotykają ich takie same konsekwencje.

Beto O’Rourke potwierdził to własnym przykładem[15]. Jako młody człowiek był dwukrotnie aresztowany, raz za wtargnięcie na cudzy teren i raz, w wieku dwudziestu sześciu lat, za prowadzenie pojazdu pod wpływem alkoholu. W obu przypadkach zdołał uniknąć poważnych konsekwencji i wkrótce został aktywnym politykiem w El Paso, wystartował w wyborach i działał w Kongresie. Przemawiając w 2019 roku jako kandydat w wyborach prezydenckich, O’Rourke zwrócił uwagę na to, w jaki sposób poradził sobie z wyzwaniami wynikającymi z faktu, że był notowany.

– Udało mi się nie dlatego, że jestem kimś wspaniałym, geniuszem, albo że cokolwiek zrozumiałem – przyznał w czasie kampanii w Iowa. – Jestem natomiast białym mężczyzną, a moi rodzice dysponowali gotówką i mogli wpłacić za mnie kaucję. Wiele osób nie może na to liczyć.

Postęp dokonuje się między innymi dzięki naświetleniu problemów. Gdy grupa naukowców odkryła, że zawodowi sędziowie bejsbolowi i koszykarscy częściej odgwizdują auty i faule przeciwko zawodnikom innej rasy, NBA ostro zaprotestowało i zleciło własne badanie pokazujące brak stronniczości. Nie było ono jednak miarodajne. Kontrowersje doprowadziły do ożywionej debaty w środowisku zawodowej koszykówki i kilka lat później autorzy pierwszego badania znowu przeanalizowali decyzje sędziów. Tym razem stwierdzili, że stronniczość zniknęła: wydawało się, że gdy sędziowie zdali sobie sprawę z tego problemu, zdołali go przezwyciężyć[37][16].

Nadzieja przychodzi z niespodziewanej strony. Dojrzewając, Ian Manuel wykorzystywał długie lata w więzieniu, by czytać i zdobywać wykształcenie. Okazało się, że ma pierwszorzędny umysł i przeważnie zbierał doskonałe stopnie.

Powiedział, że najgorszym dniem w jego życiu nie był ten, w którym go skazano, lecz 8 czerwca 1996 roku, gdy siedząc w izolatce, dowiedział się, że jego matka zmarła wskutek powikłań AIDS, którym zaraziła się od dawnego partnera. Jego jedyne prawdziwe połączenie ze światem zewnętrznym – jeśli pominąć Debbie Baigrie – zostało zerwane. Podczas odsiadki odwiedzono go tylko trzy razy.



Debbie Baigrie i Ian Manuel jedzą razem pizzę w dniu, w którym Iana wypuszczono z więzienia, gdzie odsiedział dwadzieścia sześć lat. Skazano go za postrzelenie jej w twarz, gdy miał trzynaście lat

Fot. dzięki uprzejmości Debbie Baigrie

Pewnego razu strażnicy ukarali więźniów, przełączając telewizor w świetlicy na PBS – osadzeni woleli oglądać sport – i tak się złożyło, że leciał akurat film dokumentalny zatytułowany *To Be Heard* o kursie poezji na Bronksie. Ian słuchał jak urzeczony. Po powrocie do celi zaczął pisać wiersze: surowe, wypełnione obrazami utwory o życiu w więzieniu, trochę przypominające rap, wyrażające jego uczucia i frustrację.

– Poezja ocaliła mi życie – powiedział nam później.

Gdy pewnego dnia siedział w celi, dostał list od Bryana Stevensona, legendarnego prawnika, który prowadzi organizację Equal Justice Initiative. Szukał on młodocianego przestępcy odsiadującego wyrok dożywocia bez możliwości wyjścia warunkowego. Ian miał zostać głównym bohaterem pozwu dowodzącego niezgodności takiej kary z konstytucją. Z radością zgodził się na współpracę ze Stevensonem i w 2010 roku Sąd Najwyższy orzekł na jego korzyść. Zamierzano ponownie rozpatrzyć jego sprawę, a Baigrie podczas składania zeznań zaapelowała o wyrozumiałość.

To właśnie za pośrednictwem Stevensona poznaliśmy Iana, gdy czekał na zmianę wyroku, i wkrótce zaczęliśmy z nim korespondować. Regularnie dostawaliśmy grubą kopertę zawierającą list i niekiedy wiersz. Gdy tylko odpisywaliśmy, przychodziła kolejna. W 2016 roku, po dwudziestu sześciu latach za kratkami, Ian wyszedł na wolność – zaliczono mu okres spędzony w areszcie w oczekiwaniu na wyrok – i uczcił to z Debbie Baigrie. Wyściskali się jak starzy przyjaciele. Nikt widzący tę scenę nie pomyślałby, że kiedyś Ian postrzelił Debbie. Nazwał ją swoim aniołem stróżem i drugą mamą. Poszli do włoskiej restauracji na pizzę i colę – niedaleko miejsca, gdzie postrzelił ją w 1990 roku.

Po wyjściu z więzienia Ian przeprowadził się do Nowego Jorku, znalazł pracę w restauracji, potem w siłowni, a jeszcze później w organizacji pracującej z zagrożonymi dziećmi. Nigdy dotąd nie trzymał w ręku telefonu komórkowego, lecz teraz został wielkim entuzjastą Instagrama i nieustannie zamieszczał wpisy. Były poruszające i zabawne, jakby dwadzieścia sześć lat za kratkami nie odcisnęło na nim żadnego piętna.

Opisaliśmy historię człowieka, który dopuścił się naprawdę okrutnego czynu i potem za to cierpiał, lecz jego ofiara postanowiła mu wybaczyć. Jeśli Stany Zjednoczone od lat siedemdziesiątych często stosują wobec przestępstw, narkotyków i ubóstwa bezwzględną politykę zera tolerancji, postawa Debbie wskazuje alternatywę: etykę miłosierdzia.

Ta kobieta wie lepiej niż ktokolwiek inny, że człowiek strzelający drugiemu w twarz zasługuje na karę, lecz jej wiara w drugą szansę i odkupienie powinna inspirować nas wszystkich. Możemy sobie wyobrazić, że Stany Zjednoczone wprowadzają tę postawę w czyn. Trochę dzięki Debbie, a trochę dzięki wspaniałemu prawnikowi działającemu w interesie publicznym, chłopak, w którym sądy i media widziały kiedyś symbol niereformowalnej przemocy, stał się symbolem odkupienia i wytrwałości. Tragedia zmieniła się w opowieść o nadziei.

15

Boże, chroń rodzinę

Jesteście łukami, z których wasze dzieci wylatują jak żywe strzały.

Khalil Gibran, libańsko-amerykański poeta

Irene, głowa rodziny Greenów, wciąż rządziła domem niedaleko Yamhill. Ta sprawna osiemdziesięciolatka o bystrym umyśle pochowała dwóch mężów i troje dzieci: Kevina, Cindy i Thomasa juniora. Zaliczano ją do klasy średniej, w jej domu wisiały pejzaże olejne z wodospadami. Jej dzieci, wnuki i prawnuki miały jednak więcej problemów i wyglądało na to, że jej obecna rola sprowadzała się głównie do szoferowania tym, którzy stracili prawo jazdy za takie czy inne wykroczenia. Nie miała już czasu na malowanie.

Najboleśniejszym aspektem wizyt w tym domu jest dla nas obserwowanie, z jaką łatwością nieszczęścia przechodzą z pokolenia na pokolenie, między innymi z powodu rozpadu rodziny, który stał się symptomatyczny dla kryzysu amerykańskiej klasy robotniczej. Cindy, Kevin i Clayton mieli co najmniej po jednym dziecku, lecz sami nie stworzyli tak silnych, pełnych rodzin jak te, w których dorastali.

W 1965 roku Daniel Patrick Moynihan napisał słynny raport ostrzegający przed rozpadem rodzin, zwłaszcza w społecznościach afroamerykańskich. Przestrzegał, że wzrost liczby niepełnych rodzin sprawi, że trudniej będzie pokonać ubóstwo, a w późniejszym tekście oznajmił: „Od dzikich irlandzkich slumsów dziewiętnastowiecznego Wschodniego Wybrzeża po wstrząsane zamieszkami przedmieścia Los Angeles płynie z amerykańskiej historii jedna niezaprzeczalna nauka: społeczność, która dopuszcza do tego, by ogromna liczba młodych mężczyzn dorastała w niepełnych rodzinach […], nigdy nie znajduje dobrego męskiego wzorca

ani nie ma żadnego zestawu racjonalnych oczekiwań związanych z przyszłością – taka społeczność prosi się o chaos i go dostaje”.

Część liberałów potępiła Moynihana, uznając go za zacofanego rasistę. Wychowany przez samotną matkę, pracował kiedyś jako pucybut, lecz po latach besztano go za to, że obwinia ofiary. On sam podkreślał, że „trzy stulecia niesprawiedliwości”, w tym niewolnictwo i dyskryminacja, przyczyniły się do rozpadu rodziny, i wykazał się dalekowzrocznością, uznając ważną rolę godnej pracy. Głosy potępiające Moynihana sprawiły jednak, że prezydent Lyndon Johnson zdystansował się od jego raportu. Naukowcy przez całe pokolenie unikali badania znaczenia rodziny.

Zaczęło się to zmieniać dopiero wtedy, gdy socjolog William Julius Wilson pochwalił raport Moynihana jako „proroczy dokument”. Coraz wyraźniej było widać, że badacz miał dużo racji, a problemy ze strukturą rodziny rozszerzyły się na społeczność białych. Dzisiaj w związkach pozamałżeńskich rodzi się więcej białych dzieci, niż rodziło się czarnych w czasach, gdy Moynihan pisał swój raport. Większość amerykańskich dzieci mieszka w którymś momencie przed ukończeniem osiemnastego roku życia z samotną matką. Wciąż trwa debata na ten temat, lecz rosnąca liczba ekspertów w dziedzinie ubóstwa zgodnie uznaje, że struktura rodziny ma duże znaczenie zarówno dla czarnych, jak i dla białych dzieci.

Jednym z powodów, dla których część postępowców niechętnie przyznaje ważną rolę rodzinie, jest to, że konserwatywni orędownicy wartości rodzinnych regularnie okazują się hipokrytami. Newt Gingrich został przewodniczącym obrad Kongresu jako człowiek „z zasadami”, mimo że był trzykrotnie żonaty[1]. Piewcy wartości rodzinnych poparli Donalda Trumpa mimo jego rozwiązłości, rozwodów i przekupienia aktorki porno. Sam

Trump początkowo wybrał do Zarządu Rezerw Federalnych (potem zmienił zdanie) Stephena Moore'a, konserwatywnego komentatora, który wzywał do „osobistego i narodowego zobowiązania na rzecz silnych rodzin" w ramach „kultury cnoty". Żona Moore'a wygrała z nim sprawę rozwodową – twierdziła, że dopuścił się zdrady oraz znęcał się nad nią psychicznie, co skłoniło ją do ucieczki z domu. W przedłożonych sądowi dokumentach przyznał się do zarzucanych mu czynów. Orzekając o rozwodzie, sędzia wytknął Moore'owi niezapłacenie byłej żonie ponad trzystu tysięcy dolarów alimentów na rzecz jej i dzieci oraz nieuiszczenie innych należnych jej opłat[2]. Urząd Skarbowy oświadczył, że podsądny był także winien siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów tytułem niezapłaconych podatków. Kiedy tacy ludzie jak Moore mówią o zobowiązaniu na rzecz silnych rodzin, to zrozumiałe, że sceptycy przewracają oczami.

Gdy Clayton Green niedomagał i spędzał większość czasu na kanapie, pałeczkę przejęło następne pokolenie. Jego najwyrazistszym przedstawicielem był Eathan, syn Claytona. Wysoki, chudy, ciemnowłosy, elokwentny i towarzyski, obdarzony poczuciem humoru, wydawał się przeciwieństwem swojego ojca. Clayton ważył już ponad sto osiemdziesiąt kilogramów i poruszał się z takim trudem, że drogę z domu do oddalonego o trzydzieści metrów warsztatu pokonywał samochodem, Eathan natomiast był gibki i wysportowany. Z Claytona trudno było wydusić słowo; Eathanowi nie zamykały się usta. Łączyły ich inteligencja, poczucie humoru, skłonność do awantur i do pakowania się w kłopoty – oraz do działania sobie na nerwy.

Rodzice Eathana byli razem krótko, więc kursował między matką a ojcem. Przeważnie wychowywał się w Yamhill i nigdy nie skończył szkoły średniej, choć podobnie jak jego ojciec i wujek Kevin ma talent do naprawiania różnych rzeczy. Odszedł z domu, kiedy miał osiemnaście lat, po tym jak wdał się w bójkę na pięści z Claytonem. Przeprowadził się do Payette w stanie Idaho, gdzie mieszkała jego matka, i przez

następne trzynaście lat pracował w branży budowlanej. Szło mu coraz lepiej i w końcu zarabiał trzy tysiące dolarów miesięcznie, kupił dom i zaczął spłacać hipotekę.

Ożenił się i urodziło mu się troje dzieci (Eathan uważa, że środkowe tak naprawdę nie jest jego). Po kryzysie gospodarczym branża budowlana kulała i nie mógł znaleźć stałego zatrudnienia. Jego problemy pogłębiało uzależnienie od opioidów, lecz ostatecznie zerwał z nałogiem z dnia na dzień. Bez pracy zaczął zalegać z ratami kredytu i stracił dom. W końcu znalazł zatrudnienie w cukierni sprzedającej babeczki, a potem mył podłogi w ośrodku dla seniorów, lecz jego relacje z żoną uległy pogorszeniu.



Clayton Green uruchamia swojego pikapa. W tle jego syn Eathan

Fot. Lynsey Addario

– Cokolwiek robiłem, była niezadowolona – wspominał. – No więc powiedziałem jej coś w rodzaju: „Znajdź sobie innego frajera, którego będziesz mogła naciągać przez resztę życia, paniusiu”.

Po pięciu latach para się rozwiodła i dzieci zostały przy matce. Pewnego dnia Eathan wpadł do nich w odwiedziny.

– Starałem się być dobrym facetem, wiecie? – tłumaczył nam. – I zastałem ją na werandzie za domem. Mieliśmy tam dwuosobową huśtawkę. Był z nią jeden gość, mój kumpel, siedziała na nim okrakiem. Odwróciłem się i walnąłem pięścią w drzwi, aż się wgniotły.

Wpadł w szał i zdemolował dom, niszcząc w zasadzie wszystko, co napotkał.

Zwróciliśmy mu uwagę, że po rozwodzie kobieta ma prawo szukać nowego faceta, lecz Eathan uzasadnił swoje zachowanie wrodzoną porywczością.

– Wszyscy uważają mnie za raptusa. Jestem grzeczny, spokojny i opanowany, gdy teraz z wami rozmawiam jak każdy inny człowiek, ale jeśli zaleziecie mi za skórę, jeśli uruchomicie ten mechanizm, zmienię się w dynamit! Przestanę myśleć i wybuchnę.

Powiedział, że po pewnej bójce w areszcie uświadomił sobie, że jest trochę szurnięty. Przyłapał się też na tym, że gdy jest sam, mówi do siebie. Trudno mu stwierdzić, skąd to się bierze, ale zdarzyło się, że kiedy miał dwadzieścia cztery lata, koń kopnął go w głowę. Eathan przypuszcza, że to wszystko dlatego.

Ludzie są skomplikowani. Nie ma jednak żadnych wątpliwości co do tego, że takie osoby jak Eathan, dorastające w chaosie z tylko jednym rodzicem – zwłaszcza chłopcy, dokładnie tak, jak przewidział Moynihan – zazwyczaj radzą sobie niezbyt dobrze, a potem ich dzieci często powtarzają ten schemat. Czterdzieści procent Amerykanów rodzi się obecnie w związkach pozamałżeńskich[3], a osiemdziesiąt procent z nich doświadcza stresu związanego z angażowaniem się rodzica w nowe relacje miłosne i wychowywanie ich przyrodniego rodzeństwa[4]. Eathan musiał się mierzyć z wyjątkowo marnymi szansami: nie tylko pochodził z niezamożnej rodziny i mieszkał z tylko jednym rodzicem, lecz jego bliscy mieli także na koncie wyroki skazujące, narkotyki i przemoc, nie mieli za to wykształcenia. Jego

sytuację dodatkowo pogorszyła decyzja o rzuceniu szkoły średniej.

Istnieją coraz liczniejsze dane pokazujące, że zazwyczaj dzieci dorastające w pełnych rodzinach osiągają lepsze wyniki w nauce. To po prostu czysta matematyka: jeden rodzic ma tylko jedną pensję, by utrzymać rodzinę. Ekonomistka Isabel Sawhill szacuje, że wzrost liczby samotnych rodziców od 1970 roku zwiększył wskaźnik ubóstwa wśród dzieci mniej więcej o dwadzieścia pięć procent. Dorastanie z tylko jednym rodzicem biologicznym łączy się też przeważnie z mniejszym o czterdzieści procent prawdopodobieństwem, że dziecko ukończy szkołę średnią. Ogromna liczba badań wskazuje, że dzieci wychowywane przez samotne matki mają zwykle niższe stopnie, więcej problemów behawioralnych w szkole oraz częściej zbaczają w stronę przestępstw i narkotyków.

Po przeanalizowaniu materiału badawczego Sara McLanahan z Uniwersytetu w Princeton i Christopher Jencks z Uniwersytetu Harvarda stwierdzili, że „nieobecność ojca nasila zachowania antyspołeczne, takie jak agresja, łamanie zasad, przestępczość i zażywanie narkotyków”[5], a efekt ten jest silniejszy u chłopców niż u dziewcząt. Istnieje jednak niebezpieczeństwo wyciągania z tego zbyt daleko idących wniosków, ponieważ trudno odróżnić korelację od związku przyczynowo-skutkowego, a bez wątpienia wiele samotnych matek radzi sobie wspaniale. Ponadto większość danych dotyczy niezamożnych domów, gdzie rodzic nieustannie zmaga się z problemami finansowymi. Zamożniejsi samotni rodzice mają znacznie większe szanse powodzenia.

Istotna jest nie tyle tradycyjna struktura rodzinna, ile stabilizacja. Dla dziecka prawdopodobnie nie ma znaczenia, czy rodzice są małżeństwem, ale statystycznie jest pewna różnica. Trzy czwarte małżeństw wciąż jest razem, gdy dziecko kończy dwanaście lat; w wypadku par nieformalnych tylko niespełna jedna trzecia. Jednak zaledwie w połowie amerykańskich domów mieszkają pary po ślubie. Wydaje się,

że dzieci par jednopłciowych osiągają nieco lepsze wyniki w nauce niż dzieci par heteroseksualnych, być może dlatego, że żadnej homoseksualnej parze dziecko nie rodzi się przez przypadek[38].

Jeśli rodzina Eathana uosabia wyzwania związane z rozpadem rodzin z klasy robotniczej, rodzina Davisów z Pine Bluff w stanie Arkansas pokazuje, w jaki sposób silna rodzina może stworzyć ochronny kokon dla dzieci nawet w trudnym środowisku. Pine Bluff jest biedne, w znakomitej większości afroamerykańskie, rozdarte działalnością gangów i przestępczością, a rodzina Davisów była w niezbyt dobrej sytuacji finansowej. To Afroamerykanie z klasy robotniczej z siedemnaściorgiem dzieci – wszystkie urodzone z tych samych rodziców. Każde z nich skończyło liceum i poszło do college'u albo do wojska. Jednej z córek przypadł zaszczyt wygłoszenia mowy pożegnalnej na zakończenie nauki, dwoje innych dzieci otwierało uroczystość rozdania dyplomów, a jeszcze inna córka ukończyła naukę ze średnią 4,0.

Matka, Mary Davis, energiczna sześćdziesięciolatka, która pracuje w organizacji non profit prowadzącej kursy dla rodzin z przedszkolakami, mówi, że w rozmowach ze swoimi dziećmi zawsze podkreślała znaczenie nauki. Chodziła też na wywiadówki, na szkolne występy i na zebrania komitetu rodzicielskiego.

Mary pamięta, jak bez ogródek oznajmiła: „Nie zamierzam tolerować waszego niemądrego zachowania. Do szkoły posyłam was po to, żebyście się uczyli. A nie żebyście byli klasowymi klaunami".

W domu przypominała instruktora musztry. Gdy dzieci wracały ze szkoły, pilnowała, by odrobiły lekcje, „póki ich umysły wciąż były świeże", a potem wykonywały domowe obowiązki: zmywały naczynia, sprzątały w swoich pokojach, zaścielały łóżka, sprzątały w łazienkach, prały, szykowały kolację. Jeśli zostawało im trochę czasu i na zewnątrz było jeszcze jasno, mogły wyjść się pobawić.

Edward Davis, mąż Mary, obecnie sześćdziesięciopięciolatek, zawsze miał stałą pracę, najpierw w branży budowlanej, potem jako pracownik ochrony i w końcu w amerykańskim przedsiębiorstwie kolejowym Union Pacific Railroad, gdzie naprawiał tory i pociągi. Jego dochody natychmiast szły na jedzenie, ubrania i spłatę rat za dom z czerwonej cegły, w którym były cztery sypialnie i trzy łazienki – najładniejszy budynek w okolicy pełnej prostych białych lub szarych starzejących się domów. Aby zmniejszyć koszt utrzymania dziewiętnastoosobowej rodziny, Mary przeglądała gazety w poszukiwaniu kuponów, kupowała jedzenie hurtowo, a ubrania i buty tylko na wyprzedażach. Nic się nie marnowało. Dzieci szły do pracy, gdy tylko osiągnęły odpowiedni wiek, a potem często przekazywały posadę rodzeństwu. Starsze, pracujące, dokładały się do szkolnych ubrań dla młodszych. Obecnie w domu mieszka tylko dwoje z rodzeństwa, a reszta albo się uczy, albo pracuje poza miastem.

– Kiedy już przeszedłeś przez rzekę, trudno po prostu się obejrzeć i wskazać najgłębsze miejsce – powiedział z uśmiechem Edward. – Możesz się tylko zastanawiać, dlaczego nie utonąłeś.

Edward Davis doznał urazu podczas pracy w Union Pacific Railroad i musiał odejść z firmy, a wtedy Mary została jedyną żywicielką rodziny. Nie ma wątpliwości, skąd przyszła pomoc.

– Służę prawdziwemu, żywemu Bogu, i On jest moim źródłem. Jest moim żywicielem i gdyby nie to, że Mu służę, gdyby nie to, że wierzę w Boga, nie dałabym rady – oznajmiła.

Gdy dzieci były małe, rodzina chodziła na nabożeństwa do zielonoświątkowców zazwyczaj trzy razy w tygodniu w dni powszednie, a w niedzielę nierzadko dwu- albo i trzykrotnie.

Edward mówi, że dzieci chyba posłuchały jego rady.

– Były nauczone, żeby pracować – powiedział. – I zawsze je uczyłem, że trzeba uważać, co się robi, ponieważ nie reprezentuje się tylko siebie, ale też całą rodzinę. Gdy narobisz sobie wstydu, robisz wstyd również swoim najbliższym.

Trzydziestoczteroletnia Lakesha Thomas urodziła się jako siódma. Przez jeden semestr studiowała zarządzanie w college'u, a potem odpadła.

– Już wtedy zarabiałam tyle, ile świeżo upieczeni absolwenci, więc pomyślałam, że nie ma sensu kontynuować nauki i wikłać się w kredyty studenckie – powiedziała.

Jest sprzedawczynią we Frito-Lay. Niedawno kupiła dom, więc na razie zostanie w Pine Bluff.

Lakeshy nigdy nie brakowało inicjatywy i gdy tylko mogła, będąc jeszcze w liceum, zatrudniła się jako kasjerka. W dzieciństwie nie organizowano dla niej imprez urodzinowych, więc gdy zarobiła trochę pieniędzy, wydawała takie przyjęcia dla młodszego rodzeństwa. Pomogła nawet wybrać imię dla najmłodszego dziecka w rodzinie, Ke'niyi. Ke'niya korzysta z miłości i pomocy starszych braci i sióstr, lecz ma za sobą wyboistą drogę. W przedostatniej klasie liceum urodziła dziecko i obecnie stara się skończyć college. Ma osiemnaście lat, jest niezamężną matką dwulatka i chodziła do szkoły średniej, gdzie w pierwszej klasie było około stu osób, a w ostatniej tylko sześćdziesiąt sześć.

Ogólnie rzecz biorąc, jest tak, jak przewidywał Moynihan. Richard Reeves z Instytutu Brookingsa pokazał, że gdy dzieci przychodzą na świat w rodzinach z dolnego kwartyla dochodów, a rodzice pozostają małżeństwem do końca ich dzieciństwa, idzie im dobrze: tylko siedemnaście procent zostaje w tym kwartylu, a dziewiętnaście procent osiąga w dorosłości górny kwartyl dochodów. Jednak w przypadku dzieci urodzonych w dolnym kwartylu, których rodzice nie biorą ślubu, połowa zostaje w tym kwartylu w dorosłości i tylko pięć procent dociera do górnego kwartylu[6]. Mówiąc w skrócie, jednym z najwspanialszych przywilejów jest

dorastanie w kochającej, stabilnej rodzinie z obojgiem rodziców.

Istnieją oczywiście całkiem słuszne powody, by niektóre pary nie brały ślubu albo by rodzice się rozstali: na przykład kochająca samotna matka może przysłużyć się dzieciom, jeśli wyrzuci agresywnego męża. Jest jednak coraz więcej dowodów na to, że Moynihan miał rację i że struktura rodziny naprawdę ma znaczenie, zwłaszcza w przypadku chłopców.

Paradoksalnie w sprawach seksu i rodziny Amerykanie z klasy robotniczej wyznają zazwyczaj tradycyjne wartości, nawet jeśli niekoniecznie się ich trzymają. Sfrustrowani i przytłoczeni problemami, niekiedy nie wykazują samodyscypliny, w którą wierzą. Inaczej jest w przypadku wykształconych liberałów: ci są mniej skłonni do osądzania innych i mówią w sondażach, że akceptują seks przedmałżeński oraz różne konfiguracje mieszkaniowe, lecz sami mają stosunkowo niewielu partnerów seksualnych i rzadziej się rozwodzą. Krótko mówiąc, mimo że wykształceni ludzie nie wyznają tradycyjnych wartości, częściej według nich żyją i starają się je przekazać swoim dzieciom. W. Bradford Wilcox, profesor socjologii z Uniwersytetu Wirginii, kierujący przedsięwzięciem badawczym o nazwie National Marriage Project, nazywa to „mówieniem w lewo i skręcaniem w prawo". Młodzi konserwatyści z klasy robotniczej robią na odwrót: mówią w prawo i skręcają w lewo, ponieważ nie aprobują przygodnego seksu, nawet jeśli sami go uprawiają.

Po rozpadzie swojego małżeństwa Eathan Green znalazł nową partnerkę, Ginnettę, uroczą kobietę o pełnych kształtach, szerokiej twarzy i długich włosach. Sprawę komplikowało to, że wcześniej była związana z mężczyzną, który wprowadził się do byłej żony Eathana. Ginnetta, blondynka z traumatyczną przeszłością obejmującą porwanie w niemowlęctwie i zakopanie żywcem, wypełniła pustkę w życiu Eathana.

– Nie byłem już sam – powiedział nam. – Nie czułem się jak samotny żołnierz próbujący w pojedynkę toczyć wojnę. Miałem na kogo liczyć! Wspaniale!

Ginnetta urodziła pięcioro dzieci, w tym dwoje Eathanowi, nim skończyła dwadzieścia pięć lat. Do tego dochodziło jeszcze troje dzieci Eathana z poprzedniego związku. Całą ósemkę zabrały władze, rzekomo z powodu obaw związanych z narkotykami oraz pogłosek o przemocy, którym zaprzeczają zarówno Eathan, jak i Ginnetta. Eathan mówił, że gdy dorastał, był bity za złe zachowanie pasem, grabiami albo deską, i zdecydowanie twierdził, że sam jest znacznie bardziej powściągliwy i unika krzywdzenia swoich dzieci.

– Rzadko posuwam się dalej niż do jednego klapsa w tyłek – zapewnił.

Eathan i Ginnetta gorączkowo próbowali odzyskać najmłodsze dziecko, Lilly, która urodziła się w hrabstwie Yamhill w 2018 roku i trafiła do pieczy zastępczej. Regularnie jeździli do niej w odwiedziny i na spotkania ze swoim adwokatem. Władze zbyt pospiesznie odbierają potomstwo rodzinom osiągającym niskie dochody i umieszczają je w rodzinach zastępczych – co do tego zgadzają się z Eathanem i Ginnette liczni obrońcy praw dziecka. Twierdzą oni, że dzieciom jest najlepiej u rodziców lub innych krewnych, nawet jeśli ci wymagają czasami intensywnego instruktażu, nadzoru albo wsparcia. Opieka zastępcza kosztuje około dwudziestu sześciu tysięcy dolarów na dziecko rocznie[7], a wcale nie jest skuteczną formą pomocy: tylko pięćdziesiąt osiem procent objętych nią dzieci kończy szkołę średnią[8]. Jedna czwarta z nich trafia do więzienia w ciągu dwóch lat od opuszczenia rodziny zastępczej w wieku osiemnastu lat. Jast także mniej więcej sześciokrotnie większe prawdopodobieństwo, że zostaną bez dachu nad głową, niż że zdobędą dyplom college’u[9].



Ginnetta przygląda się, jak jej partner Eathan Green ćwiczy strzelanie do celu na farmie Greenów w Yamhill

Fot. Lynsey Addario

Dlaczego ani Eathan, ani Ginnetta nie mieli pracy w okresie intensywnego rozwoju gospodarczego, gdy wszędzie wisiały ogłoszenia z ofertami? Eathan jest bystry i ma wysoko cenione umiejętności budowlane, Ginnetta zaś jest sympatyczna, pracowita i sprawiła na nas wrażenie osoby, na której można polegać. Eathan, podobnie jak wielu innych mieszkańców Yamhill, winił za to imigrantów z Meksyku.

– Rzeczywiście mam do nich żal o to, że trudniej mi przez nich zdobyć pracę – powiedział nam[39].

To prawda, że w takich miejscach jak Yamhill imigranci mogli odebrać część miejsc pracy robotnikom o niskich kwalifikacjach. Kilkoro pracodawców tłumaczyło nam, że byliby szaleni, gdyby zatrudnili białego człowieka bez średniego wykształcenia, często uzależnionego od metamfetaminy, niezbyt zainteresowanego harówką pod gołym niebem i nie zawsze zjawiającego się w pracy. Jeden z nich powiedział, że starał się zatrudniać miejscowych, lecz w końcu przestawił się na meksykańską ekipę, ponieważ

imigranci są mniej więcej dwa razy pracowitsi niż okoliczni biali.

Następnym wyzwaniem było to, że Eathanowi odebrano prawo jazdy za niezapłacenie grzywny, a Ginnetta nie prowadzi samochodu. Eathan powiedział też, że nabawił się urazu kręgosłupa i nie mógł dźwigać ciężarów. Na dodatek często mieli spotkania z prawnikami i z Lilly, co utrudniało utrzymanie posady. Clayton powiedział nam jednak, że Ethan jest po prostu leniwy.

– Chyba nie jest aż tak dojrzały, jak myślałem – dodał.

Eathan miewał do ojca jeszcze bardziej lekceważący stosunek. Jesienią 2018 roku Clayton borykał się z poważnymi kłopotami ze zdrowiem, wymagającymi niekiedy pobytu w szpitalu. Miał wodę w płucach, problemy z sercem, cukrzycę i ważył sto dziewięćdziesiąt kilogramów przy stu siedemdziesięciu ośmiu centymetrach wzrostu. Po wyjściu ze szpitala potrzebował niekiedy pomocy, żeby się ubrać albo włożyć buty. Zdarzało mu się spaść z łóżka i zaklinować się między nim a ścianą, tak że wyciągnięcie go stamtąd było prawie niemożliwe. Gdy przewrócił się na podwórku, trzeba było go podnosić łyżką od ciągnika. Irene przez cienką ścianę pokoju słyszała jego chrapliwy oddech i od czasu do czasu zaglądała, by sprawdzić, jak syn się czuje. W rezultacie nie mogła spać. Bardzo się martwiliśmy, że stracimy starego przyjaciela, lecz Eathan wydawał się mniej przejęty.

– Mówię do niego: Rany, tato, nie możesz nawet chodzić. Nie możesz nawet wstać z łóżka – powiedział nam. – Dawniej byłeś takim gościem, a teraz jesteś nikim.

Eathan w zasadzie pogodził się z utratą czworga starszych dzieci, ale bardzo chciał zbudować rodzinę z Ginnettą i Lilly. Poprosił wielebną Rhondę Kroeker, naszą wspólną przyjaciółkę, by udzieliła ślubu jemu i Ginnetcie, lecz Rhonda miała pewne obawy.

– Kocham tego chłopaka całym sercem – powiedziała nam.

W rozmowie z Eathanem ujęła rzecz delikatnie:

– Eathan, gdyby chodziło o moją córkę, chciałabym wiedzieć, że będziesz w stanie o nią zadbać. Chciałabym wiedzieć, że zamierzasz jej zapewnić godziwe życie i że będzie mogła zrealizować swój potencjał. Oraz że będziesz dobrym ojcem dla jej dziecka. I chyba nie udzieliłabym ci swojego błogosławieństwa. – Po chwili dodała: – Dlatego nie, nie jestem gotowa udzielić wam ślubu.

Ginnetta przysłuchiwała się temu i w pewnym momencie zabrała głos:

– Eathan, nie jestem pewna, czy chcę to teraz zrobić. To dla mnie chyba za wcześnie.

Minęło ponad pół wieku, odkąd Tom Green, kamieniarz zarabiający dobrze, mimo że skończył zaledwie pięć klas, kupił farmę w Yamhill na fali awansu społecznego, który dokonywał się przez większość XX wieku. Razem z Irene stworzyli silną rodzinę. Cindy, Kevin i Clayton byli bystrzy i pracowici, a mimo to ponosili porażki w życiu zawodowym i osobistym oraz borykali się z problemami ze zdrowiem. Eathan, przedstawiciel kolejnego pokolenia, jest lepiej wykształcony niż jego dziadek. Powinien mieć większe szanse na sukcesy i pracę. Starzy przyjaciele z bólem patrzą jednak na to, że rodzina Greenów utknęła w sytuacji, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczała. Gdy silna gospodarka zostawia w tyle Amerykanów, którzy nie są w stanie się przyczynić do osiągnięcia przez ich ojczyznę szczytu konkurencyjności, istnieje ryzyko uzewnętrznienia się zbiorowego gniewu.

– Historia zawsze się powtarza, więc znów wybuchnie rewolucja, ale jak długo trzeba będzie na nią czekać? – powiedział Eathan, stojąc przed swoim domem na wsi.

Gdy spytaliśmy, czy do niej dołączy, zawołał:

– Pewnie! Nie będę stał z boku i się przyglądał. – Gotując się ze złości, dodał: – Podobno mam problem z samokontrolą.

Ludzie, przecież mam dziesięć spluw. I niby nie potrafię nad sobą panować?

Może i Ke'Niya z Pine Bluff w stanie Arkansas jest samotną matką, ale rodzice zaszczepili jej ambicje i miała szesnaścioro rodzeństwa, na których mogła się wzorować. Zbierała wyróżnienia od przedszkola aż po liceum, kiedy trafiła na listę najlepszych uczniów. Jej matka zachowywała na pamiątkę nagrody zdobywane przez dzieci, sygnalizując im, że jest to coś, na czym zależy rodzinie. Ke'Niya skończyła liceum ze średnią 3,8, co dało jej piąte miejsce w klasie. Wybrano ją także na królową zjazdu absolwentów, była w samorządzie uczniowskim i udzielała się jako wolontariuszka w grupie mentorskiej dla młodszych dziewczyn. Postanowiła, że pójdzie do college'u, i otrzymała pomoc w tym zakresie od miejscowej organizacji non profit, Targeting Our People's Priorities with Service [Służba na rzecz Rozwiązywania Najważniejszych Problemów Naszej Ludności], która umożliwiła jej udział w dniach otwartych na uczelniach i wspierała ją na egzaminach wstępnych.

– Edukacja jest dla mnie ważna – powiedziała Ke'Niya. – Zwłaszcza odkąd urodziłam syna, powtarzam sobie: Okej, teraz nie masz innego wyjścia, niż tylko coś w życiu osiągnąć.

Dlatego trzy miesiące po narodzinach dziecka Ke'Niya zdobyła pracę, choć jeszcze chodziła do liceum: zaczęła jako kasjerka w sklepie spożywczym, a po czterech miesiącach została główną kasjerką w firmie, prowadzącą księgi rachunkowe całego sklepu.

– W gruncie rzeczy stworzyłam sobie schemat działania – wyjaśniła Ke'niya. – Szkoła była szkołą, a po powrocie do domu liczył się tylko mój syn. W dni, kiedy musiałam pracować, pracowałam.

Ke'Niya wkrótce znalazła lepszą pracę z ubezpieczeniem zdrowotnym w miejscowym banku. Mieszkała z rodzicami i starszą siostrą, by trochę zaoszczędzić. Jej chłopak, pracownik branży budowlanej, codziennie odbiera ich

dwuletniego syna z przedszkola. Dziecko zna już większość liter, nazwy kolorów i podstawowe liczby, więc nauczycielka zarekomendowała je do zaawansowanego programu dla maluchów. Ke’Niya zdobyła federalne stypendium Pell Grant i zaczyna studia. Odbywają się zdalnie, więc może kontynuować pracę w banku.

Jeśli chodzi o rodzicielstwo, Ke’Niya mówi, że radzi sobie dzięki ogromnej pomocy ze strony swoich doświadczonych rodziców, dla których wnuczek jest oczkiem w głowie.

– Bez wątpienia miałam wielkie wsparcie i to w zasadzie dzięki niemu dałam sobie radę – powiedziała. – Pomaga mi cała rodzina.

Podczas gdy Greenowie zaczęli dobrze, a potem borykali się z kłopotami z powodów obejmujących między innymi rozpad rodziny, Ke’Niya obrała przeciwny kurs. Rodząc się, nie miała żadnej przewagi społecznej, lecz dzięki wsparciu najbliższych zdołała utrzymać własną rodzinę, ma stałą pracę i zaczyna studia. Wiele osób jest gotowych się założyć, że odniesie sukces.

16

Związek dusz

Miłość z dnia na dzień się zmienić nie może;
Przetrwa, aż przyjdzie śmiertelna godzina.
Jeśli to błąd jest lub jeśli skłamałem,
Nikt nie miłował, nigdy nie pisałem[1].

William Shakespeare, *Sonet* CXVI

Dave Peper, nasz nierozstający się z bronią sąsiad z Yamhill, który siedem razy był bezdomny, zaczął pić w wieku dwunastu lat i rzucił szkołę, podobnie jak Greenowie oraz Knappowie. Gdy jako siedemnastolatek został wyrzucony z domu przez surowego ojca, zaciągnął się do marynarki wojennej, lecz wydalono go stamtąd za zażywanie kokainy. Pracował w firmie produkującej dynamit, a w wolnych chwilach imprezował, ale wkrótce skończyły mu się pieniądze, stracił samochód i dom. Pewnej burzowej nocy głodny i samotny pojawił się przemoknięty pod drzwiami rodziców.

– Mogę zostać na noc? – spytał, gdy matka otworzyła drzwi.

– Powiedz temu sukinsynowi, że nie! – ryknął ojciec z pokoju, słysząc jego głos. – Jak sobie pościelił, tak niech się teraz wyśpi!

Zanim matka zamknęła przed nim drzwi, dała mu pięćdziesiąt dolarów i kazała iść do YMCA[40], gdzie znalazł tani nocleg. Wciąż zmagał się z alkoholem i narkotykami, w tym z kokainą, heroiną i metamfetaminą. Ożenił się w wieku dwudziestu czterech lat i urodziła mu się córka Tara, lecz nadal nadużywał alkoholu i narkotyków. Gdy małżeństwo się rozpadło, nawiązał romans z April Simmons, nastolatką, która odniosła pewne sukcesy w trzymaniu w ryzach jego

nałogów. Dave otworzył tuż obok farmy Kristofów własny hotel dla psów, który nazwał Ramshorn Boarding Kennel, i pracował tam siedem dni w tygodniu. Był niezwykle pracowity, miał wspaniałe podejście zarówno do zwierząt, jak i do ich opiekunów, więc psi interes wyglądał obiecująco.



Dave Peper wykonuje obowiązki w hotelu dla psów, który założył w Yamhill w stanie Oregon. Dave z ogromną pomocą swojej żony przezwyciężył uzależnienie od alkoholu i narkotyków i teraz prowadzi bardzo udany biznes

Fot. Lynsey Addario

Dorastamy w przekonaniu, że małżeństwo to róże, walentynkowe czekoladki i wspólne starzenie się – to jednak także społeczna i ekonomiczna instytucja przynosząca korzyści nie tylko dzieciom, lecz również samym małżonkom. Istnieją dowody, że jest to szczególnie ważne dla mężczyzn oraz że żony postępują niekiedy prawie jak kuratorzy sądowi, odciągając mężów od ryzykownych zachowań ku pracy i opiece nad dziećmi. Może się to wydawać ckliwe albo tradycjonalistyczne, lecz badacze obserwują, że jednym z czynników najbardziej zmniejszających recydywę wśród skazańców płci męskiej jest trwałe małżeństwo. W badaniu przeprowadzonym w 2018 roku stwierdzono, że znajduje się ono wśród czynników najsilniej korelujących z sukcesem czarnych mężczyzn: do klasy średniej należy siedemdziesiąt

procent żonatych czarnych mężczyzn – i tylko dwadzieścia procent czarnych mężczyzn, którzy nigdy nie byli żonaci[2].

Małżeństwa okazują się dobre także dla społeczności lokalnych. Duży projekt badawczy o nazwie Opportunity Atlas, prowadzony przez ekonomistę z Uniwersytetu Harvarda Raja Chetty'ego, a także prace innych naukowców skupiły się na analizowaniu dzielnic pod kątem czynników związanych z awansem społecznym. Jak można się spodziewać, im zamożniejsza była dzielnica, tym lepiej powodziło się mieszkającym w niej dzieciom; podobna zależność występowała w dzielnicach z większą liczbą absolwentów uniwersytetów, z wyższym odsetkiem zatrudnienia oraz z lepszymi wynikami w testach szkolnych. Wśród czynników najwyżej korelujących z awansem społecznym znalazł się jednak także odsetek pełnych rodzin. Być może dzieje się tak dlatego, że obszary z dużą liczbą takich rodzin mają większy kapitał społeczny i silniejsze wzorce osobowe dla chłopców[41].

Dave'owi i April urodziła się córka Breanna, lecz April nie chciała wyjść za Dave'a z powodu jego utrzymujących się problemów z alkoholem oraz obaw o to, że jego zadłużenie zaszkodzi jej historii kredytowej. Tymczasem Dave starał się pogodzić swoją pracę z alkoholizmem. Uzbierał cztery wyroki za jazdę pod wpływem i przez jakiś czas woził w furgonetce alkomat umożliwiający uruchomienie pojazdu dopiero po wydmuchnięciu powietrza bez śladu alkoholu. Dave wymyślił sposób, by przechytrzyć to urządzenie: dmuchał przez pięciometrowy szlauch, wpychając w urządzenie czyste powietrze, by uruchomić samochód (rząd zlecił udoskonalenie alkomatów, więc dziś taki sposób byłby nieskuteczny). Dave i April zainwestowali wszystkie pieniądze w nieruchomość i hotel dla psów, byli bardzo zadłużeni i ich dalszy los zależał od tego, czy Dave poświęci się zwierzętom czy piciu.

W 2003 roku Dave odebrał najgorszy telefon, jaki może odebrać rodzic: Tara, zaledwie osiemnastolatka, zginęła

w wypadku samochodowym, gdy jej chłopak stracił kontrolę nad pojazdem i zjechał na przeciwległy pas ruchu, tak że zabił ich obydwoje na miejscu. Dziewczyna właśnie skończyła liceum i szykowała się na studia.

– Wszystko zajebiście jej się układało – powiedział Dave łamiącym się głosem, gdy siedzieliśmy w jego domu obok hotelu dla psów.

Śmierć Tary go zdruzgotała.

– Nie potrafię nawet opisać tej rozpaczy, ale zacząłem naprawdę ostro pić – wspominał. – W tamtym momencie miałem wszystko w dupie.

Pijany Dave czasami eksplodował i walił pięścią w ściany, wybijając w nich dziury. Gdy April widziała, że Dave traci nad sobą kontrolę, zabierała Breannę i jechała do przyjaciół na noc, ponieważ nie chciała, by dziewczynka widziała tatę pijanego albo agresywnego. Uciekała z domu trzy albo i cztery razy w tygodniu. Cierpiał także hotel dla psów. Wyglądało na to, że Dave może stracić swój biznes, dom, partnerkę i drugą córkę.

Para skorzystała z terapii dla rodzin, lecz chyba niewiele to pomogło. April, rozpaczliwie starając się nie dopuścić do tego, by Dave kupował alkohol, trzymała przy sobie całą gotówkę oraz książeczkę czekową. Gdy zaczął oddawać do sklepów puszki i butelki, by wymienić je na alkohol, pilnowała, by w domu ich nie było. Dbała nawet o to, by nigdzie nie poniewierały się drobniaki.

Dave brał alkohol na zeszyt w sklepie spożywczym w Cove Orchard, mimo że April błagała właściciela, by mu go nie wydawał. Kilkakrotnie wpadał na farmę Kristofów i prosił mamę albo tatę Nicka o pożyczenie odrobiny gotówki. Dawali mu ją z poczuciem winy, obawiając się, że przeznaczy ją na alkohol.

Pewnego razu w listopadzie 2005 roku Dave pił cały dzień i jak sam mówi, był pijany jak bela. Gdy skończył mu się

alkohol, pojechał do sklepu T&E w Yamhill po więcej piwa, a potem zatrzymał się na stacji benzynowej, żeby zatankować. Gdy próbował odjechać, uderzył w czyjś samochód. Kierowca wezwał policję, a ta aresztowała Dave'a i zawiozła go do aresztu okręgowego.

– Rujnujesz mi życie! – krzyknął Dave do policjanta z tylnego siedzenia radiowozu. Nawet tak zamroczony, wiedział, że po zaostrzeniu przepisów dotyczących prowadzenia pod wpływem alkoholu jego piąte wykroczenie może oznaczać wyrok: do półtora roku w więzieniu stanowym i dożywotnią utratę prawa jazdy.

– Panie Peper, pana życie nie jest zrujnowane – odpowiedział ze spokojem policjant. – Wszystko będzie dobrze, po prostu teraz pan tego nie widzi.

– Mam ochotę zawieźć cię do domu, przywiązać cię za ręce i nogi do moich koni i smagać te sukinsyny batem, dopóki nie padnę ze zmęczenia – wykrzyczał Dave.

Ktoś z policji zadzwonił do April i poinformował ją o aresztowaniu partnera. Wściekła się. Zaczekała, aż Dave pokisi się w areszcie przez noc, i wpłaciła kaucję dopiero następnego dnia. W tym czasie Dave wytrzeźwiał i siedząc w niebieskim kombinezonie więziennym, poczuł najpierw przerażenie, a potem wyrzuty sumienia. „Wszystko stracę – pomyślał. – Co zrobi April? Czy tym razem odejdzie na dobre?" Właśnie wtedy postanowił zerwać z alkoholem, spróbować ocalić swój związek i biznes oraz utrzymać przy sobie córkę.

Nazajutrz April zjawiła się w areszcie i wpłaciła kaucję, a potem odbyli trudną rozmowę. Adwokat zalecił Dave'owi zapisanie się do szpitalnego programu odwykowego, by pokazać sądowi zdecydowany zamiar zerwania z nałogiem, lecz tego rodzaju programy były niezwykle drogie, a Dave nie miał ubezpieczenia zdrowotnego. April była ubezpieczona w pracy, lecz ponieważ nie wyszła za Dave'a, nie mógł

skorzystać z jej polisy. Nie miał pomysłu, jak się dostać na leczenie.

Wtedy April zrobiła coś niebywałego. Trzy tygodnie po aresztowaniu Dave’a wyszła za niego – by mógł skorzystać z jej ubezpieczenia zdrowotnego. Potem jej mąż zapisał się na miesięczny odwyk za trzydzieści tysięcy dolarów, a ona wzięła urlop, by pod jego nieobecność zająć się hotelem dla psów. Uratowała tym aktem wiary partnera, który w zasadzie na to nie zasłużył.

Nim w 2006 roku zaczęła się rozprawa Dave’a, miał już za sobą zakończoną sukcesem kurację odwykową, był trzeźwy i zobowiązał się, że nigdy więcej nie tknie alkoholu. Sędzia skazał go na prace poza zakładem karnym. Nie zamknął go w więzieniu, lecz nałożył na niego czteroletni okres warunkowy z bransoletką na kostce oraz dożywotnio odebrał mu prawo jazdy. Ponadto nakazał Dave’owi przeprosić policjanta, któremu groził rozerwaniem przez konie.

Uważamy, że z perspektywy czasu konserwatyści mieli rację, gdy podkreślali wagę struktury rodzinnej. Mimo testowania w latach prezydentury George’a W. Busha różnych strategii mających umacniać małżeństwo i rodzinę – na przykład propagowania ślubów – nie zdołali oni jednak spowodować widocznej zmiany. Wydaje się, że zaniedbali także dwa ważne czynniki, które osłabiły pozycję rodzin w Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza w grupach niezamożnych.

Pierwszym z tych destrukcyjnych czynników jest masowe zamykanie w więzieniach. W porównaniu z 1970 rokiem liczba osób przebywających w aresztach lub więzieniach wzrosła siedmiokrotnie. Trudną sytuację rodzin pogłębia przyjęta praktyka wysyłania skazanych do zakładów oddalonych od ich domów, gdzie członkom rodzin trudno jest ich odwiedzać. Ponadto pobiera się zawyżone stawki za rozmowy telefoniczne z więzień, co tworzy kolejną barierę między osadzonymi a ich rodzinami.

Drugim szkodliwym czynnikiem jest spadek liczby dobrze płatnych miejsc pracy dla robotników, spotęgowany osłabieniem znaczenia związków zawodowych i zbyt powolnym wzrostem płacy minimalnej. Małżeństwo to pod wieloma względami instytucja ekonomiczna, toteż gdy amerykańscy mężczyźni bez wyższego wykształcenia doświadczyli spadku dochodów po 1970 roku, zmalały także ich szanse na znalezienie żony. Ekonomista z MIT David Autor i jego współpracownicy zaobserwowali, że gdy chińska konkurencja na rynku handlowym bardzo niekorzystnie wpłynęła na pewne obszary kraju i obniżyła zatrudnienie wśród mężczyzn, spadł także odsetek ślubów – wzrosły natomiast liczba nieślubnych dzieci oraz odsetek dzieci żyjących w ubóstwie. Sytuacja materialna wpływała na sytuację matrymonialną. Spadek liczby małżeństw nie nastąpił dlatego, że mężczyźni i kobiety z klasy robotniczej gardzą małżeństwem. Chodziło o to, że przez politykę społeczną i ekonomiczną mężczyźni osiągający niskie dochody stali się mniej atrakcyjni jako potencjalni mężowie[3].

Pozycję rodzin w Stanach Zjednoczonych osłabia także brak płatnego urlopu rodzicielskiego, którego nie zapewnia tylko siedem innych krajów na świecie. Pewne dowody wskazują, że taki urlop może zwiększyć odsetek matek karmiących piersią, zmniejszyć śmiertelność niemowląt i depresję poporodową oraz sprawić, że ojcowie bardziej zaangażują się w życie swoich dzieci.

Nawet jeśli pomysł na promowanie małżeństw okazał się nieskuteczny, wykazano, że kilka naprzemiennie stosowanych strategii wzmacnia strukturę rodzinną. Podniesienie płacy minimalnej albo zapewnienie takich ulg jak odliczenie od podatku dochodowego prowadzi do wzrostu liczby małżeństw[4]. Pomaganie młodym mężczyznom w znalezieniu pracy za pośrednictwem programu Career Academies, organizującego szkolenia zawodowe dla uczniów szkół średnich, zwiększa liczbę małżeństw zawieranych przez jego

uczestników. Programy przenoszenia niezamożnych rodzin z dziećmi do lepszych dzielnic także zwiększają liczbę ślubów.

Być może najskuteczniejszą strategią propagowania małżeństwa jest po prostu planowanie rodziny. Gdy dziewczyny unikają zajścia w ciążę w wieku siedemnastu lat, zwiększa się prawdopodobieństwo, że wyjdą za mąż po dwudziestce i wychowają dzieci wspólnie z mężem. Około siedemdziesięciu procent ciąż wśród samotnych kobiet przed trzydziestką to ciąże nieplanowane[5]. Pomoc w planowaniu rodziny przyniosłaby korzyść zarówno tym matkom, jak i ich dzieciom.

Jest to jednak drażliwa kwestia, po części dlatego, że aborcja to także temat polityczny. Nawet tak popierany przez obie partie program jak Title X, zapewniający środki antykoncepcyjne i niemający nic wspólnego z aborcją, stracił od 1980 roku dwie trzecie finansowania (po skorygowaniu o poziom inflacji).

Po odwyku życie Dave’a Pepera uległo przemianie. Od tego czasu nie tknął alkoholu i rzucił palenie, mimo że przez trzydzieści pięć lat palił dwie paczki papierosów dziennie. Całą energię włożył w hotel dla psów, który nawet rozbudował, ciężko pracując, by zdobyć nowych klientów. Opiekunowie psów to zauważyli – część z nich przyjeżdża z daleka, by zostawić u niego swoich pupili. Dave zaczął osiągać spore dochody, dzięki którym utrzymuje April i Breannę, a część zysków przeznaczył na remont domu. Z tyłu dobudował taras z jacuzzi.

W 2018 roku, dziesięć lat po swojej rozprawie sądowej, zwrócił się do sądu z wnioskiem o przywrócenie prawa jazdy. Rozpatrzono go pozytywnie. Teraz spędzają z April weekendy nad pobliskim jeziorem Hagg, nad które przyciągają nową łódkę. Dave wybudował basen przed domem. Breanna skończyła szkołę średnią i ma dobrą pracę – jest psią fryzjerką. Przyjaźni się z naszą córką. Gdy zaczęła się spotykać

z czarnym mężczyzną z Portlandu, zastanawialiśmy się, jak zareaguje na to Dave, konserwatywny zwolennik Trumpa.

– Przyznaję, potrzebowałem trochę czasu, żeby się przyzwyczaić – powiedział. – Ale to świetny facet i dobrze traktuje Breannę. Naprawdę go lubię.

Dave mówi, że miał szczęście, iż go aresztowano.

– Tamten wieczór uratował mi życie. Gdybym dalej pił, już bym nie żył.

Miał jeszcze większe szczęście, że była przy nim April i mógł liczyć na rodzinę, która go ocaliła.

17

Pożeramy swoje młode

> Stany Zjednoczone trafią do piekła, jeśli nie wykorzystamy swoich olbrzymich zasobów, by wyeliminować ubóstwo i zaspokoić podstawowe potrzeby materialne wszystkich dzieci bożych.
>
> Martin Luther King junior

Gary Knapp nie strzela już do Dee, ponieważ od dawna nie żyje – podobnie jak wszystkie jego dzieci z wyjątkiem najmłodszego, Keylana. Teraz wyzwaniem są wnuki Gary'ego, które wikłają się w problemy z narkotykami, alkoholem i prawem. Keylan rozmyśla o klątwie rodzinnej, lecz chodzi raczej o to, że każde pokolenie dziedziczy trudną sytuację.

Lubimy myśleć, że małe dzieci są podatne na wpływy i wytrzymałe, ale mogą także być wrażliwe jak wiosenne kwiaty w czasie huraganu. Jako społeczeństwo potępiamy „przestępców", „bandziorów" i „chuliganów", lecz prawda wygląda tak, że rutynowo sprawiamy zawód dzieciom z problemami, zanim one sprawią go nam. Co roku w Stanach Zjednoczonych z powodu znęcania się i zaniedbania umiera więcej dzieci niż z powodu raka[1]. Na każde, które umiera, przypadają tysiące okaleczonych, gwałconych albo brutalnie traktowanych. Wzruszamy ramionami na miliony dzieci doznających traumy w sposób, który wyrządza im krzywdę i nadszarpuje naszą tkankę społeczną – a potem, gdy sprawy idą źle, winimy za to ofiary. Niektóre gatunki pożerają swoje młode. Okazuje się, że też jesteśmy w tym gronie.

Syn Keylana unikał narkotyków z powodu doświadczeń swojej rodziny i przez jakiś czas chodził do college'u za pieniądze przesyłane przez ojca. Wszystko wyglądało obiecująco. Duży, silny mężczyzna znalazł dobrą pracę jako

elektryk. Niestety, był impulsywny i miał skłonność do przemocy, podobnie jak wiele osób w jego otoczeniu.

– Dziewczyna, z którą był, ciągle pieprzyła się na boku z jakimś meksykańskim dilerem narkotyków – wyjaśnił Keylan. To rozsierdzało jego syna. – Upił się, wziął czterdziestkępiątkę, poszedł tam, ostrzelał samochody na podjeździe i powiedział do tych ludzi: „Wypierdalajcie z tego miasta i zostawcie moją dziewczynę w spokoju”.

Przyjechała policja i go aresztowała. Wciąż siedzi w więzieniu.

Dowody neuronaukowe, psychologiczne i ekonomiczne wyraźnie pokazują, że najważniejszy okres, by pomóc amerykańskim dzieciom, to pierwszych pięć lat ich życia, między innymi dlatego, że jeśli wychowują się wtedy w chaosie i niedostatku, często doznają nieodwracalnego uszkodzenia mózgu. W takich okolicznościach są narażone na „toksyczny stres”, a ich mózgi zalewa kortyzol, hormon stresu zmieniający anatomię mózgu. Zrecenzowane badania wykazały, że przeciętny pięciolatek, który doświadczył poważnego nieszczęścia, ma cieńszą korę czołową i w rezultacie słabiej radzi sobie z regulacją emocji, ma mniejszą kontrolę nad impulsami i mniej pojemną pamięć roboczą[2].

Biorąc pod uwagę skalę nadużywania alkoholu i narkotyków w Stanach Zjednoczonych, nieuniknione jest także to, że ogromna liczba dzieci zostaje narażona na ich oddziaływanie także w okresie prenatalnym. Prawie jedna piąta dzieci urodzonych w Wirginii Zachodniej jest narażona na narkotyki albo alkohol już w łonie matki i badania, choć nie są konkluzywne, sugerują, że w późniejszym życiu będą one znacznie bardziej podatne na nadużywanie tych substancji[3]. Mamy już termin na określenie tych dziecięcych traum i toksycznego stresu: negatywne doświadczenia w dzieciństwie (*Adverse Childhood Experiences*, ACE). ACE mogą mieć postać fizycznego znęcania się, rozwodu rodziców

albo mieszkania z alkoholikiem. Wiele osób dorosłych ma za sobą jedno takie doświadczenie, a jedna osoba na osiem ma ich co najmniej cztery. Mimo że ACE występują w dzieciństwie, korelują z problemami w życiu dorosłym: w porównaniu z ludźmi bez tego rodzaju obciążeń osoba z czterema ACE ma o czterysta sześćdziesiąt procent większe prawdopodobieństwo zachorowania w dorosłości na depresję i grozi jej o tysiąc dwieście dwadzieścia procent większe ryzyko, że popełni samobójstwo[4].

Jednym z najbardziej bulwersujących przejawów amerykańskiej krótkowzroczności w kwestii inwestowania w zagrożone dzieci jest częste upieranie się polityków, że nie mają środków finansowych, by zapłacić za opiekę społeczną – jakimś cudem znajdują jednak pieniądze, by później płacić za więzienia. Republikańscy ustawodawcy nie chcą płacić po pięćset dolarów za wkładkę wewnątrzmaciczną dla kobiet osiągających niskie dochody, więc płacą po siedemnaście tysięcy za porody finansowane przez Medicaid. Nie chcą płacić, by zmniejszyć zatrucie ołowiem, mimo że oznacza to konieczność płacenia za edukację specjalną przez następne lata. Badanie przeprowadzone przez Pew Research Center pokazało, że każdy dolar zainwestowany w podejmowaną na wielką skalę walkę z zatruciem ołowiem pozwala później zaoszczędzić siedemnaście dolarów z pieniędzy publicznych.

W rzeczywistości do naszych najskuteczniejszych programów krajowych należą te ukierunkowane na dzieci z grup ryzyka. Od współczesnego szczytu, który nastąpił w 1991 roku, zmniejszyliśmy liczbę nastoletnich ciąż o sześćdziesiąt siedem procent[5]. Od 2011 roku zwiększyliśmy o pięć procent odsetek osób kończących szkołę średnią[6]. Zbyt rzadko jednak inwestujemy w sprawdzone strategie. Ceną za tę krótkowzroczność jest przechodzenie dysfunkcji na następne pokolenie, co pociąga za sobą olbrzymie koszty ludzkie i wydatki publiczne – a potem winimy ofiary.

Jednym z najważniejszych obrońców praw dzieci z problemami w Stanach Zjednoczonych jest George B. Kaiser, miliarder z Tulsy, którego rodzina uciekła z nazistowskich Niemiec i dorobiła się najpierw na przemyśle naftowym, a potem na bankowości. Kaiser, szczupły szpakowaty siedemdziesięciolatek, powiedział nam, że poruszyły go dowody wskazujące, iż działania na wczesnym etapie życia mogą przerwać cykl ubóstwa, i doszedł do wniosku, że stwarzanie szans dla dzieci jest niezbędne do zapewnienia podstawowej sprawiedliwości na świecie.

– Żadne nowo narodzone dziecko nie ponosi odpowiedzialności za okoliczności swojego przyjścia na świat, a mimo to okoliczności te w wielkim stopniu determinują jego los – powiedział. – I to wydaje się fundamentalnie niesprawiedliwe.

Kaiser wykorzystuje swój majątek, by finansować eksperymentalne programy, dzięki którym Tulsa stała się zaskakującym w „czerwonych" stanach laboratorium testującym oparte na dowodach inicjatywy mające na celu przerwanie cyklu ubóstwa. Założona przez niego George Kaiser Family Foundation czuwa nad programem Women in Recovery w Tulsie, który pomógł Rebecce Hale zerwać z uzależnieniem od narkotyków, i dużo uwagi poświęca także pomaganiu dzieciom – ponieważ właśnie wśród nich siła oddziaływania jest największa. Kaiser dodaje, że to „absolutnie, fundamentalnie niesprawiedliwe", że zamożne amerykańskie dzieci mają olbrzymią przewagę nad dziećmi rodzącymi się w trudniejszych okolicznościach.

– Ludzie odnoszący sukcesy zazwyczaj wierzą albo chcą wierzyć, że osiągnęli to, co osiągnęli, dzięki własnej inicjatywie, dyscyplinie i inteligencji – powiedział. – Ja uważam raczej, że osiągamy to, co osiągamy, przede wszystkim dzięki łutowi szczęścia oraz temu, co Warren Buffet nazywa wygraną na jajnikowej loterii.

Farlan Knapp, kolega z klasy Nicka, próbował być kochającym ojcem, jakiego sam nigdy nie miał. Przeważnie to on gotował i sprzątał w domu.

– Dzwoniłam do niego w święta i pytałam, co robi – wspominała Dee. – Odpowiadał: „Próbuję nafaszerować indyka, mamo. Ale on ciągle się ślizga w zlewie!”.

Prowadził długie, szczere rozmowy z córkami, Amber i Andreą, żartował z nimi albo zabierał je na ryby. Droczył się z Andreą, nazywając ją „mięczakiem”, gdy protestowała przeciwko pobudce o czwartej rano, by iść na połów pstrągów. Farlan nienawidził swojego ojca i zastanawiał się, jak by go zabić. Sam był natomiast ubóstwiany przez obie córki.

Mimo to dorastały otoczone pokusami w postaci alkoholu i narkotyków. Na jednym ze zdjęć malutkiej Amber widać w tle talerzyk z kokainą. I mimo całej czułości Farlana dla córek w ich domu panowała taka sama ponura atmosfera jak w jego domu rodzinnym, ponieważ on i jego żona zaciekle się kłócili.

– Myślałyśmy z siostrą, że on umiera na AIDS, HIV albo zapalenie wątroby typu C, dlatego że matka mówiła do niego: „Idź, wykop sobie grób i zdechnij, hifowcu” – wspominała Amber.

Farlan rzeczywiście chorował na AIDS i na zapalenie wątroby typu C, ale ostatecznie umarł z powodu niewydolności wątroby związanej z alkoholem. Amber powiedziała, że ojciec czasami wycofywał się z takich utarczek słownych, a innym razem odpowiadał na nie atakiem fizycznym. W czasie kłótni rodziców Amber, jako opiekuńcza starsza siostra, zatykała uszy Andrei, by ta nie słyszała wrzasków.

W siódmej klasie Amber zaprzyjaźniła się z przystojnym Nicholasem Baughmanem, ósmoklasistą wychowywanym przez samotną matkę. Najpopularniejszą wersją krążącą w rodzinie Knappów na temat tego, co się później wydarzyło,

jest to, że Amber i Nicholas padli sobie w ramiona i obściskując się, zaczęli rozmawiać o swoich rodzinach.

– Mój tata ma na imię Farlan – zaczęła Amber.

– Nie, to mój tata ma na imię Farlan – przerwał jej Nicholas.

Zdezorientowani umówili się, że nazajutrz każde z nich przyniesie do szkoły zdjęcie ojca – i w ten sposób odkryli, że są rodzeństwem. Tak naprawdę, jak twierdzą obydwoje, byli bliskimi przyjaciółmi, ale ze sobą nie romansowali. Nicholas mówi, że nigdy nie poznał swojego taty, ale wiedział, że nazywa się on Farlan Knapp – wiedział też, że Amber ma na nazwisko Knapp, ale nie zastanawiał się nad tym za bardzo, dopóki pewnego dnia nie usłyszał, że jej ojciec też ma na imię Farlan. Następnego dnia Nicholas odciągnął Amber na bok na szkolnym korytarzu i pokazał jej jedyne zdjęcie ojca, jakie miał, wykonane, gdy ten był jeszcze osiemnastolatkiem.

– Rozpoznajesz faceta na tym zdjęciu? – spytał.

– Nie – odpowiedziała stanowczo Amber.

– Przyjrzyj się – namawiał Nicholas. – Rozpoznajesz go?

– Wygląda jak mój wujek Keylan – odpowiedziała z powątpiewaniem. Potem odwróciła zdjęcie na drugą stronę i zobaczyła nabazgrany podpis: „Farlan”. Szczęka jej opadła.

– Czy twój tata ci kiedyś mówił, że masz starszego brata? – spytał Nicholas.

Amber przez jakiś czas przyjaźniła się z przyrodnim bratem, a Farlan pracował nad budowaniem więzi z nastoletnim synem. Potem Nicholas Baughman zaciągnął się do marynarki wojennej, a następnie skończył studia i zdobył dobrą pracę w sektorze prywatnym. Uosabia drogę sukcesu, którą mogli podążać Knappowie, lecz żadnemu z nich się to nie udało.

Amber skończyła liceum, wynajęła mieszkanie, a potem wzięła do siebie piętnastoletnią Andreę, by zapewnić jej

stabilniejsze życie i zachęcić do pozostania w liceum. Mijały lata i przez jakiś czas wyglądało na to, że dziewczynom się udało. Po liceum Andrea wyszła za mąż i założyła własną agencję nieruchomości. Piękna, bystra, utalentowana i przedsiębiorcza młoda kobieta z pozoru radziła sobie doskonale. Śmierć Farlana zdruzgotała jednak obie jego córki. Andrea coraz częściej się upijała i było z nią coraz gorzej.

– Zapiła się na śmierć – powiedział Keylan.

Pochowano ją w 2013 roku w wieku dwudziestu dziewięciu lat.

Wyglądało na to, że największe szanse na sukces w młodym pokoleniu Knappów ma Amber. Jako pierwsza z rodziny skończyła liceum, a potem podjęła pracę w firmie telekomunikacyjnej, gdzie zarządzała bazami danych i szkoliła personel w zakresie korzystania z systemów komputerowych. Amber emanuje pewnością siebie, inteligencją i profesjonalizmem. Podczas naszej rozmowy byliśmy pod wrażeniem jej intelektu i umiejętności interpersonalnych. Była opanowana i elokwentna, z łatwością można było ją sobie wyobrazić jako prawniczkę albo menedżerkę. Amber poszła do dwuletniego college'u na zajęcia z informatyki, które pomogły jej zdobywać kolejne posady w branży informatycznej, i wkrótce odnosiła sukcesy w tej dziedzinie.

– Prezentacje w PowerPoincie, arkusze w Excelu, wykresy przestawne i rachunek macierzowy, oto co lubię robić – powiedziała nam. – Eksportować i importować dane oraz umieszczać je na slajdach i pokazywać kierownictwu, jak jego firma radzi sobie w poszczególnych dziedzinach oraz ile płatności jest opóźnionych albo niezafakturowanych. Zarobiłam mnóstwo pieniędzy, miałam bardzo dobrą pracę, naprawdę dobre świadczenia i tak dalej – dodała.

Wyszła za mąż, urodziła dwoje dzieci i należała do rzadkiej kategorii Knappów niebiorących narkotyków. Robiła też postępy w korporacyjnym świecie. Przez jakiś czas wydawało się, że uniknęła rodzinnej klątwy.

W stresujących chwilach odżywały jednak dawne wzorce i na powierzchnię wypływały traumy z dzieciństwa. Pogrążona w żałobie po śmierci ojca, Amber sięgnęła po xanax – lek przeciwlękowy, który przepisywał jej lekarz. Pomagał, ale się od niego uzależniła. Gdy skończyły się jej tabletki, gorączkowo szukała alternatywnego rozwiązania i właśnie wtedy, w wieku trzydziestu dwóch lat, pierwszy raz w życiu zapaliła metę.

– Przez całe życie byłam jej zagorzałą przeciwniczką – wspominała. – Nienawidziłam jej. Widziałam, co robiła z ludźmi. Mój tata był ćpunem, który gotował metę i wszystko stracił. Można by pomyśleć, że coś takiego mi wystarczy.

Po odstawieniu leków przeciwlękowych Amber czuła się jednak chora fizycznie, cierpiała z powodu lęku i depresji, nie mogła spać i rozpaczliwie potrzebowała ulgi. Meta pomagała tylko przez jakiś czas.

– Dzięki niej czułam się lepiej, wyciągnęła mnie z depresji, mogłam być supermamą – wspominała Amber. Myślała, że znalazła rozwiązanie. – Coś takiego powie wam większość uzależnionych: gdzieś tam w głębi duszy człowiek jest przekonany, że w przeciwieństwie do innych nie straci kontroli – powiedziała zrezygnowana. – Nie myślisz, że to pochłonie twoje życie. Myślisz, że zdołasz być dobrze funkcjonującym narkomanem.

Amber spostrzegła jednak, że się uzależniła. Wkrótce zaczęła trafiać raz po raz do aresztu i w końcu przyznała się do posiadania heroiny i metamfetaminy. Straciła pracę oraz ubezpieczenie zdrowotne i nie udało jej się uzyskać dostępu do programów odwykowych, których potrzebowała. Nawet po wyjściu z aresztu nie mogła znaleźć pracy, ponieważ miała na koncie wyrok za przestępstwa narkotykowe. Straciła prawo jazdy, męża i dwoje dzieci, które umieszczono w rodzinie zastępczej. Po którymś pobycie w areszcie przez jakiś czas nie brała narkotyków i urodziła trzecie dziecko, syna, którego ojcem był jej dawny chłopak z liceum. Myślała, że dzięki

synkowi będzie jej łatwiej trzymać się z dala od narkotyków. Myliła się i wkrótce zabrano jej także jego.

– Straciłam wszystko – wyznała. – Szybko poszło.

Jak do tego dopuściła? Bez wątpienia dokonywała pewnych fatalnych wyborów, lecz badania naukowe wskazują również, że zachowania uzależnieniowe są dziedziczne – wpływa na to genetyka albo epigenetyka[42], a zatem, jako córka i wnuczka ludzi mających problemy z uzależnieniami, Amber była szczególnie zagrożona. Takim osobom jak ona i Andrea, wychowującym się w chaotycznym środowisku domowym, od dzieciństwa towarzyszą dysfunkcje, znęcanie się, rozwody, choroby psychiczne, zaniedbania, trudności ekonomiczne i uzależnienie opiekunów – czyli klasyczne ACE. Badacze zaobserwowali, że toksyczny stres upośledza rozwój mózgu dziecka i skutkuje niższym wykształceniem, a w dłuższej perspektywie wyższym bezrobociem, większym ubóstwem oraz wyższymi wskaźnikami chorób sercowo-naczyniowych, schorzeń płuc i wątroby, uzależnień i zaburzeń psychicznych, a nawet przedwczesną śmiercią w dorosłym życiu. Według Centrum do spraw Profilaktyki i Zapobiegania Chorobom łączny koszt traum z dzieciństwa i ACE ponoszony przez społeczeństwo w kontekście opieki medycznej, edukacji specjalnej, pomocy społecznej i sądownictwa kryminalnego – o utracie produktywności nie wspominając – wyniósł w 2008 roku sto dwadzieścia pięć miliardów dolarów.

Jak sugeruje historia rodziny Knappów, bierność polityków w sprawie wspierania dzieci z grup ryzyka pociąga za sobą realne koszty. Tę cenę płacą nie tylko one, lecz także cały kraj. W różnych badaniach stwierdzono, że ubóstwo dzieci kosztuje Stany Zjednoczone około biliona dolarów rocznie – pod postacią zwiększonych wydatków związanych ze zdrowiem, przestępczością, więziennictwem i opieką społeczną, jak również niższych zarobków. To około ośmiu tysięcy dolarów na gospodarstwo domowe rocznie. Większość badaczy stwierdza, że każdy dolar zainwestowany w zmniejszenie

ubóstwa dzieci pozwoliłby krajowi zaoszczędzić co najmniej siedem dolarów[7]. Przestępczość jest szczególnie kosztowną konsekwencją zaniedbania dzieci: badacze szacują, że koszt jednego popełnionego morderstwa wynosi co najmniej trzy miliony dolarów[8]. Połowy przestępstw w Stanach Zjednoczonych dokonuje pięć procent populacji[9], a zatem mała liczba dysfunkcyjnych i zaniedbanych młodych ludzi obciąża społeczeństwo olbrzymimi kosztami finansowymi i emocjonalnymi – tymczasem dzieci z ubogich rodzin często są kierowane raczej w stronę przestępstw niż w stronę college'u.

– Nierówność dotyka nie tylko ubogiej mniejszości, lecz także olbrzymiej większości populacji – twierdzą Richard Wilkinson i Kate Pickett, małżeństwo epidemiologów z Wielkiej Brytanii, które bada właśnie te zjawiska.

Sceptycy nie zgadzają się z taką oceną, mówiąc, że tym, co się liczy w społeczeństwie, nie jest brak równości, lecz poziom dochodu ludzi ubogich, i że powinniśmy się skupić na jego podnoszeniu. Brak równości sam w sobie wydaje się jednak związany z destrukcją tkanki społecznej – i dotyczy to nie tylko ludzi ubogich. Wilkinson i Pickett odkryli, że nawet osobom z klasy średniej i ludziom zamożnym powodzi się lepiej w społeczeństwie, które jest bardziej egalitarne. Dzieje się tak na przykład w Japonii: ludzie żyją tam trochę dłużej, rzadziej stykają się z przemocą i jest większe prawdopodobieństwo, że ich dzieciom się powiedzie. W społeczeństwach, gdzie brakuje równości, częściej dochodzi do przestępstw z użyciem przemocy i zapada więcej wyroków skazujących na więzienie, zmniejsza się produkcja gospodarcza, a zwiększa niezadowolenie. Choroby psychiczne i śmiertelność niemowląt występują w takich społeczeństwach dwa albo trzy razy częściej. Odsetek nastoletnich ciąż, wyroków więzienia oraz zabójstw jest do dziesięciu razy wyższy i on także obniża dobrostan całego społeczeństwa[10].

Centrum do spraw Profilaktyki i Zapobiegania Chorobom podało, że w 2017 roku prawie trzydzieści dwa procent uczniów szkół średnich zgłaszało odczuwanie uporczywego smutku albo beznadziei w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. Ponadto siedemnaście procent uczniów liceum wyznało, że w ostatnim roku miało myśli samobójcze. Wiele osób uważa, że nie da się zapobiec samobójstwu, ponieważ jeśli ktoś chce się zabić, w końcu mu się uda – ale to błąd. Amerykańskie wojsko przeprowadziło staranne badanie strategii obniżających ryzyko samobójstwa o mniej więcej połowę. Inni naukowcy zaobserwowali, że programy zapobiegania samobójstwom skierowane do młodzieży z problemami zmniejszają liczbę samobójstw jeszcze bardziej. Skuteczne strategie pomagają ludziom stwarzać plany kryzysowe i zwracać się po pomoc do konkretnej osoby, gdy myślą o popełnieniu samobójstwa. Programy prewencyjne obejmują również terapię mającą ułatwiać młodym przepracowanie problemów. Gdy Connecticut wprowadziło program przeciwko samobójstwom o nazwie SOS, prawdopodobieństwo podjęcia próby samobójczej przez zapisanych do niego uczniów dziewiątej klasy było o sześćdziesiąt cztery procent mniejsze niż u tych z grupy kontrolnej[11].

Nie ma gwarancji sukcesu, lecz Amber i Andrea mogłyby mieć większe szanse, gdyby otrzymały profesjonalną pomoc we wczesnym dzieciństwie, gdy mózg łatwiej tworzy połączenia nerwowe sprzyjające zdrowemu rozwojowi. Powinno się pracować zarówno z rodzicami, jak i z dziećmi, by w domach było mniej chaosu i przemocy, by szkolić rodziców w opiece nad dziećmi i czytaniu im, a samym dzieciom zaszczepić takie umiejętności jak cierpliwość, współpraca, zdolność do wyrzeczeń i rozwiązywania konfliktów. Takie interwencje mają dobrze potwierdzoną skuteczność.

Badanie przeprowadzone osiem lat temu w Richmond w stanie Wirginia pokazało, że duża liczba przedszkolaków,

które zostały wydalone z placówek, doznała traumy we wczesnym dzieciństwie. Był to rodzaj ACE, który prawdopodobnie wywoływał niewłaściwe zachowania, więc wychowawcy z Richmond zwrócili się do Kathy Ryan, specjalizującej się w klinicznej psychologii dziecięcej, by stworzyła program Circle Preschool w celu zaspokajania potrzeb terapeutycznych dzieci z ACE. Nauczycieli szkoli się tam w specjalny sposób, by leczyli traumę za pomocą terapii opartej na zabawie, a ponadto prowadzi się cotygodniowe szkolenia dla rodziców. Obecnie Ryan pomaga stworzyć instytut szkoleń dla nauczycieli mający być pierwszym krokiem ku zastosowaniu tego podejścia na większą skalę. Podczas naszej wizyty dzieci w klasie bawiły się w ciszy.

– Rozmawiamy z nimi w sposób znacznie spokojniejszy niż w typowej szkole czy przedszkolu – powiedziała Ryan. – Chcemy im pomóc w rozwinięciu zdolności komunikacyjnych, by mogły mówić, co czują.

Circle Preschool może sobie pozwolić na przyjęcie tylko ośmiorga dzieci naraz, więc jest to kosztowna forma interwencji. Wyniki są jednak imponujące. Obserwowaliśmy, jak chłopiec o imieniu Jay, który znajduje się obecnie pod opieką swojego wujka Timothy'ego, bawi się spokojnie olbrzymim pociągiem. Gdy dwa lata temu Timothy i jego żona Rebecca wzięli do siebie tego chłopca, Jay był pełny złości, często krzyczał. Przewracał krzesła oraz rzucał różnymi przedmiotami w nauczycieli i starsze panie wizytujące jego przedszkole; rzucał zabawkami w restauracjach, więc trudno go było gdziekolwiek zabrać razem z ich dwoma synami. We wrześniu 2018 roku dołączył jednak do Circle Preschool i cztery miesiące później stał się lubiącym zabawę, wesołym i uroczym dzieckiem.

– Widzę dużą zmianę w jego zachowaniu we wszystkich sytuacjach, to niesamowite – powiedziała nam Rebecca.

Timothy ma w sobie także więcej empatii niż kiedyś:

– To był totalny zwrot, o sto osiemdziesiąt stopni.

Do najlepiej przebadanych form interwencji skierowanych do dzieci z problemami należą programy skupione na wczesnych latach życia, takie jak Perry Preschool Project i Family Connects Durham, które, jak się okazało, przynoszą długofalowe dobroczynne skutki. Jednym z prostych programów jest Reach Out and Read, w którym pediatrzy podczas wizyt lekarskich „przepisują” czytanie i rozdają darmowe książki dla dzieci. Jest to wyjątkowo tanie, kosztuje dwadzieścia dolarów na dziecko rocznie, i dzięki temu wielu rodziców znacznie częściej czyta swoim dzieciom. Niestety, podczas gdy inne kraje rozwijają inicjatywy skupione na wczesnym dzieciństwie, Stany Zjednoczone zostają pod tym względem w tyle. Spośród trzydziestu sześciu wysoko rozwiniętych krajów OECD plasują się na trzydziestym czwartym miejscu pod względem udziału czterolatków w tego typu programach.

Jest powszechne, że dzieci mają jedno, może dwa ACE, a tym mającym trzy albo i więcej grozi bardzo wysokie ryzyko niepowodzenia edukacyjnego, problemów psychicznych oraz nadużywania alkoholu i narkotyków. Amber i Andrea były chodzącymi kolekcjami ACE. Mimo to tylko cztery procent pediatrów prowadzi badania przesiewowe pod tym kątem u dzieci[12].

Doktor Nadine Burke Harris próbuje to zmienić. Jako pierwsza Naczelna Lekarka Kalifornii przewodzi opracowaniu ogólnokrajowych, sprawdzonych protokołów interwencji, między innymi takich, które obejmują czujniki biofeedbacku, służące do pomiaru biologicznej reakcji na stres, oraz czujniki neurofeedbacku, monitorujące aktywność elektryczną mózgu. Doktor Burke Harris, która odkryła, że w Kalifornii ACE występują najliczniej w okręgach wiejskich, zainicjowała publiczną kampanię edukacyjną. Jak dotąd dotarła do trzydziestu jeden milionów rodzin z informacjami na temat negatywnych doświadczeń w dzieciństwie oraz ich szkodliwego wpływu na zdrowie i sposobów leczenia. Uczestniczy w tym nawet *Ulica Sezamkowa*. Ten popularny

program zawiera szereg strategii radzenia sobie z trudnościami przeznaczonych dla dzieci z traumatycznymi doświadczeniami, a Ciasteczkowy Potwór pokazuje uspokajające ćwiczenia oddechowe. Nowe przepisy w Kalifornii przewidują prowadzenie ogólnostanowych badań przesiewowych pod kątem ACE – to model, który powinny przyjąć wszystkie stany.

– Nie postuluję trzymania naszych dzieci pod kloszem ani rozpieszczania ich od samego początku, lecz chcę im pomóc iść przez świat i nauczyć je, jak się mierzyć z wyzwaniami – powiedziała doktor Burke Harris. – Wielkim pytaniem, przed którym stoimy jako naród, jest to, czy Stany Zjednoczone wciąż będą stwarzały szanse dla każdego, czy nie.

Około trzynastu milionów amerykańskich dzieci żyje w ubóstwie. Jeśli spojrzeć na dochody ich rodzin w przeliczeniu na osobę, może się okazać, że zgodnie z ogólnoświatowymi definicjami mniej więcej dwa miliony z nich żyją w skrajnym ubóstwie (mowa o gospodarstwach domowych, gdzie dochód wynosi mniej niż około dwóch dolarów na głowę dziennie). Te dzieci byłyby uznawane za skrajnie ubogie, gdyby mieszkały w Kongu albo Bangladeszu, a jednak mieszkają tu, w Stanach Zjednoczonych. Nie chcemy wyolbrzymiać tego porównania – kongijskie dzieci nie mają zazwyczaj dostępu do bonów żywnościowych, szpitalnych oddziałów ratunkowych ani przykościelnych banków żywności i jadłodajni dla ubogich – ale to i tak szokujące, że zgodnie z oficjalnymi definicjami część amerykańskich dzieci jest skrajnie uboga nawet jak na standardy Bangladeszu. W Stanach Zjednoczonych jest takich dzieci znacznie więcej niż w innych krajach rozwiniętych (w Niemczech właściwie ich nie ma). To po części konsekwencja reformy opieki społecznej z 1994 roku, która definitywnie obcięła świadczenia dla części rodzin – miała uderzyć w dorosłych wyłudzaczy, lecz okazała się druzgocąca także dla ich dzieci[43].

Polityka społeczna jest skomplikowana, dobre intencje przynoszą czasami niezamierzone skutki[44]. Istnieją jednak skuteczne sposoby, by pomagać dzieciom, poczynając od wizyt domowych, a kończąc na programach edukacyjnych we wczesnym dzieciństwie. Działania zapobiegające ubóstwu osób starszych odniosły ogromny sukces: od połowy lat sześćdziesiątych liczba seniorów żyjących poniżej progu ubóstwa spadła gwałtownie o dwie trzecie. Czasami jednak wydajemy więcej pieniędzy publicznych na hospitalizację osiemdziesięciolatka niż na całą edukację dziecka. Powiedzmy to sobie wprost: Stany Zjednoczone jako naród są winne zaniedbania dzieci. Karzemy je przede wszystkim dlatego, że nie głosują. Tymczasem inne kraje oferują rodzinom z dziećmi wizyty domowe, płatne urlopy rodzicielskie i comiesięczne dodatki pieniężne właśnie po to, by zmniejszyć ubóstwo.

Angus Deaton, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, który razem z koleżanką z Princeton, profesor Anne Case, wykonał niezwykle ważną pracę poświęconą „śmierci z rozpaczy" w Stanach Zjednoczonych, mówi, że rewelacje na temat skrajnego ubóstwa w Stanach Zjednoczonych skłoniły go do zmodyfikowania własnej działalności dobroczynnej i częstszego wspierania potrzebujących w kraju. „Są miliony Amerykanów, których cierpienie spowodowane ubóstwem materialnym i słabym zdrowiem jest równie wielkie albo i większe niż cierpienie ludzi w Afryce lub w Azji"[13].

Wymowne i żenujące jest to, że Stany Zjednoczone przez lata były jedynym krajem na świecie oprócz Somalii i Sudanu Południowego, który nie ratyfikował Konwencji o prawach dziecka. To się już zmieniło: teraz Stany Zjednoczone są *jedynym* narodem, który nie zadał sobie trudu, żeby ją ratyfikować. Może to tylko symboliczny gest, lecz oto coś głęboko prawdziwego: dzieci stanowią prawie jedną trzecią Amerykanów żyjących w ubóstwie i co noc około stu piętnastu tysięcy tych dzieci nie ma domu w najpotężniejszym kraju na świecie.

Czy skoro w wypadku Amber i Andrei – podobnie jak w wypadku bardzo wielu innych osób – nie wykorzystano tego ważnego momentu w dzieciństwie, kiedy można im było pomóc, istniały jakieś sposoby, by poratować je w dorosłym życiu? Pracodawcy zazwyczaj zwalniają pracowników mających kłopoty, zamiast posyłać ich na leczenie – a ci przypłacają to utratą ubezpieczenia zdrowotnego. Być może jednak postawy pracodawców się zmieniają, między innymi dlatego, że uzależnienie mocniej zakorzenia się w miejscach pracy. W przeprowadzonym w 2017 roku sondażu z udziałem pięciuset średnich i dużych pracodawców w całym kraju siedemdziesiąt procent z nich stwierdziło, że odczuli skutki zażywania leków na receptę, na przykład dlatego, że ich podwładni nie przychodzili do pracy, mieli pozytywne wyniki testów na obecność narkotyków w organizmie albo stosowali środki przeciwbólowe[14]. Podobny odsetek pracodawców oświadczył także, że chciałby pomóc pracownikom wrócić do pracy po leczeniu.

W wieku trzydziestu dziewięciu lat Amber Knapp próbowała zacząć od nowa. Spotkaliśmy się z nią w parku niedaleko ośrodka resocjalizacji, w którym mieszkała, a ona przyniosła alkomat. W połowie naszej rozmowy, zgodnie z harmonogramem, musiała w niego dmuchnąć. Wyjaśniła, że jeśli obleje test na obecność narkotyków albo badanie trzeźwości, wróci do więzienia na dwadzieścia sześć miesięcy.



Na zwolnieniu warunkowym Amber Knapp musiała regularnie używać alkomatu, by udowodnić, że nie piła alkoholu. Przyglądała się temu jej córka

Fot. Lynsey Addario

Po pracy na stanowisku kierowniczym w korporacji Amber czuła ogromny wstyd, będąc osobą z wyrokiem na koncie i zmagającą się z uzależnieniem. Powiedziała, że dąży do zbudowania pięcioletniej historii trzeźwości i niekaralności: żadnych narkotyków, żadnego alkoholu, żadnych konfliktów z prawem. Dzięki temu miałaby większe możliwości zawodowe, na przykład mogłaby wrócić do informatyki.

Życie Amber to rollercoaster. Gdy się nad nim zastanawiała, upatrywała przyczyn swoich problemów w mrocznym dzieciństwie.

– Kiedy wychowujesz się w chaosie i często masz z nim styczność, twoje ciało dostosowuje się do tego stanu rzeczy – powiedziała. – W zasadzie sama tworzyłam chaos, żeby poczuć się normalnie. – Amber odwróciła się do swojej córki, uderzająco pięknej czternastolatki, i pokręciła głową. – Nie idź tą drogą – powiedziała ponuro. – Jesteś bardziej podatna niż ktoś, kto nie ma uzależnionych rodziców.

Pożegnaliśmy się z Amber pełni nadziei. Była tak bystra i samoświadoma, że wydawało się, iż ma spore szanse, by

przezwyciężyć problemy, wrócić do korporacyjnego świata i zostać mamą, jaką chciała być. Potem wymieniliśmy kilka wiadomości na temat zdjęć i innych spraw, aż nagle przestała odpisywać. Wreszcie odpowiedziała nam jej córka: Amber oblała test na obecność narkotyków i wróciła do więzienia na następne dwa lata. Dzieci znowu znalazły się na linie. Nie bardzo wiedziały, co się z nimi stanie, a świat wokół nich kolejny raz pogrążył się w chaosie.

18

Wychowywanie dzieci z problemami

> Postępuj tak, byś człowieczeństwa tak w twej osobie, jako też w osobie każdego innego używał zawsze zarazem jako celu, nigdy tylko jako środka[1].
>
> Immanuel Kant

Jeśli Stany Zjednoczone mają swoją Matkę Teresę, to jest nią Annette Dove, sześćdziesięcioczterolatka z borykającego się z problemami miasteczka Pine Bluff w stanie Arkansas. Pine Bluff, nazywane kiedyś „najbardziej niebezpiecznym miasteczkiem w Ameryce”, zamieszkują przede wszystkim ludzie czarni i ubodzy. Annette, krępa i pełna determinacji Afroamerykanka, nie zawsze miała poczucie misji. W liceum się zakochała, a potem zaszła w ciążę. Rzuciła szkołę w wieku szesnastu lat i wyszła za swojego siedemnastoletniego chłopaka, który jeździł furgonetką z lodami.

– Nie widziałam świata poza nim – wspomina.

Nie trwało to jednak długo. Jej mąż pochodził z trudnego środowiska i brał narkotyki, przez co nie było mu łatwo utrzymać się w pracy. Był też dominujący i zaczął stosować przemoc fizyczną. Pewnego dnia, gdy Annette była w ciąży z drugim dzieckiem, imprezował przez całą noc, a rano wrócił, żeby się wykąpać. „Gdzie byłeś?” – spytała. Pokłócili się. W przypływie wściekłości pchnął ją na ścianę. Obawiając się o siebie i nienarodzone dziecko, Annette złapała ciężką lampę i uderzyła go w głowę. Zakrwawiony upadł na podłogę, a serce Annette na moment stanęło. „Zabiłam go” – pomyślała. Po chwili zamroczony mężczyzna zaczął się podnosić, ale dla niej to było za wiele. Zanim zdołał się pozbierać, odeszła od niego.



Annette Dove, z prawej, spotyka się z pewną rodziną w ramach swojej działalności. Przyniosła żywność dla dzieci. W domu mieszka trzynaście osób

Fot. Lynsey Addario

Annette zdobyła dyplom z edukacji specjalnej i podjęła pracę jako nauczycielka ubogich dzieci w szkole publicznej. Zyskała uznanie za skuteczne zmienianie życia podopiecznych. Udział w jej zajęciach specjalnych przestał być stygmatyzujący i stał się wysoko ceniony, co nie uszło uwagi kuratorium oświaty. Annette wyszła za uwielbianego kuratora sądowego, Williama Dove'a juniora, i zaczęli razem pomagać okolicznym dzieciom, nierzadko goszcząc u siebie te, które nie miały dachu nad głową.

Pewnego dnia Annette nie mogła znaleźć męża w domu. Chodziła po pokojach, wołając go, aż w końcu natknęła się na martwego Williama w łazience. Umarł na zawał. Zdruzgotało ją to zarówno emocjonalnie, jak i finansowo, lecz śmierć męża przypomniała jej także o jej własnej śmiertelności i życiowych celach. Dlatego z trojgiem dzieci w wieku szkolnym Annette rzuciła dobrze płatną pracę, znalazła stary, niszczejący dom zbudowany w XIX wieku, przeprowadziła generalny remont z pomocą mężczyzny, który podarował jej drewno, okna oraz drzwi, zebrała swoje oszczędności i dorzuciwszy do nich

trochę datków, otworzyła TOPPS – wspomnianą już organizację non profit. Annette dostaje pewne wsparcie finansowe od różnych fundacji i lokalnych władz, lecz TOPPS zawsze działa z dnia na dzień. Raz nawet musiała ogłosić upadłość konsumencką, by jej organizacja mogła dalej funkcjonować.

TOPPS to między innymi pozaszkolny program dla nastolatków, które nie mają gdzie się podziać po lekcjach, a ich życie upływa w chaosie i niedostatku. Przychodzą do placówki codziennie po południu, szukając tam rozrywki i czegoś do jedzenia. To właśnie TOPPS pomogło Ke'Niyi, najmłodszemu z siedemnaściorga dzieci państwa Davisów, dowiedzieć się czegoś więcej na temat nauki w college'u. I to w kolejce po jedzenie w TOPPS Annette poznała uroczego dziewięcioletniego Emmanuela Lastera.

Gibki czarnoskóry chłopiec z krótko ostrzyżonymi włosami, policzkami cherubinka i błyszczącymi oczami rzucał się na każdy kęs, jaki mu proponowano. Annette złożyła wizytę w jego domu i odkryła, że Christine, matka chłopca, jest wyniszczona przez narkotyki, a on sam często włóczy się samopas. Dlatego zaczęła mu zlecać różne zadania – wynoszenie śmieci, zamiatanie, przycinanie krzewów – i płaciła mu, by mógł zarobić na jedzenie. Emmanuel i jego rodzina nieustannie się jednak przeprowadzali, ponieważ co rusz ich eksmitowano. Chłopiec znikał na całe miesiące, a potem wracał – i zaczął wyrastać na tykowatego, niezgrabnego w ruchach nastolatka. To niebezpieczny wiek dla ubogich czarnych chłopców w Stanach Zjednoczonych.

Emmanuel miał trzynaście lat, gdy Annette pierwszy raz zaprowadziła nas do jego domu. Był to stary biały drewniany budynek z werandą i zepsutymi drzwiami, które się nie domykały. Annette wyjaśniła, że to melina, gdzie ludzie zaglądają, by kupić i zażyć narkotyki. W środku cuchnęło marihuaną. Było ciemno, ponieważ zaciągnięto wszystkie rolety i zasłony, a meble i ściany wyglądały na zniszczone.

W zlewozmywaku stało pełno brudnych naczyń, których najwyraźniej nie dotykano od wielu dni. Nigdzie nie było śladu jedzenia.

– Po prostu chodzę głodny – wyjaśnił nam Emmanuel.

Miał na sobie czarną koszulkę i wyglądał na zwyczajnego, pogodnego chłopaka. Pochwalił się nam, że zbiera w szkole szóstki i piątki. Spytaliśmy, co chce robić, gdy dorośnie, a on na chwilę zamilkł i się rozmarzył.

– Chciałbym pójść do college'u. Byłbym pierwszy w rodzinie. Chcę zostać policjantem, strażakiem albo sędzią – odpowiedział. Przyznał jednak, że w jego domu nie ma ani jednej książki.

Okoliczne gangi parają się handlem narkotykami i zaczynają rekrutować chłopców, gdy ci mają po trzynaście–czternaście lat. Emmanuel powiedział, że nie należy do gangu, ale raz go aresztowano za kradzież w sklepie.

– Więcej tego nie zrobię – dodał zawstydzony. Powiedział nam, że jego koledzy noszą noże do obrony, ale on nie. Na razie.

Wtedy zjawiła się jego matka i Annette nas sobie przedstawiła. Christine jest oszpecona przez czyraki i bąble na skórze. Powiedziała, że od wielu lat zmaga się z uzależnieniem od narkotyków. Krótko chodziła do szkoły i z trudem zapisała dla nas swoje imię. Spytaliśmy o media w domu, a wtedy oznajmiła z dumą, że jest prąd, mimo że nie płaci rachunków.

– Właśnie po to trzymam za domem pitbulla – wyjaśniła, wskazując tylną ścianę. – Wredna bestia. Drogi w utrzymaniu, ale dzięki niemu ludzie z elektrowni trzymają się z daleka i nie mogą nam odciąć prądu.

Pitbull przydaje się także, gdy trzeba przepłoszyć komorników, którzy regularnie zjawiają się po meble kupowane na raty. Christine lubi kupować w ten sposób –

potem przestaje płacić, licząc na to, że komornicy nie odważą się stawić czoła jej psu.

Emmanuel zaprowadził nas do swojego pokoju, do którego wiódł ciemny korytarz z boku domu, oddalony od salonu, gdzie ludzie odsypiają po zażyciu narkotyków, i dzięki temu trochę bezpieczniejszy. Stało w nim ładne łóżko i komoda do kompletu, a poza tym nie panował tam taki brud jak w innych pomieszczeniach. Były tam też trzy telewizory: dwa z dużym ekranem i jeden mniejszy.

– Ten nie działa – wyjaśnił Emmanuel, gdy o nie spytaliśmy. – A po ten lada dzień ktoś przyjdzie.

Zobaczyliśmy tam obraz chaotycznego, pełnego sprzeczności świata amerykańskiego ubóstwa: trzy telewizory, pitbull, brak jedzenia, duży zamęt. Choć ubodzy Amerykanie mogą mieć kolorowy telewizor i dostęp do szpitalnych oddziałów ratunkowych, mają też średnią długość życia podobną do tej w Mongolii, wskaźnik zabójstw wyższy niż w Rwandzie oraz najwyższy na świecie wskaźnik inkarceracji[2]. Na każdym kroku podczas swojej podróży, zarówno w białych społecznościach, jak i w czarnych, w miastach i na wsi, w domach takich dzieci jak Emmanuel zastawaliśmy podobną sytuację: bałagan, dysfunkcje, rozpacz i zagrożenie.

Misja Annette Dove polega na opiekowaniu się dziećmi podobnymi do Emmanuela, dbaniu, by chodziły do szkoły oraz trzymały się z dala od gangów i narkotyków, a także na zapewnieniu im wsparcia, jakie dostają ich rówieśnicy z domów klasy średniej. Tym, co przyciąga dzieci, są jedzenie, gry, kluby młodzieżowe i wycieczki terenowe. Annette skupia się zwłaszcza na mentorowaniu chłopcom, którzy nie mają ojców, i przekazywaniu im kompetencji, jakie dostają od ojców ich rówieśnicy z klasy średniej. Kluby mentorskie uczą chłopców, by siedzieli prosto, patrzyli rozmówcy w oczy i byli punktualni, potrafili zawiązać krawat i opanowali inne umiejętności, które pomagają zdobyć dobrą pracę. Dyskutuje

się z nimi o kontroli narodzin, alkoholu i randkach, a także o tym, jak poznać, czy dziewczyna chce być całowana – oraz dlaczego nie jest fajnie całować dziewczynę, która sobie tego nie życzy.

– Uczymy, że lepiej trzymać dziewczynę za rękę, zamiast ją łapać i dotykać po całym ciele – wyjaśnił Mike Dove, syn Annette, który nadzoruje programy mentorskie dla chłopców, mimo że musi dojeżdżać z Dallas, gdzie jest agentem federalnym Departamentu Pracy.

W czasie naszej wizyty prezydent Trump właśnie bronił sprośnych uwag pod adresem kobiet, nazywając je gadkami z męskiej szatni, więc spytaliśmy kilku chłopców z grupy, co by się stało, gdyby któryś z nich rzucił „szatniową” uwagę na temat jakiejś dziewczyny. Osłupieli.

– Robiłby pompki za karę – powiedział Devonta Brown, kręcąc z powagą głową. Wyjaśnił, że chłopcy nauczyli się lepszych manier.



Annette Dove pracuje w Pine Bluff w stanie Arkansas, zamieszkanym głównie przez Afroamerykanów, gdzie brakuje dobrych miejsc pracy i stoi wiele zniszczonych domów takich jak ten

Fot. Lynsey Addario

Devonta dołączył do programu jako nękany problemami czwartoklasista, a teraz był przewodniczącym ostatniej klasy w liceum, miał średnią 4,0 i wybierał się do college'u.

Oczywiście nie zawsze działa to tak gładko. Annette namawia Emmanuela Lastera, by codziennie przychodził na spotkania po szkole, i oferuje mu pięć dolarów za każdą książkę, którą przeczyta i streści na piśmie. Przez jakiś czas łapówki zdawały egzamin i chłopak był pełen zapału, lecz potem odciągnęli go imprezowi koledzy i przyłapano go na kradzieży płyty kompaktowej w sklepie muzycznym. Emmanuel wydawał się skruszony i przysiągł, że nigdy więcej niczego nie ukradnie. Przez jakiś czas zjawiał się regularnie – potem jednak jego rodzinę eksmitowano i znowu zniknął. Annette czuje się jak ktoś, kto bierze udział w zawodach w przeciąganiu liny, w których nagrodą jest Emmanuel, a rywalami są uliczne gangi – i na razie nie ma pewności, kto wygra.

Annette wkłada całe serce w TOPPS. Przeniosła organizację do większego budynku, pracuje siedem dni w tygodniu i zdarza jej się sięgać do swoich prywatnych oszczędności na emeryturę, by inwestować w dzieci. Reszta jej rodziny też jest w to zaangażowana. Jedna z córek, Raychelle Grant, rzuciła pracę w dziale finansowym szpitala w Little Rock, by pomagać w TOPPS, gdzie obecnie zajmuje się księgowością i koordynuje między innymi coroczny październikowy program zwiększania świadomości na temat raka piersi. Kasee Dove, druga córka Annette, jest specjalistką IT i pomaga prowadzić szkolenia z grafiki w TOPPS. W roku szkolnym Annette codziennie zapewnia obiad około trzystu dzieciom. Latem podaje śniadanie i lancz nawet siedmiuset osobom dziennie. Większość z nich mieszka w dzielnicach o wysokiej przestępczości, gdzie roi się od porzuconych i spalonych domów.

Przed niedawnymi wyborami Mike Dove poświęcił czas, by wyjaśnić osiemnastolatkom, jak należy się zarejestrować,

żeby wziąć udział w głosowaniu, i dlaczego powinni brać udział nie tylko w wyborach prezydenckich. Mike pozostaje w bliskim kontakcie ze stu pięćdziesięcioma uczniami korzystającymi ze wsparcia TOPPS, pisząc każdego dnia w miesiącu do innej pięcioosobowej grupki.

Dwa lata po naszej pierwszej wizycie, gdy Emmanuel miał piętnaście lat, znów się z nim skontaktowaliśmy. Od naszego ostatniego spotkania przeprowadzał się z matką jeszcze kilkakrotnie. Raz ich dom spłonął i stracili cały dobytek: zdjęcia rodzinne, świadectwa szkolne, ubrania i buty. Emmanuel przyznał ściszonym głosem, że pięć razy był w poprawczaku. Mówił, że nie ma pistoletu i nigdy go nie użył, ale wyglądało na to, że obraca się w środowisku przestępczym. Był na zwolnieniu warunkowym, które miało trwać do jego szesnastych urodzin latem 2019 roku.

– Pakował się w kłopoty, bo zadawał się z niewłaściwymi ludźmi – wyjaśniła jego matka.

– Czegoś cię to nauczyło? – spytała go Annette.

– Tak, proszę pani – odpowiedział.

– Siedzenie w więzieniu to nic dobrego – ostrzegła go matka.

– Za co cię zamknęli? – spytała Annette.



Emmanuel Laster i jego matka rozmawiają z Annette Dove, którą widać na pierwszym planie. Annette rozpaczliwie stara się trzymać Emmanuela z dala od gangów i skierować go do college'u

Fot. Lynsey Addario

– Za kradzież w sklepie – powiedział zawstydzony. Oznajmił, że jeśli zdąży zrobić badania przed rozpoczęciem treningów, zapisze się do drużyny futbolu amerykańskiego.

– Jeśli potrzebujesz pomocy związanej z pracą i tego rodzaju sprawami, koniecznie daj nam znać, dobrze? – poprosiła go Annette. – Bo skoro chcesz grać w futbol, musisz poprawić oceny. Nie pozwolą ci trenować, jeśli będziesz miał słabe stopnie.

– Dobrze, proszę pani.

Emmanuel wspomniał, że jego ojciec, mieszkający teraz w Teksasie, miał mu przysłać parę butów do szkoły, ale jak dotąd buty nie przyszły. Annette spytała go o rozmiar, wiedziała jednak, że kupowanie mu czegokolwiek jest ryzykowne. Raz odwiedziła go wkrótce po tym, jak kupiła mu różne rzeczy, i odkryła, że chłopak nie ma już żadnego z nowych ubrań, które od niej dostał. Prawdopodobnie je zwrócił i wziął pieniądze. Gdy następnym razem wszyscy troje poszli kupić buty, Christine chciała zabrać paragon. Annette

wyjaśniła, że jest jej potrzebny. Mimo wszystko ciągle próbuje odbudować więź z Emmanuelem, który wciąż wykręca się od odwiedzania jej – mówi, że zgubił jej numer albo że nie mógł przejechać rowerem po odłamkach szkła na ulicach niedaleko siedziby jej organizacji. Chłopak wciąż jednak twierdzi, że chciałby iść do college'u, być może za pośrednictwem Korpusu Szkolenia Oficerów Rezerwy (ROTC), by studiować informatykę, a Christine powtarza, że pragnie zobaczyć, jak jej syn odbiera świadectwo ukończenia liceum.

Gdy Annette organizowała dla części wychowanków wycieczkę na Florydę, chciała, by pojechał także Emmanuel. Z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem oznajmiła jego matce, że chłopak będzie potrzebował trochę pieniędzy na jedzenie na pięć dni, a potem wielokrotnie zlecała Emmanuelowi różne prace, by mógł odłożyć pewną kwotę. W dniu wyjazdu matka przyprowadziła go do TOPPS o dziesiątej rano, zamiast zgodnie z planem o dziesiątej wieczorem. Gdy Annette spytała o pieniądze na jedzenie, Christine odrzekła, że chłopak ma trzydzieści pięć centów. Poirytowana Annette kazała jej przyprowadzić syna ponownie wieczorem i dać mu więcej pieniędzy. O dziesiątej wieczorem pracownik TOPPS zauważył chłopca stojącego na zewnątrz w strugach deszczu. To był Emmanuel – bez grosza przy duszy.

– Nie będę jadł, pani Dove – zapewnił ją. – Tylko z wami pojadę.

Podczas wycieczki zauważyła, że ma nogi na butach zamiast buty na nogach. Myślała, że chłopak się tylko wygłupia. Okazało się jednak, że to jedyne buty, jakie miał, i zdążył z nich wyrosnąć.

Annette z rosnącym zaniepokojeniem patrzyła, jak Emmanuel zbacza z drogi, którą miała nadzieję go pokierować. Czuła frustrację, gdy mimo poświęcania mu tak wielkiej uwagi, mimo usilnych prób niesienia mu pomocy raz po raz dochodziła do ściany. Kiedyś ukradł należącą do TOPPS grę wideo – Annette znalazła ją w jego plecaku.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała. – Zabierasz tę grę innym dzieciom.

– Nigdy więcej tego nie zrobię, pani Dove – obiecał.

Annette rozszerzyła TOPPS na trzynaście programów. Najstarsze i najbystrzejsze dzieci skończyły TOPPS i poszły do college'u – jak dotąd jest ich około czterdzieściorga, często wychowujących się w rozbitych, dysfunkcyjnych rodzinach takich jak rodzina Emmanuela.

– Wozimy ich na dni otwarte, by mogli zobaczyć różne uczelnie – powiedziała Annette. – Płacimy za nich wpisowe, a potem rozmawiamy z nimi o tym, dlaczego uczą się w college'u. Wtedy jest większe prawdopodobieństwo, że go skończą.

Mike Dove prowadzi program o nazwie DREAMS, w którym uczniowie mogą zdobyć wyobrażenie na temat college'u i rozmaite umiejętności, jakich nie posiądą w szkole ani w domu: uczą się, jak pisać wnioski o stypendia, jak utrzymywać dobrą zdolność kredytową, jak zarządzać budżetem, żeby się nie spłukać, czego się spodziewać, gdy żyje się na własną rękę, jak się utrzymać w college'u. TOPPS pomaga pokryć wydatki i oferuje przygotowanie do egzaminów wstępnych. Wielu absolwentów TOPPS wraca, by pomóc nowym uczniom: podczas naszej wizyty pewien opanowany i elokwentny student medycyny przyszedł poprowadzić zajęcia dla licealistów przygotowujące do college'u.

Annette mówi, że czasami odchodzi od zmysłów, próbując pomóc dziecku z problemami. Pewien chłopiec był tak agresywny, że oznajmiła jego matce, iż zwyczajnie nie może go przyjąć do TOPPS. Gdy matka się rozpłakała, Annette przyjęła go z powrotem i pracowała z nim, powoli przeciągając go na swoją stronę. Teraz ten wychowanek pracuje w ośrodku szkoleń zawodowych i mówi, że chce się zajmować projektowaniem graficznym.

Martino Green także skorzystał z mentorskiej pomocy Annette i Mike’a. Gdy miał jedenaście lat, jego matka zmarła w czasie ciąży, osierocając jego i jego braci. Dyrektor szkoły zorganizował dla nich zbiórkę pieniędzy i rodzeństwo zamieszkało z babcią, która zarabiała na życie, sprzedając cukierki i marynaty. Ostro piła i często złościła się na chłopców, mówiąc im, że są nic niewarci, oraz dając im „manto” karniszem albo kijem od szczotki. Od jedenastego do piętnastego roku życia Martino przeprowadzał się dziesięć razy, ponieważ jego babci albo nie było stać na czynsz, albo się bała, że chłopcy dadzą się wciągnąć do gangu i w narkotyki. Właśnie w tym okresie Martino poznał Annette i TOPPS. Mówi, że to zmieniło jego życie.

– Annette była dla wszystkich jak mama – powiedział. – Jej program naprawdę mi pomógł wyrosnąć na człowieka, którym dzisiaj jestem. Ci ludzie zawsze stoją po mojej stronie. – Dzięki TOPPS mógł jeździć na wycieczki do Georgii, Luizjany, Wisconsin i Minnesoty. – Gdyby nie Annette i ten program, prawdopodobnie nigdy nie zobaczyłbym niczego oprócz Pine Bluff w stanie Arkansas – powiedział.

Gdy Martino miał piętnaście lat, przeprowadził się z braćmi do trzypokojowego mieszkania. Starsze rodzeństwo zdobyło pracę i opłacało czynsz oraz najważniejsze rachunki, a ponadto codziennie podwoziło Martina do szkoły. Chłopak skończył liceum i przez rok próbował studiować w college’u, jednocześnie pracując, lecz był zbyt zmęczony, by nadążyć z nauką, a bez pracy nie było go stać na czesne. Potem poszedł w ślady starszego brata i przez cztery miesiące służył w Gwardii Narodowej Stanów Zjednoczonych, między innymi po to, by zapłacić za college, lecz jego zainteresowanie nauką osłabło i zdobył pracę w Lowe’s, a później w więzieniu stanowym. Tymczasem brat został policjantem, więc Martino też poszedł do akademii policyjnej. W wieku dwudziestu dwóch lat funkcjonariusz Martino Green znalazł swoje powołanie.

– Uwielbiam swoją pracę – powiedział nam.

Patroluje ulice, starając się zapobiegać rabunkom i innym przestępstwom. Gdy pierwszy raz zjawił się w TOPPS w mundurze policyjnym, Annette krzyknęła z radości, że tak daleko zaszedł. Teraz Martino pracuje w TOPPS jako wolontariusz, pomagając Mike'owi i trenując dziecięcą drużynę futbolu amerykańskiego. Planuje też zdobyć dyplom college'u, by móc dołączyć do federalnych służb porządkowych i zarabiać więcej niż obecne piętnaście dolarów za godzinę. Studiuje trzy kierunki w tym samym dwuletnim college'u, w którym Ke'Niya uczy się online.

– Nie lubię szkoły, ale umiem się przemóc – powiedział, i taką samą opinią dzieli się z uczniami, których szkoli w TOPPS. – Wiem, że aby osiągnąć swój najważniejszy cel w życiu, muszę się uczyć.

To frustrujące, że tak trudno jest zdobyć środki finansowe na zajęcia pozaszkolne w rodzaju tych organizowanych przez Annette. Rządy znacznie chętniej płacą za więzienia niż za inicjatywy zapobiegające przestępczości. Matka Kennetha Reamsa, młodego czarnoskórego mężczyzny z Pine Bluff, urodziła go jako piętnastolatka. Chłopak miał kłopoty z nauką, uciekł z domu w wieku trzynastu lat i zszedł na drogę przestępstwa. Rozpaczliwie potrzebował takiego przewodnictwa, jakie oferuje Annette, lecz tylko gangi wyszły mu naprzeciw. W 1993 roku, w wieku osiemnastu lat, pomógł przyjacielowi, Alfordowi Goodwinowi, obrabować mężczyznę wypłacającego pieniądze z bankomatu, ponieważ Goodwin potrzebował pieniędzy na biret i togę na ceremonię ukończenia liceum. Rabunek się nie udał, a co gorsza, Goodwin miał przy sobie trzydziestkędwójkę, z której zastrzelił Gary'ego Turnera, białego mężczyznę. Goodwin przyznał się do winy i został skazany na dożywotnie więzienie, a Reams, który się nie przyznał, dostał wyrok śmierci za współudział, mimo że to nie on trzymał pistolet. W ciągu dwudziestu pięciu lat adwokaci Reamsa wnosili

niezliczone apelacje, nim w 2018 roku Sąd Najwyższy Arkansas uchylił karę śmierci, orzekając, że oskarżony miał nieskutecznego obrońcę[3]. Arkansas poświęciło ponad milion dolarów, by rozstrzygnąć sprawę i płacić za pobyt Reamsa w więzieniu, a jednocześnie nie przeznaczyło prawie żadnych środków na takie programy jak TOPPS Annette, które zawracają dzieci stojące u progu przestępczości. Sprawa Reamsa w tragiczny sposób przypomina, co się może zdarzyć, gdy dziećmi w takich miejscach jak Pine Bluff interesują się tylko gangi: w tym wypadku Turner został zamordowany, Reams spędził dwadzieścia pięć lat w celi śmierci, a Arkansas poświęciło cenne dolary z podatków na więzienia, policję, prawników i sądy, zamiast edukować dzieci i kierować je na przykład ku karierze w policji, zamiast ku przestępczości.

Ponieważ koszt przestępczości jest bardzo wysoki, są dowody na to, że takie programy jak TOPPS, skupione na zagrożonych dzieciach, mogą przynosić ogromne zyski. Już jedno randomizowane kontrolowane badanie poświęcone podobnemu programowi – Becoming a Man, realizowanemu w Chicago – pokazało, że zmniejszył on liczbę aresztowań za przestępstwa z użyciem przemocy o mniej więcej połowę i zwiększył odsetek osób kończących szkołę o jakieś piętnaście procent. Każdy dolar zainwestowany w takie programy pozwolił później zaoszczędzić aż trzydzieści dolarów[4]. Powinno się upowszechniać tego typu działania w całym kraju, by pomóc młodym ludziom i samemu państwu.

Trwa nieustająca debata na temat takich inicjatyw prywatnych jak TOPPS. Konserwatyści zazwyczaj uwielbiają tego rodzaju prywatne działania dobroczynne, podczas gdy część liberałów dostrzega w nich przede wszystkim wartość symboliczną i pełnienie funkcji, które powinny być domeną państwa. Naszym zdaniem potrzebujemy zarówno wsparcia ze strony państwa, jak i prywatnych działań dobroczynnych.

Liberałowie mają rację, że rządy muszą uczestniczyć we wspieraniu dzieci i że nie możemy po prostu zostawić tego

zadania organizacjom charytatywnym. Wyobraźmy sobie, co by było, gdybyśmy spróbowali polegać na wolontariuszach i dobroczynności, budując system dróg międzystanowych. Potrzebujemy wydziałów do spraw autostrad i pieniędzy z podatków, by zaplanować krajową infrastrukturę i w nią inwestować, mimo że przecież nie wszyscy korzystają z autostrad. Potrzebujemy też rządów federalnych, stanowych i lokalnych, by inwestować w kapitał ludzki Stanów Zjednoczonych oraz pomagać zagrożonym dzieciom, by mogły kroczyć właściwą drogą. Jednak podczas gdy my czekamy, aż rządy staną na wysokości zadania, konserwatyści słusznie chwalą takie organizacje dobroczynne jak TOPPS Annette Dove, pomagające dzieciom dostać się do college'u i wyplątujące je z gangów. Oddolne inicjatywy pomocowe podejmowane przez kościoły albo miejscowych liderów dysponują wiedzą o miejscowych potrzebach i akceptacją środowiska, które bardzo dużo znaczą. Lokalne wulkany energii, takie jak Annette, wiedzą, kto potrzebuje pieniędzy, komu podać pomocną dłoń, a komu należy się kopniak w tyłek.

Annette nie rozwiąże sama problemu ubóstwa w Stanach Zjednoczonych, lecz jest największą nadzieją Emmanuela Lastera. Powinniśmy ją za to szanować – oraz docenić wszystkie inne Annette w kraju, prowadzące jadłodajnie dla ubogich i darmowe przychodnie, schroniska dla bezdomnych i telefony zaufania dla potencjalnych samobójców. Bez względu na to, czy mówimy o pieniądzach publicznych czy prywatnych, inwestycje przynoszące w Stanach Zjednoczonych największy zysk to nie fundusze hedgingowe ani prywatne fundusze inwestycyjne, lecz inwestycje w amerykańskie dzieci.

19

Więcej specjalistów od ucieczek

> Jeśli dopisało ci szczęście i dobrze ci się powodzi, odeślij windę z powrotem na dół.
>
> Craig Newmark, założyciel serwisu Craigslist

W 2011 roku wielebna Diane Reynolds była wyczerpana emocjonalnie, ponieważ co rusz odprawiała ceremonie pogrzebowe młodych ludzi, którzy umierali przez narkotyki. Gdy wracała samochodem z jednego z takich pogrzebów w McMinnville i słuchała w radiu saksofonisty Kenny'ego G, nagle się rozpłakała. Pamięta, że powiedziała wtedy do Boga: „Musisz coś z tym zrobić, bo pęknie mi serce, jeśli nie znajdę innego rozwiązania niż tylko odprowadzanie tych młodych ludzi na wieczny spoczynek".

Było jej tak smutno, że zjechała na pobocze i zaparkowała na jakiejś spokojnej ulicy. Oferowano tam na wynajem małe pomieszczenie i na ogłoszeniu był numer telefonu. W jej głowie zaczęła kiełkować pewna myśl. Wielebna połączyła się z tym numerem i spytała o pokój do wynajęcia. Miał jakieś trzydzieści metrów kwadratowych i mieścił się w suterenie. Mąż Diane przyjechał, by rzucić na niego okiem, a potem spotkali się z właścicielem i wynajęli ten lokal za dwieście dolarów miesięcznie.

Diane nigdy nie żyło się lekko. Pochodziła z rodziny, w której co najmniej cztery pokolenia nadużywały alkoholu albo narkotyków, a gdy miała trzy lata, jej ojciec się ulotnił. Mówi, że w następnych latach matka spraszała do domu dziesiątki mężczyzn – niektórzy z nich wykorzystywali Diane, już od czasu, gdy miała cztery albo pięć lat. Jako najstarsze dziecko w rodzinie doświadczała napaści seksualnych, opiekowała się rodzeństwem, zmywała naczynia i sprzątała

w kuchni, lecz prawie w ogóle nie chodziła do szkoły. Mówi, że gdy miała dziewięć lat i zamierzała popełnić samobójstwo, połykając pigułki matki, nagle usłyszała szept, który przypisuje Bogu: „Możesz dorosnąć i pomagać ludziom w takich tarapatach jak ty teraz”. Postanowiła żyć dalej.

W wieku piętnastu lat Diane wyszła za znacznie starszego mężczyznę, który często ją bił. Urodziła mu czworo dzieci, a w ciągu szesnastu bolesnych lat doznała złamań żeber i innych obrażeń. Gdy przystawił jej do głowy pistolet, spakowała się, wsadziła dzieci oraz torby do samochodu i odjechała. Potem się z nim rozwiodła.

Mimo braku formalnego wykształcenia Diane znalazła pracę w Evergreen International Aviation w McMinnville. Tam zakochała się w mechaniku lotniczym, wyszła za niego i po trzydziestce zaczęła nowe życie. Wychowywała czworo dzieci i młodszą siostrę. Została wyświęconą kapłanką, lecz zawsze pragnęła pomagać dzieciom z problemami – takim, do jakich kiedyś sama należała. A w 2011 roku zatrzymała samochód i wynajęła pokój w suterenie.

– To był siedemnasty października – powiedziała Diane. – Otworzyliśmy osiemnastego, nie mając absolutnie żadnej konkretnej wizji, żadnego biznesplanu, tylko moje serce przekonane, że musimy coś zrobić.

Zaczęła od codziennego gotowania zupy dla ludzi z problemami, a potem rozszerzyła asortyment i serwowała pełne obiady. Niektórzy przychodzili tam tylko po to, żeby posiedzieć.

Osiem lat później Diane pomogła zmienić leczenie uzależnień w hrabstwie Yamhill, dodając do niego terapię grupową i poradnictwo rówieśnicze. Provoking Hope, nonprofitowa organizacja, która narodziła się w tamtej suterenie, zatrudnia teraz trzydzieści cztery osoby i pomaga siedmiu tysiącom ośmiuset ludziom rocznie, a ponadto obejmuje zasięgiem także inne miejsca w Oregonie. Provoking Hope pozwala hrabstwu zaoszczędzić pieniądze poprzez

zmniejszanie wydatków na więzienia oraz kosztów wizyt na szpitalnych oddziałach ratunkowych z powodu przedawkowania (każda taka wizyta kosztuje cztery tysiące dwieście dolarów). To model kolektywnego oddziaływania, opisany po raz pierwszy w 2011 roku przez Johna Kanię i Marka Kramera, którzy prowadzą FSG, zorientowaną na misję firmę konsultingową założoną przez Kramera i Michaela E. Portera w Harwardzkiej Szkole Biznesu[1]. Działanie takiego modelu polega na tym, że organizacje rządowe i dobroczynne, a nawet okoliczne przedsiębiorstwa skupiają swoje usługi na wspólnych celach, by rozwiązywać problemy nękające lokalne społeczności. Urząd do spraw Zdrowia i Opieki Społecznej hrabstwa Yamhill nawiązał współpracę z takimi wyspecjalizowanymi organizacjami wspólnotowymi jak ta założona przez Diane, by pomagać chorym ludziom, także tym cierpiącym na zaburzenia związane z nadużywaniem alkoholu i narkotyków. Departament współpracuje z organizacjami wychodzącymi naprzeciw osobom uzależnionym albo kobietom w ciąży, którym zapewnia opiekę położniczą. Pielęgniarki odwiedzają rodziny z nowo narodzonymi i małymi dziećmi, by wspierać rodziców w opiece nad nimi.

– Przedstawicielowi instytucji państwowej trudniej jest przyjść i nawiązać kontakt – powiedział Silas Halloran-Steiner, który kieruje tym departamentem. Dlatego hrabstwo płaci takim społecznikom jak pielęgniarki, by pomagali potrzebującym, a także rówieśnikom pełniącym funkcję doradców, by wspierali ludzi chcących przezwyciężyć uzależnienie. Wielu z tych doradców pokonało własne nałogi i dlatego są wiarygodni dla pacjentów. Celem takiego działania jest usunięcie barier zniechęcających ludzi do szukania pomocy.

Pewnego dnia wzięliśmy udział w programie partnerskim prowadzonym przez Provoking Hope dla mężczyzn wychodzących z uzależnienia. Był tam młody chłopak, który od razu wydał nam się liderem grupy: elokwentny, bystry, ambitny i zdeterminowany, by osiągnąć sukces w nowym

życiu bez narkotyków. Zachowywał się, jakby nas znał, ale nie dosłyszeliśmy jego nazwiska. Potem podszedł do nas szybkim krokiem i uścisnął nam ręce, mówiąc: „To ja, Drew!”.

Był to Drew Goff, syn Rykoszeta, naszego zmarłego przyjaciela oraz dobrego kumpla Kevina i Claytona Greenów. Gdy ostatnio o nim słyszeliśmy, Drew siedział w więzieniu i pisaliśmy do siebie listy. Teraz jednak był już wolny, unikał narkotyków i opiekował się swoim dzieckiem, małym Ashtynem. Wcześniej stracił prawo do opieki nad dwojgiem starszych dzieci.



Drew Goff i Ashtyn, jego najmłodsze dziecko, w ośrodku resocjalizacji. Drew odebrano starsze dzieci, lecz bardzo się stara unikać narkotyków i przestępstw, by stworzyć Ashtynowi możliwości, jakich sam nie miał

Fot. Lynsey Addario

Na trzeźwo Drew jest bystry i czarujący, lecz pod wpływem narkotyków traci panowanie nad sobą i bywa agresywny. Powiedział, że jego kłopoty zaczęły się w wieku dwunastu albo trzynastu lat, gdy ktoś z rodziny zapoznał go z alkoholem, marihuaną i crankiem – tanią metamfetaminą. Odurzanie stało się dla niego sposobem na dopasowanie się do sytuacji, na przytępienie bólu.

– Ja i moje rodzeństwo nie mieliśmy najfajniejszych rzeczy w szkole – wspominał. – Wyśmiewano się ze mnie. Nie podobało mi się to. Nie byłem zdolny do wchodzenia w interakcje społeczne z innymi dzieciakami i zacząłem brać narkotyki.

Zaczął też zadawać się z chłopakami z gangu. Przez jakiś czas jednym z jego zadań było podrzucanie na pewną farmę w Yamhill gotówki za metamfetaminę – tak poznał Claytona Greena. Patrząc wstecz na ten okres w swoim życiu, Drew zdaje sobie sprawę, że dorastał w niebezpiecznym otoczeniu, a potem podjął złe decyzje.

– Miałem w życiu mnóstwo szans, z których postanowiłem nie skorzystać – powiedział nam.

Co rusz trafiał do więzienia, a tam wdawał się w bójki i był izolowany przez dwadzieścia trzy godziny na dobę przez półtora roku. Wyznał nam, że gdy po śmierci ojca dostał od nas list, rozpłakał się w celi.

Z czasem zmęczyły go odsiadki i chaos w życiu, zaczął się wstydzić krzywd, jakie wyrządzał swojej rodzinie. Po jakichś dwudziestu wyrokach skazujących był coraz bardziej świadomy tego, że zmierza donikąd i że istnieją alternatywne drogi, które mogłyby pomóc jemu i dzieciom. Ashtyn, jego maleńki syn, który urodził się uzależniony od narkotyków, ponieważ zażywała je jego matka, daje mu dodatkową motywację, by trzymać się z dala od nałogów. Drew zapisał się do Provoking Hope i dzięki temu pewniej stanął na nogi. Dziś otacza się ludźmi żyjącymi tak, jak sam chciałby żyć. Nie rusza narkotyków ani alkoholu od 17 lutego 2018 roku – to najdłuższy okres trzeźwości w jego życiu, odkąd miał dwanaście lat – i jest zatrudniony w recepcji hotelu, także najdłużej, jak zdarzyło mu się dotąd pracować w jednym miejscu. Poświęca się Ashtynowi, dba, by chłopczyk był nakarmiony, ubrany i przewinięty. Poszedł na szkolenie dla młodych rodziców i wszędzie zabiera syna ze sobą, wyciera mu nosek oraz nieustannie do niego mówi.

– Staram się go stymulować głosem, dotykiem i dźwiękiem – wyjaśnił Drew. – Naszym celem jest dwieście słów w wieku półtora roku.

Podczas naszych wizyt widzieliśmy, że Drew był czasami o krok od ulegnięcia jakiemuś nagłemu impulsowi, lecz za każdym razem się wycofywał z obawy przed utratą Ashtyna.

– Pracuję nad sobą – powiedział nam ze smutkiem po jednym z takich epizodów. – Dawny ja ma ochotę odreagować stres, ale do tego nie dopuszczę – dodał. – Chodzę teraz po linie. I czasami mam wrażenie, że jest zrobiona z żyłki wędkarskiej.

Drew podziwiał swojego ojca, lecz powiedział nam:

– Nie chcę iść w jego ślady. To znaczy kocham tatę, ale nie chcę być taki jak on.

Na zwolnieniu warunkowym Drew spędził prawie rok w ośrodku resocjalizacji, chodząc na zajęcia i stając się człowiekiem, jakiego twórcy programu mają nadzieję ukształtować. Marzy o założeniu własnej firmy. Rykoszet by to pochwalił: on też nie chciał, by syn szedł w jego ślady.

Rykoszet podzielił się z nami swoimi obawami o wnuki i chyba miał powody do niepokoju. Teoretycznie edukacja powinna otwierać przed zagrożonymi dziećmi drogę ucieczki, lecz w rzeczywistości przeważnie tego nie robi: ubogie dzieci chodzą zazwyczaj do słabych szkół, nie mają dostępu do dostatecznej liczby szkoleń zawodowych i często nie stać ich ani na dwuletni, ani na czteroletni college. Rykoszet został wyrzucony ze szkoły w ósmej klasie przez dyrektora, którego denerwowały jego wagary, i to samo, w identycznym momencie, przydarzyło się w następnym pokoleniu Drew.

Spytaliśmy sędziego Johna L. Collinsa z hrabstwa Yamhill, który ma do czynienia z wieloma niepokojącymi sprawami kryminalnymi, co według niego skutecznie przerywa trwające przez całe pokolenia cykle przestępczości i uzależnienia od narkotyków. Podkreślił, że wiele mogą zmienić mentorzy,

ponieważ młodzi ludzie z grup ryzyka często pochodzą z dysfunkcyjnych rodzin, w których brakuje dobrych wzorców. Collins wspomniał o pewnej obiecującej inicjatywie mentorskiej o nazwie Friends of the Children, którą stworzył w 1993 roku Oregończyk Duncan Campbell. Sam doświadczył w życiu wielu problemów. Jego rodzice byli alkoholikami, a jego ojciec regularnie trafiał do więzienia. Później Campbell pracował przy wycince drzew i założył organizację charytatywną, by pomagać najbardziej zagrożonym okolicznym dzieciom. Od tego czasu odnosi duże sukcesy, jest wychwalany i szybko rozwija swój program w całym kraju. Jego działacze wyszukują w przedszkolach najbardziej niezrównoważone dzieci z grup ryzyka i zapewniają każdemu z nich profesjonalnego mentora, który pracuje z podopiecznym cztery godziny tygodniowo aż do ukończenia liceum. Friends of the Children starają się zapewnić stabilizację w życiu tych dzieci, dać im kogoś, komu mogą zaufać oraz kto pomoże im w nauce. Z analiz wynika, że wiele dzieci odnalazło dzięki temu dobrą drogę.

Wśród polityków trwa bardzo potrzebna dyskusja o tym, jak sprawić, by więcej młodych ludzi kończyło studia, lecz Stany Zjednoczone poświęcają za mało uwagi temu, że około czternastu procent Amerykanów nie kończy dziś szkoły średniej. Dzieci te są zazwyczaj skazane na wykonywanie mało satysfakcjonującej pracy, doświadczanie rozmaitych trudności i śmierć w młodym wieku. Całe ich życie będzie przypominało spacer po linie. Departament Pracy ma siedem stron przepisów dotyczących drabin, lecz w niektórych stanach wciąż dopuszcza się do tego, by młodzież kończyła naukę w wieku szesnastu lat (większość stanów podniosła niedawno ten wiek do siedemnastu albo osiemnastu). Stany Zjednoczone w zasadzie wynalazły publiczne szkoły średnie, ale obecnie Amerykanie porzucają je częściej niż uczniowie w większości innych krajów rozwiniętych, a ukończenie liceum niekoniecznie świadczy o mistrzowskim poziomie opanowania podstawowych umiejętności. Mniej więcej jedna

czwarta absolwentów szkół średnich nie potrafi zdać egzaminu kwalifikacyjnego do amerykańskiego wojska.

Ponadto coraz więcej osób rozumie potrzebę dodania zajęć praktycznych do programu amerykańskich liceów i college'ów, by lepiej przygotować uczniów i studentów do pracy. Nie ujmuje to niczego naukom humanistycznym, które potrafią ogromnie wzmocnić pozycję najlepszych uczniów i studentów. Istnieje jednak rozdźwięk między rynkiem pracy rozpaczliwie potrzebującym fachowców w pewnych dziedzinach a systemem kształcącym młodych ludzi, którzy nie mogą się odnaleźć i kończą jako bezrobotni albo na stanowiskach poniżej swoich kwalifikacji. W Szwajcarii siedemdziesiąt procent uczniów i studentów nabywa umiejętności poszukiwanych na rynku właśnie w trakcie edukacji. Potrzebujemy programistów, hydraulików, elektryków i całej gamy pracowników służby zdrowia. Kraje europejskie radzą sobie znacznie lepiej z umieszczaniem części uczniów i studentów na ścieżce zawodowej obejmującej niekiedy staże oraz zaspokajającej potrzeby zarówno gospodarki, jak i samych młodych ludzi.

Na początku 2019 roku w Stanach Zjednoczonych było prawie siedem milionów wakatów. W takim momencie programy przekwalifikowujące i rozwijanie nowych umiejętności powinny odgrywać szczególnie ważną rolę. Szkolenia organizowane przez państwo przynoszą mieszane efekty trochę dlatego, że wiele z nich słabo odpowiada na potrzeby lokalnych pracodawców, a organizatorzy nie dopasowują do nich programów nauczania. Część kursów zawodowych skupionych na umiejętnościach, na które jest olbrzymi popyt, odniosła jednak niebywały sukces. Nonprofitowa organizacja Pursuit z Nowego Jorku wyszukuje bystrych, lecz borykających się z problemami ludzi w budynkach komunalnych lub w bibliotekach – zarabiają oni średnio osiemnaście tysięcy dolarów rocznie, a połowa korzysta z pomocy państwa – i szkoli ich w zakresie programowania oraz rozwoju umiejętności biznesowych.

Potem ci ludzie pracują jako programiści i zarabiają średnio osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów rocznie. Podobne programy to między innymi Year Up, Per Scholas, TechHire i Skillful.

Organizacja o nazwie Social Finance próbuje stosować kursy rozwoju umiejętności na większą skalę, wychodząc poza programowanie komputerowe i obejmując swoim zasięgiem także programowanie sprzętu medycznego, instalację paneli słonecznych, prowadzenie pojazdów ciężarowych oraz usługi turystyczno-hotelarskie. Podobnie jak w wypadku Pursuit, koszt programu szkoleniowego w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów jest finansowany ze specjalnych obligacji: inwestorzy płacą za kurs z góry, a potem uczestnicy przez określony czas przekazują im pewną część swoich zarobków, by zwrócić te środki, jeśli ich pensja przekroczy określoną wartość. Nawet w epoce automatyzacji osoby po takim szkoleniu znajdą pracę. Jak powiedział Elon Musk, założyciel Tesli, wyliczając ograniczenia automatyzacji: „Ludzie są niedoceniani”.

Szkoły w okręgu Yamhill próbują zapewnić dzieciom lepszą pozycję, włączając do swoich programów staże i praktyki zawodowe, lecz okazuje się to dla nich wyzwaniem. Lokalna gospodarka prężnie się rozwija, a branża winiarska pomaga tworzyć miejsca pracy, ale nauczyciele spotykają coraz więcej dzieci, które doświadczyły traumy, cierpią na zespół stresu pourazowego albo stany lękowe.

– Trafiają do nas teraz przedszkolaki, które miejscowi, a mam tu na myśli mieszkańców całego stanu, nazywają zdziczałymi – powiedział Charan Cline, kurator okręgu szkolnego Yamhill i Carlton.

Lauren Berg, dyrektorka szkoły podstawowej, mówi, że coraz więcej dzieci gryzie, krzyczy, kopie i rzuca różnymi przedmiotami.

– Wiele razy siedziałam przy tym stole razem z pięciolatkiem, pytając go: „Dlaczego rzucasz krzesłami?

Co się dzieje? Jak mogę ci pomóc?”. On jednak nie potrafił mi odpowiedzieć – mówi Berg. – Mamy tu dzieci, które uciekają, po prostu otwierają drzwi i wybiegają z sali.

Dzieci często dorastają zaniedbywane i uczą się, że jedynym sposobem zwrócenia na siebie uwagi jest wpadnięcie w szał. To sprawia, że poprawa sytuacji w szkolnictwie staje się zarówno trudniejsza, jak i bardziej potrzebna. Całkiem niedawno, bo w 2014 roku, szkołę średnią w Yamhill skończyło tylko siedemdziesiąt trzy procent uczniów – w czasach gdy chodził do niej Nick, było to osiemdziesiąt procent.

Kurator Cline próbuje zmieniać szkoły. Doskonale rozumie, co przechodzą niektóre dzieci, ponieważ jego ojciec spędził trzy lata w więzieniu stanowym za przestępstwa narkotykowe i dorastając, Cline też doświadczył traumy oraz przemocy psychicznej. Został „specjalistą od ucieczek” dzięki wojsku. Żartuje, że w porównaniu z tym, co przeżywał w domu, zasadnicza służba wojskowa przypominała wakacje.

– Wiem, że żadne dziecko nie jest odpowiedzialne za swoją sytuację bardziej, niż ja byłem za swoją, więc staramy się im wszystkim pomagać – powiedział nam Cline. – Wrogiem naszego kraju są ubóstwo i poczucie beznadziei.

Mocno wierzy w wyposażanie uczniów i studentów w umiejętności zawodowe i uważa, że to najlepszy model przezwyciężania ubóstwa w takich miejscach jak Yamhill.

– Programy rządowe powinny się skupić na uzbrajaniu ludzi w umiejętności pożądane na rynku pracy, które można wykorzystać, by walczyć o dobrą płacę albo zakładać firmy – powiedział. – Jeśli nie pomagamy uczniom w zdobyciu umiejętności, które mogą sprzedać pracodawcom, pogłębiamy problem.



Lauren Berg, dyrektorka Szkoły Podstawowej Yamhill i Carlton, spotyka się z grupką podopiecznych. Mówi, że coraz częściej dzieci przychodzące do szkoły są „zdziczałe”, bardzo zaniedbane i trudno nad nimi zapanować

Fot. Lynsey Addario

Mimo wszystko czasami przypomina to syzyfową pracę. Wydział Ochrony Zdrowia hrabstwa Yamhill wprowadził w każdej szkole etat dla psychologa, by pracował z uczniami, którzy mają problemy, oraz wychodził naprzeciw potrzebom ich rodzin. Rodzice jednak nie zawsze chcą pomocy albo nie podpisują zgody na to, by korzystały z niej ich dzieci. Szkoła zaproponowała bezpłatny kurs dla rodziców, ale nikt się na nim nie zjawił. Zorganizowała też bezpłatny program o nazwie Ready for Kindergarten, by pomóc rodzinom przygotować dzieci do nauki w szkole. Na początku uczestniczyło w nim około trzydziestu rodzin, pod koniec roku zostało tylko kilka. W liceum część uczniów pojawia się na lekcjach dokładnie raz na dziesięć dni nauki szkolnej. To dlatego, że jeśli pobierają zasiłki, na przykład rentę inwalidzką, czeki przychodzą pod warunkiem, że oni sami pojawiają się w szkole przynajmniej raz na dwa tygodnie, nawet jeśli nie robią żadnych postępów na drodze ku ukończeniu liceum.

System szkolnictwa wypróbowuje nowe techniki. Gdy Silas Halloran-Steiner z okręgowego Urzędu do spraw

Zdrowia i Opieki Społecznej przeczytał książkę pod tytułem *The Nurture Effect* [Efekt wychowywania] o tym, jak pomagać dzieciom z problemami, zaprosił jej autora, Anthony'ego Biglana, by przyjechał i ocenił, co da się zrobić, by poprawić sytuację na jego terenie. W rezultacie w szkole podstawowej wprowadzono grę PAX Good Behavior, w której uczniowie sami decydują, jakie zasady będą obowiązywać w klasie. Celem jest propagowanie samoregulacji i ograniczenie niepożądanych zachowań, a randomizowane badania przeprowadzone w Baltimore pokazały, że pierwszo- i drugoklasiści, którzy uczestniczyli w tej grze, są potem rzadziej aresztowani i rzadziej palą papierosy w szkole średniej, jest większe prawdopodobieństwo, że skończą liceum, i mniejsze, że będą nadużywali narkotyków. Nauczyciele byli zachwyceni tym programem i ocenili, że znacząco poprawił sytuację.

W szkołach pracują teraz także logopedzi. Jednym z problemów Claytona Greena była wada wymowy, w związku z którą nie otrzymał żadnej pomocy. Dziś dzieci w podobnej sytuacji mogłyby skorzystać z terapii. Poza tym dawniej wyrzucano uczniów stwarzających problemy – dlatego Clayton zakończył naukę w dziewiątej klasie – teraz zaś kładzie się duży nacisk na to, by zatrzymać ich w szkole. Wciąż wydala się licealistów za handel narkotykami, co zdarza się mniej więcej raz w roku (pewien przedsiębiorczy młody człowiek namawiał innych, by przeszukiwali szafki z lekami w swoich domach i przynosili niewykorzystane tabletki, które zamierzał sprzedawać). Dziś jednak uczniowie skłonni do bójek nie są automatycznie usuwani, lecz kieruje się ich na trwający pół dnia kurs, w ramach którego uczą się panować nad gniewem i rozwiązywać konflikty.

W macierzystym liceum Nicka trwa właśnie remont. Powstają dwie nowe olbrzymie kopulaste konstrukcje: jedna to hala sportowa, a druga – przestrzeń do szkoleń zawodowych i kształcenia technicznego, między innymi dla przyszłych inżynierów, uczniów zainteresowanych wspomaganym

komputerowo projektowaniem i produkcją oraz obróbką metali i drewna. Remont jest odzwierciedleniem tego, że w Yamhill – podobnie jak w sporej części kraju – coraz wyraźniej dostrzega się w kształceniu zawodowym sposób na zatrzymanie uczniów w szkole, a ponadto idzie ono w parze z kursem uprawy winorośli i produkcji wina przygotowującym młodzież do pracy w okolicznych winnicach. Na przekór wszystkiemu szkoły w Yamhill i Carlton robią zatem postępy. Ostatnio odsetek uczniów kończących liceum znowu wynosi tam osiemdziesiąt procent.



Drew Goff zabiera małego Ashtyna wszędzie, nawet gdy idzie sobie zrobić kolejny tatuaż

Fot. Lynsey Addario

Liceum Yamhill i Carlton w ramach wspierania uczniów w omijaniu kłopotów zaprosiło Drew Goffa, by wystąpił na zajęciach z zakresu edukacji prozdrowotnej i opowiedział o swoich doświadczeniach z narkotykami. Usiedliśmy na końcu sali, by dodać mu otuchy. Drew nigdy wcześniej nie przemawiał publicznie. Był przerażony.

– Serce wali mi jak szalone – wyznał nam, kiedy wchodziliśmy do szkoły.

Jednak gdy tylko zaczął mówić, oczarował uczniów. Opowiadał poruszająco o tym, że gdy chodził do szkoły, czuł

się jak wyrzutek i znajdował akceptację tylko wtedy, gdy był na haju.

– Marihuana, meta, heroina, PCP, przerabiałem to wszystko – powiedział uczniom, a potem relacjonował im, jak musiał kraść, by zdobyć pieniądze na swój nałóg, i jaką czuł rozpacz, gdy go skazano na jedenaście lat więzienia.

Uczniowie, z których większość znała kogoś zmagającego się z uzależnieniem, zasypali go pytaniami. Pewna dziewczyna podeszła później do Drew i wyznała, że sama uwikłała się w uzależnienie, lecz od czterech miesięcy udaje jej się trzymać od tego z daleka.

– Co by pan poradził samemu sobie w wieku czternastu lat? – spytała.

– Powiedz „nie” – odrzekł. – Porozmawiaj z kimś.

Zapisał swój numer telefonu i adres e-mail, prosząc uczniów, żeby się z nim skontaktowali, jeśli chcą dłużej porozmawiać o narkotykach.

– Mam dla was jedno przesłanie – podsumował, zapominając na chwilę, że znajduje się w szkole. – Nie warto się w to wpierdalać.

20

Ameryka odzyskana

> Wiem, że chcę tego, co jest niemożliwe. Ale w naszych czasach, w każdych czasach, żądać niemożliwego – znaczy żądać najmniej[1].
>
> James Baldwin

Na początku 2019 roku stan zdrowia Claytona Greena jeszcze bardziej się pogorszył, szwankowały mu płuca i serce. Przez większość czasu spał i trudno mu było nawet chodzić po domu. Raz, gdy się przewrócił, potrzeba było dwunastu ludzi i straży pożarnej, by postawić go z powrotem na nogi. Czuł się upokorzony i trudno było uwierzyć, że ten otyły, schorowany człowiek z 2019 roku był kilkadziesiąt lat wcześniej energicznym chłopakiem ze szkolnego autobusu numer sześć. Wkrótce Irene musiała opiekować się Claytonem jak dzieckiem i było to bolesne zarówno dla niej, jak i dla jej syna.

– Czasami mam ochotę po prostu uciec z domu – wyznała nam kiedyś Irene.

Clayton regularnie trafiał do szpitala, lecz tego nie znosił i zawsze po kilku dniach wracał do domu. Podczas jednego z takich pobytów przyłapano go z fajką do metamfetaminy, której nie potrafił sobie odmówić nawet w szpitalnej sali. Rozmawialiśmy z nim przez telefon, będąc w Nowym Jorku, i staraliśmy się podnieść go na duchu, prosiliśmy, by się nie poddawał. Obiecał, że spróbuje. Wkrótce potem wpadł w delirium, mówił do siebie i miał halucynacje. Zabrano go do szpitala w McMinnville, zmarł 29 stycznia 2019 roku, w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat. Oficjalną przyczyną śmierci była zastoinowa niewydolność serca, lecz ten termin medyczny pomija bardzo wiele: wydalenie Claytona ze szkoły w dziewiątej klasie, utratę dobrej pracy po zamknięciu fabryk, nadużywanie narkotyków i produkcję metamfetaminy, wyroki

za przestępstwa narkotykowe, jego talent do mechaniki, nieudane małżeństwo, lojalność w stosunku do nas i innych przyjaciół, pięcioro wnucząt – wszystkie odebrane przez władze i umieszczone w rodzinach zastępczych – jego samotność, jego smutek. To była kolejna śmierć z rozpaczy, a Clayton padł ofiarą wielkiego amerykańskiego kryzysu społecznego.

Nasza podróż w poszukiwaniu materiałów do tej książki zaczęła się w Yamhill i w pewnym sensie się tam skończyła, gdy przylecieliśmy na pogrzeb Claytona. Ceremonię znowu odprawiała wielebna Rhonda Kroeker, tak jak kiedyś ceremonie pogrzebowe Cindy i Kevina. Wspominała, jak imprezowała z Claytonem i jego rówieśnikami, krążąc po okolicy jego chevroletem z 1955 roku.

– Rozrabialiśmy i świetnie się przy tym bawiliśmy. Wszystko zaczęło się całkiem niewinnie, całkiem miło. Wielu z tych ludzi nie ma już wśród nas. Nie wiedzieli, kiedy powiedzieć: „Dość" – wspominała. Przypomniała zebranym, że na pogrzebie Kevina spytała, kto będzie następny.

Odpowiedziały jej puste miejsca w ławkach: umarło już bardzo wielu starych przyjaciół Claytona.

– Powinien był przyjść tłum ludzi – powiedziała nam później. – Ale mamy tu rodziny, które straciły większość dzieci.

Część tych, którzy przyszli, też borykała się z problemami. Pewien stary przyjaciel, były drwal sporo młodszy od Claytona, potrzebuje tlenu, ponieważ jego płucom zostało zaledwie trzydzieści procent pojemności.

Wielu Amerykanów widzi w takich ludziach jak Clayton tylko przestępców i ćpunów, którzy sami się prosili o to, co ich spotkało. Ci z nas, którzy znali Claytona, widzieli w nim jednak znacznie więcej: przypominał nam, że wszyscy zasługujemy na to, by pamiętano nie tylko nasze najgorsze dni. Mimo popełnionych przez Claytona błędów zaliczaliśmy

go do swoich serdecznych przyjaciół, między innymi z powodu wyznawanych przez niego wartości, obejmujących niewzruszoną lojalność. W książkach i artykułach pisaliśmy o politykach i liderach biznesu, którzy przypominają chorągiewki i zmieniają poglądy, gdy tylko wiatr polityki zmienia kierunek. Clayton był ich przeciwieństwem. Zawsze mogliśmy na niego liczyć, gdy trzeba było się zaopiekować mamą Nicka i jej farmą. Nawet w ostatnim tygodniu życia Clayton zdołał do niej wpaść i uruchomić nasz szwankujący traktor Caterpillar, gdy nikomu innemu się to nie udało. Po jego śmierci odkryliśmy, że miał klucze do zbiornika na naszej farmie, prawdopodobnie po to, by inni pracownicy nie częstowali się darmowym paliwem. Przez wiele lat Clayton był opoką, na której mogliśmy polegać, toteż nie skupiając się na jego uzależnieniu, przestępczości i drażliwości, patrzyliśmy wprost na jego najpiękniejsze cechy, obejmujące bezgraniczne oddanie wszystkim ludziom z jego grona.



Clayton Green w kuchni domu rodzinnego pod koniec życia

Fot. Lynsey Addario

Farma Greenów, symbol awansu społecznego w czasach, gdy Tom kupił ją za pieniądze, które zarobił jako kamieniarz, ponownie pogrążyła się w żałobie: Irene szykowała się do

pochowania czwartego dziecka. Rozpaczaliśmy po śmierci Claytona, po Greenach i wielu innych pasażerach dawnego szkolnego autobusu. Wtedy nikomu nie przyszłoby do głowy, że czworo dzieci Knappów i czworo dzieci Greenów, razem z wieloma innymi uczniami, umrze w tak młodym wieku. „Schody do nieba” ze studniówki w Yamhill w 1977 roku zmieniły się we wrota do dantejskiego piekła. Myśleliśmy, że przyszłość przyniesie nam latające samochody. Zamiast tego wielu z nas przyniosła utratę pracy, rozpad rodziny, narkotyki i przedwczesną śmierć.

Przypadek – loteria urodzin – umieścił jednych z nas w szkolnym autobusie numer sześć w Yamhill, a innych w prywatnych szkołach w Greenwich w stanie Connecticut. Żal było patrzeć, jak Greenowie i Knappowie tracą po czworo dzieci, lecz jednocześnie było to trochę przerażające. Wiedzieliśmy, że tym, co odróżniało Nicka od starych przyjaciół, był w dużej mierze łut szczęścia: dorastanie w domu kochających, wykształconych rodziców, wielbiących Goethego bardziej niż gaźniki, prenumerujących „New York Timesa”, istnych potentatów kapitału ludzkiego. Gdyby zamiast tego wychowywał się w domu Knappów i gotował się ze złości, gdy pijany Gary strzelał do Dee z dwudziestkidwójki i lał dzieci pasem, on także mógłby wylecieć ze szkoły, produkować metę i umrzeć w młodym wieku. Coraz bardziej się przekonywaliśmy, że w Stanach Zjednoczonych punkt dojścia niezwykle często zależy od punktu wyjścia. Robert Kennedy mówił krótko przed śmiercią o krzywdzie, jaką wyrządzają społeczeństwu „łamanie ducha mężczyzny poprzez odmawianie mu szansy bycia ojcem i mężczyzną wśród innych mężczyzn”, „obojętność, bierność i postępujący rozkład” oraz „powolny dramat dzieci”. Kennedy dodał, że „jedynie oczyszczenie całego naszego społeczeństwa może usunąć tę chorobę z naszych dusz”[2]. Tak dochodzimy do końca swojej podróży, mającej nie tylko unaocznić to, co poszło źle, lecz także wskazać rozwiązania.

Akcja wydanych niedawno książek *Elegia dla bidoków* i *Uwolniona. Jak wykształcenie odmieniło moje życie* rozgrywa się w przeważającej mierze w regionie Appalachów i Idaho, na podobnych do Yamhill obszarach zamieszkanych przez białą klasę robotniczą, która poparła Trumpa i jego starania o osłabienie różnych instytucji, od sądów przez media aż po struktury wywiadowcze. Jak jednak zauważył pisarz Timothy Egan, bohaterowie *Elegii dla bidoków* i *Uwolnionej,* J. D. Vance i Tara Westover, zdołali uciec z opresyjnych środowisk dzięki kołom ratunkowym rzuconym właśnie przez instytucje – w wypadku Vance’a było to wojsko, a w wypadku Westover uniwersytet oraz pomoc ze strony Kościoła mormonów. Vance i Westover to błyskotliwe, pracowite jednostki, które mogły odnieść sukces między innymi dzięki temu, że instytucje zbudowane przez społeczeństwo wyciągnęły do nich pomocną dłoń. Tyle że tacy ludzie jak Greenowie i Knappowie zwyczajnie nie mieli szansy tej dłoni dosięgnąć.

Najważniejszą nauką płynącą z naszych badań jest potrzeba wyciągania tej pomocnej dłoni dalej i częściej, by mnożyć szanse, przywracać ludziom godność i rozbudzać ich pomysłowość. Nasi konserwatywni przyjaciele w Yamhill są ze zrozumiałych powodów dumni ze swoich pionierskich korzeni i z wyjątkowej odwagi, jaką wykazali się ich przodkowie, wsiadając do wozów osadników i ruszając szlakiem oregońskim (lub wchodząc na pokłady statków płynących do Nowego Świata). Wysławia się samowystarczalność, co jest odzwierciedleniem popularności, jaką cieszy się w naszym kraju cholewkowa narracja. Pionierski duch zwyciężył jednak nie tylko dzięki wytrzymałości i indywidualizmowi, lecz także dzięki polityce rządu. Pionierzy nie kupowali krytych wozów i nie ruszali w stronę Oregonu wyłącznie z własnej inicjatywy. Zmierzali tam dlatego, że dzięki ustawie o prawie pierwokupu z 1841 roku, ustawie o gospodarstwach rolnych z 1862 roku i lokalnym przepisom mogli się stać właścicielami farm. Dla

bezrolnych robotników ze wschodu kraju olbrzymią zachętą było to, że zgodnie z miejscowymi przepisami każdy biały człowiek, który przyjechał do Oregonu, mógł wydzielić sobie milę kwadratową, ogrodzić ją i na niej gospodarować, a następnie zyskać prawo własności działki jedynie dzięki temu, że na niej zamieszkał. Rezultat był katastrofalny dla rdzennych mieszkańców, lecz stworzył podstawę istnienia olbrzymiej klasy posiadaczy ziemskich[45]. Do ustawy o gospodarstwach rolnych dodano później państwową edukację, uniwersytety dotowane przez władze federalne, elektryfikację wsi oraz dopłaty do kształcenia i zakupu domów ujęte w ustawie GI. Raz po raz rząd wyciągał do obywateli pomocną dłoń, ci zaś ją chwytali i nasz kraj czerpał z tego korzyści. W ostatnich dziesięcioleciach ta symbioza jednak osłabła. Przyszła pora, by ją przywrócić.

Nie ma żadnych magicznych rozwiązań dla opisanych przez nas problemów, a upraszczające zalecenia stwarzają ryzyko przysłonięcia głębi i złożoności wyzwań politycznych związanych z implementacją rozwiązań koniecznych do tego, by mogły zajść zmiany. Jedną z rzeczy, których powinno nas było nauczyć ostatnie półwiecze, jest pokora, ponieważ pomaganie ludziom okazuje się trudniejsze, niż można by pomyśleć.

Niemniej jednak – choć w sposób niedoskonały i nieprzewidywalny – odrobina pomocy naprawdę zmienia życie, zwłaszcza gdy gra toczy się o podatnych na wpływy młodych ludzi. Gdy Nick jeździł w Yamhill szkolnym autobusem numer sześć, Ann, błyskotliwa dziewczyna z klasy robotniczej i z rodziny o tradycjach wojskowych, chodziła do liceum w Ashland na południu Oregonu. Wiosną w ostatniej klasie Hattie Converse, jej nauczycielka angielskiego, starsza pani z miękkimi białymi lokami, zatrzymała ją na korytarzu i spytała: „Do którego college'u się wybierasz, Ann?". Ann odparła, że do żadnego. W ogóle nie złożyła papierów. Nikt w jej rodzinie nie chodził do college'u, a zresztą nie było jej na to stać.

– Chodź ze mną – powiedziała Converse surowym tonem, biorąc Ann za ramię.

Widząc, że nauczycielka prowadzi ją do sekretariatu, Ann wystraszyła się, że zrobiła coś złego. Converse oznajmiła jej, że musi iść do college'u. Nie chciała słuchać żadnych argumentów.

– Po prostu uparcie powtarzała, że muszę studiować – wspominała Ann. – Bardzo mnie to poruszyło. Z jednej strony było mi miło, że uważa mnie za dostatecznie bystrą dziewczynę. Z drugiej denerwowałam się i bałam.

Wkrótce miała mętlik w głowie i przestała słuchać, co mówi do niej nauczycielka. Termin składania dokumentów na większość uczelni już minął, lecz pozostało jeszcze kilka możliwości i w sekretariacie udostępniono Ann odpowiednie formularze. Włożyła je do teczki i pobiegła na następną lekcję, na którą była już spóźniona.

– W domu spojrzałam na te papiery i niewiele brakowało, żebym ich nie wypełniła – powiedziała nam Ann. – Moja rodzina żyła od wypłaty do wypłaty. A ja byłam najstarsza z pięciorga rodzeństwa. Słowa pani Converse wciąż jednak brzmiały mi w głowie i postanowiłam spróbować.

Aby zaoszczędzić na wpisowym, Ann złożyła dokumenty tylko na Uniwersytet Oregonu. Przyjęto ją, Carpenter Foundation z pobliskiego Medford dała jej stypendium i jesienią Ann była już w kampusie.

– W college'u otworzył się przede mną nowy świat, a ja się w nim zanurzyłam, wypełniając umysł naukami przyrodniczymi i historią, ekonomią i antropologią, literaturą i poszukiwaniem prawdy – powiedziała Ann.

Czekała ją ciągła walka finansowa. Ann nigdy nie miała pewności, czy zdoła dotrwać do końca college'u. W roku akademickim pracowała w studenckiej stołówce, latem imała się każdego zajęcia, jakie mogła znaleźć – była między innymi pokojówką w hotelu w Las Vegas – a poza tym zaciągnęła

kredyt. Wreszcie skończyła college i to zmieniło jej życie. Ann poszła na dziennikarstwo, poznała swojego męża, z którym jest już trzydzieści lat, następnie znalazła pracę jako reporterka telewizyjna w KTVL w Medford – a potem sięgnęła szczytu. Ann Curry została gwiazdą i należy do najlepiej znanych i najbardziej podziwianych dziennikarzy telewizyjnych – wszystko dzięki impulsowi.

– Dokładnie pamiętam moment, w którym moje życie ostro skręciło – powiedziała nam. – Wszystko dzięki pani Converse. Gdy próbowałam ją odnaleźć i jej podziękować, okazało się, że już nie żyje. Zastanawiam się, czy wiedziała, kim dzięki niej zostałam. Zastanawiam się, ilu innych uczniów musiała zmobilizować, by wykorzystali swój potencjał. Zastanawiam się, jak się czuła, gdy jej starania spełzały na niczym. Już wiem, że pani Converse jest dowodem na to, iż jedna osoba, która podejmuje działanie, może zmienić przyszłość, nawet w małym mieście.

Stany Zjednoczone stoją bezczynnie, gdy marnuje się tyle talentów, gdy nie wykorzystuje się tak wielu możliwości, ponieważ zdolni młodzi ludzie pokroju Ann Curry nie idą na studia albo nawet nie kończą liceum – ale jeden bodziec potrafi wiele zmienić. Nie możemy zagwarantować, że pani Converse pojawi się na korytarzu każdej szkoły, ale możemy spróbować nadać takim bodźcom wymiar instytucjonalny, tak jak to robią inne kraje, by młodzi ludzie mogli wykorzystać swój potencjał.

W tej książce częściej opowiadaliśmy historie, niż zgłębialiśmy alternatywy polityczne, ponieważ zgadzamy się z Davidem Ellwoodem z Harvardu, że pierwszym krokiem w stronę lepszej polityki jest pełniejsze zrozumienie ludzkich problemów i uznanie, że ubóstwo dzieci, jakie byłoby niedopuszczalne w reszcie rozwiniętego świata, ma mniej wspólnego z indywidualnym brakiem odpowiedzialności, a więcej z brakiem odpowiedzialności zbiorowej. Owszem, Knappowie, Greenowie i im podobni popełnili błędy, lecz

popełniliśmy je także my jako społeczeństwo i w rezultacie Amerykanie są teraz gorszym narodem.

Popieramy pogląd profesora Victora Tana Chena z Uniwersytetu Wspólnoty Wirginii, że zmagania tych, którzy zostali w tyle, powinniśmy postrzegać trochę przez pryzmat moralności miłosierdzia. Potrzebujemy zmiany gospodarczej, lecz także zmiany kulturalnej, a nasz naród stałby się bogatszy, gdybyśmy mieli więcej empatii, przede wszystkim dla dzieci.

Choć nasza podróż ku zrozumieniu nie skupiała się na polityce, widzieliśmy wyraźnie, jak wiele polityka zmienia. Zwolnieni pracownicy branży samochodowej i ich rodziny w Ontario poradzili sobie lepiej niż w Michigan, a to dzięki staraniom Kanady, by pomóc im w powrocie do pracy. Ludzie nadużywający narkotyków umierali znacznie rzadziej w Portugalii, gdzie łatwo było otrzymać pomoc medyczną, niż w jakimkolwiek miejscu w Stanach Zjednoczonych. Matki w Tulsie mogły przełamać cykl uzależnienia, ubóstwa i przestępczości dzięki programowi Women in Recovery, lecz gdzie indziej nie było to takie łatwe. Przyszłość Stanów Zjednoczonych nie jest tak świetlana, jak powinna być, ponieważ znajdujemy się na sześćdziesiątym pierwszym miejscu pod względem przyjęć do szkół średnich. Gdy szukaliśmy przyczyn problemów, często ogarniało nas przerażenie, ale pokrzepiały nas dowody świadczące o tym, że cierpienia można uniknąć. Rozwiązania są trudne i niedoskonałe, ale odpowiednie programy potrafią dużo zmienić. Istnieje wyjście z piekła.

W całej tej książce staraliśmy się dowodzić, że Stany Zjednoczone zeszły na złą drogę, postrzegając ubóstwo i narkomanię wyłącznie jako skutek dokonywanych wyborów albo konsekwencję osobistego braku odpowiedzialności. Owszem, ubóstwo jest skutkiem wyboru – lecz w innym sensie. To skutek wyboru dokonanego przez kraj. Stany Zjednoczone wybierały w ostatnim półwieczu politykę, która doprowadziła do wzrostu bezdomności i liczby zgonów z powodu przedawkowania, do szerzenia się przestępczości

i nierówności – a teraz przyszła pora, by dokonać innego wyboru.

Wiele osób, z którymi rozmawialiśmy, wydaje się chętnych na zdecydowane działania, a kraj może być na nie gotowy, tak jak był gotowy w czasie kryzysu, czyli ostatnim razem, gdy rodziny z klasy robotniczej stały w obliczu tego rodzaju stagnacji. Populistyczną zmienność obserwujemy zarówno po prawej, jak i po lewej stronie sceny politycznej. Wyzwanie będzie polegało na takim wykorzystaniu frustracji, byśmy przyjęli politykę społeczną opartą na dowodach – zamiast na, powiedzmy, robieniu kozła ofiarnego z imigrantów, żeby poprawić sobie humor.

Przeprowadzony w 2018 roku sondaż zlecony przez Third Way, think tank demokratów, wskazał, że siedemdziesiąt pięć procent głosujących zgadza się ze stwierdzeniem: „Potrzebujemy programu stwarzającego możliwości w epoce cyfrowej, by wszyscy wszędzie mieli możliwość zarabiać na lepsze życie”[3]. Wyborcy mówią na przykład, że chętnie poparliby kandydata, który działałby na rzecz upowszechnienia szerokopasmowego internetu. Mogłoby to stworzyć takie szanse jak elektryfikacja w latach trzydziestych – jedna trzecia Amerykanów wciąż nie ma w domu dostępu do szerokopasmowego internetu.

United States National Academies, którym Kongres powierzył zbadanie, jak zmniejszyć ubóstwo dzieci w Stanach Zjednoczonych, opublikowały w 2019 roku przełomowy raport, w którym wysnuto wniosek, że ubóstwo dzieci kosztuje Amerykanów około biliona dolarów rocznie z powodu przestępczości, kosztów edukacji i zasiłków oraz innych tego rodzaju wydatków. Oszacowano, że w ciągu dziesięciu lat ubóstwo można by obniżyć o ponad połowę za pomocą szeregu działań kosztujących około jednej dziesiątej tej kwoty, czyli sto miliardów dolarów rocznie. Dodatkowo powstałyby dzięki nim miejsca pracy – jakkolwiek by liczyć, byłby to doskonały interes[4]. Rezultaty mogą być o wiele lepsze. Nie

musimy się gotować jak żaby w laboratoryjnej zlewce, możemy wyskoczyć i się uratować. Oto ważne postulaty, do których spełnienia wzywamy swój kraj, zapożyczone od National Academies i innych ekspertów, z którymi się konsultowaliśmy:

1. Wysokiej jakości programy dla najmłodszych. Możliwe, że to najlepsza rzecz, jaką moglibyśmy zrobić w Stanach Zjednoczonych, by pomóc zagrożonym dzieciom. Tak jak masowa edukacja w naszym kraju wywołała falę uprzemysłowienia i innowacji, tak powszechne programy dla małych dzieci są obiecującą inwestycją w przyszłość naszej ojczyzny. Ponadto inicjatywy skupione na wczesnym dzieciństwie ułatwiłyby matkom i ojcom zdobycie pracy. W 1971 roku Kongres przyjął ustawę o krajowym programie opieki nad dziećmi i jej zwolennicy oczekiwali, że prezydent Nixon ją podpisze. On ją jednak zawetował, a teraz przyszła pora, by naprawić ten błąd. W rodzinach żyjących poniżej progu ubóstwa opieka nad dziećmi pochłania obecnie prawie jedną trzecią dochodu, a Stany Zjednoczone o wiele gorzej niż inne kraje radzą sobie ze stwarzaniem różnych możliwości opieki nad dziećmi. Bill de Blasio, burmistrz Nowego Jorku, powiedział nam, że początkowo popierał powszechne żłobki wyłącznie po to, by pomóc dzieciom, lecz później sobie uświadomił, że podarował także olbrzymi skarb pracującym rodzicom, zapewniając im wysokiej jakości opiekę nad potomstwem. Czynnikiem hamującym amerykańską gospodarkę w ogólnym ujęciu jest to, że z lidera pod względem zatrudniania kobiet w 1990 roku staliśmy się krajem z końca listy (obecnie jesteśmy na dwudziestym miejscu wśród dwudziestu dwóch krajów zamożnych), po części dlatego, że inne narody rozwinęły lepsze możliwości opieki nad dziećmi[5]. To obiecujące, że wspomaganie kształcenia małych dzieci cieszy się poparciem obu partii i prym wiodą w tej dziedzinie takie „czerwone” stany jak Oklahoma.

2. Powszechne kończenie szkół średnich. Jedno na siedmioro dzieci nie kończy szkoły średniej w terminie (w tym prawie jedna czwarta czarnych uczniów), a te, które odpadają na tym etapie, rzadko czeka dobra przyszłość. Dla porównania w Japonii, Rosji, Irlandii i Finlandii szkoły średniej nie kończy niespełna trzy procent uczniów. Punktem wyjścia byłoby wymaganie od młodych ludzi, by kontynuowali naukę do osiemnastego roku życia lub kończyli szkołę średnią – w zależności od tego, co nastąpi pierwsze. Możemy także zrobić coś więcej w sprawie programów stażowych, szkoleń zawodowych, funkcjonowania szkolnych i uczelnianych biur karier oraz innych działań zwiększających prawdopodobieństwo, że uczniowie, którzy wytrwają w szkole średniej, zostaną na koniec nagrodzeni miejscem pracy.

3. Powszechne ubezpieczenie zdrowotne. Siedemdziesiąt lat po tym, jak prezydent Harry Truman próbował wprowadzić powszechne ubezpieczenie zdrowotne, nie powinniśmy dłużej zwlekać z zapewnieniem każdemu Amerykaninowi dostępu do opieki medycznej. Nie musi to być jednopłatnikowy system finansowany z podatków, mogący zmusić dziesiątki milionów Amerykanów do rozwiązania istniejących obecnie planów ubezpieczeniowych, z których są zadowoleni. Mógłby to być raczej system wielopłatnikowy, taki jak w Niemczech, upoważniający do ubezpieczenia zdrowotnego za pośrednictwem rozmaitych planów. Mógłby obejmować opcję publiczną i dopełniać Medicaid, umożliwiając wczesne nabycie praw do korzystania z Medicare osobom, które nie są ubezpieczone w inny sposób. Przede wszystkim jednak nie powinniśmy dłużej pozwalać, by Amerykanie przemykali niezauważeni przez system, co skutkuje osłabieniem konkurencyjności naszego kraju, obniżeniem średniej długości życia i osobistymi tragediami.

4. Wyeliminowanie niechcianych ciąż. Nastoletnie ciąże są ważnym prekursorem ubóstwa i liczne dowody pokazują, że swobodny dostęp do środków antykoncepcyjnych o długotrwałym i odwracalnym działaniu (takich jak implanty

i wkładki wewnątrzmaciczne) oraz do innych metod zapobiegania poczęciu może zmniejszyć liczbę niechcianych ciąż. Jeden dolar zainwestowany w taki program przynosi do siedmiu dolarów oszczędności, a ponadto zwiększa prawdopodobieństwo, że nastolatki skończą szkołę średnią i znajdą dobrą pracę. Bonus dla konserwatystów społecznych: mniej niechcianych ciąż oznaczałoby mniej aborcji.

5. Comiesięczny zasiłek rodzinny. Badania pokazują, że wypłacanie przez państwo około dwustu pięćdziesięciu dolarów miesięcznie każdemu gospodarstwu domowemu, w którym jest dziecko, zapewniłoby uboższym dzieciom lepszy start w życiu. Zasiłek rodzinny stosuje się z powodzeniem w Kanadzie – tam jest to ważny czynnik zmniejszenia ubóstwa – Australii i w prawie każdym kraju w Europie, a badania przeprowadzone między innymi przez H. Luke’a Shaefera, specjalistę od polityki w zakresie opieki społecznej z Uniwersytetu Michigan, sugerują, że taki zasiłek praktycznie wyeliminowałby skrajne ubóstwo dzieci w Stanach Zjednoczonych[6].

6. Koniec bezdomności dzieci. Obniżyliśmy bezdomność wśród weteranów o połowę, uznając ją za priorytet, teraz więc zwalczmy bezdomność dzieci. Oznacza to zwiększenie liczby mieszkań w przystępnej cenie oraz wykorzystanie sprawdzonych programów voucherowych w rodzaju Creating Moves to Opportunity, które pomagają rodzinom z dziećmi przeprowadzać się do lepszych dzielnic.

7. Obligacje dziecięce (*baby bonds*) służące gromadzeniu oszczędności. Każdy Amerykanin w chwili narodzin powinien dostać konto z dwoma tysiącami dolarów, które można wypłacić tylko na edukację, zakup domu, inwestycję w przedsiębiorstwo albo po przejściu na emeryturę. W wypadku rodzin osiągających niskie dochody kolejne wpłaty byłyby podwajane przez państwo, by wzmacniać nawyk oszczędzania. Pomysł polega na pomaganiu ludziom w tworzeniu skutecznego zabezpieczenia finansowego.

Z różnych badań wynika, że obligacje dziecięce mogłyby zmniejszyć różnicę zamożności między białymi i czarnymi o osiemdziesiąt–dziewięćdziesiąt procent[7]. Jednym z ich wariantów jest konto rozwoju osobistego (*individual development account*, IDA), a warunkiem dostępu do zgromadzonych na nim środków byłoby ukończenie kursu podstaw przedsiębiorczości. Wydaje się, że tego rodzaju kursy bardzo skutecznie wpływają na pomnażanie oszczędności i powinny trafić do programu nauczania. W randomizowanym badaniu pod koniec lat dziewięćdziesiątych i na początku dwutysięcznych ludzie z IDA, żyjący za zaledwie dziewięć tysięcy dolarów rocznie, zdołali odłożyć osiem procent dochodów, ograniczając wydatki na kawę, alkohol, papierosy i jedzenie poza domem, a ponadto przepracowali więcej godzin. Po dziesięciu latach rodziny z takimi kontami znacznie częściej posiadały własne domy i miały konta emerytalne. W 2017 roku Kongres zakręcił jednak kurek i przestał finansować program IDA[8].

8. Prawo do pracy. W 1944 roku Franklin Delano Roosevelt zaproponował, by zapisać prawo do pracy w Drugiej Karcie Praw Stanów Zjednoczonych – i słusznie. Rząd może zrobić o wiele więcej, by ludzie mogli wykonywać uczciwie płatną pracę, choć powinniśmy zaznaczyć, że nie rozumiemy tego dosłownie i nie uważamy rządu za pracodawcę ostatniej szansy dla wszystkich Amerykanów. Przesłanie płynące z pracy brzmi: „Witajcie w świecie podatników”, i jest równie inspirujące, jak opieka społeczna stygmatyzująca. Najlepszym podejściem, by pomóc tym, którzy borykają się z trudnościami, jest promowanie lepiej płatnych miejsc pracy poprzez podniesienie płacy minimalnej albo poprzez dodatki do płac i szkolenia zawodowe. Po części jest to umotywowane politycznie. „Błędem postępowców było to, że mówili: »Chcemy płacić tym, którzy nie pracują«. To polityczne samobójstwo – stwierdził David Ellwood z Harvardu. – Jest łatwiej, jeśli mówisz, że praca powinna być lepiej płatna”. Dlatego senator Mark Warner z Wirginii formułuje ten postulat

inaczej: „Powinniśmy dać każdemu Amerykaninowi możliwość zarobienia na dobre życie”. Kładzie nacisk na słowa „możliwość” i „zarobienia”. Właśnie taki pomysł leży u podstaw podnoszenia płacy minimalnej, wzmacniania związków zawodowych i ochrony pracowników oraz rozszerzania ulgi od podatku dochodowego (EITC) lub innych form wsparcia osób zatrudnionych. EITC ma poparcie obu partii, a naukowcy stwierdzają, że to rozwiązanie w dużej mierze finansuje się samo, ponieważ ludzie zaczynają płacić podatki i pobierają niższe świadczenia. Mamy jednak sceptyczny stosunek do gwarantowanego dochodu podstawowego zarówno dlatego, że trudno dla niego zdobyć poparcie polityczne na wystarczającym poziomie, jak i dlatego, że bardzo liczne dowody wskazują, iż tym, co wpływa na dobrostan, jest nie tylko dochód, lecz także poczucie godności i tożsamości związane z wykonywaniem pracy.

Innym sprytnym posunięciem jest ubezpieczenie płacy, pozwalające subwencjonować zwalnianych pracowników, którzy przyjmują gorzej płatną posadę, zamiast czekać, aż znajdzie się taka, na której zarobią tyle co na ostatniej. W eksperymentach związanych z ubezpieczeniem płacy zarówno Stany Zjednoczone, jak i Kanada zaobserwowały, że zwiększa ono prawdopodobieństwo przyjęcia przez ludzi propozycji pracy, jaką w przeciwnym razie by odrzucili. Przynosi to lepsze skutki dla tych jednostek oraz dla amerykańskiej gospodarki w ogólnym ujęciu. „Być może ubezpieczenie płacy nie znajduje się na waszym radarze, ale powinno” – przekonuje Robert Shiller, znamienity ekonomista z Yale, który propaguje je jako sposób zmniejszenia nierówności. Zwraca uwagę, że to rozwiązanie cieszy się poparciem obu partii i w bardzo ograniczonym zakresie zostało wprowadzone zarówno przez George’a W. Busha, jak i przez Baracka Obamę[9].

Powinniśmy też eksperymentować z programami zachęcającymi ludzi do przenoszenia się na obszary, gdzie jest

więcej miejsc pracy, lub dopłatami dla pracodawców do każdego nowego miejsca pracy, które stworzą na obszarach o wysokim wskaźniku bezrobocia. Istnieją również stosunkowo nowe programy szkoleń zawodowych i technicznych opartych na modelu finansowania *pay-for-success*[46] i pomagające ubogim młodym ludziom zaczepić się na rynku pracy. Kolejnym krokiem byłby krajowy program szkolący zagrożonych młodych ludzi w zakresie dyscypliny, pewności siebie i umiejętności zawodowych zdobywanych dotąd w ramach służby wojskowej, która bardzo pomogła takim osobom jak Dale Braden. Departament Obrony szacuje, że siedemdziesiąt jeden procent młodych Amerykanów nie nadawałoby się do służby wojskowej, nawet gdyby chciało ją odbyć, między innymi z powodu wyroków skazujących za przestępstwa, zażywania narkotyków, otyłości i nieukończenia szkoły średniej – a wśród tych, którzy się nie nadają, jest przecież wielu, którym służba wojskowa przyniosłaby najwięcej korzyści. Parę lat takiej służby zwiększyłoby później szanse tych młodych ludzi na rynku pracy.

Bardziej radykalnym posunięciem byłaby federalna gwarancja zatrudnienia, lecz w tym wypadku pojawiają się trudne pytania związane z wdrożeniem takiego rozwiązania i z olbrzymimi kosztami, szacowanymi na setki miliardów dolarów rocznie[10]. Wydaje się, że większy sens miałoby rozpoczęcie od skromniejszych środków, lecz jeśli bezrobocie w niektórych segmentach populacji będzie się utrzymywało, pewien ograniczony rządowy program dotyczący miejsc pracy ostatniej szansy byłby lepszy niż ubóstwo, uzależnienie i poczucie beznadziei, które obecnie obserwujemy.

Programy te wymagałyby sensownego współdziałania z sektorami prywatnym i nonprofitowym, a zatem oznaczałyby pewne koszty. Kanadyjczycy i Europejczycy płacą wyższe podatki i otrzymują w zamian powszechną opiekę zdrowotną, mniej ubóstwa i bezdomności, niższy odsetek uzależnionych i prawdopodobnie bardziej humanitarne społeczeństwo, a to chyba dobry kompromis. Być

może właśnie nadeszła pora, by wprowadzić wyższe opodatkowanie osób zamożnych: sondaże pokazują, że więcej Amerykanów opowiada się za podniesieniem opodatkowania ludzi zamożnych niż za jego obniżeniem.

Gdybyśmy mieli po prostu wrócić do stawek podatkowych z połowy i końca lat dziewięćdziesiątych, gdy gospodarka prężnie się rozwijała i ludzie generalnie czuli, że kraj jest na dobrej drodze, podwyżka byłaby wystarczająca, by pokryć większość kosztów takiego planu. Te stawki podatkowe bynajmniej nie spowolniły gospodarki. Właśnie wtedy ostatni raz spłacaliśmy zadłużenie i wydawało się, że gospodarka służy wszystkim. Czy zatem nie warto o tym porozmawiać?

Innym sposobem, by zgromadzić znaczne kwoty, byłoby niewielkie opodatkowanie handlu akcjami, obligacjami, walutami, towarami i instrumentami pochodnymi, co proponowali między innymi John Maynard Keynes, James Tobin i Bill Gates. Nonprofitowy think tank Economic Policy Institute sugeruje, że taki podatek mógłby przynieść ponad sto miliardów dolarów rocznie, które należałoby przeznaczyć na wypłaty zasiłku na dzieci, edukację najmłodszych oraz leczenie uzależnienia od narkotyków i alkoholu. Jest też wiele innych pomysłów, na przykład podatek od majątku, ograniczenie aktualizowania wartości dziedziczonego majątku w celu zminimalizowania podatku od zysków kapitałowych, ujednolicona stawka podatku od zysków kapitałowych i dochodów z tytułu pracy oraz wyższy podatek spadkowy – warto je zgłębić.

Wydatki na ludzi mogą się wydawać programami pomocowymi, lecz tak naprawdę to długoterminowe inwestycje w krajowy kapitał ludzki. Do budowy tego kapitału przyczyniły się świadczenia na edukację zapisane w ustawie GI, podobnie jak do powstania międzystanowej infrastruktury drogowej przyczyniły się budowane wówczas autostrady. Oba rodzaje inwestycji to ważne płaszczyzny mogące pomóc w wyzwoleniu sił rynkowych na takiej samej zasadzie, na

jakiej nowe linie kolejowe w XIX wieku pobudziły rozwój gospodarczy, a masowa edukacja ożywiła przedsiębiorczą aktywność w całym kraju i wyniosła Stany Zjednoczone na szczyt świata. Teraz, gdy takie kraje jak Chiny i Indie budują mocne podstawy gospodarcze i inwestują w rzesze swoich ludzi, Stany Zjednoczone, mające znacznie mniejszą populację, ryzykują, że zostaną w tyle. Tym, co hamuje naród, jest między innymi fakt, że dziesiątki milionów obywateli nie osiągają pełni swoich możliwości, ponieważ brakuje im wykształcenia albo umiejętności, by byli bardziej produktywni. Drogi i mosty w połączeniu z lepszą edukacją mogą stworzyć strukturalny fundament, który pozwoli narodowi zwiększyć efektywność, pobudzić innowacyjność i konkurować na rynku globalnym. Aby być supermocarstwem, musimy dać moc wszystkim Amerykanom.

Jednym ze stojących przed nami wyzwań jest to, że ludzie odczuwający „bluesa człowieka pracującego", o którym śpiewał konserwatywny piosenkarz folkowy Merle Haggard, nie chwytają za widły, by domagać się zniesienia luk podatkowych dla bogaczy. Zamiast tego mogą kierować te widły w stronę wykształconych liberalnych mieszkańców takich miast jak Waszyngton albo Nowy Jork, którzy wydają im się protekcjonalni. Może się wydawać dziwne, że w czasie pogłębiających się nierówności nie próbuje się skuteczniej pomóc tym, którzy borykają się z trudnościami. Politolodzy odkryli jednak, że nawet w demokracji brak równości daje bogatym nie tylko większy majątek, lecz także większą władzę polityczną. Następnie bogaci używają tej władzy, by skonsolidować swój majątek. Rezultat jest taki, że im bardziej naglące staje się przywrócenie sprawiedliwości gospodarczej, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że ludzie będą do niej dążyli.

W tej książce znalazło się wiele ponurych historii, lecz wciąż optymistycznie patrzymy na to, ile można osiągnąć. Dotąd byliśmy świadkami olbrzymiego postępu: w ostatnim stuleciu znacznie wzrosła średnia długość życia, nastąpiła niebywała

poprawa opieki medycznej oraz warunków życia, toteż wolimy traktować problemy amerykańskiej klasy robotniczej w ostatnich czterdziestu latach raczej jako wyjątek niż nową normę. To, czy staną się one nową normą, będzie zależało między innymi od działań, które podejmiemy jako naród. Owszem, przyczynami tych trudności były między innymi technologia, handel i automatyzacja, lecz przede wszystkim wywołały je błędy polityczne i obsesja na punkcie osobistej odpowiedzialności. „Jako ekonomista ciągle słyszę pytanie, czy stać nas na zapewnienie poziomu życia klasy średniej większości Amerykanów, a tym bardziej im wszystkim – mówi Joseph Stiglitz. – Jakimś cudem było nas na to stać, gdy byliśmy o wiele uboższym krajem w okresie po II wojnie światowej”[11]. Nasza odpowiedź brzmi: „tak” – jako naród możemy odzyskać grunt pod nogami.

To obiecujące, że coraz wyraźniej uświadamiamy sobie, iż kraj zszedł na złą drogę i zawiódł wielu Amerykanów. W 2018 roku Larry Fink, przewodniczący BlackRock, globalnej firmy zarządzającej papierami wartościowymi, przesłał innemu dyrektorowi generalnemu list, ostrzegając, że „aby długotrwale prosperować, każde przedsiębiorstwo musi nie tylko osiągać wyniki finansowe, lecz także pokazywać, jaki pozytywny wkład wnosi w społeczeństwo”. Sektor prywatny odgrywa w uwalnianiu potencjału ludzkiego równie ważną rolę jak rząd. Przykładem przedsiębiorstwa, które dostrzegło zysk w czynieniu dobra, jest Starbucks. Oferuje on swoim baristom ubezpieczenie zdrowotne, opłacenie czesnego za college i akcjonariat, a przy tym ma wystarczająco wiele placówek, by przyniosło to wymierne skutki. W latach siedemdziesiątych tacy dyrektorzy jak „Chainsaw Al” Dunlap i „Neutron Jack” Welch rywalizowali ze sobą, zwalniając pracowników, zamykając plany emerytalne i zlecając usługi firmom zewnętrznym. Czy w nadchodzących latach znajdą się dyrektorzy, którzy zaczną się prześcigać w zmienianiu przedsiębiorstw w bardziej odpowiedzialne podmioty społeczeństwa?

Firmy odkrywają, że jeśli chcą rekrutować najlepszych młodych ludzi i chcą, by ich marki przemawiały do młodego pokolenia, muszą popierać wartości wykraczające poza cenę akcji. Polityka podatkowa także mogłaby z łatwością pchnąć przedsiębiorstwa w stronę podziału zysków, a coś takiego może mieć wielką moc. Wsparcie finansowe dla przemysłu samochodowego w 2009 roku obejmowało rezygnację przez pracowników z części zarobków i świadczeń w zamian za udział w przyszłych zyskach, i w 2017 roku pracownicy produkcji General Motors otrzymali z tego tytułu czeki opiewające nawet na dwanaście tysięcy dolarów. Przedsiębiorstwa mogłyby także zapewniać więcej szkoleń. Mimo że od lat dziewięćdziesiątych praca wymaga coraz większych umiejętności technicznych, przedsiębiorstwa znacząco zmniejszyły zarówno liczbę opłacanych przez siebie szkoleń zewnętrznych, jak i szkoleń w miejscu pracy. Może to dobrze wpłynąć na zyski krótkoterminowe, lecz nie na przyszłość przedsiębiorstwa, morale pracowników ani na kapitał ludzki będący podstawą naszego kraju.

To nieuniknione, że wymienione działania nie będą tak skuteczne, jak byśmy chcieli, ponieważ sytuację zawsze komplikuje rzeczywistość. Będzie brakowało środków finansowych, zwłaszcza że przyjdzie nam wygrzebywać się z zadłużenia i deficytów. Poza tym wspomniane propozycje pomijają kwestię wypaczeń politycznych, które prowadzą do zafałszowania obrazu gospodarki. Naprawdę musimy podjąć działania, by nasz system polityczny był czulszy na potrzeby zwykłych obywateli, a mniej troszczył się o sponsorów i lobbystów. Ułatwienie głosowania w wyborach też mogłoby się okazać korzystne. Mimo wszystkich obaw doświadczenia innych krajów wskazują, że te ważne działania mogą korzystnie wpłynąć na kapitał ludzki, zwiększyć możliwości i mobilność oraz stworzyć zdrowsze społeczeństwo. Wielka Brytania za rządów Tony’ego Blaira podjęła zdecydowane starania, by radykalnie zmniejszyć ubóstwo dzieci, i w zaledwie pięć lat obniżyła ten wskaźnik prawie o połowę –

a zatem da się to zrobić. Możliwe, że pewnych ludzkich tragedii nie sposób uniknąć, lecz z czasem mogłoby być mniej dzieci zmierzających ku przestępczości, narkotykom, bezrobociu i przedwczesnej śmierci.

Zbierając materiały do tej książki, odkryliśmy, że dużo pieniędzy marnuje się na dopłaty do jachtów, pól golfowych i prywatnych odrzutowców. Tym, co sprawiło, że nasza podróż przez Stany Zjednoczone okazała się jeszcze bardziej bolesna, było jednak obserwowanie, jak marnują się najważniejsze zasoby naszego kraju: ludzie. Ze smutkiem patrzyliśmy, jak cierpią nasi starzy przyjaciele i jak dysfunkcje spływają kaskadą na ich dzieci i wnuki. Przez dziesięciolecia pracy reporterskiej za granicą czuliśmy żal, widząc, jak utalentowani Chińczycy, Banglijczycy, Syryjczycy i Sudańczycy cierpią niepotrzebnie na wojnach albo w obozach dla uchodźców. Jeszcze bardziej wstrząsające jest obserwowanie niepotrzebnego cierpienia starych przyjaciół, zdolnych osiągnąć znacznie więcej dla siebie samych i dla kraju. Za granicą często przytaczaliśmy aforyzm: „Talent występuje powszechnie, możliwości nie” – przekonaliśmy się, że to prawda nie tylko w odniesieniu do Konga, lecz także do Stanów Zjednoczonych. Gdy wychodziliśmy ze stypy Claytona, Sheryl zacytowała słynne wersy Johna Donne’a, napisane prawie czterysta lat temu:

Żaden człowiek nie jest samoistną wyspą;

każdy stanowi ułomek kontynentu, część lądu.

Jeżeli morze zmyje choćby grudkę ziemi,

Europa będzie pomniejszona […].

Donne zakończył tę medytację kilka wersów później, nawiązując do kościelnych dzwonów bijących po czyjejś śmierci: „Przeto nigdy nie pytaj, komu bije dzwon: bije on Tobie”[12]. Dzwony kościelne w Stanach Zjednoczonych nie biją już po śmierci każdego człowieka, lecz sens pozostaje niezmienny. Ilekroć ktoś taki jak Clayton odchodzi przedwcześnie, ilekroć ktoś przegrywa z uzależnieniem,

popełnia samobójstwo, przestępstwo albo umiera z rozpaczy, wszyscy coś tracimy. Mamy środki, by postępować lepiej. Możemy pielęgnować amerykański sen tak, by dzieci wsiadające dziś do szkolnego autobusu numer sześć – i pędzące do szkół w całym kraju – w większym stopniu spełniały marzenia, które pobudzają je do życia, dzięki czemu Stany Zjednoczone znów będą, jak chciał Woody Guthrie, „krainą stworzoną dla ciebie i dla mnie”.

Podziękowania

Praca reporterska związana z pisaniem tej książki była rozdzierającą serce podróżą, możliwą tylko dzięki temu, że bardzo wielu ludzi obnażyło przed nami swoje dusze. Clayton Green zastanawiał się przez kilka miesięcy, czy się zgodzić, byśmy napisali, że handlował metamfetaminą. „Taki wstyd – powiedział z westchnieniem. – Co pomyślą sąsiedzi?” Ostatecznie jednak pozwolił nam o tym wspomnieć, ponieważ tak wyglądała nieprzyjemna prawda i ponieważ miał do nas zaufanie. To wielka odpowiedzialność i mamy nadzieję, że przyjaciele, którzy pojawiają się na tych stronach, uznają, że potraktowaliśmy ich z szacunkiem. Pisząc tę książkę, martwiliśmy się między innymi o to, że nasz nieupiększony portret ich życia może sprawić, że część czytelników uzna Claytona i innych za popaprańców, którzy zasłużyli na swój los, a nie za skomplikowanych przyjaciół, na których bardzo nam zależy.

Niektórzy ludzie, na przykład Clayton, podzielili się z nami swoją historią po części dlatego, że znali nas od dziesięcioleci. Mary Mayor, z którą Nick przyjaźni się od siódmej klasy, bardzo starała się ukryć przed otoczeniem zmagania z alkoholem, narkotykami i bezdomnością, lecz po dłuższym zastanowieniu opowiedziała nam swoją historię, ponieważ wierzyła, że dzięki temu bezdomność zyska ludzką twarz, a my opowiemy o niej w sposób budzący współczucie i empatię. Inni, na przykład Daniel McDowell, były żołnierz, który po służbie w Afganistanie popadł w uzależnienie, w ogóle nas nie znali, lecz podzielili się z nami drastycznymi szczegółami swoich upokorzeń po prostu dlatego, by ludzie lepiej zrozumieli uzależnienie i zdali sobie sprawę

z konsekwencji nieskutecznej polityki. Gotowość Daniela, by opowiedzieć o swoim uzależnieniu, wymagała równie wielkiej odwagi jak wszystko, co robił w ogniu walki w Kandaharze.

Jesteśmy zatem winni ogromne podziękowania takim osobom jak Clayton, Mary i Daniel – a także Irene Green oraz Dee, Keylanowi i Amber Knappom – wszystkim tym, którzy dzielili się z nami swoją przeszłością, powodowani wiarą, że szczera prawda pomoże ukształtować rozsądniejszą politykę i ulży innym ludziom w cierpieniu. Szczególnie bolesne jest to, że Clayton, stary przyjaciel, którego szczerość w kwestii własnych zmagań pomogła nam lepiej zrozumieć te problemy, zmarł, zanim skończyliśmy pisać tę książkę.

Czasami znajomi w Nowym Jorku pytają, jak odnoszą się do nas starzy przyjaciele z Yamhill, zmagający się z bezrobociem, narkotykami albo bezdomnością: czy dzielą nas jakieś pretensje albo różnice nie do pogodzenia? Takie pytanie należałoby pewnie zadać naszym przyjaciołom, lecz my uważamy, że przyjaźń sięga głębiej niż podziały. Owszem, nasze doświadczenia były zupełnie różne i część starych znajomych nie może się pogodzić z naszym liberalizmem albo niereligijnością – tak jak kiedyś nie mogli się pogodzić z kiepskimi umiejętnościami Nicka w zakresie spawania i naprawy samochodów. Wybaczyli nam jednak nasze niedoskonałości i przyjęli Sheryl do swojego życia oraz swoich serc. „Jesteś taki sam jak ja, jesteś dzieciakiem z Yamhill – powiedział Clayton do Nicka. – Nieważne, jak daleko zajdziesz w życiu albo dokąd jeździsz, pozostajesz częścią Yamhill”. Sprzyja nam także to, że mama Nicka wciąż jest zakorzeniona w tej społeczności i kochana przez wszystkich. Poza tym nasza więź ze starymi przyjaciółmi jest trwała, ponieważ wszyscy kochamy Yamhill i mamy świadomość, że od czasu tamtej studniówki, na której płynęły dźwięki *Stairway to Heaven*, coś poszło bardzo nie tak.

Dziękujemy „New York Timesowi” za urlop, który dostał Nick, by napisać tę książkę. Arthur Sulzberger, A. G. Sulzberger i James Bennet są wspaniałymi szefami

i współpracownikami, podobnie jak bardzo wielu innych ludzi, których Nick spotyka w tej redakcji od trzydziestu pięciu lat, czyli od 1984 roku, kiedy Abe Rosenthal i John Lee zatrudnili go jako młodego reportera gospodarczego. Jesteśmy bardzo wdzięczni także wydawnictwu Knopf, z którym współpracujemy prawie tak samo długo, oraz pracującemu tam Jonathanowi Segalowi. To nasz redaktor od wielu lat i spełnienie marzeń każdego autora: inteligentny, życzliwy, kreatywny i rozsądny. W przeciwieństwie do wielu innych wydawnictw Knopf naprawdę redaguje i dopieszcza teksty, a Jon wyznacza złoty standard dla redaktorów książek. Mamy szczęście, że zarówno w pracy dziennikarskiej, jak i w działalności pisarskiej trafiliśmy na redaktorów i wydawców tak wysoko ceniących jakość. Dziękujemy też innym osobom z Knopfa: Markusowi Dohlemu, Madeline McIntosh i Sonny'emu Mehcie za czuwanie nad książkami, które dają początek ważnym ogólnokrajowym dyskusjom. Jesteśmy wdzięczni Samuelowi Aberowi i Erin Sellers za codzienną pomoc, a także bardzo wielu ludziom z tego wydawnictwa, którzy pracują nad tłumaczeniami, ilustracjami, okładkami i mnóstwem innych rzeczy. Chip Kidd zaprojektował okładkę tej książki – oraz okładki naszych wcześniejszych publikacji. Amy Ryan olśniła nas adiustacją, wielokrotnie ratując nas przed nami samymi, a Ellen Feldman przeprowadziła nas przez proces produkcji i sprawiła, że wszystko wydawało się łatwe. Paul Bogaards pomaga nam dotrzeć do Was, czytelników, wspierany przez Jessicę Purcell i wydawniczy zespół do spraw reklamy, który razem z naszymi agentami z American Program Bureau będzie nas wysyłał w różne miejsca w kraju, byśmy opowiadali o tej publikacji. Żeby wydać książkę, potrzeba całej wioski, a Knopf tworzy niezwykłą społeczność i mamy szczęście, że do niej należymy.

Anne Sibbald jest naszą agentką literacką od 1993 roku, kiedy byliśmy młodymi korespondentami zagranicznymi w Chinach i idąc za sugestią naszego kolegi Billa Safire'a,

wysłaliśmy faks do legendarnego Morta Janklowa. Od tamtej pory współpracujemy z agencją Janklow & Nesbit. Anne jest mądrą, pełną entuzjazmu i cierpliwą cheerleaderką; czytała wiele roboczych wersji tej książki. To trio firm, z którymi współpracujemy – Knopf, „The New York Times" i Janklow & Nesbit – reprezentuje komercyjne przedsiębiorstwa, którym bardzo zależy na jakości, celu i misji społecznej. Każdy, kto pracuje dla jednego z nich, jest szczęściarzem, a nam szczęście dopisało tak bardzo, że współpracujemy ze wszystkimi trzema.

Ogromnie dziękujemy Jennifer Garner, która nagrała wersję audio tej książki – dziękujemy jej także za niestrudzoną pracę na rzecz dzieci. Jennifer służy na pokładzie Save the Children i z pasją wspiera słuszne inicjatywy pomagające dzieciom, które zostawiono w tyle.

Ford Foundation dała nam grant na przeprowadzenie prac reporterskich i na zawarte w niej zdjęcia. Na szczególne podziękowania zasłużyli Darren Walker, Noorain Khan, Dave Mazzoli, Kelsey Baker i Grace Añonuevo, dzięki którym napisanie tej książki stało się możliwe. Dziękujemy tej fundacji także w szerszym kontekście, za jej pracę skupioną na problemach, o których piszemy.

Autorką większości zdjęć zawartych w książce jest Lynsey Addatio, nasza stara przyjaciółka, której fotografie (i serce) ogromnie podziwiamy. Lynsey przez większość kariery relacjonowała konflikty w takich miejscach jak Afganistan, Irak i Sudan. Pracowaliśmy z nią za granicą, więc z radością zabraliśmy ją także do Oregonu, Oklahomy i Alabamy. Praca z Lynsey w miejscach, gdzie nie ma watażków i wymiany ognia, była wyjątkową przyjemnością. Alice Gabriner wykonała elegancką i staranną robotę, opracowując te fotografie graficznie.

Przygotowując tę książkę, rozmawialiśmy z wieloma ekspertami, a niektórzy z nich czytali jej fragmenty. Za lekturę i uwagi jesteśmy szczególnie wdzięczni Gordonowi Berlinowi z MDRC, Sheldonowi Danzigerowi z Russell Sage Foundation,

Kenowi Levitowi z George Kaiser Family Foundation, Isabel Sawhill z Instytutu Brookingsa i H. Luke’owi Shaeferowi z Uniwersytetu Michigan. Wszyscy oni są ekspertami w dziedzinie niesprawiedliwości i ich uwagi były niezwykle pomocne. Wśród innych czytelników rękopisu albo jego fragmentów znaleźli się Glenn Kramon, Liriel Higa i Natalie Kitroeff z „New York Timesa”, Bob Bansen i Joni Marten z Yamhill; Jane Kristof, Darrell WuDunn i Katharine Miao oraz nasz kuzyn George Apostolicas. Szczególne podziękowania należą się naszemu przyjacielowi Joshowi Lewisowi, który przekazał nam doskonałe, szczegółowe sugestie. Kiedyś pomógł nas uratować, gdy utknęliśmy na skale w rzece Salmon, i okazało się, że jest równie wprawnym redaktorem, jak kajakarzem.

Czerpaliśmy także z pomocnych rozmów z Alanem Kruegerem, profesorem Uniwersytetu w Princeton, który zmarł, gdy kończyliśmy pisać tę książkę, a także z George’em Kaiserem z George B. Kaiser Family Foundation i z wieloma innymi osobami.

Grupka wyróżniających się studentów Uniwersytetu w Princeton pomogła nam przy zbieraniu i sprawdzaniu informacji oraz czytała pierwsze fragmenty, co zaowocowało wspaniałymi sugestiami. Byli wśród nich Nathan Levit, który także pracował z nami w różnych częściach Oklahomy, jak również Ethan Sterenfeld, Joseph Charney, Julia Hillenbrand i Seamus McDonough.

W czasie tej podróży dołączyła do nas ekipa pracująca nad związanym z naszą książką filmem dokumentalnym dla telewizji i zespół z Show of Force niebywale nam pomógł. Ułatwił nam dotarcie do Daniela McDowella i porucznika Steve’a Olsona w Baltimore, a także do Marquity Abbott w Waszyngtonie i do kilku innych osób, z którymi przeprowadziliśmy wywiady. Ekipa filmu dokumentalnego udostępniła nam transkrypcje i z wielkim zaangażowaniem naświetlała problemy, szanując jednocześnie godność ludzi borykających się z przeciwnościami losu. W ekipie Show of

Force byli Maro Chermayeff, Josh Bennett i Jeff Dupre, z którym współpracowaliśmy przy wcześniejszych filmach dokumentalnych, oraz Viva Van Loock, Paula Astorga, Christina Avalos, Lizzy Coplin, Erin Crumpacker, Wolfgang Held i Gina Nemirofsky.

Trudno sobie wyobrazić, że mając takich pomocników, moglibyśmy coś sknocić. Podarujemy sobie jednak tradycyjne zapewnienia, że wszelkie błędy, które się uchowały, wynikają wyłącznie z naszej winy. Jeśli wkradły się jakieś pomyłki, żadne z nas nie bierze za nie odpowiedzialności. Całą winę za błędy ponosi drugi z autorów.

Przypisy końcowe

1 Dzieci ze szkolnego autobusu numer sześć

1 Zob. D. Leonhardt, *We’re Measuring the Economy All Wrong*, „The New York Times”, 14.09.2018, nytimes.com, nyti.ms/3nFE8eZ, dostęp: 17.01.2022. Wartość została skorygowana o poziom inflacji.

2 Dane na temat tygodniówek i stawek godzinowych pochodzą z Current Population Survey, baz danych, tabel i kalkulatorów na stronie internetowej Biura Statystyki Pracy i dotyczą lat 1979–2019. Mediana zarobków pracowników z dyplomem college’u w 2019 roku jest mniej więcej o piętnaście procent niższa niż w 1979 roku, po skorygowaniu o poziom inflacji. Jeszcze gorzej jest w przypadku osób, które nie skończyły szkoły średniej: mediana ich zarobków po skorygowaniu o poziom inflacji jest o mniej więcej dwadzieścia jeden procent niższa niż w 1979 roku.

3 J. Ray, *Americans’ Stress, Worry and Anger Intensified in 2018*, „Gallup News”, 25.04.2019, news.gallup.com, bit.ly/3GIbTDV, dostęp: 7.01.2022.

4 Zob. *Provisional Drug Overdose Death Counts*, National Center for Health Statistics, 2019, cdc.gov, bit.ly/3KmBDYy, dostęp: 17.01.2022. W 2017 roku liczba zgonów spowodowanych przedawkowaniem narkotyków osiągnęła szczytową wartość i przekroczyła siedemdziesiąt tysięcy.

5 Zob. *Alcohol Facts and Statistics*, National Institute on Alcohol Abuse and Alcoholism, niaaa.nih.gov, bit.ly/33LcKoU, dostęp: 17.01.2022.

6 Zob. *Suicide*, National Institute of Mental Health, nimh.nih.gov, bit.ly/33t2m5l, dostęp: 17.01.2022.

7 D. Alighieri, *Boska komedia*, przeł. J. Korsak, Wolnelektury.pl, bit.ly/3J2kF00, dostęp: 17.01.2022.

2 Jesteśmy na trzydziestym miejscu!

1 Zob. J. E. Stiglitz, A. Sen, J. P. Fitoussi, *Report by the Commission on the Measurement of Economic Performance and Social Progress*, 2009, ec.europa.eu, bit.ly/3LAMXjM, dostęp: 17.01.2022.

2 *Social Progress Index. Executive Summary*, apo.org.au, bit.ly/3tLXing, dostęp: 17.01.2022, s. 13.

3 M. E. Porter, *America Traded One Recession for a Far More Serious One*, „The Boston Globe”, 21.09.2018, bostonglobe.com, bit.ly/3rrMAiU, dostęp: 17.01.2022.

4 Zob. P. O'Connor, *Poll Finds Widespread Economic Anxiety*, „The Wall Street Journal”, 5.08.2014, wsj.com, on.wsj.com/3IY321n, dostęp: 17.01.2022; wyniki pochodzą z sondażu „Wall Street Journal” i NBC News.

5 Zob. J. Ducharme, *U.S. Suicide Rates Are the Highest They've Been Since World War II*, „Time”, 20.06.2019, time.com, bit.ly/376ZjRM, dostęp: 17.01.2022. Miasto Herriman w stanie Utah przeżyło w ciągu niespełna roku samobójstwa sześciorga uczniów szkoły średniej oraz jej niedawnego absolwenta. Zob. też: I. Lovett, *One Teenager Killed Himself, Then Six More Followed*, „The Wall Street Journal”, 12.04.2019, wsj.com, on.wsj.com/3NIsNpY, dostęp: 17.01.2022.

6 Zob. R. N. Lipari, S. L. Van Horn, *Children Living with Parents Who Have a Substance Use Disorder*, „The CBHSQ Report”, Substance Abuse and Mental Health Services Administration, 24.08.2017, samhsa.gov, bit.ly/3fDxNw0, dostęp: 17.01.2022.

7 Zob. Ch. Collins, J. Hoxie, *Billionaire Bonanza*, Institute for Policy Studies, 8.11.2017, ips-dc.org, bit.ly/3rpC9wj, dostęp: 17.01.2022. Collins i Hoxie twierdzą, że jeden procent najzamożniejszych amerykańskich gospodarstw domowych posiada 39,7 procent całego majątku prywatnego. W latach 1860–1900 dwa procent najzamożniejszych amerykańskich gospodarstw domowych posiadało ponad jedną trzecią majątku narodowego, a mniej więcej trzy czwarte należało do najzamożniejszych dziesięciu procent.

8 R. Dalio, tweet z 7.04.2019, twitter.com, bit.ly/3tIWD5U, dostęp: 17.01.2022.

9 Tenże, *Why and How Capitalism Needs to Be Reformed*, 5.04.2019, economicprinciples.org, bit.ly/33LBY6j, dostęp: 17.01.2022.

10 Zob. F. Newport, *Democrats More Positive about Socialism than Capitalism*, „Gallup News”, 13.08.2018, gallup.com, bit.ly/3qKAu5H, dostęp: 17.01.2022.

11 Zob. J. Larrimore i in., *Report on the Economic Well-Being of U.S. Households in 2017*, Board of Governors of the Federal Reserve System, May 2018, federalreserve.gov, bit.ly/3uSLGhm, dostęp: 17.01.2022.

12 Zob. D. Schneider, K. Harknett, *Consequences of Routine Work-Schedule Instability for Worker Health and Well-Being*, „American Sociological Review” 2019, vol. 84, issue 1, s. 82–114.

13 H. Long, *'Nobody Like You Has Ever Done It'. How a High School Dropout Became President of the San Francisco Federal Reserve*, „The Washington Post”, 18.01.2019, washingtonpost.com, wapo.st/3A6OVUx, dostęp: 17.01.2022.

14 Zob. *The Valedictorians Project*, „The Boston Globe”, 17.01.2019, apps.bostonglobe.com, bit.ly/3ru9y95, dostęp: 17.01.2022.

15 Zob. G. Skelley, *Just How Many Obama 2012-Trump 2016 Voters Were There?*, University of Virginia Center for Politics, 1.06.2017, centerforpolitics.org, bit.ly/3qxuOM1, dostęp: 17.01.2022. Według Skelleya było 8,4 miliona takich wyborców.

16 K. D. Williamson, *Chaos in the Family, Chaos in the State. The White Working Class's Dysfunction*, „National Review", 17.03.2016, nationalreview.com, bit.ly/3IfpXFe, dostęp: 17.01.2022.

3 Gdy znikają miejsca pracy

1 Zob. J. W. Moyer, *More Than 7 Million May Have Lost Driver's Licenses Because of Traffic Debt*, „The Washington Post", 19.05.2018, washingtonpost.com, wapo.st/34TePzr, dostęp: 17.01.2022.

2 Zob. *Households and Nonprofit Organizations; Net Worth, Level (TNWBSHNO)*, Board of Governors of the Federal Reserve System (US), fred.stlouisfed.org, bit.ly/3KkrLPf, dostęp 24.04.2019.

3 David Leonhardt obrazuje to doskonałym wykresem przedstawiającym dane na temat dochodów (po potrąceniu podatków i płatności transferowych) z artykułu Thomasa Piketty'ego, Emmanuela Saeza i Gabriela Zucmana, a także danymi na temat PKB z Biura Analiz Gospodarczych (BEA). Zob. D. Leonhardt, *How the Upper Middle Class Is Really Doing*, „The New York Times", 24.02.2019, nytimes.com, nyti.ms/3qA5dlA, dostęp: 17.01.2022.

4 Zob. S. Anderson, *How Wall Street Drives Gender and Race Pay Gaps*, Institute for Policy Studies, 26.03.2019. Według najnowszego raportu łączna wartość premii dla 181 300 pracowników Wall Street wyniosła dwadzieścia siedem i pół miliarda dolarów – więcej niż trzykrotność sumy rocznych zarobków wszystkich 640 000 amerykańskich pracowników zatrudnionych na pełny etat (pracujących co najmniej trzydzieści pięć godzin tygodniowo) za federalną płacę minimalną.

5 Zob. D. Desilver, *For Most U.S. Workers, Real Wages Have Barely Budged in Decades*, Fact Tank, Pew Research Center, 7.08.2018, pewresearch.org, pewrsr.ch/3MOqBw2, dostęp: 17.01.2022. Odnosi się to do średnich stawek godzinowych pracowników spoza kadry zarządzającej zatrudnionych w sektorze prywatnym niezwiązanym z rolnictwem. Po 1973 roku średnia tych zarobków nieznacznie spadała aż do lat dziewięćdziesiątych, a następnie nieznacznie rosła. W sumie po skorygowaniu o poziom inflacji utrzymuje się nieco poniżej poziomu ze stycznia 1973 roku.

6 Zob. R. Boshara, W. R. Emmons, B. J. Noeth, *The Demographics of Wealth. How Age, Education and Race Separate Thrivers from Strugglers in Today's Economy*, Federal Reserve Bank of St. Louis, July 2015, tabela nr 2: Mediana majątku rodzin według wieku głowy rodziny, s. 7.

7 Zob. R. Chetty i in., *The Fading American Dream. Trends in Absolute Income Mobility*, „Science" 2017, vol 356, issue 6336, s. 398–406. Inna miara

mobilności gospodarczej, międzypokoleniowa elastyczność zarobków (IGE), wskazuje, że w około czterdziestu procentach miejsce Amerykanina w rozkładzie zarobków warunkują dochody jego rodziców.

8 Zob. M. Lee, *Inactive, Disconnected and Ailing. A Portrait of Prime-Age Men Out of the Labor Force*, „Social Capital Project", September 2018.

9 D. Brown, E. De Cao, *The Impact of Unemployment on Child Maltreatment in the United States*, University of Essex, UK, March 2018.

10 Zob. E. Glaeser, L. Summers, B. Austin, *A Rescue Plan for a Jobs Crisis in the Heartland*, „The New York Times", 24.05.2018, nytimes.com, nyti.ms/3fzKAzA, dostęp: 17.01.2022. Zob. też: B. Austen, E. Glaeser, L. Summers, *Saving the Heartland. Place-Based Policies in 21st Century America*, Brookings Institution, 8.03.2018, brookings.edu, brook.gs/3IeA0uj, dostęp: 17.01.2022. Rośnie zainteresowanie Kongresu programami ukierunkowanymi na tworzenie miejsc pracy. W czasach pełnego zatrudnienia wprowadzanie takiego programu na szczeblu krajowym może jednak nie mieć sensu. Ze względu na różnice między regionami powinniśmy raczej skupić się na obszarach o wysokim bezrobociu. Możemy też mnożyć programy wsparcia dla pracodawców tworzących miejsca pracy, rozszerzyć odliczenie od podatku dochodowego (EITC) oraz skierować działania ku zagrożonym grupom społecznym, takim jak młodociani przestępcy, organizując specjalne inicjatywy w rodzaju Career Academies, które doskonale przekładają się na tworzenie miejsc pracy.

11 Zob. L. Nedelkoska, G. Quintini, *Automation, Skills Use and Training*, OECD, 14.03.2018, read.oecd-ilibrary.org, bit.ly/3qARuLs, dostęp: 17.01.2022.

12 L. Wronski, *Top Words to Describe 2018: Great and Exhausting*, sondaż przeprowadzony w dniach 10–17.12.2018, Survey Monkey, surveymonkey.com, bit.ly/3tHUzLA, dostęp: 17.01.2022.

13 O. Wilde, *Kobieta bez znaczenia*, przeł. B. Beaupré, Warszawa 1908, s. 53.

14 Zob. R. Sheffield, R. Rector, *Air Conditioning, Cable TV, and an Xbox. What Is Poverty in the United States Today?*, The Heritage Foundation, 19.07.2011, heritage.org, herit.ag/355bduv, dostęp: 17.01.2022. Zob. też: D. Thompson, *30 Million in Poverty Aren't as Poor as You Think, Says Heritage Foundation*, „The Atlantic", 19.07.2011, theatlantic.com, bit.ly/3Aamq8y, dostęp: 17.01.2022, gdzie autor twierdzi, że wzrost produktywności w branży elektronicznej i innych dziedzinach sprawił, iż pewne produkty są bardzo tanie, podczas gdy opieka zdrowotna, edukacja i mieszkalnictwo wciąż pozostają drogie.

15 N. Kristof, *Cardinal Tobin, Am I a Christian?*, „The New York Times", 22.12.2017, nytimes.com, nyti.ms/3EzTPKf, dostęp: 28.12.2021.

16 Zob. V. Murthy, *Work and the Loneliness Epidemic*, „Harvard Business Review", 26.09.2017, hbr.org, bit.ly/3Ac1DkQ, dostęp: 17.01.2022. Murthy zauważa, że jako kraj konfrontujemy się z zagrożeniem zdrowia

publicznego stwarzanym przez papierosy, lecz generalnie nie zdajemy sobie sprawy z zagrożenia, jakie stwarza samotność.

4 Amerykańska arystokracja

1 Zob. R. Chetty i in., *Mobility Report Cards. The Role of Colleges in Intergenerational Mobility*, „Working Paper NBER" 2017, no. 23618, nber.org, bit.ly/3qFLp09, dostęp: 18.01.2022.

2 Zob. *College Affordability and Completion: Ensuring a Pathway to Opportunity*, U.S. Department of Education, ed.gov, bit.ly/3fTiqjz, dostęp: 18.01.2022.

3 Zob. M. C. Daly, L. Bengali, *Is It Still Worth Going to College?*, Federal Reserve Bank of San Francisco, „FRBSF Economic Letter", 5.05.2014.

4 R. Chetty, *Improving Opportunities for Economic Mobility: New Evidence and Policy Lessons* [w:] *Economic Mobility: Research & Ideas on Strengthening Families, Communities & the Economy*, St. Louis 2017, s. 37.

5 Zob. K. Fischer, *Engine of Inequality*, „The Chronicle of Higher Education", 17.01.2016, chronicle.com, bit.ly/3qGHlNt, dostęp: 18.01.2022.

6 Ch. Wagner, *School Segregation Then & Now. How to Move Toward a More Perfect Union*, 2017, nsba.org, bit.ly/3IjmKVa, dostęp: 18.01.2022.

7 R. C. Johnson, A. Nazaryan, *Children of the Dream: Why School Integration Works*, New York 2019, s. 2.

8 Zob. E. Rude, *The Very Short History of Food Stamp Fraud in America*, „Time", 30.03.2017, time.com, bit.ly/3FEJnSb, dostęp: 18.01.2022.

9 Zob. G. Zucman, *The Hidden Wealth of Nations: The Scourge of Tax Havens*, University of Chicago Press, Chicago 2015. Z obliczeń autora wynika, że skarb państwa traci corocznie trzydzieści sześć miliardów dolarów z powodu ukrytych aktywów. To tylko mała cząstka oszustw podatkowych. Amerykański urząd skarbowy szacuje, że obywatele są winni w sumie czterysta pięćdziesiąt osiem miliardów dolarów rocznie z tytułu niezapłaconych podatków, a dalsze analizy wskazują, że za większość tej kwoty odpowiadają osoby bardzo zamożne.

10 J. E. Stiglitz, A. Sen, J. P. Fitoussi, *Report by the Commission on the Measurement of Economic Performance and Social Progress*, 2009.

11 Zob. [M. P. Sinn], *Government Spends More on Corporate Welfare Subsidies Than Social Welfare Programs*, „Think by Numbers", 6.03.2011, thinkbynumbers.org, bit.ly/3rOBll9, dostęp: 18.01.2022.

12 Zob. M. Gardner, *Amazon in Its Prime: Doubles Profits, Pays 0 in Federal Income Taxes*, Institute on Taxation and Economic Policy, 13.02.2019, itep.org, bit.ly/3ruWdxr, dostęp: 18.01.2022.

13 Zob. J. Brunner, *For the First Time, Boeing Reveals State Tax Breaks: $305 Million in 2015*, „The Seattle Times", 29.04.2016, seatletimes.com, bit.ly/3tFw6GU, dostęp: 18.01.2022.

14 L. Zingales, *How E.U.'s Google Fine Explains High Cellphone Costs in the U.S.*, „The New York Times", 24.07.2018, nytimes.com, nyti.ms, nyti.ms/3PFKdEw, dostęp: 18.01.2022.

15 P. Kiel, J. Eisinger, *Who's More Likely to Be Audited: A Person Making $20,000 – or $400,000?*, „ProPublica", 12.12.2018, propublica.org, bit.ly/3tDE7fn, dostęp: 18.01.2022. Więcej na temat tego, że pięć procent najbogatszych podatników odpowiada za większość niezgłoszonego dochodu, zob. A. Johns, J. Slemrod, *The Distribution of Income Tax Noncompliance*, „National Tax Journal", September 2010, zwłaszcza tabela nr 3.

16 Zob. Ch. Simmons, *Manhattan DA Urges Jail for Dewey Exec, Alleges 'Fraud on This Court'*, „New York Law Journal", 13.11.2018, law.com, bit.ly/33oBjZ3, dostęp: 18.01.2022.

17 Human Rights Council, *Report of the Special Rapporteur on Extreme Poverty and Human Rights on His Mission to the United States of America*, United Nations General Assembly, 4.05.2018, digitallibrary.un.org, bit.ly/3rvEDJF, dostęp: 18.01.2022.

18 Tamże.

19 Zob. *Union Members (Annual) News Release*, Bureau of Labor Statistics, 18.01.2019, bls.gov, bit.ly/3u1gqOj, dostęp: 17.01.2022.

20 A. Lincoln, *First Annual Message*, 3.12.1861. Cyt. za: Abraham Lincoln on Labor, pnhp.org, bit.ly/3ICtqhl, dostęp: 17.01.2022.

21 Zob. *Non-compete Contracts: Economic Effects and Policy Implications*, Office of Economic Policy, U.S. Department of the Treasury, March 2016, home.treasury.gov, bit.ly/3qDDsJ4, dostęp: 17.01.2022.

22 J. Stein, *Many Lawmakers and Aides Who Crafted Financial Regulations After the 2008 Crisis Now Work for Wall Street*, „The Washington Post", 7.09.2018, washingtonpost.com, wapo.st/355n4J1, dostęp: 17.01.2022.

5 Jak Ameryka zeszła na złą drogę

1 C. Goldin, L. F. Katz, *The Race Between Education and Technology*, Cambridge 2008, s. 12.

2 To dochód realny po potrąceniu podatków i płatności transferowych, przytoczony na podstawie danych zawartych w artykule Thomasa Piketty'ego, Emmanuela Saeza i Gabriela Zucmana. Zob. D. Leonhardt, *How the Upper Middle Class in America Is Really Doing*, „The New York Times", 24.02.2019, nytimes.com, nyti.ms/3qA5dlA, dostęp: 17.01.2022.

3 Zob. I. Sawhill, *The Forgotten Americans*, New Haven 2018, s. 60–62.

4 Zob. F. Alvarado i in., *World Inequality Report 2018*, Cambridge 2018.

5 Część danych przytoczonych w porównaniu Francji ze Stanami Zjednoczonymi pochodzi z: I. Sawhill, *The Forgotten Americans*, dz. cyt., s. 79, 80.

6 Josh Levin opisuje historię Lindy Taylor w książce *The Queen. The Forgotten Life Behind an American Myth*, New York 2019.

7 T. Hobbes, *Lewiatan*, przeł. C. Znamierowski, Warszawa 1954, s. 110.

8 S. Pearlstein, *Can American Capitalism Survive?*, New York 2018, s. 13, 14, 22.

9 M. Tomasky, *The Real Legacy of the 1970s*, „The New York Times”, 2.02.2019, nytimes.com, nyti.ms/3tG4Kau, dostęp: 18.01.2022.

10 Zob. L. Mishel, J. Schieder, *CEO Compensation Surged in 2017*, Economic Policy Institute, 16.08.2018, epi.org, bit.ly/3rOJWnV, dostęp: 18.01.2022.

11 Zob. Walmart Proxy Statement Schedule 14A, przedłożone Amerykańskiej Komisji Papierów Wartościowych i Giełd (SEC), 30.05.2018.

12 Cyt. za: P. Georgescu, *A Pinch of Wall Street Madness*, „Forbes”, 31.05.2017, forbes.com, bit.ly/3FNVkoK, dostęp: 18.01.2022.

13 O. Cass, *The Once and Future Worker*, New York 2018, s. 4.

14 Zob. C. Rampell, *Arkansas's Medicaid Experiment Has Proved Disastrous*, „The Washington Post”, 19.11.2018, washingtonpost.com, wapo.st/3Ij12Rm, dostęp: 18.01.2022.

15 Zob. J. Bundrick, T. Snyder, *Do Business Subsidies Lead to Increased Economic Activity? Evidence from Arkansas's Quick Action Closing Fund*, Mercatus Center, Arlington 2017.

16 Zob. V. Tan Chen, *Cut Loose: Jobless and Hopeless in an Unfair Economy*, Oakland 2015. Dyskusja na temat fabryki Forda w Windsorze i kursu pielęgniarskiego – zob. s. 61; wzmianka o popadaniu w „apatię, rozpacz i poczucie winy” – zob. s. 228. Zdecydowanie zgadzamy się z tym, że potrzebujemy nie tylko mądrzejszych programów, lecz także narracji społecznej, która w mniejszym stopniu osądza tych, którym się nie powodzi, i pogardza nimi.

17 Zob. P. Krugman, *What's the Matter with Trumpland?*, „The New York Times”, 2.04.2018, nytimes.com, nyti.ms/3nCVgSI, dostęp: 18.01.2022.

18 Dobrze wykazuje to P. Krugman, tamże.

19 I. Sawhill, *The Forgotten Americans*, dz. cyt., s. 13.

20 Zob. S. Pinker, *The Better Angels of Our Nature*, New York 2012, s. 408.

21 Zob. K. Bowman, *Interracial Marriage: Changing Laws, Minds and Hearts*, „Forbes”, 13.01.2017, forbes.com, bit.ly/3fD3buP, dostęp: 18.01.2022.

Zob. też E. O'Neil, H. Sims, K. Bowman, *AEI Political Report. The Trump Presidency. Change, Change, Change*, American Enterprise Institute, 13.01.2017, aei.org, bit.ly/3FI2v1V, dostęp: 18.01.2022.

22 Zob. H. Karthikeyan, G. J. Chin, *Preserving Racial Identity*, „Asian Law Journal" 2002, nr 1, s. 9.

6 Dilerzy w białych fartuchach

1 B. Meier, *Pain Killer*, New York 2018, s. 41. Ten przełomowy reportaż o Purdue Pharma jest przejmującą opowieścią o tym, jak firmy farmaceutyczne handlują lekami, nie zważając na olbrzymie koszty ludzkie.

2 Zob. *Health Insurance Plans May Be Fueling Opioid Epidemic*, Johns Hopkins Bloomberg School of Public Health, 22.07.2018, publichealth.jhu.edu, bit.ly/3qGwa7j, dostęp: 18.01.2022.

3 Według wspólnego oświadczenia ekspertów w dziedzinie bólu „obecnie prawie osiemnaście milionów Amerykanów zażywa długotrwale opioidy na receptę". Zob. B. D. Darnall, *International Stakeholder Community of Pain Experts and Leaders Call for an Urgent Action on Forced Opioid Tapering*, „Pain Medicine" 2019, vol. 20, issue 3.

4 M. Forsythe, W. Bogdanich, *McKinsey Advised Purdue Pharma How to 'Turbocharge' Opioid Sales, Lawsuit Says*, „The New York Times", 1.02.2019, nytimes.com, nyti.ms/3FFU0V8, dostęp: 18.01.2022.

5 Zob. *Justice Department Takes First-of-Its-Kind-Legal Action to Reduce Opioid Over-Prescription*, komunikat prasowy Departamentu Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych, 22.08.2018, justice.gov, bit.ly/3qIfiwM, dostęp: 18.01.2022.

6 Zob. E. Hughes, *The Pain Hustlers*, „The New York Times Magazine", 2.05.2018, nytimes.com, nyti.ms/32blZy6, dostęp: 18.01.2022.

7 *Fueling an Epidemic. Inside the Insys Strategy for Boosting Fentanyl Sales*, U.S. Senate Homeland Security and Governmental Affairs Committee, Ranking Members Office, 17.10.2018, s. 8.

8 Zob. S. E. Hadland i in., *Association of Pharmaceutical Industry Marketing of Opioid Products with Mortality from Opioid-Related Overdoses*, „JAMA Network Open" 2019, jamanetwork.com, bit.ly/3qGIft8, dostęp: 18.01.2022.

9 Informacje o Insys pochodzą w głównej mierze z *Fueling an Epidemic*, dz. cyt.

10 Zob. *Combating the Opioid Epidemic: Examining Concerns About Distribution and Diversion*, House of Representatives, Subcommittee on Oversight and Investigations, Committee on Energy and Commerce, 8.05.2018. Zob. też S. Armour, T. M. Burton, *Opioid Shipments to Small*

Towns Come Under Spotlight at Hearing, „The Wall Street Journal”, 8.05.2018, wsj.com, on.wsj.com/3tKAg0h, dostęp: 18.01.2022.

11 Zob. E. Fry, *Big McKesson Shareholder, Governance Experts Say the Opioid Crisis Should Have Cost the CEO Some Bonus Pay*, „Fortune”, 10.07.2017, fortune.com, bit.ly/32brf4M, dostęp: 18.01.2022.

12 J. Caulkins, K. Humphreys, *Drug Dealers Among Us. Look for Those Wearing Lab Coats or Pinstripe Suits*, „The Hill”, 6.02.2018, thehill.com, bit.ly/3tFNawn, dostęp: 18.01.2022.

7 Przegrywanie wojny o narkotyki

1 Cyt. za: D. Baum, *Legalize It All*, „Harper’s Magazine” 2016, no. 332, s. 22–32. Ehrlichman wypowiedział cytowane słowa w 1996 roku, wiele lat po zakończeniu pracy w Białym Domu, w rozmowie z Danem Baumem, który pisał wówczas książkę o polityce dotyczącej narkotyków. Między innymi z powodu tej historii liberałowie zakładają czasami, że wojna z narkotykami i masowe wtrącanie do więzeń były po prostu elementami spisku konserwatystów. Prawda jest bardziej złożona, a klęskę poniosły obie partie. W swojej nagrodzonej Pulitzerem książce *Locking Up Our Own* (New York 2017) James Forman Jr. zwraca uwagę, że czarni przywódcy początkowo popierali surowe metody utrzymania prawa i porządku, ponieważ w miastach, gdzie rządzili, szerzyły się narkotyki i przestępczość.

2 Zob. M. Warner i in., *Drug Poisoning Deaths in the United States, 1980–2008*, NCHS Data Brief No 81, U.S. Department of Health and Human Services, December 2011, s. 1.

3 Zob. *Key Substance Abuse and Mental Health Indicators in the United States*, Substance Use and Mental Health Administration, 2018.

4 *Principles of Drug Addiction Treatment. A Research-Based Guide*, National Institute on Drug Abuse, January 2018.

5 Zob. J. Ng, Ch. Sutherland, M. R. Kolber, *Does Evidence Support Supervised Injection Sites?*, „Canadian Family Physician” 2017, nr 11, s. 866.

6 Zob. The Editors, *Addicts Should Be Able to Shoot Up Legally in Safe-Injection Facilities*, „Scientific American”, 1.07.2018, scientificamerican.com, bit.ly/3ruemvr, dostęp: 19.01.2022.

7 J. Mack, *Michigan Has More Annual Opioid Prescriptions Than People*, 26.06.2017, mlive.com, bit.ly/3nEC8U8, dostęp: 19.01.2022. Lekarze w Michigan wypisali w 2016 roku jedenaście milionów recept na opioidy. Populacja Michigan liczyła niespełna dziesięć milionów osób.

8 Wyciąganie się z kłopotów za własne cholewki

1 Pew Research Center, *In a Politically Polarized Era, Sharp Divides in Both Partisan Coalitions*, 17.12.2019, pewresearch.org, pewrsr.ch/3r0bbvP,

dostęp: 19.01.2022.

2 T. Nugent, *NUGENT: Four More Years of Debt and Class Warfare*, „The Washington Times”, 8.11.2012, washingtontimes.com, bit.ly/3u03oQF, dostęp: 19.01.2022.

9 Śmierć z rozpaczy

1 J. K. Rowling, *Życie jest sztuką. O korzyściach płynących z porażek i o sile wyobraźni*, przeł. M. Hesko-Kołodzińska, P. Budkiewicz, Poznań 2015, s. 21.

2 Szacunki dotyczące średniej długości życia w XIX wieku są rozbieżne. Zob. np. J. D. Hacker, *Decennial Life Tables for the White Population of the United States*, niepublikowane, U.S. National Library of Medicine, 2011, tabela 8. Szacunkowa długość życia białych mężczyzn w latach sześćdziesiątych XIX wieku wynosiła 35,6 roku. Nie znamy żadnych rzetelnych danych dotyczących średniej długości życia Amerykanów w tym okresie, które uwzględniałyby populacje czarnych lub rdzennych mieszkańców, lecz musiała być ona znacznie niższa. Sugerujemy zatem, że ogólna wartość wynosi mniej niż trzydzieści pięć lat.

3 L. Bernstein, Ch. Ingraham, *Fueled by Drug Crisis, U.S. Life Expectancy Declines for a Second Straight Year*, „The Washington Post”, 21.12.2017, washingtonpost.com, wapo.st/3FSsT99, dostęp: 23.01.2022.

4 Zob. J. J. Lee i in., *Gene Discovery and Polygenic Prediction from a Genome-wide Association Study of Educational Attainment in 1.1 Million Individuals*, „Nature Genetics” 2018, no. 50, s. 1112–1121.

5 Omawiamy to w swojej książce *A Path Appears*, New York 2014, w rozdziale zatytułowanym *The Power of Hope*.

6 Zob. E. B. Tapper, N. D. Parikh, *Mortality Due to Cirrhosis and Liver Cancer in the United States, 1999–2016. Observational Study*, „British Medical Journal” 2018, no. 362, bmj.com, bit.ly/3GUWOPF, dostęp: 23.01.2022.

10 Skuteczne interwencje

1 M. Twain, *Przygody Hucka*, przeł. K. Tarnowska, Warszawa 1985, s. 102.

2 Zob. M. S. Saar i in., *The Sexual Abuse to Prison Pipeline. The Girls’ Story*, New Jersey–Washington c. 2016, georgetown.edu, bit.ly/3wFhIOG, dostęp: 23.01.2022, s. 7.

3 Zob. E. Swavola, K. Riley, R. Subramanian, *Overlooked. Women and Jails in an Era of Reform*, Vera Institute of Justice, New York 2016, s. 12.

4 Zob. G. A. Zarkin i in., *Benefits and Costs of Substance Abuse Treatment Programs for State Prison Inmates. Results from a Lifetime Simulation Model*, „Health Economics” 2012, vol. 21, no. 6, s. 633–652.

11 Powszechna opieka zdrowotna. Jeden dzień, jedno miasto

1 Zob. *America's Health Rankings: 2017 Annual Report*, United Health Foundation, americashealthrankings.org, bit.ly/3Ao6FuG, dostęp: 23.01.2022, s. 43.

2 Zob. A. P. Thakrar i in., *Child Mortality in the US and 19 OECD Comparator Nations. A 50-Year Time-Trend Analysis*, „Health Affairs" 2018, vol. 37, no. 1.

3 Zob. R. M. Kaplan, *More Than Medicine*, Cambridge 2019, s. 96–98.

4 Zob. *2015 Comparative Price Report*, International Federation of Health Plans. Przytoczone ceny to średnie z poszczególnych krajów: w Hiszpanii i Szwajcarii koszt leków i zabiegów medycznych utrzymuje się konsekwentnie na niskim poziomie, a w Stanach Zjednoczonych – na wysokim.

5 Zob. R. M. Kaplan, *More than Medicine*, dz. cyt., s. 128, 129.

6 Zob. A. M. Gilligan i in., *Death or Debt? National Estimates of Financial Toxicity in Persons with Newly-Diagnosed Cancer*, „The American Journal of Medicine" 2018, vol. 131 no. 10, s. 1187–1199.

12 Bezdomni w bogatym kraju

1 Zob. M. Henry i in., *The 2018 Annual Homeless Assessment Report to Congress. Part I: Point-in-Time Estimates of Homelessness*, U.S. Department of Housing and Urban Development, December 2018, s. 1, wpr.org, bit.ly/3gBQjFG, dostęp: 21.01.2022.

2 Zob. A. Poblacion i in., *Stable Homes Make Haealthy Families*, Children's HealthWatch What If?, August 2017, researchgate.net, bit.ly/3gLcnxQ, dostęp: 15.02.2022.

3 Zob. A. Auramd, D. Emmanuel, D. Yentel, *Out of Reach. The High Cost of Housing*, National Low Income Housing Coalition, 2018.

4 Zob. E. L. Glaeser, J. Gyourko, *The Impact of Zoning on Housing Affordability*, NBER, March 2002.

5 Tamże.

6 *Housing Development Toolkit*, The White House, September 2016, s. 7, obamawhitehouse.archives.gov, bit.ly/338znn4, dostęp: 21.01.2022.

7 Zob. D. Fernandes, J. G. Lynch Jr., R. G. Netemeyer, *The Effect of Financial Literacy and Financial Education on Downstream Financial Behaviors*, „Management Science", August 2014. Starannie przeprowadzone badania pokazały, że świadomość finansowa jest pomocna w kontekście kont rozwoju osobistego, a niektóre programy szkolne także przynoszą dobre wyniki.

8 Zob. K. Orton, *Federal Government Spends More Subsidizing Homeowners Than It Does Helping People Avoid Homelessness*, „The Washington Post”, 11.10.2017, washingtonpost.com, wapo.st/3gADtHR, dostęp: 21.01.2022. Zob. też: M. Novogradac, *Once Again, Homeownership Gets Far More Tax Subsidies Than Rental Housing*, „Novogradac Journal of Tax Credits”, 2.07.2018, novoco.com, bit.ly/3oBsfHy, dostęp: 21.01.2022. Oczekuje się, że po przeprowadzonej w 2018 roku reformie prawa podatkowego koszt odliczeń z tytułu odsetek od kredytów hipotecznych spadnie do czterdziestu jeden miliardów dolarów z sześćdziesięciu sześciu miliardów w 2017 roku; zwolnienie z podatku pięciuset tysięcy dolarów zysków kapitałowych ze sprzedaży domów oznacza kolejnych trzydzieści sześć miliardów dolarów rocznie.

9 Zob. P. Whoriskey, *A Billion-Dollar Empire Made of Mobile Homes*, „The Washington Post”, 14.02.2019, washingtonpost.com, wapo.st/3Bop0IN, dostęp: 21.01.2022.

13 Mistrzowie ucieczek

1 Zob. Y. Chen, T. J. VanderWeele, *Associations of Religious Upbringing with Subsequent Health and Well-Being from Adolescence to Young Adulthood: An Outcome-Wide Analysis*, „American Journal of Epidemiology” 2018, vol. 187, issue 11, s. 2355–2364.

2 Zob. W. B. Wilcox, W. R. Wang, R. B. Mincy, *Black Men Making It in America*, American Enterprise Institute, 2018. To samo badanie pokazało, że czarni mężczyźni częściej docierali do klasy średniej, jeśli byli żonaci, należeli do Kościoła lub mieli poczucie sprawczości jako nastolatki lub młodzi mężczyźni. Jak można się domyślić, wyższe wykształcenie i praca na pełny etat także korelowały z sukcesem.

14 Strzał w twarz

1 Zob. *The Growth of Incarceration in the United States. Exploring Causes and Consequences*, eds. J. Travis, B. Western, S. Redburn, Washington DC 2014, s. 33.

2 Zob. *Fact Sheet: Trends in U.S. Corrections*, The Sentencing Project, Washington DC, June2018, sentencingproject.org, bit.ly/3rBjHST, dostęp: 21.01.2022.

3 Zob. *The Case for More Incarceration* ze słowem wstępnym prokuratora generalnego Williama P. Barra, U.S. Department of Justice, 28.10.1992.

4 Zob. A. Nellis, *Still Life. America's Increasing Use of Life and Long-Term Sentences*, The Sentencing Project, 2017, s. 5, sentencingproject.org, bit.ly/3rDs8gx, dostęp: 21.01.2022. Liczba jeden na siedmiu uwzględnia także 44 311 osób odsiadujących praktycznie dożywotnie wyroki co najmniej

pięćdziesięciu lat więzienia. Więcej na temat kosztów dożywotniego więzienia zob. tamże, s. 26.

5 Zob. D. Allen, *How Should We Deal with Wrongdoing? And You Can't Say Prison*, „The Washington Post", 16.05.2018, washingtonpost.com, wapo.st/34nq5o5, dostęp: 21.01.2022.

6 Zob. E. Rodrigue, R. V. Reeves, *Home Visiting Programs. An Early Test for the 114th Congress*, The Brookings Institution, 5.02.2015, brookings.edu, brook.gs/3BbUYrB, dostęp: 21.01.2022. Zob. też *2018 Home Visiting Yearbook*, National Home Visiting Resource Center, nhvrc.org, bit.ly/338GBHI, dostęp: 21.01.2022. Napisano tam, że sprawdzone programy wizyt domowych służyły w 2017 roku trzystu tysiącom rodzin z osiemnastu milionów, którym mogłyby przynieść korzyść.

7 Zob. S. Danziger, J. Levav, L. Avnaim-Pesso, *Extraneous Factors in Judicial Decisions*, „PNAS" 2011, vol. 108, no. 17, s. 6889–6892.

8 Zob. O. Eren, N. Mocan, *Emotional Judges and Unlucky Juveniles*, „American Economic Journal. Applied Economics" 2018, vol. 10, no. 3, s. 171–205.

9 Wyraziła to dobitnie Michelle Alexander w książce *The New Jim Crow. Mass Incarceration in the Age of Colorblindness*, New York 2010.

10 Zob. M. Bertrand, S. Mullainathan, *Are Emily and Greg More Employable Than Lakisha and Jamal? A Field Experiment on Labor Market Discrimination*, „American Economic Review" 2004, no. 4, s. 991–1013.

11 *The Cultural Matrix. Understanding Black Youth*, eds. O. Patterson, E. Fosse, Cambridge 2015.

12 B. DiJulio i in., Kaiser Family Foundation/CNN Survey of Americans on Race, November 2015, files.kff.org, bit.ly/3r0k2he, dostęp: 21.01.2022.

13 Zob. L. J. Dettling i in., *Recent Trends in Wealth-Holding by Race and Ethnicity. Evidence from the Survey of Consumer Finances*, Board of Governors of the Federal Reserve System, „FEDS Notes", 27.09.2017, federalreserve.gov, bit.ly/3B8n9rn, dostęp: 21.01.2022.

14 Zob. J. Rothwell, *Housing Costs, Zoning, and Access to High-Scoring Schools*, Brookings Institution, Metropolitan Policy Program, April 2012, s. 8.

15 Zob. S. Saul, M. Flegenheimer, *The El Paso Homecoming That Set Beto O'Rourke's Star on the Rise*, „The New York Times", 26.04.2019, nytimes.com, nyti.ms/3Jezpt5, dostęp: 21.01.2022.

16 Zob. *Synopsis of Reprogramming*, strona internetowa Bureau of Indian Education, bie.edu, dostęp: 21.01.2022; *IHS Profile*, Indian Health Service, dane z lat 2015–2018; *Bureau of Prisons. Better Planning and Evaluation Needed to Understand and Control Rising Inmate Health Care Costs*, 29.06.2017, gao.gov, bit.ly/3HHrWCz, dostęp: 21.01.2022.

15 Boże, chroń rodzinę

1 Zob. B. Goldstein, *What Newt Gingrich's Three Wives Tell Us About the President He'd Be*, „The Washington Post", 2.01.2012, washingtonpost.com, wapo.st/367ePg9, dostęp: 22.01.2022.

2 Zob. J. Swaine, D. Smith, *Trump Fed Pick Was Held in Contempt for Failing to Pay Ex-Wife Over $300,000*, „The Guardian", 30.03.2019, theguardian.com, bit.ly/363THY0, dostęp: 22.01.2022.

3 Zob. J. A. Martin i in., *Births. Final Data for 2016*, „National Vital Statistics Reports" 2018, vol. 61, no. 1, tabela 9, s. 31.

4 Zob. M. Cancian, D. R. Meyer, S. T. Cook, *Stepparents and Half-Siblings: Family Complexity from a Child's Perspective*, „Fast Foucs" 2011, no. 11, s. 3, irp.wisc.edu, bit.ly/3gBr2eS, dostęp: 22.01.2022.

5 S. MacLanahan, Ch. Jencks, *Was Moynihan Right? What Happens to Children of Unmarried Mothers*, „Education Next" 2015, vol. 15, issue 2.

6 Zob. R. Reeves, J. Venator, *Saving Horatio Alger*, Brookings Institution, 21.08.2014, brookings.edu, brook.gs/3BbWt93, dostęp: 22.01.2022.

7 Zob. N. Zill, *Better Prospects, Lower Cost. The Case for Increasing Foster Care Adoption*, „Adoption Advocate" 2011, no. 35.

8 Zob. *Supporting Older Youth in Foster Care*, strona internetowa National Conference of State Legislatures, ncsl.org, dostęp: 25.02.2019.

9 Zob. *Aging Out of Foster Care*, strona internetowa National Foster Youth Institute, nfyi.org, dostęp: 26.05.2017.

16 Związek dusz

1 W. Shakespeare, *Sonety*, przeł. M. Słomczyński, Kraków 2000, s. 122.

2 Zob. W. B. Wilcox, W. R. Wang, R. B. Mincy, *Black Men Making It in America*, American Enterprise Institute, 26.06.2018, aei.org, bit.ly/33bPdNQ, dostęp: 22.01.2022. Oczywiście jest to raczej korelacja niż związek przyczynowo-skutkowy, a u części nieżonatych mężczyzn istniały czynniki ryzyka, które także zmniejszały ich szanse na zawarcie małżeństwa.

3 Zob. D. Autor, D. Dorn i G. Hanson, *When Work Disappears. Manufacturing Decline and the Falling Marriage Market Value of Young Men*, NBER, February 2017, oraz D. Schneider, K. Harknett, M. Stimpson, *What Explains the Decline in First Marriage in the United States?*, „Journal of Marriage and Family" 2018, vol. 80, issue 4, s. 791–811.

4 Jak dotąd badania poświęcone miastom, które podniosły płacę minimalną do piętnastu dolarów za godzinę, nie pokazują znaczącej związanej z tym utraty miejsc pracy, być może po części z powodu trochę większej lokalności i zmniejszonej rotacji kadr. Zob. S. A. Allegretto i in., *The New Wave of Local Minimum Wage Policies. Evidence from Six Cities*, Berkeley 2018. Inne

badania pokazują, że wyższa płaca minimalna przynosi pewne negatywne skutki, między innymi większą automatyzację przedsiębiorstw. D. Neumark, J. M. I. Salas, W. Wascher, *Revisiting the Minimum Wage–Employment Debate. Throwing Out the Baby with the Bathwater?*, The National Bureau of Economic Research, June 2013.

5 Zob. M. Zolna, L. Lindberg, *Unintended Pregnancy. Incidence and Outcomes Among Young Adult Unmarried Women in the United States, 2001 and 2008*, Guttmacher Institute, April 2012.

17 Pożeramy swoje młode

1 Według oficjalnych danych rocznie umiera tysiąc sześćset osób, lecz eksperci sugerują, że naprawdę jest ich dwa razy więcej.

2 Ubodzy chłopcy są dwukrotnie częściej aresztowani, a ubogie dziewczyny sześciokrotnie częściej rodzą nieślubne dziecko przed dwudziestym pierwszym rokiem życia. Zob. G. J. Duncan, A. Kalil, *Early-Childhood Poverty and Adult Attainment, Behavior, and Health*, „Child Development" 2010, vol. 81, no. 1, s. 306–325.

3 Zob. J. L. Oei, *Adult Consequences of Prenatal Drug Exposure*, „Internal Medicine Journal" 2018, vol. 48, no. 1, s. 25–31.

4 Zob. V. J. Felitti i in., *Relationship of Childhood Abuse and Household Dysfunction to Many of the Leading Causes of Death in Adults*, „American Journal of Preventive Medicine" 1998, vol. 14, no. 4, s. 245–258.

5 Zob. *Teen Pregnancy Prevention*, strona internetowa National Conference of State Legislatures, ncsl.org, dostęp: 11.10.2018.

6 Zob. *Common Core of Data. America's Public Schools*, National Center for Education Statistics. Liczba osób kończących szkołę w roku szkolnym 2016/2017 wyniosła 84,6 procent. Odnotowano więc wzrost w stosunku do 2011 roku, kiedy odsetek ten wynosił 79 procent. Zob. też M. Balingit, *U.S. High School Graduation Rates Rise to New High*, „The Washington Post", 4.12.2017, washingtonpost.com, wapo.st/3GJ4L9E, dostęp: 22.01.2022.

7 Zob. M. McLaughlin, M. R. Rank, *Estimating the Economic Cost of Child Poverty in the United States*, „Social Work Research" 2018, vol. 42, issue 2, s. 73–83.

8 Według niektórych szacunków koszty morderstw są wyższe i sięgają nawet siedemnastu milionów dolarów. Większość szacunkowych danych na ten temat mieści się jednak w przedziale od trzech do pięciu milionów dolarów w sytuacjach, gdy morderca zostaje skazany i uwięziony. M. DeLisi i in., *Murder by Numbers. Monetary Costs Imposed by a Sample of Homicide Offenders*, „The Journal of Forensic Psychiatry & Psychology" 2010, vol. 21, no. 4, s. 501–513.

9 Zob. Ö. Falk i in., *The 1% of the Population Accountable for 63% of All Violent Crime Convictions*, „Social Psychiatry Psychiatric Epidemiology" 2014, vol. 49, no. 4, s. 559–571.

10 Zob. R. Wilkinson, K. Pickett, *The Inner Level*, London 2018, s. xxi. Wilkinson i Pickett zgłębiali te zagadnienia także w swojej wcześniejszej książce *The Spirit Level*, London 2010.

11 Zob. Ch. Reichel, *Suicide Prevention: Research on Successful Interventions*, „Journalist's Resource", 25.02.2019, journalistsresource.org, bit.ly/3GUHGB3, dostęp: 22.01.2022.

12 Zob. V. Sacks, D. Murphey, *The Prevalence of Adverse Childhood Experiences, Nationally, by State, and by Race or Ethnicity*, „Child Trends", 12.02.2018, childtrends.org, bit.ly/3rCRHy9, dostęp: 22.01.2022.

13 A. Deaton, *The U.S. Can No Longer Hide from Its Deep Poverty Problem*, „The New York Times", 24.01.2018, nytimes.com, nyti.ms/3Jjc2hZ, dostęp: 22.01.2022.

14 Zob. D. A. P. Hersman, *How the Prescription Drug Crisis Is Impacting American Employers*, National Safety Council, 2017, s. 8.

18 Wychowywanie dzieci z problemami

1 I. Kant, *Uzasadnienie metafizyki moralności*, przeł. M. Wartenberg, Warszawa 1958, s. 50.

2 Zob. H. L. Shaefer, P. Wu, K. Edin, *Can Poverty in America Be Compared to Conditions in the World's Poorest Countries?*, National Poverty Center Working Paper Series, August 2016.

3 Zob. *Kenneth Reams przeciwko stanowi Arkansas*, sprawa rozpatrywana przez Sąd Najwyższy stanu Arkansas, 2018, Ark. 324, opinia większościowa sędzi Karen R. Baker.

4 Zob. S. B. Heller i in., *Thinking, Fast and Slow? Some Field Experiments to Reduce Crime and Dropout in Chicago*, NBER, dokument roboczy, no. 21178, May 2015.

19 Więcej specjalistów od ucieczek

1 Zob. J. Kania, M. Kramer, *Collective Impact*, „Stanford Social Innovation Review", Winter 2011.

20 Ameryka odzyskana

1 J. Baldwin, *Następnym razem ogień*, przeł. D. Passent, Warszawa 1965, s. 181.

2 Robert F. Kennedy, przemówienie skierowane do Cleveland City Club, 5.04.1968. Transkrypcja zamieszczona na stronie internetowej John F. Kennedy Presidential Library nie jest całkowicie wierna, więc polegaliśmy na własnej transkrypcji nagrania.

3 Zob. T. B. Edsall, *The Democratic Party Has Two Futures*, „The New York Times", 9.08.2018, nytimes.com, nyti.ms/3LEl23k, dostęp: 15.02.2022.

4 Zob. *A Roadmap to Reducing Child Poverty*, National Academies of Sciences, Engineering, and Medicine, Washington DC 2019.

5 Zob. F. D. Blau, L. M. Kahn, *Female Labor Supply. Why Is the United States Falling Behind?*, „American Economic Review. Papers & Proceedings" 2013, vol. 103, no. 3, s. 251–256. Zob. też C. Rampell, *Paid Family Leave Isn't Just a Women's Issue*, „The Washington Post", 14.02.2019, washingtonpost.com, wapo.st/3Bc6Eum, dostęp: 22.01.2022.

6 Zob. H. L. Shaefer i in., *A Universal Child Allowance. A Plan to Reduce Poverty and Income Instability Among Children in the United States*, „The Russell Sage Foundation Journal of the Social Sciences" 2018, vol. 4, no. 2, s. 22.

7 Zob. Ch. Collins i in., *Ten Solutions to Bridge the Racial Wealth Divide*, Washington DC 2019.

8 Konta rozwoju osobistego zostały obszernie omówione w: R. E. Friedman, *A Few Thousand Dollars*, New York 2018.

9 Zob. R. J. Shiller, *How Wage Insurance Could Ease Economic Inequality*, „The New York Times", 11.03.2016, nytimes.com, nyti.ms/3LszwDj, dostęp: 22.01.2022.

10 Zob. L. R. Wray i in., *Public Service Employment. A Path to Full Employment*, Levy Economic Institute of Bard College, April 2018, levyinstitute.org, bit.ly/3szRGu7, dostęp: 22.01.2022.

11 J. E. Stiglitz, *Progressive Capitalism Is Not an Oxymoron*, „The New York Times", 19.04.2019, nytimes.com, nyti.ms/3Jpagf8, dostęp: 22.01.2022.

12 J. Donne, *Medytacja XVII* [w:] S. Barańczak, *Antologia angielskiej poezji metafizycznej XVII stulecia*, Warszawa 1991, s. 54, 55.

Przypisy

[1] Te dane pochodzą z przejmującego filmu dokumentalnego Edwarda R. Murrowa z 1960 roku pod tytułem Harvest of Shame, opowiadającego o migrujących robotnikach. Dokument ten doprowadził do poprawy ich warunków życia (jeśli nie zaznaczono inaczej, przypisy pochodzą od autorów).

[2] John Denver – gwiazda muzyki country; największe sukcesy odnosił w latach siedemdziesiątych (przyp. tłum).

[3] Johnny Carson – aktor komediowy i prezenter telewizyjny, najbardziej znany jako wieloletni gospodarz popularnego programu NBC The Tonight Show (przyp. tłum.).

[4] Senator Warner wierzy oczywiście w gospodarkę rynkową, ale uważa, że obecny system faworyzuje inwestowanie w sprzęt, a nie w zasoby ludzkie. Warner zwraca także uwagę, że kapitał wysokiego ryzyka w przytłaczającej większości trafia do białych mężczyzn w Nowym Jorku, Kalifornii i Massachusetts. Jego zdaniem należy poszerzyć możliwości Amerykanów borykających się z problemami, by mogli wyjść z ubóstwa dzięki pracy zarobkowej. Chciałby też bardziej wspierać inwestowanie w kapitał ludzki zamiast w maszyny. Sugeruje na przykład, że pracodawca powinien móc skorzystać z dodatku na badania i rozwój nie tylko przy zakupie komputera, lecz także podczas szkolenia pracowników.

[5] Medicaid – amerykański państwowy system ubezpieczeń zdrowotnych dla osób o najniższych dochodach (przyp. tłum.).

[6] Earned Income Tax Credit (EITC) – ulga podatkowa dla osób pracujących i par o niskich lub umiarkowanych dochodach, której wysokość jest uzależniona m.in. od liczby wychowywanych przez nie dzieci (przyp. tłum.).

[7] Stan Wyoming ma najmniejszą populację ze wszystkich stanów USA – poniżej 600 tysięcy mieszkańców, a najludniejszym stanem jest zamieszkana przez blisko 40 milionów ludzi Kalifornia (przyp. tłum.).

[8] General Education Development (GED) – zestaw czterech testów, których zdanie jest równoważne z uzyskaniem świadectwa ukończenia szkoły średniej (przyp. tłum.).

[9] Dla jednych federalna renta inwalidzka jest ostatnią deską ratunku, lecz dla innych oznacza utknięcie w pułapce niekończącego się ubóstwa i utrudnia powrót na rynek pracy, gdy poprawiają się ich warunki ekonomiczne albo sytuacja osobista. Po osiągnięciu najwyższego poziomu we wrześniu

2015 roku wskaźnik liczebności osób zatrudnionych w Stanach Zjednoczonych wzrósł, między innymi dlatego, że część rencistów wróciła do pracy. Taka zmiana często jednak wiąże się dla nich z utratą świadczeń. Jerome Powell, przewodniczący Rady Gubernatorów Systemu Rezerwy Federalnej, zaproponował, by ludzie pobierający rentę mogli pracować, tracąc tylko część świadczeń. Innym podejściem byłoby danie ludziom urlopu, by mogli wrócić na rynek pracy, wciąż pobierając rentę przez określoną liczbę lat, lub pozwolenie im na pracę w większym wymiarze godzin bez ryzyka poniesienia kary. Tego rodzaju działania byłyby dla takich osób jak Kevin Green lub Rykoszet Goff większą zachętą do powrotu na rynek pracy.

[10] „W tym tekście nie skupiamy się na nierównościach płacowych, lecz na braku pracy, ponieważ uważamy go za znacznie większy problem. Wiele dowodów wskazuje na to, że osoby długotrwale bezrobotne nęka rozpacz" – piszą trzej znamienici ekonomiści z Uniwersytetu Harvarda: Benjamin Austin, Edward Glaeser i Lawrence H. Summers w przywoływanym już artykule Saving the Heartland.

[11] Elks – Benevolent and Protective Order of Elks (Dobroczynne i Opiekuńcze Bractwo Wapiti), amerykańskie bractwo założone w 1868 roku jako prywatny klub towarzyski w Nowym Jorku; czerpało z tradycji wolnomularskich (przyp. tłum.).

[12] Znamy strukturę opłat Ivy Coach, ponieważ pozwało ono pewną rodzinę za zapłacenie tylko połowy z półtora miliona dolarów należnych za pomoc w dostaniu się dziecka do szkół z internatem, a następnie do elitarnego college'u. W tym wypadku dziecko zostało przyjęte wcześniej do college'u z Ivy League. Zob. S. Jaschik, $1.5 Million to Get into an Ivy, „Inside Higher Ed", 12.02.2018, insidehighered.com, bit.ly/3fyMjp7, dostęp: 18.01.2022.

[13] Chodzi o przełomową decyzję Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, który w 1954 roku jednogłośnie orzekł, że segregacja rasowa w szkołach publicznych jest niezgodna z konstytucją (przyp. tłum.).

[14] Separate but equal – doktryna, zgodnie z którą segregację rasową uznawano za zgodną z konstytucją, jeśli czarnym i białym stwarzało się mniej więcej podobne warunki bytowe (przyp. tłum.).

[15] Medicare – amerykański państwowy system ubezpieczeń zdrowotnych dla osób powyżej sześćdziesiątego piątego roku życia (przyp. tłum.).

[16] Mowa o National Firearms Act [Narodowej ustawie o broni palnej], uchwalonej w 1934 roku (przyp. red.).

[17] Zdajemy sobie sprawę z ryzyka towarzyszącego wybiórczemu przytaczaniu danych statystycznych. Z analizy danych można jednak wyciągać odmienne wnioski. Przywołujemy tu na przykład podawane przez Piketty'ego i Saeza liczby dotyczące gwałtownego wzrostu dochodu jednego procenta najzamożniejszych Amerykanów. Są to jednak skomplikowane obliczenia będące przedmiotem ożywionych sporów. Ekonomiści Gerald Auten i David Splinter wprowadzają do nich rozmaite modyfikacje techniczne i wysnuwają

wniosek, że udział górnego jednego procenta, zwłaszcza po opodatkowaniu i płatnościach transferowych, rzeczywiście wzrósł, lecz w znacznie mniejszym stopniu (po części dlatego, że nierówności w 1960 roku były większe, niż się zakłada). Prosimy zatem o wzięcie pod uwagę tego, że rozmaite zestawy danych i konkluzje różnią się od siebie. Podobne spory dotyczą mediany dochodów. Zgodnie z wyliczeniami Urzędu do spraw Spisu Ludności mediana dochodu w przeliczeniu na jedną rodzinę wzrosła realnie o zaledwie siedem procent od 1979 roku. Kongresowe Biuro Budżetu pokazuje jednak pięćdziesięciojednoprocentowy przyrost w tym okresie. Różnice wynikają z tego, czy przyglądamy się dochodom przed opodatkowaniem czy po nim, a także ze sposobu uwzględnienia inflacji oraz z tego, czy bierze się poprawkę na to, że liczebność rodzin się zmniejsza. Analogicznie jest z ubóstwem: można je mierzyć za pomocą oficjalnych danych statystycznych (12,3 procent) albo uzupełniającej miary ubóstwa (13,9 procent), uważanej powszechnie za lepsze narzędzie, bądź też za pomocą analiz statystycznych preferowanych przez niektórych konserwatystów przyglądających się wydatkom ludzi ubogich i sugerujących, że skala ubóstwa jest znacznie mniejsza (około trzech procent). Będziemy próbowali oprzeć się pokusie, by, jak się potocznie mówi, używać statystyk tak, jak pijany używa ulicznej lampy, czyli raczej do podpierania się niż do oświetlania sobie drogi. Skoncentrujemy się na wadze dowodów, czyli na tym, że choć wszystkie dane statystyczne są otwarte na interpretacje, ogromna liczba wskaźników spójnie świadczy o kryzysie amerykańskiej klasy robotniczej.

[18] Deregulacja – uwolnienie poszczególnych dziedzin życia gospodarczego od regulacyjnych działań rządu (przyp. tłum.).

[19] Potępienie w wypowiedzi Reagana było przesadzone, lecz polityk odwoływał się do prawdziwej historii. Linda Taylor z Chicago posługiwała się co najmniej trzydziestoma trzema tożsamościami i wyłudzała pieniądze zarówno z programów rządowych, jak i od osób prywatnych. Podejrzewano ją także o zabójstwo i handel niemowlętami, a zatem oszukiwanie opieki społecznej mogło być najmniejszym z popełnionych przez nią przestępstw. Jeździła cadillakiem i nosiła futra, a „Chicago Tribune" nazwało ją „królową zasiłków". W większości badań stwierdzono jednak, że bezprawne korzystanie z publicznych programów pomocowych jest dość rzadkie, stanowi być może dwa procent przypadków – a zatem skala zjawiska jest mniejsza niż skala unikania płacenia podatków przez bogaczy.

[20] Private equity (PE) to kapitał wnoszony przez inwestora w nienotowane na giełdzie przedsiębiorstwa o dużym potencjale wzrostu; venture capital (VE) to forma PE odnosząca się do inwestycji na początkowym – najbardziej ryzykownym – etapie istnienia i ekspansji takiego przedsiębiorstwa (przyp. tłum.).

[21] W filozofii polityki toczyła się wielka debata na temat tego, czy życie w świecie nieznającym zorganizowanych form zarządzania ludźmi było idyllą czy koszmarem. Jean-Jacques Rousseau uważał, że tym pierwszym, a Thomas Hobbes, że drugim. Przytoczony fragment wydanego w 1651 roku Lewiatana

odnosi się do życia, które czekałoby jednostki, gdyby nie przekazały części praw silnemu rządowi.

[22] Mała epoka lodowcowa – okres ochłodzenia klimatycznego, trwający od XIV do połowy XIX wieku, przede wszystkim w Europie i Ameryce Północnej (przyp. red.).

[23] Prawa Jima Crowa – lokalne i stanowe przepisy uchwalane po wojnie secesyjnej przede wszystkim na południu Stanów Zjednoczonych, wprowadzające segregację rasową, uważane do dziś za jej symbol (przyp. tłum.).

[24] Medal Serca Purpurowego – amerykańskie odznaczenie wojskowe przyznawane w imieniu prezydenta żołnierzom, którzy zostali ranni na służbie (przyp. tłum.).

[25] Choć często przypisuje się te słowa Plutarchowi, nie udało się ich znaleźć w jego dziełach. Anaïs Nin przytacza je w swoim eseju Journal of the Otto Rank Association z 1973 roku, wskazując jako autora psychoanalityka Ottona Ranka. Nie wiadomo jednak, w której z jego prac miałyby one paść (przyp. tłum.).

[26] Drug Enforcement Administration (DEA) – amerykańska instytucja rządowa, której zadaniem jest szeroko pojęta walka z narkotykami (przyp. tłum.).

[27] Dzięki heroicznej pracy prawniczej Courtney Cross, adiunktki na Wydziale Prawa Uniwersytetu Alabamy, w marcu 2019 roku zmieniono wyrok Genevy na dożywocie z możliwością zwolnienia warunkowego. Aktualnie profesor Cross stara się o to zwolnienie. Sprawą Genevy zajmowała się Susan Burton, która prowadzi w Los Angeles projekt o nazwie A New Way of Life i zarówno nas, jak i Cross powiadomiła o jej wyroku.

[28] Nixon zaangażował doktora Jerome’a Jaffego, prowadzącego wcześniej program leczenia narkomanii w Chicago, by pokierował jego działaniami w zakresie zwalczania narkotyków. Doprowadziło to do dekryminalizacji uzależnienia tych, którzy chcieli się leczyć. Na podobnej zasadzie amerykańscy żołnierze z Wietnamu byli leczeni przed powrotem do domu: nie stawiano ich przed sądem wojskowym ani nie karano w inny sposób. Zob. zapis wywiadu z doktorem Jaffem przeprowadzonego przez PBS Frontline: pbs.org, to.pbs.org/3fCMZtF, dostęp: 19.01.2022.

[29] Paul Bloom, uznany profesor psychologii z Yale, wyraża taki pogląd w książce Against Empathy. Bloom oświadcza, że toczy „krucjatę przeciwko empatii”, i ostrzega, że empatia może prowadzić do depresji oraz do irracjonalnych starań, by pomóc konkretnemu dziecku o dużych oczach, zamiast większym i bardziej potrzebującym grupom. Podobnie jak wielu krytyków uważamy, że Bloom definiuje empatię zbyt wąsko i niesłusznie przeciwstawia ją rozsądkowi. Oczywiście jesteśmy przeciwko irracjonalności, lecz wierzymy, że empatia jest stworzona z mocniejszego materiału.

[30] Dowiedzieliśmy się o tej rozmowie Varneya z doskonałego odcinka programu radia WNYC On the Media poświęconego ubóstwu. Zob. wnyc.org, bit.ly/3Kp5b8a, dostęp: 19.01.2022.

[31] Nasty (ang.) – nieznośny, okropny, niebezpieczny (przyp. tłum.).

[32] Stan zmarł niespodziewanie w sierpniu 2018 roku wskutek powikłań po udarze. Opłakiwały go wszystkie amerykańskie społeczności, którym służył. Remote Area Medical wciąż organizuje jarmarki zdrowia w Stanach Zjednoczonych niemal w każdy weekend.

[33] Niektórzy sceptycy zwracają uwagę na to, że porównania między krajami są komplikowane przez różnice w sposobie gromadzenia danych. Coś w tym jest i uważamy, że Chiny i Kuba nie zawsze wliczają noworodki do statystyk na temat śmiertelności. W krajach wysoko rozwiniętych standardy sprawozdawczości wydają się jednak zbliżone. W jednym z badań przeanalizowano to zagadnienie i stwierdzono, że choć stosowane standardy wpływają na wskaźnik śmiertelności płodów, nie wpływają istotnie na wskaźniki śmiertelności noworodków. Zob. A. D. Mohangoo i in., International Comparisons of Fetal and Neonatal Mortality Rates in High-Income Countries. Should Exclusion Thresholds Be Based on Birth Weight or Gestational Age?, „PLoS ONE”, 13.05.2013, journals .plos.org, bit.ly/3tTSpIO, dostęp: 23.01.2022.

[34] Badanie omówione w artykule zostało przeprowadzone w Massachusetts. Podobne Baicker przeprowadziła wspólnie z Benjaminem Sommersem i Arnoldem Epsteinem – pokazało ono, że w Arizonie, Maine i w stanie Nowy Jork liczba istnień ocalonych dzięki ubezpieczeniu była jeszcze większa: tam ubezpieczenie dodatkowych stu siedemdziesięciu sześciu osób ratowało jedno życie rocznie.

[35] Słowa te od dziesięcioleci przypisuje się Dostojewskiemu, wskazując, że pochodzą z jego książki Wspomnienia z domu umarłych. Próżno ich tam jednak szukać. Zob. na ten temat I. Vinitsky, Dostoyevsky Misprisioned: “The House of the Dead” and American Prison Literature, „Los Angeles Review of Books”, 23.12.2019, lareviewofbooks.org, bit.ly/3od6cqu, dostęp: 23.09.2021 (przyp. tłum.).

[36] Czerwień jest w Stanach Zjednoczonych kolorem Partii Republikańskiej (przyp. tłum.).

[37] Każda dyskusja na temat rasy powinna uwzględniać także to, że część największych nierówności rasowych w Stanach Zjednoczonych obejmuje rdzennych Amerykanów, zwłaszcza tych mieszkających w rezerwatach na zachodzie kraju. Szacowana długość życia rdzennych Amerykanów w Dakocie Południowej i Montanie to sześćdziesiąt kilka lat, mniej niż w Bangladeszu. Odsetek osób kończących szkoły średnie prowadzone przez Biuro do spraw Kształcenia Indian (BIE) wynosi tylko pięćdziesiąt trzy procent. Indiańska Służba Zdrowia (IHS), zapewniająca opiekę zdrowotną w rezerwatach, jest haniebnie niedofinansowana: dostaje zaledwie trzy tysiące dziewięćset dolarów za każdą obsługiwaną osobę – niespełna połowę tego, co wydaje Federalne Biuro do spraw Więzień (BOP) na opiekę zdrowotną dla każdego osadzonego w więzieniu federalnym (osiem tysięcy sześćset dolarów).

[38] Niektóre badania wskazują, że dzieci par jednopłciowych osiągają umiarkowanie gorsze wyniki w nauce, lecz dzieje się tak chyba dlatego, że dzieci te często doświadczają rozwodu rodziców: typowe dziecko z tej grupy rodzi się parze heteroseksualnej, później jedno z rodziców ujawnia się jako gej lub lesbijka i para się rozstaje. Rozwód to jedno z ACE i ma wpływ na ogólne wyniki dziecka w nauce. Inni badacze zaobserwowali jednak, że dzieci wychowywane od urodzenia przez pary jednopłciowe osiągają zazwyczaj wyniki nieco powyżej średniej. Najprawdopodobniej to także nie ma związku z orientacją seksualną ich rodziców. Chodzi raczej o to, że pary jednopłciowe mające dzieci są nieco zamożniejsze i osiągają wyższy status socjoekonomiczny, niż wynosi średnia. Ponadto ponieważ rodzice jednopłciowi muszą aktywnie starać się o dziecko i poczynić znaczne inwestycje, by móc je wychowywać, jest mniejsze prawdopodobieństwo, że ich dziecko będzie zaniedbywane. Zob. D. Mazrekaj, K. de Witte, S. Cabus, School Outcomes of Children Raised by Same-Sex Couples from Birth. Evidence from Administrative Panel Data, Conference of the American Economic Association, 5.01.2019.

[39] Żal do latynoskich imigrantów wynikał nie tylko z utraty pracy, lecz także z frustracji wywołanej gwałtownym spadkiem statusu społecznego mężczyzn z białej klasy robotniczej, a towarzyszące temu zmiany demograficzne i kulturowe sprawiły, że jak to ujęła Arlie Russell Hochschild, poczuli się oni trochę jak „obcy we własnym kraju”.

[40] YMCA (Young Men’s Christian Association) – Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej; organizacja kulturalno-oświatowa, której celem jest wspieranie harmonijnego rozwoju fizycznego, umysłowego i duchowego zgodnie z wartościami chrześcijańskimi (przyp. tłum.).

[41] Porównajmy dane dotyczące czarnych mężczyzn wychowujących się w dwu różnych dzielnicach Los Angeles. W dniu spisu ludności w 2010 roku czterdzieści cztery procent młodych czarnych mężczyzn, którzy dorastali w Watts w rodzinach osiągających najniższe dochody, siedziało w więzieniu. Jednak spośród czarnych mężczyzn, którzy dorastali w równie ubogim Compton, trzy kilometry na południe, tylko sześć procent siedziało tego dnia za kratami. Jedyną różnicą między tymi dwoma dzielnicami jest struktura rodzinna. W latach osiemdziesiątych, gdy ci mężczyźni byli dziećmi, samotni rodzice z dziećmi tworzyli osiemdziesiąt siedem procent gospodarstw domowych w Watts i tylko pięćdziesiąt procent w Compton. To wszystko potwierdza słuszność wniosków Pata Moynihana dotyczących wagi struktury rodzinnej nie tylko dla dzieci, lecz także dla dorosłych i dla społeczeństwa w szerszym kontekście.

[42] Prawdopodobnie uczyliście się w szkole, że teoria ewolucji Lamarcka – głosząca, że zwierzęta zmieniają się w ciągu swojego życia i przekazują te zmiany potomstwu – jest błędna. Na przykład długie szyje żyraf nie są wynikiem tego, że ich przodkowie starali się dosięgnąć wysokich gałęzi. Epigenetyka jest jednak nową dziedziną nauki, która wskazuje, że czynniki środowiskowe mogą wpłynąć na ekspresję genów w taki sposób, iż nabyte cechy mogą być niekiedy przekazywane następnym pokoleniom. Nie jest to

genetyka Lamarcka, lecz nie do końca wiadomo, jak ją traktować. To rewolucyjna dyscyplina, która dopiero raczkuje.

[43] Zob. H. L. Shaefer, K. J. Edin, $2 a Day. Living on Almost Nothing in America, Boston 2015. Trwa ożywiona debata na temat sposobu dokonywania takich międzynarodowych porównań. Niektórzy zwracają uwagę, że skrajnie ubogie rodziny za granicą to często ludność wiejska, produkująca własną żywność i niepłacąca za zakwaterowanie, co w Stanach Zjednoczonych jest niemożliwe; inni wskazują, że ubodzy Amerykanie, zwłaszcza dzieci, mogą dostawać bony żywnościowe, pomoc medyczną w nagłych wypadkach oraz wsparcie od prywatnych organizacji dobroczynnych.

[44] Jednym z niebezpieczeństw jest na przykład to, że oferując zasiłki rodzinom z dziećmi, rząd przyczyni się do wzrostu dzietności niezamożnych samotnych matek. Ekonomista Paul Collier twierdzi, że właśnie tak stało się w Wielkiej Brytanii w 1999 roku. Zob. P. Collier, The Future of Capitalism, New York 2018, s. 160. Inne brytyjskie badania nie stwierdziły wpływu na dzietność samotnych kobiet, lecz wzrost dzietności par osiągających niskie dochody. Wyniki analiz w Stanach Zjednoczonych są niejednoznaczne: Robert Moffitt odnotowuje wpływ na dzietność (The Effect of Welfare on Marriage and Fertility, wprowadzenie do dyskusji, Institute for Research on Poverty, 1997), zaś Hilary Hoynes wyciąga odwrotny wniosek w Work, Welfare and Family Structure [w:] Fiscal Policy. Lessons from Economic Research, ed. A. Auerbach, Cambridge 1997. Badania przeprowadzone w Kanadzie i Europie pokazały, że zasiłki mają znikomy wpływ na dzietność kobiet osiągających niskie dochody lub wcale na nią nie wpływają; w Australii odnotowano krótkotrwały wzrost dzietności, który następnie zanikł. Według nas wyniki międzynarodowych badań wskazują, że powinniśmy bacznie obserwować wpływ zasiłków na dzieci na dzietność, lecz jest mało prawdopodobne, by stanowiło to znaczący problem.

[45] Ustawa o gospodarstwach rolnych była szansą tylko dla białych Amerykanów. W 1844 roku Oregon wyraźnie zakazał czarnym wstępu na swoje terytorium, zapowiadając, że każda czarna osoba, która spróbuje się tam osiedlić, zostanie publicznie wychłostana. Także konstytucja Oregonu, która zaczęła obowiązywać, gdy w 1859 roku uzyskał on status stanu, odmawiała czarnym prawa do osadnictwa. Podobnie było w wypadku federalnej ustawy o darowiznach ziemskich z 1850 roku, która stanowiła, że w całym kraju ziemię przyznaje się wyłącznie białym. Oregon nie tylko zakazał białym poślubiania czarnych, rdzennych mieszkańców i Chińczyków, lecz także przewidział karę więzienia dla każdego, kto udzieli takiego ślubu. Ten przepis pozostał w mocy do lat pięćdziesiątych XX wieku.

[46] Pay for success to innowacyjny mechanizm finansowania przenoszący ryzyko finansowe z instytucji państwowej na inwestora. Jeśli niezależna ocena wykaże, że finansowany program osiągnął uzgodnione cele, instytucja państwowa zwraca jego koszt. W przeciwnym razie stratę ponosi inwestor (przyp. tłum.).

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.

czarne.com.pl

Wydawnictwo Czarne

@wydawnictwoczarne

Sekretariat i dział sprzedaży:

ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice

tel. +48 18 353 58 93

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:

al. Jana Pawla II 45A lok. 56

01-008 Warszawa

tel. +48 22 621 10 48

Skład: d2d.pl

ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków

tel. +48 12 432 08 52, e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2022

Wydanie I